

D. S. MEREŻKOWSKI

DEKABRYŚCI

POWIEŚĆ

TŁUMACZYŁA Z ROSYJSKIEGO

B. BEAUPRÉ

KRAKÓW 1922

KRAKOWSKA SPÓŁKA WYDAWNICZA

DEKABRYŚCI

D. S. MEREŻKOWSKI

DEKABRYŚCI

POWIEŚĆ

TŁUMACZYŁA Z ROSYJSKIEGO

B. BEAUPRÉ

KRAKÓW 1922

KRAKOWSKA SPÓŁKA WYDAWNICZA



68374



ROZDZIAŁ I.

— Kochać ziemię grzech! Niebieskie rzeczy kochać trzeba, a ja nie mogę i nad wszystko w świecie kocham Czeremuski. Wpierw nie wiedziałam, że je tak strasznie lubię, póki tam mieszkalam; a teraz, gdyśmy wyjechały, rozkochałam się i roz tęskniłam na śmierć.

— Kochacie wioskę waszą, jakby była żywą, Maryo Pawłowno!

— Tak właśnie, jakby była żywą. Wybiegnę, bywało, do gaju pomiędzy brzoški młode, smukłe, proste, jak te woskowe świeczki; kora na nich miękka, ciepła, rozgrzana od słońca, całkiem jak żywa! Obejmę bywało, przytulę, całuję, pieszczę, siostrzyczko ty moja, serdeczna, miła, rodzona!

W zimnym poblasku błękitnawego mroku, który wpadał ledwie już, mającąc przez okna karetki, księżę Waleryan Michałowicz Golcyn, patrzył w miłą twarzyczkę dziewczeczki, myśląc: »Samaś ty, jak brzoška wiosenna«.

ODBITO W DRUKARNI „CZASU“ W KRAKOWIE.

k-249/76/74725

Marya Pawłówna Pałyczewa wyglądała na jedną z typowych wiejskich panienek, o których powiedziano:

»Dzieli rozrywki i wczasy
Między klawikord i krosna«.

Ubrana była podług modnego żurnalu, w luźną workową salopkę, z ciemno-zielonego grodeturu, odsiedziczonego po babce; na głowie miała kratkowaną kapotkę z różowymi wstążkami. Bujny, czarny warkocz spleciony jak biczyk, zostawiał jednak po obu stronach twarzy zwieszające się pukle loków. W uszach staroświeckie koleżki z granatów, prawdopodobnie także dar babki.

Wychowana starannie, mówiła po francusku; nie mniej przeto, twarzyczkę miała taką, jak wiejska dziewczyna, co siedzi na przyźbie w sukni żółtej w czerwone grochy i śmieje się do chłopców, gryząc słoneczniki. Nie kocha może jeszcze nikogo, lecz już owiana technieniem miłości, jak rozkwiecony bezwonną świeżością rosy poranek i czują to wszyscy, co patrzą na nią; dozorczy stacyjni, rogakowi inwalidzi, rozpojeni herbata brzechaci kupcy — i czerwoni jak burak woźnice, każdy z nich patrząc na nią, pomyśleć musi.

— Ot! Co za śliczna dziewczyna!

W drodze z Wasylkowa do Petersburga książę Golicyn zatrzymał się w Moskwie dla porozumienia się z członkiem tajnego stowarzyszenia Puszczynem, który służył w naczelnym departamencie moskiewskiego sądu okręgowego, a mieszkał u ciotki swej, staroświeckiej damy, w osobnym domu, przy ulicy starej Koniusznej. Tu także zatrzymała się w przejeździe do Petersburga, da-

leka krewna Puszczyna, ziemianka z Sierpuchowskiego powiatu, Nina Lwowna Pałyczewa, z dwiętnastoletnią córką Maryą. Na prośbę Puszczyna Golicyn podjął się towarzyszyć tym paniom w drodze do stolicy. W owym czasie świeżo właśnie kursować zaczął pomiędzy Moskwą a Petersburgiem pocztowy dyliżans, niskie długie pudło, obciągnięte skórą, z dwoma oknami od przodu i od tyłu. Leżeć nie można było w tym wozie; czworo ludzi przedzielonych przegródką, siedziało plecami do siebie, patrząc dwoje wprzód, dwoje na tyły gościńca, a że dawniejsze pojazdy zimowe, przeznaczone były do leżenia, więc w przeciwieństwie do nich furmani przekwiali nowomodne dyliżanse, »nieleżaniami«. W takim to nieleżaniu podróżował książę Golicyn z dwiema damami i towarzyszącą im garderobiana. Pani Pałyczewa pochodząca z zamożnej rodziny, przykła była podróżować na modłę szlachecką, własnymi końmi z kapliczką, czeladzią, kuchnią i pościelą; dyliżansów pocztowych bała się, jako niesłychanego nowatorstwa, rada też była nadziwić się towarzyszkowi podróży. Opowie-działa mu natychmiast historię całego swego życia.

Wychowała się w Smolnym i prosto prawie z instytutu, wyszła za swego męża, z którym przeżyła 25 lat, jak u pana Boga za piecem. Paweł Pawłowicz Pałyczew, służył w wojsku i za włoską kampanię pod Suwarowem, otrzymał stopień podporucznika. Raniony w 1812, wystąpił z wojska w randze podpułkownika. Był to człowiek wielkiego rozumu i nawet literat, artykuły jego drukowane były w syońskim *Wiestniku*. Przejazdził się z Łabzinem, a gdy tamtego zesała-

no na wygnanie za wolnomyslność, omal że los podobny nie spotkał także i Pawła Pałyczewa. Prześladowano go, bo kochał prawdę, słych ludzi nie oszczędzał, urzędniczych łapowników i tyranów ziemian. — Samemu archierejowi dowodził, że nie powinno być wyzysku, pańszczyzny, panów i niewolników. Własnych chłopów uwolnić chciał, ale władze nie pozwoliły. Farmazonem go przeswano, bezbożnikiem i burzycielem. Gubernator chciał go do turmy wsadzić. Od tych wszystkich przykrości Paweł Pawłowicz rozchorował się i wkrótce potem umarł.

Nina Lwowna została sama, samotniczka z małą córeczką. Troje dzieci pochowała za życia jeszcze męża, Maryńka była ostatnia. Interesa majątkowe popłatały się. Przez wielką dobroć nieboszczyka i brak zrozumienia dla jego szlachetnych uczuć, chłopci, »chamskie nasienie«, całkiem się rozwydrzyli, połowa zbiegła, reszta pije, nikt płacić nie chce, ani podusznego, ani wykupu. Ona sama nie może sobie dać rady z gospodarstwem. Znajome sąiadki przezywają ją białorączką, bo nie bije ludzi po twarzy, a one mówią, że to dlatego, że się boi dłoń osmolić dotykając chłopstwa. Majątek zastawiony w radzie opiekuńczej na 25.000, a nie ma czem płacić procentów, gotowi sprzedać z publicznego targu, a wtedy w świat trzeba iść.

Ale Bóg łaskawy zlitował się nad sierotami i zesłał dobrego człowieka. Przyjechał do krewnych w Sierpuchowskie radca stanu, Porfiry Mikołajewicz Akwitonow (służy w departamencie zewnętrznego handlu). Zobaczył Maryńkę na balu w powiecie i tak się zachwycił, że w kilka dni później oświadczył się.

Człowiek niemłody, lat już ma po za 50, ale szanowny, gruntowny, prześliczne ma powołanie u przełożonych, a za Maryńką szaleje. Jeśli, powiada, uszczęśliwicie mnie zezwoleniem waszem, niczego nie pożałuję dla szczęścia waszej córki. Dymisyę wezmę, gospodarstwem się zajmę w Czeremuszkach, interesa wasze uporządkuję. Maryńka nie odmówiła, lecz prosiła o zwłokę, a i Nina Lwowna córki nie przynagla. Sama rozumie, że to jeszcze młode, miłości by chciało, serdecznych uczuć, a Porfiry Mikołajewicz nie para dla niej, na ojca by się prędzej nadawał. Tak upłynął rok, na tych namysłach; aż list nadszedł od pana Akwitonowa, który prosił z największym szacunkiem, by o losie jego zawyrokować. I prosił, aby jeśli jest choć mała nadzieja, przyjechać do Petersburga dla osobistego spotkania. Nina Lwowna zresztą musiałaby i tak przyjechać dla spraw majątkowych, dla terminów opłaty, bo gotowi jeszcze ziemię opisać.

Jest także jeszcze jedna nadzieja pomocy od babki, Natalii Kiryłowny Rzewskiej. Bogata staruska, ale skąpa i uparta. Ułożyła sobie, że Nina Lwowna przedać powinna ziemię i przyjechać do niej na mieszkanie do Petersburga, inaczej powiada, złamanego grosza odemnie nie dostaniecie. Ale Maryńka o tem i słyszeć nie chce, lepiej już, mówi, pójdę za Akwitonowa a z Czeremuszek nie wyjadę. Tu się urodziłam, tu i umrę.

Kończąc opowiadanie Nina Lwowna zapłakała. Chwaliła niby konkurenta, lecz córki jej było żal.

Golicyn siadywał w swojej przegródce w nocy z Pałaszka, a w dzień z Niną Lwowną. Ale na trzeci dzień, pani Pałyczewa dostała ból głowy,

aby więc mogła wypocząć wpół leżąc, przesadzono Pałaszkę na kozioł do furmana, a Marya Pawłówna usiadła obok Golicyna.

Nieleżaniec włókł się jak zółw. Sanna nie ustaliła się jeszcze, śniegu było mało, płozy sań, sunęły prawie po gołych kamieniach, pudło dyliżansu podrygiwało, za przegródką słychać było senny oddech Niny Lwownej. Dzwonek pobrękiwał usypiająco. Błękitnawe oświetlenie wieczornego pół mroku, zmętniałe przez okna zamarałe, podobne było oświetleniu, jakie się widuje we śnie. Zdawało się też obojgu, Maryńce i Golicynowi, że śnią jakiś sen bezpamiętnie dawny, a nieraz widziany.

— A mnie wciąż wydaje się, Maryo Pawłówno, żeśmy się już gdzieś kiedyś widzieli, tylko nie wiem kiedy; mówił Golicyn nie przestając wpatrywać się w miłą twarzyczkę dziewczęcia.

— Mnie także... zaczęła ona, lecz nie skończyła.

— No co?

— Nie! nic, głupstwo, odrzuciła rumieniąc się. Wogóle czerwieniła się łatwo i mocno jak mała dziewczynka, a wtedy stawała się jeszcze miłsza. Odwróciła się do okna i wodzie zaczęła po zamarzłych na szybie arabeskach, cienkim różowym paluszkami. Spoglądała na Golicyna ukradkowo lecz badawczo, a twarz jego mieniła się jej dziwnie w oczach, jak gdyby dwoiła. Raz było to oblicze chude, posępne i surowe z niedobrą zmarszczką, dokoła ust wiecznie uragliwych z przyniatającą mądrym i ciężkim spojrzeniem oczu, przebłykającym z poza ślepych szkieł okularów. Maryńka wogóle nie lubiła okularów, zdaniem jej tylko staroszkowie, lub uczeni Niemcy, mogą je

nosić. Słowem twarz dziwna i prawie straszna. Ta znów była to twarz prosta, miła, prawie dziecięca, a tylko żalostnie smutna, aż się jej serce ścisnęło, jakby przeczuwając, że człowiekowi temu grozi jakaś bieda, jakby śmiertelne niebezpieczeństwo. A wszystko było jakieś ciemne i mętne, jakby odczute przez sen.

— A wie pan? że się was trochę boję przemówiła, spoglądając znów na niego ukradkowo i badawczo, może się tak lubicie wyśmiewać, jak Iwan Iwanowicz.

— Puszczyn! przedobry człowiek i nie trzeba się go bać, a mnie także nie — odrzekł Golicyn.

— Pan także dobry?

— A wy jak myślicie Maryńko! Przepraszam, Maryo Pawłówna.

— Nie szkodzi! Wszyscy mi mówią Maryńko! Nawet nie lubię, jak mi kto mówi Maryo Pawłówna.

Spojrzała mu prosto w oczy i uśmiechnęła się, on także. Uśmiechali się do siebie i czuli oboje, że ten uśmiech zbliża ich i że zbliżenie to wzrasta — niepohamowane, radosne razem i smętne, jakby po długiej rozłące przypominali sobie i poznawali się na nowo. Nagle ona odwróciła się, poczerwieniała znów i pochyliła głowę, ale z pod długich spuszczonej rąk, Golicyn podchwycił przebłysk wstydlivej pieśczoły, nie dla niego być może przeznaczonej, mniejsza dla kogo, może dla wszystkich, jak promień słoneczny, który pieści wszystko, na czem spocznie.

— Już niech mi księżę daruje — mówiła — nie podnosząc jeszcze oczu, ale jestem strasznie dąka. Zawsze sama i sama byłam w moich Czeremuskach, więc i zdicałam; oduczyłam się z ludźmi mówić, wszystkiego się boję.

— Nie należy bać się ludzi Maryńko, bo to ich psuje.

— Ja też nie ludzi boję się, a sama nie wiem czego. W Czeremuskach nikogo się nie bałam, byłam odważna, ale odkąd wyjechałam, wszystko takie cudze, straszne. Jak byłam mała, niania bywało ułoży mnie, przeżegna, zasunie firanki. »Spij dzieciątko, mówi, śpij z Bogiem«, »a kotka koteczka ładna kołysieczka«, a nie otwieraj oczek i nie wyglądaj za firanki, bo pod łódeczkiem leży straszne lichy, które cię weźmie. A potem, gdy podrosłam, myślałam nieraz, że nie tylko pod łódeczkiem siedzi lichy; ono jest wszędzie.

— A wy się o niego nie ocierajcie, to i ono was nie tknie.

— Jak tu nie otrzeć się?

— Niby pani nie wie?

— Nie wiem! Naprawdę nie wiem, powtarzała, kręcąc główką, powoli i jakby z rozmysłem, przyczem kołysały się lekko loki, wiszące po obu stronach twarzy. W tej chwili dyliżans podskoczył na zamarałej grudzie, a twarze ich zbliżyły się tak, że loki jej musnęły mu policzek, jakby paląc pocałunkiem.

— A jeśli pan wie, to proszę powiedzieć.

— Nie wolno mi,

— Dla czego?

— Bo każdy człowiek sam powinien poznać i pani się kiedyś dowie.

— Kiedy?

— Jak się pani zakocha.

— O! Miłość! — mówiła — kręcąc znów głowę z niedowierzaniem, a przecież mówią, że dziś wcale miłości niema, a tylko zdrada i oszustwo.

— Któż to mówi?

— Wszyscy.

Le plus charmant amour.

Est celui qui commence et finit en un jour.

Puszczyn nawet mówił mi to onegdaj, i ciotka także. »Ach Maryńko! mówiła, ty jeszcze nie wiesz, co za ptaszek ta miłość, jak przyleci, tak odleci, i babunia to samo«.

— A ileż pani ma tych ciotek i babek?

— Och! bardzo dużo.

— I wszystkim pani wierzy?

Maryńka miała zwyczaj powtarzać co dwa słowa: »No tak, oczywiście«, a mówiła to tak wdzięcznie, że Golicyn czekał tych słów, które też wyrzekła:

— No tak! oczywiście, jak tu nie wierzyć starszym. Ja sama głupiotka jeszcze jestem, muszę wierzyć rozumnym ludziom. Ja cała składam się z cudzych słów, niby suknia zeszyta z różnych szmatek.

— Ale pod tą suknią, ktoś się tai? — uśmiechnął się.

— A no! proszę zgadnąć, odparła, rzucając mu znów z pod spuszczonej rąs spojrzenie i ten sam słoneczny promyk, co zda się upieścić wszystko, na co padnie.

Umilkła i westchnęła, a twarzyczka jej spoważniała nie dziecienną refleksją.

— Takie to jest życie, rzekła po chwili, miłość uleci, a lichy zostanie, bo ono skrzydeł nie ma, a pełźnie jak ten robak, albo jak duży obrazydliwy pająk.

Oboje zamilkli i poculi znów, że milczenie to zbliża ich, że zbliżenie wzrasta, potęguje się niepohamowanie.

— A no! dobrze! — rzekł wreszcie Golicyn, niech że sobie babunie i ciocie mówią, co się im podoba, ale dlaczego wy sama Maryńko, chcieli-
byście, żeby miłość uleciała?

— A no! oczywiście, że nie! ja lubię kochać mocno, nie potrafię potrochę. Nie lubię, żeby płaszcz spadał z jednego ramienia, nosić go muszę mocno na obu.

— Tak! Maryńko! tak! — potwierdził Golicyn, spoglądając na nią, jakby na koniec przypomniał sobie, poznał. »A więc taka ty jesteś«.

— Jaka pani dobra! — przemówił już innym, cichym głosem.

— Ot dopiero znalazł dobrą! Niech pan mamy spyta, jaka ja jestem nieznosna dziewczyna, zła, uparta,

— Posłuchajcie Maryńko, czy można pomówić z wami tak poprostu.

— A no oczywiście, ja lubię tylko poprostu, wszelkich ceremonii nie cierpię.

— A więc Maryo Pawłówno, zaczął, lecz wnet urwał — i jak wprzód Maryńka, odwrócił się, poczerwieniał i przechylił głowę. Ona patrzyła na niego ciekawie.

— Niech pani nie wychodzi za mąż za pana Akwitonowa, — przemówił z nagłą determinacją.

— A to znowu dlaczego?

— Dlatego, że go pani nie kocha.

— Jakto nie kocham? Skoro jest narzeczoną, więc widocznie kocham.

— Nie! nie kocha go pani i on jest dla pani »licho«.

— Co za niedorzeczność! Człowiek miły, dobry, porządny, szanowny dać może szczęście prawdziwe każdej dziewczynie. Wszyscy tak mówią, mama, ciocie, babunia.

— Mimo to nie wychodźcie za niego.

— A cóż to was obchodzi? Ot, jaki dziwak! Jak pan śmie zresztą! Powinnabym się gniewać, a taka jestem niemądra, że nie umiem.

— Darujcie! już nie będę, tylko się proszę nie gniewać, moja ty miła, dobra, śliczna dziewczeczko.

Zamilkł, spoglądając na nią ukradkiem, ona odwróciła się znów do okna i chuchać poczęła na zamazłą szybę, przyłożywszy dłonie do ust. Skoro wychuchała kółko, zaczęła coś kreślić na niem, wodząc paluszką.

— Popatrzcie oto W. pierwsza litera imienia waszej narzeczonej.

— Jakiej narzeczonej?

— A waszej; cóż się pan przedemną zapiera. Mówił mi Puszczyn, że pan ma w Petersburgu prześliczną narzeczoną, której imię zaczyna się na W. Pewnie Wasylisa. To bardzo ładnie się składa. Waleryan i Wasylisa, z jednej litery oba imiona.

Rozśmiała się dzwięcznie i niby wesoło, lecz oczy miała smutne.

— Dlaczegoż W.? A! tak; przypomniał sobie Golicyn »wolność« jak w owym wierszu:

Czekamy, tętnący nadzieją
Wolności świętej zarania,
Jak czeka młodzian stęskniony
Słodkiego z lubą spotkania.

— A wiecie książę! może to i nie tak — rzekła i przestała się śmiać, patrząc na Golicyna poważnie, prawie surowo.

— Co nie tak?

— Co do miłości, nie miłość-to wybawić może od licha...

— A cóż innego?

— Nie wiem, nie umiem powiedzieć; przypomniały mi się wiersze, które tatuś nieboszczyk lubił powtarzać:

Korząc się sercem wierzyć trzeba
I w cierpliwości czekać końca.

Powiedziała to cicho, ale z taką siłą, że Golicyń spojrzał na nią zdziwiony. Tylko co była dzieckiem, a oto już kobieta...

W tej chwili dylizans, zjeżdżając z pagórka, przechylił się w bok i omal nie przewrócił. Marynka krzyknęła i chwyciła się ręką za poręcz siedzenia, przytem niechcący położyła dłoń na ręce Golicyń, chciała cofnąć, ale on nie puścił.

— Marie — zabramiał z poza przegródki rozszepany głos Niny Lwownej. Marynka słyszała, ale się nie odezwała. Przykucnęli oboje jak para rozfiglowanych dzieciaków.

— A u pani jest muszka nad okiem, szepnął żartobliwie Golicyń.

— Nie muszka, a znamie rodzinne, odszepnęła Marynka. — Jak byłam mała, dzieci dokuczały mi: U Marynki czarne ziarko, Marynka jest poczwarką.

Pochylił się ku niej bardzo blisko, a ona się odsunęła.

— Serdeczna ty, miła! powtarzał tak cicho, że mogłaby nie słyszeć, gdyby nie chciała.

— *Marie! ou es tu donc mon enfant*, pytała Nina Lwowna zupełnie już rozbudzonym głosem.

— Tu mamusia! zaraz... a ot i stacya.

Dylizans zatrzymał się, zamajaczały czerwone światła i rachome cienie w oknach. Marynka wstała.

— Nie odchodź! szepnął Golicyń.

— Nie można! Mama się będzie gniewać, Trzymał jeszcze jej rękę, którą podniósł do ust i całował w dłoń ciepłą, świeżą, mięką, jak płatki kwiatu, rozgrzane od słońca.

Na noc Pałaszka zeszła z konia i siedziała obok Golicyń; lecz najsutrz w dzień powróciła znów Marynka.

Nina Lwowna przestała robić ceremonie i pozwoliła córce siedzieć z Golicyń, ile się jej podobało, lecz czy to dlatego, że matka nie spała i mogła słyszeć, czy z innego powodu, Marynka zamknęła się w sobie i nastroszyła tak, że rozmowa szła jakoś niezręcznie i była bez znaczenia. Ona opowiadała o swem życiu w Czeremuskach, o rzeczach zwykłych i powszednich, ale wiało od nich coś swojkiego, znanego, jak słowa miłej bajki.

W końcu lipowej alei, gdzie gawronie gniazda, nad urwistym brzegiem małej rzeczki Kaszyrki, stoi altanka dziadurkowa, z napisem na froncie: »Tu znajdziecie spokój«. W tej altance Marynka czytywała *Tajemnice Udolfa* pani Radcliff i *Cierpienie rodziny Ortenbergów* Kotzebuego. Lubiła wogóle czytywać rzeczy smutne i uczuciowe. A w zimie, gdy wieczór nadchodził i błękitnawy mrok wpadał przez zamrażnięte szyby, mięszając się z czerwonym światłem lampki przed obrazem w maminej sypialni, kuzynka Adela śpiewała przy klawikordzie stare piosenki takie głupie i czułe, n. p.:

Dźwięk ponury fortepianu,
Wypowiada żalność moja,

albo też

Przysła już w godzin smętnej pogoni,
Chwila rozstania na kres daleki.
Jak łez nie ronić, nie łamać dłoni,
Skoro cię może żegnam na wieki.

Marynka, słuchając takich pieśni, płakała. Wierzyła w różne wróżby i przepowiednie, dobre i złe omeny, których nauczyła ją stara niania Piotrowna. Nie przestąpi naprzykład nigdy nitki, leżącej na podłodze, ani kółka odcisniętego na piasku. Wie, że gdy się w piecu pali, a z ognia iskry leca, to znaczy, że przyjadą goście, a jeśli kogut pieje o niezwykłej porze trzeba go prędko zdjąć z żerdzi i dotknąć łapy; jeśli ciepło, to przyjadą nowiny, zimno wróżą nieboszczyka. Była w Czeremuskach klucznica, gospodyni lepsza od mamy; ogórki solić umiała, jak nikt inny w powiecie i roboty śliczne umiała, prawdziwa artystka. Raz np. nastrzygli wełny białej tej najcieńszej, która u owiec znajduje się na piersiach i na podgardlu, i przywieźli do dworu; Pelagia to uprzedła, bo przesłanicie umiała prząć i wysnuła białą cieniutką nić; ale, że w deseniach utkanych potrzebne są kolory w cień, więc sama ufarbowała doskonale i wyszedł z tego bardzo ładny dywanik.

— Pani tak umyślnie Marynka? — zagadnął wreszcie Golicyn?

— Co umyślnie?

— Ja pani o miłości, a pani o solonych ogórkach i farbowaniu wełny...

Nic nie odrzekła, tylko zacięła usteczka i położyła na nich palec, kiwając głową w stronę mamy, jakby mieli już z sobą jakąś wspólną ta-

jemnicę. O czemkolwiek zresztą mówili, każde słowo wyrzeczone miało dla nich inne ukryte znaczenie. Czasem milkli oboje, wpatrując się w siebie z radosnem zdumieniem, jakby po długiej rozłące przyszło dla nich błogie spotkanie i znów czuli, że zbliżają się i lgną ku sobie mimowoli i że coś się zawiązuje pomiędzy nimi i nie może być wstrzymane. Ona bała się go jeszcze trochę i trochę niewierzyła, ale skoro rzucała mu z pod rzęs spuszczonego promienne spojrzenie, wiedział już, że pieszczota wzroku jej nie idzie już ku wszystkim, jak wczoraj lecz wyłącznie ku niemu.

— Co ja robię? — myślał — po co zakłócam spokój biednej dziewczynie.

Opamiętywał się na chwilę, lecz potem zapominali oboje o wszystkim, upajając się techniem miłości, którem owiana była miła dziewczynka, jak bez rozkwiecony wonną świeżością rosy.

— Najlepiejbyś zrobił żeniąc się z Marynką — mówił Puszczyn do Golicyna, który przypomniawszy sobie teraz tę radę przyjaciela, choć ją wtedy uważał jako żart.

— Damy może głowę pod topór, a ty Puszczyn mówisz o miłości — rzekł wtedy.

— A choćby — odpowiedział Puszczyn — milej będzie umierać, jeśli kto po nas zapłacze.

Radził żenić się z Marynką, żeby ją wybawić od starego Akwitonowa, dusigrosza i wyzyskiwacza. On sam też myślał z przykrością o tem małżeństwie, bo patrząc na motylka, zaplątanego w pajęczą sieć, każdyby chciał wyzwolić go od strasznego pajaka; ale jakże to zrobić? W Petersburgu nie o Marynce mu myśleć, czeka go tam spisek, powstanie, obalenie cara, oswobodze-

nie ojczyszny. A może jednak losy państwa i narodu nie ważą więcej na szali sądów bożych od losu jednej duszy ludzkiej.

Co było przyczyną ich spotkania? prosty przypadek, czy przeznaczenie? Jeśli tylko przypadek, to skąd to uczucie jakby wznowienia rzeczy bezpamiętnie dawnych i swojskich, powtórnie wracających. A jeśli przeznaczenie, skąd w nim ta wiara, że mógłby ją pokochać. I cóż mu zresztą z tego snu o ostatniej radości życia. Przecież musi się z życiem pożegnać. Był jak wędrowiec w pustyni, co uciekając od dzikiego zwierza, wpadł do studni, zawisł na soku i rwie maliny z pobliskiego krzaka i niesie je do ust, zapominając o przepaści.

Patrząc na te lička takie świeże, żywe, pomyśleć jednak musiał o innych; o bladej martwej twarzyczce w oświetleniu dziennych świateł, o szesnastoletniej oblubienicy w trumnie we wianeczku i białej sukni, smukłej, szczupłej, wydłużonej jak lecąca strzała — Zofii Naryszkinie...

Nie pytaj miły! jaką odeszłam drogą,
Ni kędy dziś nowy mi płonie świt.
Wszak wzięłam już co ziemskie dni dać mogą,
Kochałam, żyłam, gdym ziemski wiodła byt.
Spełniło się. Że ziszczą się nadzieje,
Bez lęku wierz. Nie serca nie omami.
Więc i ja z miejsc, gdzie nowa światłość dnieje.
Znam piękno świata, na którym żyłam z wami,
O miły, wierz! co wielkie nie zmarnieje.
Bądź silny, trwaj, nie doznasz i tu zdrady —

Jak nie zdradzi go ona i on jej nie zdradzi, tej pierwszej i ostatniej miłości nie zdradzi jej, choćby nawet polubił Marynkę. Obie one razem ziem-

ska i niebieska kochanka, jak niebo i ziemia, co stykają się na krańcach widnokręgu — Zofia i Marynka.

Na trzeci dzień zrana, dyliżans dojeżdżał już do Petersburga. Gdy mijali ostatnią stację Puskowo, powiało od morza ciepłem, zamarzło okno wozu odtajało, zapociło się, a po przez spływające krople ukazała się równina pęsepna, śnieżna, usiana błotnymi kopcami, które wyglądały, jak mogiłki olbrzymiego cmentarza, a na samym krańcu równiny, czerniły się, jak kropki pierwsze domy Petersburga.

— No! bądźcie zdrów książę — przemówiła Marynka — za chwilę przyjedziemy, ja do konkurenta, wy do narzeczonej, a wspomni pan czasem o mnie?

On milcząc, wziął ją za rękę i pocałował tak samo, jak pierwój w dłoń, świeżą, mięką, ciepłą, jak rozwarty kielich kwiatu, rozgrzany od słońca.

— Przyjdzie pan do nas w Petersburgu?

— Przyjdę.

— A jeżeli narzeczoną nie pozwoli?

— Nie mam żadnej narzeczonej.

— Prawda to?

— Prawda.

— Słowo honoru?

— Słowo. A wy Marynko macie narzeczonego?

— Niewiem, może mam, może nie.

I znów uśmiechnęli się do siebie i milcząc wyznawali... »Mógłbym cię pokochać«, mówił jej głębokim spojrzeniem. »I ja także«, odpowiadała mu oczyma.

— Marie! Cóż ty tam? Pora zbierać się — zabramiał gderliwie głos Niny Lwownej. — Pałaszka, gdzie pasport? — Gdzie go zapodziała ta nieznoszna dziewczyna.

Po obu stronach pokazały się długie płoty, ogrody, lepianki, sklepiki, dworki podmiejskie. Wreszcie dyliżans zatrzymał się przed małym domkiem o złotych ścianach, obryzganym jeszcze od letniego błota, z dwukolorowymi budkami po obu stronach rogatki. Drzewiczki dyliżansu otwały się i ukazała się w nich twarz inwalidy. Oficer dyżurny przejrzał papiery i rozkazał strażnikowi podnieść szlaban; nieleżaniec przejechał pod nim i znalazł się na ulicach Petersburga.

ROZDZIAŁ II.

Skoro dnia 27 listopada dowiedziano się w Petersburgu o śmierci cesarza Aleksandra I, zaległa stolicę niezwykła cisza; wszystko umilkło i zamarło tając niejako dech w sobie. Teatry zamknięto, orkiestry przestały grywać przy zmianie warty. Panie włożyły żałobę, w cerkwiach odprawiano panichidy, trwożny i żałosny jęk dzwonów rozlegał się nad miastem od rana do wieczora.

Rosya złożyła przysięgę Konstantemu I, podpisywano ukazy jego imieniem, w mennicy tłoczono ruble z jego wizerunkiem, w cerkwiach odmawiano za niego modlitwy błagalne. Spodziewano się lada dzień jego przyjazdu, lecz on nie przybywał i po mieście zaczęły krążyć różne pogłoski; jedni twierdzili, że wyrzekł się tronu, inni, że go przyjął, prawdy jednak nikt nie znał. Dla uspokojenia umysłów rozpowszechniono wiadomość, że cesarzowa matka otrzymała od jego księżęcej mości list, w którym zapowiadał swój przyjazd, to znów, że wielki książę Michał wy-

jechał już na jego spotkanie, lecz obie te pogłoski były zmyślane. Kurjerzy latali z Petersburga do Warszawy, z Warszawy do Petersburga, bracia wymieniali z sobą wiele listów, lecz żadna decyzja nie zapadła.

— Czas by już zakończyć te uprzejmości — szemrali dygnitarze.

— Kiedyż wreszcie dowiemy się, kto jest naszym monarchą, niecierpliwiła się cesarzowa Marya Fiedorówna.

— Na tronie naszym króluje trumna, szeptali z ubolewaniem lojalni poddani.

Nazajutrz po przysiędze, w oknach magazynów na Newskim prospekcie, wystawiono portrety nowego cesarza. Ludzie kupili się przy tych wizerunkach. Na portretach cesarz był szpetny, a w naturze jeszcze bardziej. Nos zapadły jak u Pawła I., duże wylupiaсте niebieskie oczy, brwi prawie białe, nastrzępione kosmykami i także prawie włosy w nasadzie nosa, w chwilach gniewu, jeżyły się szczeniastą. Ręce długie po kolana jak u małpy, robiły wrażenie, że mogłyby chodzić na czterech łapach... Wogóle podobnym był do olbrzymiej małpy, przypominającej człowieka. Przypominano sobie słowa o nim babki, cesarzowej Katarzyny, która skartąc się na niego mówiła. »Na ulicy nawet zachowuje się tak nieprzyzwoicie, że czekam tylko kiedy go zbiją; nie rozumiem skąd wziął się w nim taki podły sankiulotyam, poniżający go wobec wszystkich».

Listy swoje do nauczyciela Francuza Laharpa podpisywał *l'âne Constantin*. Nie był jednak wcale głupi, a tylko udawał wybornie durnia, aby go zostawiono w spokoju, i nie podsuwano mu korony. »Despotyczny wichur« — mówili o

nim bliscy. Raz na rewii koń jego spłoszył się, wyjął wtedy szablę i tak go zaczął okładać, że zwierzę omal nie zdechło. Ten koń to będzie Rosya, mówiono potem, a on szalonym jeźdźcem.

Spodziewano się wszakże, że może odrzuci koronę z przyrodzonego do niej wstrętu.

— Zaduszą mnie jak zadusili ojca — powiadał. Znam ja was kanalie, znam! teraz krzyczcie hura, a gdy mnie powloką na miejsce stracenia, i krzykną czy zgoda? wrzeszczycie będziecie z wszystkich sił: zgoda!

Opowiadano, że gdy przeczytał manifest o swem wstąpieniu na tron, zrobiło mu się słabo i kazał sobie krew puścić.

— Poco oni werbują mnie na to carowanie, powtarzał; sami nawarzyli piwa, niech je chlepczą.

Skoro dowiedziano się o tem wszystkiem w Petersburgu, ludzie zaniepokoiili się.

— Nie wolno igrzać z ustawowem następstwem tronu jak z prywatną własnością — mówili jedni.

— Dlaczego nie wolno? — odpowiadali drudzy. U nas w Rosyi wszystko można. Tchórze jesteśmy i niech nam tylko zagrożą hauptwachą, ukorzymy się.

— Komu też dostaną się barany? — zakładali się dowcipnicy.

— Jakie barany?

— A my; czyż nie gonią nas od jednej przysięgi do drugiej jak stado baranów.

Rozważano, kto będzie lepszy: Konstanty czy Mikołaj?

Cesarz Paweł I mianował pięcioletniego chłopaczka, Mikołaja, szefem leibgardyi konnego pułku i dał mu rangę generała lejtnanta. Malec bił

w bębenek, zanim się chodzić nauczył i machał dziecienną szabelką, a gdy podrosł, wyskakiwał z łóżeczka w nocy, aby postać pod bronią w służbowej postawie; nie chciał nigdy słyszeć o innych zabawkach prócz żołnierzy.

Wychowawca wielkich książąt »diadia«, Lamsdorf, bił chłopców kolbą po głowie, że niemal odchodzili od przytomności. Niech go Bóg sądzi za to biedne wychowanie, jakie nam dał, mawiał potem sam car Mikołaj. Nie spowobił się nigdy do następstwa tronu i do lat dwudziestu nie miał żadnych służbowych zajęć; jedyną łączność jego ze światem stanowiły poczekalnie dworskie i biurka sekretaryatu. »Wściekły jak Paweł a zawzięty jak Aleksander« mawiano o nim, prawda, że mądry, ale ten jego rozum budził gorsze jeszcze obawy; im mądrzy, tem gorszy. Przyswoił sobie ostatecznie pruskie prawo wojskowe i wogóle był to Niemiec; przeczuwano, że za wstąpieniem jego na tron Niemcy zaleją Rosyę, która i tak już była przez nich zawojowana. Konstanty »zwierz« a Mikołaj »maszyna«. Kto lepszy, maszyna czy zwierz?

ROZDZIAŁ III.

W sali zimowego pałacu, położonej pomiędzy pokojami adjutantury, a tymczasowym apartamentem wielkiego księcia Mikołaja, ciemno było o godzinie ósmej z rana, całkiem, jak w nocy. Wysokie okna ziały nieprzejrzaną czarnością — jakaś mgła czarno-żółta, przenikliwa, jak gryzący dym sączyć się adawała poprzez okna i ściany. Woskowe świece, osadzone w masywnych kandelabrach, płonęły przyćmionem światłem na długim

stole, pokrytym zielonem suknem, oświecając środek tylko sali, której kąty tonęły w mroku. Z mroku tego wynurzały się wizyjnie dwa portrety: Katarzyny drugiej i Aleksandra pierwszego i zdawało się, że babka i wnuk porozumiewają się tajemniczo, mrugając do siebie z zagadkowo drwiącym uśmiechem.

Starzy dygnitarze w jedwabnych poniczochach i trzewikach, w mundurach, haftowanych złotem, błakali się po sali, jak nikle cienie, zbliżali się do siebie, szeptali i znów rozchodzili, a w najciemniejszym kącie sali siedzieli nieruchomo, jak trzy martwe posągi, trzej jakby z trumny powstałi nieboszczycy, siedemdziesięcioletni minister spraw wewnętrznych Łańskoj, ośmdziesięcioletni minister oświecenia Szyszakow i nieśmiertelny, zda się, generał Arakczajew. Pierwszy to raz od czasu zabójstwa swej faworyty Anastazyi Mikołajówny pokazał się na dworze.

— Śmierć dziewczki — mówiono o nim — odjęła mu, zda się, zdolność zajmowania się sprawami publicznymi, a śmierć Aleksandra ożywiła go na nowo.

Wszyscy wiedzieli, że z Warszawy przybył kuryer z ostateczną odmową Konstantego i że dziś jeszcze podpisany być musi manifest o wstąpieniu na tron cesarza Mikołaja I. Lada moment oczekiwano wejścia księcia Aleksandra Mikołajewicza Golicyna z manifestem, przepisany na czysto i za każdym skrzypnięciem drzwi oglądano się, czy to nie on.

Przy kominku stał, grzejąc się przy ogniu, wysoki, przystojny, miłej powierzchowności starzec, o podłużnych, delikatnych rysach, twarzy bladej, z dwoma bolesnymi zmarszczkami dokoła ust,

wyrażających melancholię i wrażliwość. Był to Mikołaj Karamzin, cichy, jesienny, wieczorny człowiek. Chory był wciąż w tych dniach. »Nerwy mam — mówił — zupełnie rozbite, czuję się słaby, jak dziecko«. Zgnębiony był śmiercią cesarza Aleksandra, jak stratą najlepszego, umiłowanego przyjaciela, zgryzła go również obojętność wszystkich dla tej śmierci.

— Wszyscy myślą o sobie, nikt o Rosyi.

Wszystko drażniło go, raniło, dotykało, chciał mu się wciąż płakać bez przyczyny; czuł się starym, biednym, rozbitym, całkiem, jak jego »Biedna Liza«¹⁾.

Mikołaj polecił mu pierwotnie zredagowanie manifestu o swem wstąpieniu na tron, lecz później projektu nie przyjął. Nie podobały mu się słowa »Skoro Rosya żyje w pomyślności, jaką daje powszechna swoboda praw obywatelskich i spokój czystych serc«. Karamzin zmienił to zdanie, lecz poprawka nie znalazła uznania i poleceno napisanie manifestu Sperańskiemu.

Karamzin zgryzł się, lecz nie przestał bywać u dworu, aby mówić o przyczynach powszechnego niedomagania i środkach uszczęśliwienia ojczyzny. — Mówił, lecz nikt go nie słuchał, tak, że wreszcie zamilkł i odszedł!

— Skończone, skończone życie moje, pora umierać — i śmiał się i płakał na przemiany nad biedną, starą Liza.

I teraz, stojąc obok kominka, spoglądał zdala na wszystko z zadumaną troską.

¹⁾ Powieść Karamzina »Biedna Liza«.

— Patrzą na wszystko — mawiał — jak na grę ruchomych cieni. Obok niego szeptali dwaj starzy dygnitarze.

— Mam nadzieję, że nie utracimy was jeszcze — pytał jeden.

— Bóg raczy wiedzieć, co teraz będzie — odpowiadał drugi, ruszając ramionami. Onegdaj po wieczery ugawczał nas Piotr Piotrowicz szampanem, mówiąc: »Pijmy, póki można! Nie wiadomo, czy jutro być będziemy.

— Cóż tak zawsze zadumany Wasza Ekscelencjo? — rzekł, podchodząc do Karamszina starszy szambelan Aleksy Lwowicz Naryszkin, człowiek zasypyany wprost złotem i brylantami, o twarzy wysoce dostojnej, a nie znaczącej i sztucznym uśmiechu starego wielmoży z czasów carowej Katarzyny.

Wesołek to był i żartowniś wtedy nawet, gdy innym było nie do żartów.

— Nie ja jeden a cała Rosya — zaczął Karamszin.

— No! Rosyę zostawmy na boku — uśmiechnął się Naryszkin. — Onegdaj w czasie panichidy na placu przed cerkwią dokazywać zaczęli dorożkarze. Posłano do nich, by ich uśmierzyć z przestroją, że nie godzi się oddawać swawoli, gdy wszyscy oplakują nieboszczyka. A oni na to: poco go — powiadają — oplakiwać? Można i tak cześć oddać za to, że tyle czasu żył, bo widzicie go, mało to lat carował?! Oto macie Rosyę!

Błada twarz Karamszina zapłonila się.

— Spodziewam się — rzekł — że znajdą się jeszcze w Rosyi ludzie, zdolni zapłacić należny dług wdzięczności...

— Cóż znowu mój miły! Kto dzisiaj długi płaci? Co do mnie, dopiero na łożu śmierci powiem:

— *C'est la première dette que je paie a la nature* — rozśmiał się Naryszkin.

— Goście tu powyrabiali! — krzyczał zły karlik o mordce Kałmuka, minister sprawiedliwości Łobanow-Rostowski, karcąc swego szcztura Olenina, pełniącego funkcję sekretarza stanu. — Pomieściliście całkiem papiery. No! Chyba nie ma u was cara w głowie¹⁾.

— Co on mówi o carze? — pytał niedorłyśzawszy książe Łepuchin, prezes rady stanu i komitetu ministrów, kawaler wielkiego krzyża maltańskiego, starzec wysoki, strojny, okazały, ubielony, uróżowany, ze wstawioną szczęką i uśmiechem satyra. Głuchy już był trochę, a w ostatnich dniach skutkiem nawału wrażeń, głuchota ta wzrosła jeszcze.

— Mówi, że Olenin niema cara w głowie — krzyknął mu Naryszkin w ucho — a wy co myśleliście?

— Myślałem, że mówi, iż nie ma cara w Rosyi.

— Bo też go i niema — uśmiechnął się Naryszkin — i wiecie panowie co jest zdumiewające, że chociaż już blisko miesiąc żyjemy bez cara, wszystko mimo to idzie z tym samym ładem, a raczej z tym samym bezładem co i w pierw.

— Wszystko robią na opak, grają jak w piłkę — krzyczał dalej Łobanow.

¹⁾ Przysłowie, odpowiadające polskiemu: niemiec oleju w głowie.

— W jaką piłkę? — dopytywał Łopuchin.

— No o tem nie można krzyczyć w ucho — zauważył Naryszkin, a potem zapytał szeptem Karamzina.

— A wy słyszeliście o piłce?

— Nie! nie słyszałem.

— *Pendant quinze jours, on jone la couronne de Russie au ballon, en se la renvoyant mutuellement.* Tak raczył wczoraj zażartować francuski poseł Laferronière. Żarcik ten omal, że nie wejdziesz do historii.

Łopuchin nastawił ucha, usłyszawszy nazwisko Laferronière, dorozumiał się widocznie o co chodzi i zaśmiał się, odsłaniając szereg równych białych zębów swej sztucznej szczęki, od której oddech jego miał zapach nieboszczyka.

— Jakże wasz reumatyzm Mikołaju Michajłowiczu — przemówił słodko miodowym głosem blisko sześćdziesięcioletni mężczyzna, z dwoma kosmykami siwych włosów dokoła łysawej głowy, z twarzą niezwykle zadziwiająco mleczno-białą i wielkimi niebieskimi oczyma, obracając się dziwnie powoli z wyrazem błogiej słodyczy. Wzrok konającego cielęcia, powiedział o nim ktoś. Był to Michał Michajłowicz Speranskij.

— A mnie hemeroidy całkiem zamęczą — dodał nie czekając odpowiedzi, i wyjął z tabakierki szczyptę lafermy wsuwając ją do nosa dwoma długimi cienkimi palcami i ocierając ślady wątpliwej czystości jedwabną, czerwoną chustką. Byłbym ja such, mawiał o sobie, gdybym nie żył tabaki.

— I cóż? wasza wielmożność, czy gotów już manifest? — zapytał Karamzin, chcąc umyślnie zaznaczyć, że niechowa urazy.

Speranski obrócił na niego swoje leniwe oczy i uśmiechnął się cienkim uśmieszkiem.

— Nie mówcie mi o tem, mam już tu, ten manifest — odparł ukazując ręką na gardło. — Jak tu objaśnić rzeczy nie do objaśnienia, jak wyłożyć ludowi te familijne ceregiele; Konstanty zrzeka się na rzecz Mikołaja, Mikołaj na rzecz Konstantyna. Ani z domu, ani do domu.

— A cóż było robić?

— Nie otwierać testamentu i piwa nie warzyć.

— Zlekceważyć wolę zmarłego?

— Umarli woli nie mają.

— Niedobre to słowa wasza wielmożność.

— Lepsze niedobre słowa, niż niedobre czyny. Nie wolno igrać z ustawowem następstwem tronu. Jeśli nieboszczyk cesarz, kochał choć trochę swoją ojczyznę, która dała mu w 1812 roku tyle dowodów oddania, to jak mógł narażać w ten sposób Rosyę. Zresztą co o tem mówić? ostatnie dziesięć lat jego panowania przechodzą wszystko, cośmy kiedy słyszeli o żelaznym wieku. A może zresztą, wszystko to idzie ku dobremu, jak to lubicie powtarzać.

Karamzin milczał. W duszy zbierały mu się łzy obrazy za przyjaciela, brata najmilszego. Z trudem tylko panował nad sobą. Oparty o marmur kominka, spuścił głowę i zakrył oczy ręką.

— Czy się nie dobrze czujecie — spytał go Speranski.

— Tak! głowa mnie trochę boli, prawdopodobnie z nerwów, nerwy mam dziwnie rozbite.

— Jak wszyscy dziś, prawdopodobnie od słoty — odparł Speranski — a czy wiecie, jaki najlepszy środek na nerwy. Milefolja z gorakim rumiankiem.

— Milefolja! Milefolja — powtórzył z bolesnym uśmiechem Karamzin, bo było coś w stulistnej słodyczy tego wyrazu, co uwięzło mu w gardle jak kamyk nie do przełknięcia. I zdało mu się, że ten cały Sperański, ze swą białą jak mleko twarzą i blado niebieskimi oczyma konającego cielęcia sam istną jest milefolją,

— Tak, wszystko idzie ku lepszemu, choć nie w rozumieniu dzisiejszego świata — rzekł z cichym uśmiechem. — Jest Bóg nad nami, bądźmy więc spokojni.

— Macie słusność Mikołaju Michajłowiczu bądźmy spokojni — uśmiechnął się Sperański. — Ja zawsze mówię *Dei providentia et hominum confusione Ruthenia ducitur*.

— Co? co mówicie?

— Mówię że boską opieką i ludzką głupotą utrzymuje się Rosya.

Karamzin znów zakrył oczy ręką i znów chciało mu się śmiać i płakać razem.

— Dobry my obaj jesteśmy — myślał — w chwili, gdy rozstrzygają się losy ojczyzny, prawodawca rosyjski nie znajduje w sobie nic prócz śmiechu, a historyk rosyjski nic prócz łez. Skończone! Wszystko skończone, pora umierać. Stara biedna Liza.

Otworzyły się w tej chwili drzwi od jenerał adjutantury i wszyscy ku nim spojrzeli, a ze drzwi wytoczył się z ogromnym portfelem pod pachą mały, tłusty, okrągły, jak najac, książe Aleksander Golicyń.

— No cóż? czy gotów manifest? — obstąpili go wszyscy?

— Jaki manifest? — przyczaił się jakby nie rozumiejąc.

— Nie zapierajcie się wasza światłość, całe miasto wie.

— Na miłość Boga panowie! tajemnica stanu.

— Nie zdradzimy jej na pewno, a tylko powiadacie czy gotów?

— Gotów. Zaraz będzie podpisany.

— Bogu dzięki! — westchnęli z ulgą.

W ciemnym kącie poruszyły się trzy nikle cienie, Arakczjew przeżegnał się pomału.

Z przeciwnej strony sali otworzyły się drzwi drugie, wiedące do tymczasowych apartamentów wielkiego księcia Mikołaja Pawłowicza i wyszedł z nich jenerał adjutant Benkendorf, dzwoniąc ostrogami. Wybiegł lekko, swinnie, prześlizgując się na posadzce, jak po ludzie, tak polotnie, jakby miał skrzydła u nóg i rąk, jak bożek Merkury, gładki, czysty, wymyty, wygolony, błyszczący, jak świeżo wybita moneta, młody wśród starych, żywy wśród martwych. Patrząc na niego wszyscy pojęli, że stare się kończy, a nowe zaczyna.

Świtało wreszcie, switał pierwszy dzień nowego panowania, straszny, ciemny, nocny dzień. Szarzały już czarne okna a i twarze ludzkie pokrywały się jakąś trupią szarością. I zdało się, że rozwieją się za chwilę, rozprószą jak dym, ucieknie trzy nikle cienie, siedzące pod ścianą i nie zostanie po nich śladu.

ROZDZIAŁ IV.

Sztabs-kapitan lejbgwardyi szlacheckiej rotty, Romanow III Czmok. Tak podpisywał się zartem w listach do przyjaciół i na wojskowych rozka-

zach wielki książę Mikołaj. W młodości tak samo przemawiał do siebie, patrząc w zwierciadło, gdy był sam w pokoju.

W ciemny poranek 13 grudnia, siedząc przed stolikiem do golenia i patrząc w lustro, stojące pomiędzy dwiema woskowymi świecami, Mikołaj wpatrując się w swe odbicie, wygłosił zwykłą przemowę.

— Sztabs-kapitanie Romanow III, najnijsze pozdrowienie waszej cześci; Czмок!

I chciał dodać jeszcze Zuch! lecz nie wyrzekł tego słowa, myśląc: »Jak wychudł, jak pobrał biedny Niks; biedny mały! *pauvre diable! je deviens transparent*«...

Wogóle był zadowolony ze swej powierzchowności. Apollo belwederski, nazywały go damy. Wciąż jeszcze, pomimo 27 lat, szczupły i smukły, jak młodzieniaszek. Długi, cienki, giętki, jak trzcina; twarz wąska, cała w profilu, rysy niezwykle regularne, lecz nieruchome, zastygłe.

— Termometr opada o kilka stopni, gdy wchodzi do pokoju — powiedział o nim ktoś.

Cienkie nieco wijące się włosy ryżawej barwy i takież baczki na zapadłych policzkach. Dość głęboko osadzone, duże, ciemne oczy, ruchliwe w spojrzeniu, nos lekko garbaty, czoło w tył podane, jakby ścięte i dolna szczęka silnie wysunięta; wyraz twarzy, jakby był wiecznie nie w humorze, zagniewany, lub jakby go co bolało. »Apollo belwederski, cierpiący na zęby«, nazwała go kiedyś cesarzowa Elżbieta Aleksiejewna. Przypomnił sobie ten żarcik cesarzowej, patrząc na swe pochmurne oblicze i przypomniał sobie także, że go w istocie całą noc zabolało i spać mu nie dawało. Ot i teraz (spróbował palcem) doku-

cza jeszcze, byle się tylko fluksya nie wytworzyła; jak tu wstępować na tron z twarzą opuchłą. Rozłościł się bardziej jeszcze tem przypuszczeniem.

— Ileż razy mówiłem ci, durniu, żebyś jak należy mydło rozrabiał, brzytwa tępa, woda wystygła — zrywał się na generał-adjutanta, Włodzimierza Fedorycza Adlerberga, zwanego pokrótce Fedoryczem, który służył mu za kamerdynera.

Fedorycz zakrzętnął się, milcząc, był on smagły, tłusty, miękki jak wata, z pozoru ograniczony, w istocie roztropny i żwawy.

— No! jakże Szasza spał? — spytał po chwili Mikołaj, cokolwiek udobruchany.

— Książę następca spał dobrze, lecz od rano płakać zaczął za Anicakinowskim pałacem i za konikami.

— Za jakimi konikami?

— Drewniane koniki, które zostawił w Anicakinowskim.

Nie o zabawki on płacze, a nad ojcem nie-
szczęsnym, przeczuwając widocznie biedę — pomyślał Mikołaj.

— Gdzie raczy obiadować wasza cesarska wysokość? — zapytał Adlerberg.

— W Anicakinowskim Fioderycz ostatni raz — westchnął Mikołaj.

Wspomniał, jak marzył niekiedy, że przejdzie do życia prywatnego, oddając się wyłącznie rodzinnym radościom.

— Jeśli kto cię zapyta, w jakim zakątku ziemi gości prawdziwe szczęście, poszlij go do Anicakinowskiego raju — mawiał do przyjaciela swego Benkenderfa, z odcieniem sentymentu, który odziedziczył po matce swej, cesarzowej Maryi Fiodorownie.

Po śmierci brata cesarza Aleksandra, przyjechał z Aniczkinowskiego do zimowego pałacu i żył tu w ścisłym odosobnieniu, jak pod aresztem, uważając za niewłaściwe pokazywać się teraz publicznie. Urządził tu sobie gabinet, sypialnię i bibliotekę w jednej z komnat dawnych apartamentów króla pruskiego. Gabinet ten znajdował się w pobliżu sali posiedzeń Rady państwa i łączył się z nią za pośrednictwem ciemnego korytarza. Rozłożył się tu jak na biwaku.

Pokój był kolisty bez kątów. Ustawiono w nim wąskie łóżko obozowe, równoległe do oszklonej szafy z książkami, na łóżku skórzany materac, wypchany siano (do tak spartańskiego postania przyzwyczaiła go babka cesarzowa Katarzyna). Na podłodze otwarty kufer podróżny, z nierozpakowaną bielizną i odzieżą. Jedyny przedmiot sztyku stanowiło duże lustro *trumeau* w ramach z czerwonego drzewa; obok lustra na półeczkach, grzebienie, szczotki, flakon perfum *parfum de la cour*, obok broń rozłożona na osobnej podstawie, pistolety, szable, szpady i kornet pistonowy.

Ukończywszy golenie, zdjął z siebie starą służbową szynel, używaną w miejsce szlafroka i wdział mundur jeneralski Ismailowskiego pułku, ciemnozielony z czerwonym podbiciem i złotym haftem, wyobrażającym dębowe liście. Stojąc przed zwierciadłem, ubierał się długo, powoli, starannie, jak młoda piękna panna, na swój pierwszy bal. Oglądał się, poprawiał, układał każdą fałdkę z pomocą Adlerberga, obciągał, zapinał się na wszystkie guziki i pętelki. W mundurze stał się jeszcze wyższy, smuklejszy, strojniejszy, z piersią podaną wprzód i talią wciętą, jak u młodego kaprała pruskiego, gotującego się na poczdamską paradę.

Fiodorycz, ukończywszy swe usługi, wyszedł z komnaty, a wtedy Mikołaj osunął się na kolana przed obrazem. Przeżegnał się kilkakrotnie z pośpiechem krótkimi anakami krzyża i bił pokłony, dotykając czołem podłogi. Odmówił wszystkie przepisane modlitwy i próbował dodać jeszcze coś od siebie na dzisiejszy trudny dzień, ale nie nie wymyślił; własnych słów mu brakło. Wierzył w Boga, lecz ilekroć pomyślał o nim, przedstawiała mu się czarna pustka, z czerną srogą, chmurną i milczącą, zupełnie jak car Paweł mawiał o dyscyplinie rosyjskiej armii.

— Rób co chcesz, wołaj i proś, nikt ci się nie odezwie i nie odpowie.

Wstał z klęczek i usiadł na krześle, czuł się chory, rozbity: źle spał w nocy i miał przykry sen. Niby wyrósł mu nagle duży, krzywy ząb; babka radziła wyrwać, on bał się i uciekał, płacząc, a tu diadla Lamsdorf goni go z wielką różgą i już, już ma go prawie i chce go wysieć. A w tem Lamsdorf nie jest już Lamsdorfem, a bratem Konstantym, a on ucieka od niego i rzuca się w objęcia starej niani, Angielki mis Lajon, wie bowiem, że różgi nie ujdzie, a niania bądź co bądź, wysieczy go mniej boleśnie, niż Lamsdorf. A wtem niania już nie jest sobą a kim innym, kim nie pamięta; wie tylko, że sen skończył się przeobrzydło.

— Sen to nie próżny! — pomyślał.

Nie darmo bał się zawsze brata Konstantego, jakby przeczuwając, że mu biedy przysporzy; nie darmo brat ten znęcał się nad nim, jeszcze gdy był w łonie matki. »Nie widziałem jeszcze nigdy takiego żywota, jest w nim miejsce na czterech«, podrywiwał synalek z matki, gdy nosiła

Mikołaja. A i później przez całe życie znęcał się zawsze nad nim, nazywając go od imienia Mikołaja mnicha, Mirlikińskim królewiczem.

— Za nic w świecie nie chcę panować — mawiał Konstanty — bo ja się boję rewolucyi, a ty Mirlikiński królewiczu, czy się jej nie boisz? Rewolucya to przecie burza.

Przypominał mu, jak w dzieciństwie, gdy burza nadchodziła, wauwał głowę pod poduszkę.

— Ja tchórz! — powtarzał — i wiem o tem, że tchórzem jestem, a ty mężnego udajesz, a tchórzysz gorzej odemnie.

No i teraz wypcha go na ten tron i znów się nad nim znęca.

Obaczymy — myśli — jak ty się z tej głupiej historii wywikłasz. Imperator dorobkiewicz, *un empereur parvenu*.

Mikołaj pisywał do brata błagalne listy, nazywał go swoim dobroczyńcą, upraszał, uniżał się.

»Przypadając do stóp twych, drogi Konstanty, błagam cię, użal się nad nieszczęśliwym«.

Lecz pisząc to zrywał się, zgrzytając zębami.

— O! podły błazen! o przeklęty sankiulota, za to wszystko i zabić go mało.

Co rana, Mikołaj zwykł był grywać na kornecie wojskową pobudkę; miał się za dobrego muzykanta i lubił wygrywać wojenne marsze. Na rewjach w Poczdamie wygrywał po mistrzowsku sygnały, w czasie manewrów, dokonywanych przez rotę jego wysokości następcy tronu pruskiego. Wziął więc i dziś kornet, przyłożył go do ust i nadał policzki, lecz z instrumentu dobył się tylko słaby, żałośliwy dźwięk; odłożył go więc nabok, mówiąc:

— Już mi teraz nie do muzyki; *pauvre diable*, biedny mały, biedny Niks.

— Fiodoryca! herbaty!

— W tej chwili, wasza wysokość.

Zazwyczaj pijał herbatę ze śmietanką i słodkimi bułeczkami, dziś wypił ją czystą bez niczego; nie miał apetytu.

Benkendorf zameldował mu Golicyna.

— Z manifestem?

— Tak jest, wasza wysokość.

— Prosić.

Wszedł Golicyn z Łopnchinem i Sperańskim.

— Gotów?

— Gotów, najjaśniejszy panie.

Golicyn podał mu manifest, przepisany na czysto.

— Proszę, siadajcie panowie — rzekł Mikołaj i zaczął czytać na głos.

»Ogłaszamy wszystkim wiernym poddanym naszym ze skrucłą serca i korszac się przed wyrokami Najwyższego«.

Nie patrząc na Sperańskiego, czuł na sobie badawczy jego wzrok. Czuł się zwykle nieswój pod tem spojrzeniem, dziwnie jasnem i przenikliwem. Uważał Sperańskiego za utajonego Jakóbina; niedarmo nieboszczyk cesarz zesał go był na wygnanie i omal śmiercią nie ukarał, jako zdrajcę stanu. »Palca mu do ust nie tkaj«, myślał o nim Mikołaj i pomimo unionej i pełnej czci postawy podejrzewał go zawsze, że śmieje się w duchu z niego, jak ze smarkacza.

Raz nazwał go ktoś w obecności wielkiego księcia filozofem; Mikołaj zmilczał wtedy, lecz uśmiechnął się jadowicie. Filozofów nie cierpiał po nad wszystko w świecie, ale czuł, że nie wypada mu krzyczyć na Sperańskiego, jak na swych oficerów w manewrze, do których wołał.

— Panowie oficerzy! Proszę się zajmować służbą a nie filozofią. Ja filozofii cierpieć nie mogę, ja wszystkich filozofów w suchoty wpędzę.

•Przez zgon zgasłego w Bogu miłościwego imperatora, Aleksandra Pawłowicza, najukochańszego brata naszego — czytał dalej Mikołaj — utraciliśmy ojca i pana, którego błoga opieka czuwała przez lat 25 nad Rosyą i nami. Skoro doszła nas wieść o tym żalobnym zgonie, szliśmy w dniu 27 września, w pierwszych chwilach smutku i rozżalenia, krzepiliśmy się na duchu dla spełnienia świętej powinności, idąc za porywem serca, złożyliśmy przysięgę na wierność starszemu bratu, naszemu cesarzewiczowi i wielkiemu księciu Konstantemu, jako prawnemu następcy podług ustawy o dziedziczeniu tronu wszechrosyjskiego.

Dalej objaśniał manifest rzeczy nie objaśnialne, jak sekretny testament cesarza Aleksandra, wyzreczenie się tronu ze strony Konstantyna na rzecz Mikołaja i ze strony Mikołaja na rzecz Konstantyna, to jest »domowe ceregiele i to granie z ustawowem następstwem tronu jak z prywatną własnością«.

•Widzieliśmy wprawdzie akt arzeczenia się jego wysokości wielkiego księcia, zrobiony za życia najjaśniejszego cesarza i za jego zgodą, lecz nie chcieliśmy i nie mieliśmy prawa usnąć za nieodwołalny owego aktu, który nie został w swoim czasie ogłoszony ani zatwierdzony ustawowo. Zamierzaliśmy stwierdzić w ten sposób poznanowanie nasze, dla zasadniczej ojczyściej ustawy o nienaruszalności porządku w następstwie na tron rosyjski. Wierni następnie, złożonej przez

nas przysiędze, żądaliśmy, aby państwo całe poszło za naszym przykładem, a uczyniliśmy to nie, aby stanąć w poprzek jasno objawionej woli wielkiego księcia, tem mniej dla pominięcia woli zmarłego monarchy cesarza, wspólnego naszego ojca i dobroczyńcy, woli zawsze dla nas świętej, lecz jedynie dla zabezpieczenia zasadniczej ustawy o nienaruszalnym porządku następstwa na tron i uchronienia jej od wszelkiej chwiejności, jakoteż dla okazania czystości zamiarów naszych.

— Nie jasno o tym porządku w następstwie — zauważył Mikołaj, z uczuciem złodzieja, na którym czapka gore.

— Czy zmienić każe, wasza cesarska wysokość?

Łatwo mówić »zmienić«, ale jak, tego Mikołaj nie wiedział.

— Niech już tak zostanie — rzekł, machnąwszy ręką, i napuścił się.

•Z sercem, przepelnionem uwielbieniem i pokorą dla niezbadanych wyroków opatrności, kierującej losem naszym, wstępując na praojcowski tron, polecamy złożenie przysięgi na wierność i poddaństwo nam i naszemu następcy, jego cesarskiej wysokości wielkiemu księciu Aleksandrowi Mikołajewiczowi, najukochańszemu synowi naszemu. Datę wstąpienia naszego na tron ustanawiamy na dzień 19 listopada 1825 r. Wreszcie wzywamy wszystkich poddanych naszych, by zjednoczyli się z nami w gorących modłach do Najwyższego, aby zesłał nam siłę dla dźwignia brzemienia, świętymi jego wyrokami na nas włożonego«.

— Nie włożonego, a włożonemu — poprawił Mikołaj.

Speradski, milcząc, wziął ołówek.

— Poczekajcie jeszcze, jak prawidłowiej?

— Drugi przypadek, wasza wysokość, »brze-
mienia, włożonego«.

— Ach tak, drugi przypadek, no tak, to nie
trzeba poprawiać — zaczerwienił się Mikołaj,
który nigdy nie był silny w rosyjskiej gramatyce.

I znów wydało mu się, że Sperański śmieje
się z niego w duchu, jak z małego smarkacza.

»Dla utwierdzenia nas w zbawiennych zamię-
rach, by żyć wyłącznie dla dobra ukochanej oj-
czyzny, za przykładem opłakiwanego przez nas
monarchy, gdyż panowanie nasze będzie przedłu-
żeniem jego panowania, i spełni się wszystko to,
czego on pragnął dla dobra Rosyi, przyczem
święta jego pamięć żywić w nas będzie dążenie
i nadzieję osiągnięcia błogosławieństwa Bożego i
miłości ludów naszych«.

Manifest podobał mu się, lecz nie zdradził ani
cienia uznania, a przeciwnie, napuszył się bar-
dziej jeszcze. Wziął pióro dla podpisu, ale odło-
żył je, pomyślał bowiem, że należałoby westchnąć
do Boga w tak ważnej chwili, zakrył oczy ręką
i przeżegnał się, lecz jak zwykle, gdy myślał o Bogu,
przedstawiła mu się tylko czarna pustka, z czemś
srogim i najętonem, co nie odezwie się i nie od-
powie, choćbyś jak wołał i wzywał. Podpisał
więc, o niczem już nie myśląc i tylko spytał:

— Dziś trzynasty?

— Tak, najjaśniejszy panie! — odpowiedział
Sperański.

— A jutro poniedziałek? — namarszczył się
Mikołaj i położył datę 19.

— Mam szczęście pozdrowić waszą cesarską
mość, przy wstąpieniu na tron, a raczej przy astą-
pieniu — przemówił Łopuchin, całując go w ramię.

— Dlaczego przy wstąpieniu? — zadziwił się
Mikołaj.

— A! dlatego, że ród Waszej Cesarskiej Mości
tak wysoko się podniósł w ogólnem mniemaniu,
iż poszczególni członkowie nie podnoszą się nie-
jako, a zniżają ze swej wysokości, wstępując na
tron, pochlebiali Łopuchin, odsłaniając z przymile-
niem, równe i białe zęby swej sztucznej szczęki.

— Anioł to, anioł nasz patrzy w tej chwili na
nas z nieba — zachlipał Golicyń, całując również
w ramię Mikołaja.

— Nie pozdrawiać mnie trzeba, a utulić się
nademną — przemówił posępnie Mikołaj, poczem
z jawnem już wyzowaniem zwrócił się do Spe-
rańskiego, który siedział na boku, milcząc, pochy-
liwszy głowę.

— A cóż wy powiecie? — Michale Michajło-
wiczu.

— Nie daruję sobie nigdy tych słów, »a pa-
nowanie moje będzie przedłużeniem jego pano-
wania« — rzekł Sperański.

— To przecież nie wasze słowa, a moje i cóż
w nich złego?

— Nie tego oczekuje Rosya, po Waszej Ce-
sarskiej Mości.

— A czegoż?

— Nowego Piotra.

Pochlebstwo było grube i subtelne razem.

— *Il y a beaucoup de praporszczyk, en lui et
un peu de Pierre le grand* — powiedział raz
Sperański o wielkim księciu Mikołaju, a mógłby
to samo powtórzyć i o cesarzu.

Pochylił się i wziął rękę cesarza, chcąc ją
ucelować, lecz Mikołaj wyrwał ją, objął go, cał-
ując w łysinę.

— No! Raczyście mi pochlebiać, Wasza Wielmożność — uśmiechnął się z niedowierzaniem Mikołaj, nie mniej przeto serce zadrało w nim na słowa „Nowy Piotr”, bo wszak było to jego własne, dawne marzenie. Milczał chwilę, a potem rzekł:

— Nie myślałem nigdy o tronie; wychowano mnie co najwyżej na brygadiera, lecz mam nadzieję okazać się godnym mego dostojenstwa. Mam nadzieję także, że skoro ja spełnię swą powinność, wszyscy inni spełnią ją również wobec mnie. Skoro tylko nabiorę potrzebnej wiedzy, postawię każdego na właściwym miejscu. Filozofia nie moja rzecz. Niech mówią, co chcą panowie filozofy, a dla mnie żyć, to znaczy służyć, i gdyby wszyscy służyli, jak należy, wszędzie byłby porządek i spokój, oto panowie moja filozofia.

Spojrzał na Sperańskiego, ten milczał z pochyloną głową i przymuszonemi oczyma, jak gdyby przed muzyką.

— I dlatego! — ciągnął dalej Mikołaj, podnosząc głos — nie dopuszczam nawet myśli, aby w sprawach, dotyczących powierzonego mi przez Boga cesarstwa, kto z poddanych moich poważył się uchylić od wskazanej mu przezemnie drogi.

Mówił krótko, porywczo, jakby się z kim spierał, lub się na kogoś gniewał; wpadając w furię, jak młody kogucik, który próbuje głosu, lecz nie umie jeszcze porządnie zapiać.

— I jeśli choć na godzinę będę cesarzem, to potrafię dowieść, że gdzieś jestem tego dostojenstwa.

Skończył i wstał.

— Zwołacie dziś, Wasza Wielmożność, Radę państwa o godzinie ósmej wieczorem, dla ogłoszenia

manifestu i odebrania przysięgi, polecił Łopuchinowi. A proszę was panowie, aby się nikt nie dowiedział.. Dziś proszę, jutro będę rozkazywał, zakończył znów gromko, nie umiejąc zająć głosem.

Golicyn, Łopuchin i Sperański wyszli z gabinetu, a drugimi drzwiami wszedł Benkendorf. Ubogi szlachcie bałtycki, były tajny szpieg, szef żandarmerii i naczelnik trzeciego oddziału, generał adjutant, Aleksander Krzysztofowicz Benkendorf, powierachowność miał przyjemną, prawie że szlachetną, tylko twarz nieco zmęczoną, człowieka, który się już natężył. Uśmiech miał niezmiennie uprzejmy, spojrzenie ładujące dobre, jak u ludzi bezwiednie grzecznych. Był to zresztą człowiek nie zły i nie głupi, a tylko rozpieszczony i niezmiennie lekki.

— Slingajcie się śmiertelnicy, a nie stąpajcie ciężko — było jego ulubioną dewizą. — *Glissez mortels, n'appuyez pas.*

Skoro wszedł, twarz Mikołaja zmieniła się odrazu, nie do poznania. Z posępnej i nadętej stała się pogodną i serdeczną. Wogóle twarz jego zmieniła wyraz: zadziwiającą szybkością, jakby kładł coraz nowe maski.

Uchwycił Benkendorfa za obie ręce i wpatrywał się w niego milcząc.

— Raczyliście podpisać wasza wysokość? — spytał Benkendorf.

— Podpisałem! — rzekł z ciężkiem westchnieniem Mikołaj i podniósł oczy ku niebu. — Spełniłem swą powinność, aniż tam w górze powinien być ze mnie zadowolniony. Dokonam wszystkiego w porządku, chyba mi życia zabraknie. Spełniają się nademną wola Boża i nakaz

bratni; być może idę na zgubę, lecz nie wolno mi postąpić inaczej. Niosę z siebie ofiarę dla brata, i pełnić będę wolę jego jak wierny poddany. Lecz co będzie z Rosją?

Mówił jeszcze długo, gdyż Izawa ta rozlewność, była również jedną z jego właściwości, odziedziczonych po matce.

Benkendorf czekał końca, tłumiąc nudę.

— No. A co słyszać w mieście? — spytał Mikołaj całkiem już innym, suchym tonem, ocierając chusteczką suche oczy.

I znów jakby spadła z niego maska, w miejsce której wdział drugą.

— Całkiem cicho! wasza cesarska wysokość, lecz wielce jest możliwem, że to cisza przed burzą.

— Zawsze więc burzy czekasz?

— Czekam najjaśniejszy panie. Liczba niezadowolonych znaczna, rewolucya już wre w umysłach.

— A! Rostowcow tak mnie wczoraj zaskoczył, że nie spytałem o nazwiska. Trzeba poznać nazwiska i zarządzić aresztowanie.

— Nigdy! wasza cesarska wysokość, żadnych aresztowań, bo się cała szajka rozleci, a i w pierwszym dniu panowania nie wypada mieć pogody.

— A jeśli zaczną działać?

— Wtedy i aresztowania nikogo nie sędziwią. Cicho, lekko, ostrożnie, nie trzeba ludzi drażnić, i tak dość macie wrogów.

— Za to jednego przyjaciela — zawołał Mikołaj, ściskając mocno jego rękę.

Zbliżył się do biurka, odsunął szufladę i wyjął z niej paczkę z napisem »Poufne i ważne. Do rąk własnych jego cesarskiej wysokości«. Był to

przywieszony wczoraj z Taganroga, donos generała Dybicza.

— No przeczytaj, tu jest cały spiszek.

— W drugiej armii tajne stowaryszczenie podpułkownika Pestla — rzekł Benkendorf, nie otwierając paczki.

— A ty już wiesz? Ot jaki! Arszyn pod siecią widzi — zdziwił się i prawie zląkł Mikołaj.

— Wiem, wasza cesarska mość, jeszcze w 21 roku miałem szczęście złożyć o tem doniesienie, jego cesarskiej mości nieboszczykowi.

— A on co na to?

— Raczył zostawić bez odpowiedzi, catery lata przeleżało w biurku.

— Ładny spadek! — rzekł Mikołaj ze słym uśmiechem.

— Czy wasza cesarska mość, nie raczył z nikim o tem mówić — spytał Benkendorf, patrząc nań przenikliwie.

— Z nikim dotąd — skłamał Mikołaj, bo wstyd mu było przyznać się, że znowu wpadł; mówił już o tej sprawie z Miłoradowiczem.

— Bogu dzięki! Najważniejsze, by się Miłoradowicz o niczem nie dowiedział — zauważył Benkendorf jakby odgadując tajną myśl Mikołaja.

— Ja już i dawniej miałem zaszczyt, przekładać waszej cesarskiej wysokości, że o takich sprawach nie należy mówić z Miłoradowiczem.

— Dlaczego?

— Dlatego, że on sam otoczony jest złoczyńcami.

— Miłoradowicz! I on z nimi? — pobladł Mikołaj.

— Nie to, żeby z nimi, ale on może gorszy od wszystkich spiskowców. Strasznie pomyślić

wasza cesarska wysokość, że losy ojczyzny złożone są w ręce takiego beczelnego pajaca. Słyszałem o nim takie pogłoski, że się i uszom wierzyć nie chce. — Cóż takiego?

— Wybaczcie wasza cesarska meść i powtórzyć trudno.

— Mów!

— Skoro 27 listopada, po otwarciu testamentu nieboszczyka cesarza, Miłoradowicz z niesłychaną beczelnością sprzeciwiał się wstąpieniu na tron, waszej cesarskiej wysokości, ktoś zrobił mu uwagę. »Ależ wy hrabio za śmiało sobie poczynacie.« A on na to. Kto ma w kieszeni 60.000 bagnetów, może sobie pozwolić na śmiałe poczynanie i poklepał się ręką po kieszeni.

— Szubrawiec — wyszeptał Mikołaj, błędąc bardziej jeszcze.

— A niedawno i mnie samemu mówił — ciągnął dalej Benkendorf. — Nie wierzę w powodzenie prąsygi, gwardya nie lubi jego, to znaczy waszej cesarskiej mości. »O jakim powodzeniu mówicie? — spytałem go, »i co ma do tego gwardya, jaki może mieć w tem głos?«. Istotnie — odrzekł — nie powinna mieć głosu, lecz weszło to już u niej w zwyczaj i stało się drugą naturą.

— Szubrawiec — szepnął znów Mikołaj.

— Wola — mówił — nieboszczyka cesarza, wypowiedziana ustnie za życia jego, byłaby świętą dla gwardyi; lecz klauzula testamentu, ogłoszona po śmierci jego, uważana będzie za fałszerstwo.

— Fałszerstwo! — wzdrygnął się Mikołaj, a twarz jego poczerwieniała, jak pod wymierzonym policzkiem. — Cóż to? czy to ma znaczyć, że ja samowaniec?

— Hrabia Miłoradowicz! — zameldował Adlerberg, otwierając cichutko drzwi i wsuwając głowę.

— Nie przyjać! — chciał krzyknąć Mikołaj, lecz nie zdążył, bo już drzwi rozwarły się na oścież i wszedł rzeźkim młodzieńczym krokiem, podzwaniając estrogami, jenerał-gubernator wojskowy Petersburga Miłoradowicz. Wychodzący z gabinetu Benkendorf rozminął się z nim we drzwiach i przepuścił go, kłaniając się nisko, ze szczególną uprzejmością.

Towarzysz Suworowa, potem bohater 1812 r. Miłoradowicz, pomimo szóstego krasyka, zachował jeszcze dzielny wygląd i zwycięską postawę, z jaką trwał w ogniu, paląc fajkę pod armatnimi pociskami, lub układając fałdy amarantowego swego płaszcza, za co zwali go jedni rycerskim Bajardem, a drudzy fanfaronem i samochwałem. Włosy miał farbowane, duży, garbaty nos, policzki pełne i małe, i rozmarzone oczka staro-galanta.

Spojrząwszy na Miłoradowicza, Mikołaj przypomniał sobie teraz, że w dzisiejszym jego śnie, gdy uciekał od Lamsdorfa Konstantego, rzucając się w objęcia starej niani Angielki, mis Lajon, która choć wybije, to nie tak boleśnie, jak Lamsdorf, niania zmieniła się w Miłoradowicza, uzbrojonego wielką różgą, który wysiekl go sto razy gorzej i boleśniej, niż kiedykolwiek Lamsdorf.

Miłoradowicz wszedłszy pokłonił się i chciał coś powiedzieć, ale spojrząwszy na Mikołaja onie-miał, taka nienawiść biła ze ściągniętych rysów cesarza i błyskała mu z oczu. Trwało to jednak tylko krótkie mgnienie oka, potem maska opadła znów, oczy zgasły, twarz stała się nierucho-

ma, jakby kamienna i jeden tylko muskuł na policzku drżał bez przerwy.

— A ja właśnie dawno już czekam na was, siadajcie wasza wielmożność, przemówił Mikołaj spokojnie i uprzejmie.

Zmiana była tak nagle, że Miłoradowicz zapytywał siebie, czy nie urojeniem było, co widział przed chwilą, ta druga oszalała wściekłością twarz.

— Cóż słychać? — Uwięziliście kogo? — Pytał Mikołaj.

— Nikogo, wasza wysokość — z ludzi, wymienionych w donosie Dybicza, niema żadnego w stolicy, wszyscy są na urlopie, co do podpułkownika Pestla, tam posłany już rozkaz aresztowania.

— A tu w Petersburgu spokojnie?

— Spokojnie, i taki porządek panuje wszędzie, jakiego można powiedzieć, nigdy nie bywało. Prawie też pewny jestem, że niema tu obecnie żadnego z występnych podlegaczy.

— Prawie pewny?

— Mniemanie moje w tej sprawie, znane jest waszej wysokości. Należałoby przyspieszyć przyjazd cesarzewicza, aby mógł przeczytać publicznie ostatnią wolę zmarłego cesarza na posiedzeniu senatu, poczem powinien ogłosić waszą wysokość cesarzem i pierwszy przystąpić do przysięgi.

— No? a jeśli tego nie będzie, to wtedy co? wątpicie, czy przysięga się uda, bo gwardja mnie nie lubi i choć nie przysługuje jej prawo głosu w tej sprawie, to jednak weszło to już u niej w zwyczaj, prawie w drugą naturę. Wszak tak? — zakończył Mikołaj, wpatrując się w nie-

go badawczo, muskuł policzka zadrgał mu jeszcze szybciej.

— Widocznie Benkendorf podlec — doniósł, pomyślał Miłoradowicz, lecz nie spuścił oczu i zaczął gniewnie.

— Daruję wasza wysokość.

— Nie wysokość, a cesarska moc, poprawił Mikołaj, manifest już podpisany.

— Mam szczęście pozdrowić jako monarchę waszą wysokość — skłonił się Miłoradowicz, lecz mimo to, powinność spełnić muszę. Nigdy nie ukrywałem prawdy przed waszą wysokością.... waszą cesarską mocią, więc i teraz zataić nie mogę, że nie łatwo będzie skłonić do przysięgi z pomocą manifestu, wydanego przez tą samą osobę, która pragnie wstąpić na tron....

— Aha! dogadaliście się; Manifest uchodzić będzie za fałszerstwo, a ja za samozwańca, ośmieszył się Mikołaj, przyczem znów ten sam, co przed chwilą wyraz przemknął przez rysy jego, w krótkim mgnieniu oka.

— Nie rozumiem wasza wysokość.

— Nie rozumiecie hrabio? — własnych słów nie rozumiecie.

— Nie wiem, co za podlec powtórzył słowa moje w tak zmienionej formie. Że też wasza wysokość daje posłuch takim donosom — rzekł błędnie Miłoradowicz. I w starym fanatonie samochwalcy zbudził się też stary żołnierz, towarzysze Suworowa. Spojrzał cesarzowi prosto w oczy, tym samym werokiem, z jakim w ogniu pocisków armatnich palił spokojnie fajkę, lub poprawiał fałdy amarantowego płaszcza.

Mikołaj wstał milcząc, poszedł do biurka, odsunął tę samą szufladę, z której dobył był przed

chwilą donos Dybicza i wyjął z niej inny papier, który podsunął przed oczy Miłoradowickowi. Był to donos Rostowcewa.

— Czy wiadomem jest waszej wielmożności, że i tu na miejscu mamy spisek.

— Jaki spisek? Żadnego spisku tu być nie może, waruszył ramionami Miłoradowicz?

— A to co? mówił Mikołaj, wskazując na papier i przeczytał głośno podkreślone słowa. »Przeciw wam gotuje się zaburzenie, wybuchnie ono w dniu przysięgi, a będzie to być może szarżewie, które rozplonie w łunę nad ostateczną zgubą Rosyi.

Miłoradowicz odwrócił spokojnie papier, spojrział na podpis i oddał nie czytając.

— Podporucznik Rostowcew, wiem. Zebrania Polarnej gwiazdy u Rylejewa.

O tych zebraniach donosiła mu nieraz tajna policja. »Wszystko to fraszki«, odpowiadał, machnąwszy ręką. Zostawcie w spokoju tych smarkaczy, niech czytają jeden z drugim swoje głupie wierszyki. I teraz tak samo odmachnął lekceważąco.

— Wszystko to głupstwo! dzieciuchy, pisarki do almanachów.

— Jak wy śmiecie mówić coś podobnego — krzyknął Mikołaj i skoczył wściekły. Długie jego smukłe ciało, odgięło się jak wierzbowy pręt.

O niczem nie wiecie, krzyknął, nie śledzicie za niczem. Odpowiedzcie mi za to głową.

Miłoradowicz także wstał, drżąc od gniewu, lecz utrzymał się w karsbach i przemówił z godnością.

— Jeśli nie miałem szczęścia zasłużyć na szanowanie waszej wysokości, raczcie zwolnić z obowiązków.

— Milczeć!

— Raczcie zważyć wasza wysokość!

— Milczeć!

Pomimo całej wściekłości, Mikołaj zdawał sobie wybornie sprawę, że mógłby zawiązać sobie, gdyby chciał, ale nie chciał. Jak napój ogniasty krążyło mu po tyłach wściekle zapamiętanie, któremu poddawał się z upojeniem.

— Precz! precz! won! krzyknął, zaciągając pięście, tupiąc nogami i następując na Miłoradowicza.

»Rzuci się za chwilę i nie uderzy, a ukąsi jak wariat« pomyślał z odrazą Miłoradowicz, cofając się ku drzwiom, jak duży dobry pies, nastraszony i warczący głucho, coła się przed małym brzydким owadem, pajakiem lub stonogą.

Dotarłszy do pregu, obrócił się szybko, chcąc otworzyć drzwi i wybiedz z pokoju, lecz tu — jak poprzednio — natknął się na wchodzącego Benkenderfa. Minęli się tym razem bez wszelkiej uprzejmości. Benkendorf podbiegł do cesarza i objął go, jakby chcąc podtrzymać.

— Lotr! Lotr! Co on ze mną wyprawia, on i brat Konstanty i wszyscy, wszyscy — zachlipał Mikołaj, padając na piersi przyjaciela.

— Courage sire! courage! — powtarzał Benkendorf — Bóg was nie opuści.

— Tak! Bóg i ten anioł nasz w niebie, którego przez całe życie oplakiwać będziemy, podjął Mikołaj. Ja nim żyję, nim oddycham, niech on mnie prowadzi. Tak! niech się dzieje wola Boża, ja na wszystko gotów. Umrzemy razem przyjacielu, a jeśli sądzona mi zguba, to mam przecie przy boku szpadę, godło szlachetnego

człowieka. Umrę, mając ją w ręku i stanę z czystym sumieniem przed sądem Bożym. Jutro czternasty — będzie ze mnie albo car, albo trup.

ROZDZIAŁ V.

Dnia 13 grudnia, rana Golicyń i Oboleński pojechali do Rylejewa. Podjeżdżając do domu amerykańsko-rosyjskiej kompanii u błękitnego mostu, poznali już zdaleka parterowe okna, z wypukłą żelazną kratą. Znajomy kozaczek, Filka, otworzył im drzwi i wpuścił bez zapowiadania; jak zapewne wszystkich. W ostatnich dniach u Rylejewa tłoczyli się goście od rana do nocy, wchodzili i wychodzili bez wszelkiej ostrożności. Tu był zbórny punkt, jak gdyby główna kwatera spiskowców. W małej jadalni wszystko było po dawnemu, a jednak inaczej. Białe tiulowe firanki w oknach pociemniały od kurzu i kopców, balsaminy i nagietki w doniczkach poschły. Ścieżka dywanowa wytarła się, podłoga dawno nie zapuszczona woskiem, opustoszała, lampki przed obrazami pogasły. Drzwi do saloniku i sypialni, gdzie tuliła się w ciasnocie żona Rylejewa z córką, zamknięte były na głucho. I jakby od tego wszystkiego odleciały pogoda, niewinność, coś świątecznego i weselnego, co tu wprawdzie gościło.

Gospodarza nie było w pokoju. Nieznajomi Golicyńowi ludzie, cywilni i wojskowi, siedzieli przy samowarze, rozmawiając półgłosem.

— Czy jest w domu Rylejew? — spytał Oboleński, witając się.

— Jest u siebie w gabinecie; zdaje się, śpi, ale to nie nie znaczy, polecił obudzić się, jak przyjdziecie.

Oboleński zastukał do drzwi, a gdy mu nikt nie odpowiedział, otworzył i wszedł razem z Golicyńem do wąskiego pokoiku, gdzie trudno się było poruszać między wielką skórszaną sofą, biurkiem do pisania, szafą z książkami i stosami paczek Polarnej gwiazdy, zwałonymi na podłogę almanachu, wydawanego przez Aleksandra Bestużewa i Rylejewa.

Okna wychodziły na tylny dziedziniec, zamknięty brudno-żółtą ścianą sąsiedniego domu. Piec był mocno napalony, pachło w pokoju lekarstwami, na nowym stoliku przy sofie stało mnóstwo flaszek z receptami. Na sofie spał Rylejew, odziany w stary szlafrok i w chustce wełnianej, okręconej dokoła szyi, z twarzą nieruchomą, jak umarłą. Schudł i posunął się tak, że Golicyń z trudnością go poznał. Przesiębił się raz, blakając się przez dwie noce po ulicach i agitując wśród żołnierzy. Zachorował ciężko na gardło, podniósł się nieco potem, lecz wciąż jeszcze nie był zdrów. Golicyń zatrzymał się u drzwi, Oboleński zbliżył się do sofy, podłoga zaskrzypiała, a śpiący otworzył oczy i usiadłszy na wpół, patrzył przed siebie wzrokiem zmęczonym, nie poznającym, nie widzącym.

— Co to? Co to jest? — zawołał cicho i obu rękami szarpać począł konwulsyjnie halsztuk, zrywając go z szyi, lecz od niecierpliwych ruchów, węzeł zaciskał się bardziej jeszcze.

— Poczekaj, ja ci rozwiążę — skłonił się ku niemu Oboleński, i rozplątał sam węzeł chustki, zdejmując mu ją z szyi.

— Zbudziliśmy cię nagle i przestraszyli, biedny Rylejeszka — rzekł Oboleński, przysiadając na sofie i gładząc go pieszczotliwie ręką po głowie. — Zły jakiś sen przysnił ci się?

— Tak! Znowu ta ohyda, i to który już raz śni mi się!

— Cóż takiego?

— Nie wiem, nie pamiętam. — Czemu nie siadacie Golicyń? Proszę was... Coś o tym powrozie.

— Jakim powrozie?

Rylejew nic nie odrzekł, tylko uśmiechnął się dziwnym uśmiechem, w którym widniały resztki majaczeń. I Oboleński zamilkł, bo przypomniał sobie, że w czasie, gdy Rylejew chorował na anginę, postawiono mu synapiema na szyi i raz przy zwianiu opatrunku urażono mu boleśnie ranę. Rylejew krzyknął wtedy z bólu, na co Bastużew rozśmiał się, mówiąc:

— Jak ci nie wstyd krzyknąć o taki drobiazg; czyś zapominał już, do czego sposobimy szyje?

— A ty znów masz gorączkę, głowa rozpala — mówił Oboleński, kładąc mu rękę na czoło — nie należałoby ci dziś wychodzić.

— Nie dziś to jutro; jutro już na dobre wyjdę — uśmiechnął się Rylejew tym samym dziwnym uśmiechem.

— Cóż to będzie jutro?

— Ot! o głupstwach gadamy, a o najważniejszej rzeczy nie wiecie — zaczął Rylejew innym już głosem, teraz dopiero na dobre rozbudzony. — Przyjechał kuryer z Warszawy, z ostatecznem przesłaniem się Konstantego, jutro o 7 zrana zbiera się senat, a wojsko złoży przysięgę Mikołajowi Pawłowiczowi.

Z dnia na dzień czekali tej wiadomości, a jednak spadła na nich niespodzianie, umilkli wszyscy i zamysłili się, zrozumieli bowiem, że to znaczy: jutro powstanie.

— Ale czyśmy gotowi? — wyrzekł Oboleński.

— Głupia sprawa! — wzruszył ramieniami Rylejew, nigdy nie będziemy gotowi.

— Jutro to jutro! Ano z Bogiem, zgodził się Oboleński; a co będzie z Rostowcewem?

Rostowcew, choć nie był członkiem tajnego stowarzyszenia, przyjaźnił się wszakże z jego uczestnikami i stąd wiedział cokolwiek o sprawach spiskowych, spotkanie swe z wielkim księciem Mikołajem opisał i złożył je wczoraj w rękopiśmie Oboleńskiemu i Rylejewowi z nadpisem: »Najpiękniejszy dzień mego życia«.

— Róbcie ze mną, co chcecie — rzekł im — nie mogłem inaczej postąpić!

— Znasz moje zdanie — rzekł Rylejew.

— Znam, ale cóż, zabić nikczemnika, to ściągnąć na siebie uwagę i czy warto ręce tem brudzić?

— Warto — odrzekł cicho Rylejew. — A wy co powiecie Golicyń?

— Powiem, że Rostowcew stawia świeczkę Bogu i dyabłu; zdradza spisak przed Mikołajem, a przed nami umywa ręce. W takim zresztą raporcie mógł odsłonić lub utaić, co mu się podobало.

— Więc myślisz, żeśmy już odkryci? — spytał Rylejew.

— Bez wątpienia! i będziemy wzięci, jeśli nie zaraz, to natychmiast po przysiędze — rzekł Golicyń.

— Cóż więc robić?

— Nikomu nie mówić o istnieniu donosu Rostowcewa i działać. Lepiej przecie, by nas wzięto na placu, a nie w łóżku. Jeśli mamy ginąć, niech przynajmniej wiadomem będzie, za co ginimy.

— A wy co myślicie Oboleński? — zakończył Rylejew.

— No, oczywiście, to samo.

Rylejew wziął za rękę Oboleńskiego i Golicyna.

— Dziękuję przyjaciele; wiedziałem, że mi to powiecie. A więc z Bogiem zaczynamy... Gińmy! A sama śmierć nasza, rozbudzi uczucia w uspio-nych synach ojczyzny.

Mówił jak zwykle książkowym stylem, nie prosto, lecz prostem było spojrzenie oczu jego olbrzymich, ciemno-jasnych, gorejących takim ogniem, że robiło się straszno. Prostą również była twarz jego, na której zwierciadliło się wszystko, co czuł, zanim się wypowiedział słowami. Tak występują rzeźby na przejrzystych ścianach alabastrowej wazy, gdy wewnątrz zaświeci płomień, przypomniawszy sobie Golicyn słowa Moora o Byronie. Przypomniawszy także wiersze Rylejewa.

Wiem, że mi zguba przeznaczona,
Zginę, jak ten, co pierwszy kona,
Bo pierwszy wstał w obronie ludu.
I już zły los mój o mnie pyta,
Lecz byłaż wolność gdzie zdobyta
Bez ofiar, bolesnego trudu?

— Więc wreszcie możemy powiedzieć: »jutro zaczynamy« — ciągnął dalej Rylejew. — Jakże czekałem niegdyś takiej godziny, jak się na nią radowałem. Czemuż teraz, gdy nadeszła, nie ma we mnie radości, czemu dusza moja osmuczona jest prawie do śmierci.

Oparł się łokciem o kolana i głowę słożył na rękach, i skurczył się, zgarbił, jakby zmalął, pod nadmiernem brzemieniem; w głosie jego zadziały łay.

— Wybaczcie przyjaciele, nie trzeba o tem.

— Owszem, trzeba Rylejew, mów wszystko, to ci będzie lżej — rzekł Oboleński.

— Nazywał mnie Puszczyn, nie poetą, a projektodawcą. Jam doktryner swobody, a nie jej twórca; plany rysuję, budować nie potrafię.

— Nie ty jeden Rylejew, my wszyscy tacy — potwierdził Oboleński.

— Tak wszyscy! Onegdaj w nocy, gdym chodził po ulicach, gdzieś w głuchym zaułku między koszarami, zebrała się garstka żołnierzy. Słuchają o nowej przysiędse i zrozumieli wszyscy. Za cara Konstantego mówią, wszyscy piersią staniemy, nie opuścimy go. Wtedy ja rozgadałem się i mówić im zacząłem o konstytucyi, o wolności, o prawach człowieka, aż za sobą usłyszałem śmiech pijanego żołnierzy. Śmiał się, ale tak pobłaźliwie i niby z litością. »Ej panie« mówił, »dobry ty pan, ale trochę pomyłony. Zdaje się po rusku mówi, a człowiek nie zrozumie«. Tyle tylko powiedział, lecz ja odrazu pojąłem. My w Rosyi a nie ruscy, bezdomni, bezrodzinni, przybłędy, koczownicy, wygnańcy wieczni. Nawet przyznać się nie śmiemy, że wstajemy za wolność, a mówimy, że za cara Konstantego. Łżemy! A gdy pozna prawdę lud, to przeklnie nas i wyda na męki katowi. Wierście przyjaciele, nigdy nie spodziewałem się, żeby można było uzyskać coś inaczej jak przez naszą zgubę, lecz w każdym razie myślałem, że obaczymy choć zdaleka ziemię obiecaną. Nie! nie ujrzą wolnej Rosyi oczy nasze, ani oczy wnuków naszych, ani prawnu-ków. Zginiemy niesławnie, bezcelowo, bez śladu. Rezbijemy głowy o mur, a z ciemnicy się nie dobędziemy. Ciężko to bracia! ciężko nad siły.

— Znużonyś ty bardzo, zamęczony biedny Koniek.

Tak nazywał w chwilach rozczulenia Oboleński Rylejewą, zdrobniając jego imię Konrad.

— Znużony! Och, jaki znużony Oboleński. Mówią o drugim życiu, a mnie pierwszego za wiele, tak znużony, że zda się za mało śmierci, za mało wieczności, by odpocząć. A wiecie, o czem myślę — ciągnął dalej po chwili milczenia. — Co to znaczy? Niech odejdzie ten kielich odemnie. Jak on mógł to powiedzieć? Po to przyszedł na świat, by wychylić kielich i odsunąć go, nie chciał, osłabł, zląkł się. I to On, Bóg, całkiem jak człowiek. Powiedz Golicyń, czy jest Bóg? Tylko tak prosto mów, czy jest?

— Jest! — odparł Golicyń i uśmiechnął się.

— O! jak to presto powiedział — uśmiechnął się także Rylejew. — Tylko poco on wam, skoro chcecie tylko wolności.

— Czyż nie może być wolności z Bogiem?

— Nie! Z Bogiem niewola.

— Była niewola, a teraz będzie wolność!

— Czy będzie? I to jeszcze kiedy? Ale teraz. Nie. Zimne! Golicyń, och, jak zimne!

— Co zimne? Rylejew.

— Wasze niebo. Kto kocha niebo, nie kocha ziemi.

— A czyż nie można razem.

— Nauczcie jak?

— On już nauczył. Bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi.

— Projektodawca.

— Cóż chcesz! Za taki plan umierać warto.

Rylejew nic nie odrzekł, zasłonił tylko oczy i spuścił głowę, a po twarzy jego potoczyły mu

się łzy takie ciche, że sam ich nie czuł. Oboleński pochylił się nad nim, objął, całował z pieśszcota, jak chore dziecko!

— Nie to! nie, nie bój się Koniek, wszystko będzie dobrze. Bóg z tobą.

ROZDZIAŁ VI.

Książę Eugeniusz Piotrowicz Oboleński, porucznik fińskiego pułku lejbgwardyi, starszy adjutant komendanta gwardyjskiej piechoty, generała adjutanta Bystroma, był jednym z głównych założycieli tajnego związku północnego. W Moskwie, w dzielnicy Nowińskiej, parafii Pokrowy, stał duży, jakby wiejski dwór, z ganeczkami, otoczony dużym cieniastym ogrodem, gdzie żyła rodzina Oboleńskich bez świetności i azytków, lecz prosto i wesoło. Stary książę, Piotr Mikolajewicz, który wcześniej owdowiał, wiódł życie samotne, oddane postom i modlitwie. Z pozoru był niby posępny i surowy, lecz nie darmo małe jego wnuczka, kochały go bez pamięci i dla siwych, lekkich, jak puch włosów, przezwwały go. Pusakiem, bo też był takim w samej rzeczy, biały, lekki, miękki, z dziećmi sam jak dziecko. Eugeniusz był najstarszym synem księcia z drugiego małżeństwa z Anną Kaszkina, córką naczelnego wodza, a później namiestnika Talskiego z czasów Katarzyny II generała Kaszkina. Po śmierci tej drugiej żony, siostra jej Aleksandra, frejlina cesarzowej Maryi Federówny, opiekowała się dziećmi, zastępując im matkę.

Gdy Eugeniusz, wstąpiwszy do gwardyjskiego pułku pojechał na mieszkanie do Petersburga,

ciotka jego Aleksandra oddała mu w opiekę jedynego syna swego szafarwikę i wisusa, młodzieńczego Sierozę, całkiem jeszcze dzieciaka. Chłopak język miał ostry, jak brzytwa, obraził więc kiedyś drwinami swemi kolegę pułkowego porucznika Swinina i ten wyzwiał go na pojedynek.

Oboleński, dowiedziawszy się o tem, pojechał do obrażonego i oświadczył mu, że pojedynek zbyteczny, bo Sierozę jest dzieciak, na którego obrażać się nie warto, a jeśli Swinin koniecznie chce się bić to niech się bije z nim, Oboleńskim. Swinin przyjął wyzwanie, pojedynekował się i został zabity przez Oboleńskiego. Eugeniusz człowiek dobry, niezdolny muchy zabić, podobny z miękości do ojca, tak wstrząśnięty został tym wypadkiem, że się aż rozchorował, lecz nie miał się za winnego i nie doznawał żadnych wyrzutów sumienia. Nie uważał za przestępstwo zabójstwo w pojedynku, a raczej za nieszczęście. Bił się przecie nie za siebie, a za krewniaka, jedynego syna u matki, którego nie mógł inaczej uratować.

Rozmowania te tak go uspokoiły, że gdy wyzdrowiał i powrócił do dawnego rozprószonego życia, zapomniał o wszystkim; lecz potem niekiedy przypominał; znów zapominał i znów mu to na pamięć wracało. Powtarzało się to wiele razy, aż wreszcie przekonał się, że nigdy nie zapomni i że im dalej, tem wspomnienie to staje się cięższe i nieznośniejsze. A najgorsze było, że i nadal nie miał się za winnego, a mimo to czuł się nieszczęśliwym i chwilami myślał, że rozum utraci lub targnie się na własne życie.

W jednej z takich chwil począł się modlić, powtarzając prawie nieświadomie słowa pacie-

rza, Ojcie nasz, Zdrowaś Marya! i to mu ulżyło. Odtąd często się modlił i odżywał pomału, jak człowiek napół uduszony, któremu oddech częściowo powraca. Wreszcie zrozumiał, że wtedy dopiero robi mu się łatwiej, gdy przestaje się usprawiedliwiać, a uważa się owszem za zwyczajnego przestępcę, nie lepszego wcale, a może i gorszego, od tych, co mordują po gościach. Zrozumiał, także, że winy nie można usprawiedliwić, a można ją tylko odkupić, lecz nie wiedział jak — zamierzał chwilami rzucić wszystko i wstąpić do klasztoru, lecz czuł, że to za mało, łatwiej uciec od świata niż żyć w nim.

Musiał coś z sobą zrobić; wstąpił więc najpierw do loży masonskiej, a stamtąd do tajnego stowarzyszenia północnego i przekonał się wprędce, że tu znajdzie to, czego szukał — odkupienie i poryw. Duchowo zmienił się nie do poznania, choć na zewnątrz był nieraz jeszcze tym samym, co wpierw, błyszczącym porucznikiem gwardyi, z dość miłą choć pospolitą twarzą, krągłą, rumianą bez zarostu, przez co wyglądał na młodszego jeszcze niż był, a liczył lat 29. Po przyjeździe Golicyna z Wasylkowa Oboleński widywał się z nim często i słuchał z ciekawością opowiadań jego o południowym związku, o Słowianach, Sergiuszu Murawiewie i katechizmie jego. Ideę Murawiewa o wolności z Bogiem od razu pojął.

Rankiem 13 grudnia Oboleński i Golicyn poszli od Rylejewa do Trubeckiego. Na Angielskim bulwarze, gdzie mieszkał Trubecki, można było iść prosto od błękitnego mostu, lecz po zaduchu w mieszkaniu Rylejewa obaj przyjaciele woleli odetchnąć świeżym powietrzem i postanowili o-

bejść naokoło po Mojce, by zawróciwszy na prawo, za rogiem Morskich koszar, wyjść na ulicę Galerną. Na głównych ulicach miasta małe jeszcze było śniegu, lecz tu, na pustej Mojce, białło już było, cicho, sennie i miękko. Między białą puchówką ziemi a szarą alkową nieba zasypiały niskie, żółte domki, snem, zda się, nieprzespanym, a w tej szarocie, ciszy, senności, w tym prawie że wiejskim spokoju niemożliwym zdawał się bunt jutrzejszy, jak błyskawica z zimnego nieba. Ani ducha żywego na ulicy, można było rozmawiać, jak u siebie w pokoju.

— Czy Trubecki wie, że już jutro — pytał Golicyn.

— Nie! my dopiero powiemy mu.

— Ach prawda! on zda się ochłodził już trochę dla naszej sprawy.

— Może być.

— Tchórzy, czy co?

— Nie sędzę. Na Szewardynskiej reducie pod ogniem przestał czternaście godzin tak spokojnie, jakby grał w szachy, lecz męstwo żołnierza, to nie odwaga spiskowca. Pod Lützen, gdy Francuzi gremili naszą gwardyę z czterdziestu dział, Trubeckiemu zachciało się załatawać z porucznika von Bocka, zaszedł go z tyłu i rucił mu w plecy grudkę ziemi, na co ten runął bez przytomności, tak samo i on może jutro runie. Trudno o mniej odpowiedniego człowieka dla takiej, jak nasza sprawa. Chwiejny, subtelny aż do obłądu. Gotów zgubić drugich i siebie, byle nie popełnić jakiej niedelikatności. I rewolucyę chciałby srobieć delikatną na wodnie różanej. To jedno. A drugie. Za dobrze mu jest, młody, bogaty, znany, ożeniony z prześliczną kobietą; ewangelii-

czny młodzieniec, który choć z zalem odszedł od pana, bo majątności miał za wielkie.

— Odejść w takiej chwili, to podłość — zawołał Golicyn.

Oboleński popatrzył na niego trochę z podejba, głębszem spojrzeniem dobrych, rozumnych oczu, z pozoru uśmiechniętych, w których jednak w gruncie nie było wcale uśmiechu a raczej żalność.

— Nie! — rzekł — to nie podłość.

— A cóż innego?

— To! właśnie, o czem mówił Rylejew.

— My nie ludzie czynu, a projektotwórcy, doktrynerzy i luatycy. Chodźmy po dachu, na samej krawędzi, lecz niech kto zawoła po imieniu, spadniemy i rozbijemy się o ziemię. Co! to nasze powstanie to Marya bez Marty, dusza bez ciała. I nie my jedni, wszyscy rosyjscy ludzie tacy są; przedziwni w myślach, a w czynach, mazgaje rozmazani, całkiem bez kości mięsa; zapewne jest to skutek niewoli, za długo byliśmy niewolnikami.

— Posłuchajcie Oboleński! Ale! to marna sprawa; jutro powstanie, a dyktator nasz rozmyśla, jakby to delikatnie zdradzić. I pociście takiego wybrali, gdzie miał głowę Rylejew?

— Co chcesz! Rylejew całkiem się na ludziach nie zna. On i siebie nie zna, widzieliście jak się sam męczy, a niewie czego.

— A wy wiecie?

— Zdaje się wiem.

— O cóż to?

— O krew — odparł Oboleński cicho, trochę zmienionym głosem.

— O jaką krew?

— Krew, którą trzeba przelać zabijając — mówił Oboleński ciszej jeszcze. Wszystko obmyślił, rozstrzygnął, obliczył na palcach. Pamiętacie obliczenie Pestla, ile trzeba będzie ofiar. Wtedy Rylejew nie chciał, zląkł się, a teraz sam obliczył, że nie dość zabić samego cesarza, lecz trzeba i wszystkich członków carskiej rodziny. Zabójstwo jednego nie tylko nie byłoby zbawienne, lecz raczej zgubne dla celów naszego stowarzyszenia. Zabójstwo takie spowodowałoby rozdział w nasyłach, stworzyłoby partye. Zwolennicy rodziny carskiej wzburzyliby się i powstałaby tylko wojna domowa. Po wyćpieniu wszystkich, wszyscy się zwolna pogodzą z nowym porządkiem i nowe rządy utrwalą się. Tak sobie to wszystko obmyślił, postanowił, obliczył na palcach, a teraz coś mu zawadza i choć nie wie czemu, tem się właśnie męczy.

— Więc wy i to wiecie?

— Wiem — odparł Oboleński i zamilkł.

Golicyn także. Coś ciężkiego zważyło się na obu i było im nieswoje, jakby jeden drugiemu wstydił się spojrzeć w oczy. Zmora ta ciążyła im coraz więcej, im dłużej milczeli.

Zawrócili z Mejki na Krukowski kanał; tu było ciszej i puściej jeszcze, tylko śnieg skrzypiał pod nogami; widzieli dobrze, że niema nikogo, a jednak zdawało się im, że ktoś chodzi za nimi i podśledzuje.

— Ja wiem, że nie można zabijać — przemówił Oboleński tak dziwnie nagle, że Golicyn spojrział na niego zdziwiony.

— Dlaczego nie można, grzech?

— Nie grzech, a poprostu nie wolno i nie można.

— Jako nie można, kiedy ludzie zabijają wciąż jedni drugich.

— Zabijają w szale, w bezpamięci nie zdając sobie sprawy, ale na zimno z rozmysłem, powiedziec sobie z góry „zabiję“ a potem zabić, tego człowiek nie potrafi.

— Owszem, potrafi!

— Daj przykład!

— Naprzykład wojna, kara śmierci.

— To całkiem co innego. Śmiercią karze prawo, a prawo ślepe jest i nie widzi twarzy człowieka, a przymiem równe jest dla wszystkich. Na wojnie tak samo, wszyscy zabijają wszystkich, a nikt nie wie, kto kogo, twarzy się nie widzi. Ale tu, twarz, ta twarz ludzka, to jest najgorsze; spojrzeć człowiekowi w twarz i zabić go, oto czego nie wolno, czy pojmujecie to?

— Nie pojmuję — odrzekł z nagleś rozdrażnieniem Golicyn, bo przypomniał sobie, jak się był zgodził na wniosek Pestla, aby wyćpić wszystkich, wytrzebić do korzenia. I było mu wówczas lekko, w porównaniu z tą smorą, co ich teraz przytłaczała.

— Jak wy to dziwnie mówicie Oboleński, całkiem jakbyście coś wiedzieli, przemówił zaglądając mu w twarz, na co tamten poczerwieniał mocno, mocno, po uszy do nasady włosów; tak czerwienieją małe dzieci, kiedy są bliskie płaczu.

— Tak, wiem — przemówił z wysiłkiem Oboleński i począł znów teraz błędąć, błędąć tak, aż zblędał prawie jak płótno.

— A wy może nie wiecie, że ja człowieka zabiłem, Golicyn, — wyszeptał bezdzwięcznie Oboleński, uśmiechając się pobielającymi wargami tak, że u Golicyna serce zastęzło.

— Darujcie! na miłość Boga Eugeniuszu Piotrowiczu, wyście mnie źle pojęli. Jakież to zabójstwo, pojedynek.

— Wszystko jedno jakie, zabiłem i wiem o tem.

Znowu zamilkli obaj i znów ciężko im było i nieznośnie.

— A wiecie, że ja wciąż o Trubeckim myślę, przemówił Golicyn, chcąc na gwałt zmienić przedmiot, to przecie gorsze od Rostowcewa.

Wybieg to byłby odsunąć tłoczący ciężar, wybieg nieudany, Golicyn sam to poczuł. I znów się rozsierdził, żał mu było Oboleńskiego, lecz im bardziej go żałował, tem się więcej gniewał.

— A wiecie Oboleński — przemówił sucho, prawie grubiańsko — kto się wilków boi, niech nie chodzi do lasu, jeśli zabijać nie wolno, to nie wolno i buntować i nie trzeba.

— Owszem, trzeba! — odrzekł Oboleński, zawsze równie cicho, bo w miarę jak się tamten zapalał, stawał się zda się, coraz cichszy.

— Co to za bunt bez krwi? na różanej wodzie jak chce Trubecki.

— Nie bójcie się Golicyn! będzie krew i bez rozmyślnych zabójstw, bywało zawsze dużo, ile dusza zapragnie nieumyślnych mordów, więc i u nas będą.

— A! już teraz zaczynam rozumieć; durnie będą zabijać, a rozumni ludzie staną na stronie, żeby się nie ubrać.

— Dlaczego tak mówicie — spojrzał na niego z wyrzutem Oboleński. — Wiecie przecie dobrze, że idziemy na krzyżową mękę wszyscy, razem, gorszej męki od naszej niema na ziemi.

— Co za męka! o jakiej męce? Mówcie prosto, trzeba czy nie trzeba zabijać.

— Trzeba.

— I można?

— Nie, nie można.

— Nie wolno przecie, a trzeba?

— Tak!

— A wiecie, że to można rozum stracić — zatrzymał się Golicyn, tupiąc z wściekłością nogami. — Co my robimy? co my wyrabiamy? Rylejew męczy się, Trubecki zdradza, Rostowcew donosi, a my rozum tracimy. Mazgaje rozmazani, bez kości, miążga, ot ruscy ludzie! Podli! podli! święta sprawa w podłych rękach.

— To i cóż Golicyn! choćby i tak — uśmiechnął się Oboleński, a od tego uśmiechu twarz jego zmieniła się i rozświeciła do niepoznania. — Niech i mazgaje, a przecie skrzepniemy; niech nawet podli, oczyścić się możemy, choćbyśmy nawet niczego nie zdziałali, przyjdą po nas drudzy a będzie wtedy jeden król na ziemi i niebie, Jezus Chrystus. To kiedyś cała Rosya powie i zrobi. Bóg nie opuści Rosyi i tylko z Nim trzeba, tylko z Nim, a taka będzie rewolucya, jakiej świat nie widział.

ROZDZIAŁ VII.

Dyktator spinkowców, książę Sergiusz Piotrowicz Trubecki, pułkownik gwardyjskiego preobrażeńskiego pułku, mieszkał w domu swego teścia na bulwarze Angielskim koło senatu.

Jeden z mniej znacznych francuskich emigrantów, Laval, ożeniwszy się z córką milionowego kupca, po której wziął majątność, liczącą 17.000 dusz i przebogate kopalnie miedzi na Uralu, zro-

bił w Rosji świetną karierę i został rosyjskim hrabią, szambelanem, tajnym radcą i dyrektorem departamentu w ministerium spraw zagranicznych. Na jego balach i rautach zbierało się wyższe towarzystwo stolicy, cały korpus dyplomatyczny i carska rodzina.

Jedna z córek jego, Zeneida, wyszła za poślą austriackiego, hrabiego Lebzeltnera, druga za księcia Trubeckiego.

W podsienniu pierwszego piętra, gdzie podłoga wyłożona była starymi autentycznymi płytami marmuru, pochodzącymi z pałacu Nerona, przyjął Oboleński i Golicyń z pobłażliwym szacunkiem, stary siwiutki kamerdyner w czarnym atłasowym fraku, jedwabnych pończochach i trzewikach, wyglądający na starego dyplomata — i powiódł ich przez szereg pałacowych prawdziwie komnat, na skrzydło młodego księcia, do gabinetu Trubeckiego. Była to przestronna komnata, zastawiona wielką mnogością szaf z książkami, z oknami wychodzącymi na Nową, bardzo jasna, a jednak umiejętnie stonowana ciemnem obiciem i ciemno-dębową bezazeryą ścian i ciemno-zielonym salfianem mebli. Gospodarz przyjął swych gości z właściwą sobie cichą i równą, nie światłą uprzejmością.

— My do was na chwilę, książę — przemówił Oboleński, nie siadając i nie zważając na zapraszający gest Trubeckiego. — Rylejew prosił bardzo, abyście byli łaskawi...

— Ach Boże mój! — chwycił się za głowę Trubecki — jakże zawiniłem wobec niego. Wierzcie mi panowie, że się codzień wybieram, ale zawsze te przekłete sztabowe sprawy. Teraz już stanowczo, stanowczo, w tych dniach; jutro może.

— Nie jutro, ale dziś zaraz. My po was przyjechaliśmy i bez was stąd nie odjedziemy — przemówił twardo Oboleński.

— Zaraz? Ja doprawdy nie wiem panowie. Lecz czemuż stoicie, siadajcie proszę; a możebyście co przetrącili?

Od przetrącenia wymówili się stanowczo, lecz musieli usiąść w miękkich, wygodnych, głębokich fotelach przed kominem, gdzie ogień polyskiwał tak swojsko w pół mroku zachodzącego dnia. Zauważywszy, że ogień może zbyt dogrzewać Golicyńowi, Trubecki zasłonił go ekranem, tak, że twarz była zakryta, a tylko do nóg szło ciepło. Wtedy dopiero usiadł sam naprzeciw swoich gości, plecami do światła, bezwiednym manewrem ludzi przeczulonych.

— Dajcie panowie myśli zebrać.

Golicyń oglądał się na drzwi, Trubecki wstał, poszedł ku nim i zamknął je na klucz.

— Te drugie — dodał, wskazując na inne drzwi — prowadzą do pokoiów książęcej i niema tam w tej chwili nikogo.

— Pozwólcie panowie powiedzieć otwarcie.

— Otwartość ponad wszystko — potwierdził Golicyń, spoglądając znacząco na Trubeckiego.

Odziany po cywilnemu we frak, wysoki, szczupły, nawet chudy, z piersią nieco zapadłą, jak u suchotnika, Trubecki nie był pięknym. Twarz wąska, długa, uszy odstające, duży, garbaty nos i grube wargi, przytem wąs rudawy, ryżawe baczki nierówne i postrzępione po obu stronach twarzy. Ale w dużych, szarych oczach dziecięco-prostych, o smutnem i dobrem spojrzeniu, przebiegała taka wewnętrzna szlachetność, że Golicyń pomyślał:

— Czyżbyśmy się omylili, obaj z Oboleńskim?

I przypomniały mu się słowa z napisanej przez Trubeckiego konstytucyi: »Ustawa Sławnego Ruskiego imperyum. Niewolę znosi się, rozdziału pomiędzy szlachtą a prostymi ludźmi nie przyjmuje się, ponieważ jest on przeciwny chrześcijańskiej wierze, podług której wszyscy są braćmi, wszyscy zrodzeni dla szczęścia i są poprostu ludźmi, przed Bogiem jedynie słabi«. Cały on był w tych słowach, nie Brutus, nie Robespierre lub Marat, a szlachecki liberał, dobry ruski książę, idący do prostego ludu z wolnością, braterstwem i równością, Don Kiszot rewolucyi.

— Moje położenie w związku bardzo trudne, czuję, że nie mam prawa prowadzić na zgubę, lecz boję się także, że nie będę miał dość władzy, aby zatrzymać, przemówił głuchym, nieco szypiącym szeptem, lecz miękko i miłym głosem, jakby kto ręką przesunął po aksamicie — myślał Golicyń.

— Im potrzebne tylko moje nazwisko. Rylejew rozporządza się niem, jak sam chce, a ja o niczem niewiem, niewiem nawet, jak zostałem owym dyktatorem...

Golicyń czuł wciąż lekki zapach herbacianej róży i sam nie wiedział, skąd się to bierze, aż wreszcie spuścił oczy i dostrzegł na poręczu fotelu, w którym siedział, małą batystową, kobiecą chusteczkę; wziął ją do rąk i powąchał. Trubecki widział to i zarumienił się lekko, poczem zamilkł. Golicyń, także milcząc, podał mu chusteczkę, którą ten wsunął do bocznej kieszeni i wtedy dopiero znów mówić zaczął.

— Rylejew postanowił działać prawie bez żadnych widoków powodzenia. Sądząc po środkach i przy-

gotowaniach, byłoby to więcej niż szaleństwem, więcej niż szaleństwem, ot...

Miał zwyczaj powtarzać ostatnie słowa, trochę się zającując, rozwlekając i poszeptując; było w tem coś arystokratycznie subtelnego i dziecinie prostodusznego.

— Wojsk, usposobionych odpowiednio dla celów towarzystwa, jest bardzo mało. Nikt z wybitniejszych ludzi nie bierze w tem udziału. Nabrano pustych młodzików, którzy tylko szumią, ale szumią wyłącznie po salonach, a nie na ulicach i placach. Śmiesznie pomyśleć, by kilku chorążych bez znaczenia, bez imienia potrafiło wstrząsnąć stuletnimi podstawami, tak... stuletnimi podstawami imperyum.

— Serge! — ty tu? — zadzwieczał młody kobiecy głos i Golicyń, spojrzawszy ku drzwiom niezamkniętym, które wiodły do pokojów księżnej, obaczył na progu nieznaną sobie damę. Chciała wejść, lecz dostrzegłszy gości zatrzymała się niepewna.

— Witam, księcia — rzekła, poznawszy Obolenskiego i podeszła do niego. — Przebaczenie panowie, zdaje mi się przerwałam.

— Pozwól droga! przedstawić sobie księcia Golicyńskiego — rzekł Trubecki.

Całując rękę, Golicyń uczuł znów ten sam zapach herbacianej róży. Cała w czerni w żalobie po zmarłym cesarzu, z czarnymi włosami gładko zaczesanymi na skroniach, sama przypominała zo swą blado-różową cerą, świeżą rozkwitłą różą herbacianą. Catache nazywali ją w domu od imienia Catherine po francusku Catache, po rosyjsku trochę śmiesznie Katasza, a przystawało to do jej drobnej, krągłej, kształtnej postaci, do

żywych ruchów, toczącej się lekko kulki z kości słoniowej. Wszyscy zamilkli, księżna zamieniła z mężem spojrzenie, w którym odrazu widać było, jak się czują z sobą szczęśliwi. Sami uważali się za stare już małżeństwo, lecz dla obcych wyglądali jak nowożeńcy. Gdy bywali razem w świecie, uśmiechali się do siebie uśmiechem winowajców, którzy wstydzą się nadmiernego swego szczęścia. Uśmiechnęli się i teraz, lecz w oczach obojga, była wróżebna trwoga.

— Czy ona wie, kto my i poco przyszliśmy — pomyślał Golicyn, choć niewie, to napewno przeczuwa.

W tejże chwili niewiadomo dlaczego, przyszła mu na myśl Marynka. Przemówiwszy kilka uprzejmych słów, księżna odeszła.

— Jeszcze raz proszę panowie, darujcie, żem przeszkodziła. A nie zapomnij przyjacielu, dodała już do męża, że spotkać się mamy o czwartę u Nowosielskich, przyszłą po ciebie karetę.

Wychodząc, obejrzała się raz jeszcze na męża, a w oczach jej była znów wróżebna trwoga.

— Na miłość Boga panowie, darujcie — usprawiedliwiał się Trubecki — byłem pewien, że nie ma księżnej. Powiedziano mi, że wyjechała.

— Ależ księżę — przerwał Golicyn — choćby i księżna wiedziała, niewielka bieda. Zawsze byłem za tem, żeby i kobiety dopuszczać do związku. Ciemne one gorsze od nas, a jeszcze takie, jak wasza żona.

— Przecież nie znacie jej...

— Dość raz spojrzeć, by poznać, kim jest.

Trubecki rozpromienił się i uśmiechnął znów wstydliwym uśmiechem szczęśliwego winowajcy.

— No, a teraz dość o tem, czas upływa panowie, musimy raz skończyć.

— Więc wy uważacie Trubecki, że przedsięwzięcie przerasta nasze siły.

— Tak jest, Golicyn, trzeba mieć choć kroplę rozsądku, żeby widzieć całą niebezpieczność... Tak. Porwać się na to mogą tylko ludzie, którzy doprowadzili się do obłędu... tak, do obłędu politycznego.

— Tak! Do obłędu — potakiwał Golicyn.

Przez cały czas potakiwał, usidlić chciał, wyciągnąć na słówko. Oboleński słuchał w milczeniu, lecz z widoczną przykrością.

— Bardzo się cieszę, panowie, żeście mnie pojęli. Powiem szczerze, że do ostatniej chwili spodziewałem się, że pozostając w styczności z członkami związku, jako swierchnik, zdołam odwrócić sło i zachować choć pozory legalności. Lecz oni zaczęli zaraz, Bóg wie co, obmyślać. Oni chcą wszystkich... tak, chcą wszystkich tak... — zająkiwał się Trubecki, nie śmiejąc wymówić strasznego adania, że spiskowcy wytępić chcą wszystkich członków rodziny carskiej.

— A wy nie chcecie wszystkich, wy nikogo nie chcecie? — pytał Golicyn.

— Nie! Nie chcę, nie mogę, Golicyn, ja nie narodziłem się mordercą.

— Więc cóż robić, księżę? Wam-by należało zrzec się dyktatury, a może i całkiem wystąpić ze związku.

Spojrzał mu Golicyn prosto w oczy z cichym uśmiechem. Trubecki nic nie odrzekł, jakby nagle odgadł zasadzkę.

— Więc jakże, księżę? Cóż! Jako uczciwy człowiek, powinien nam księżę odpowiedzieć wprost tak, albo nie, zostajecie z nami, czy występujecie ze związku — przemówił Golicyn tonem jawnie już wyzywającym.

— Nie wiem na pewno, pomyślę...

— Pomyślicie? Zapewne! To tylko bieda, że niema czasu już na namyślanie, bo my zaczynamy jutro.

— Jutro? Jutro? — zająknął się Trubecki, patrząc na Golicyna, jakgdyby nie pojmował.

— Ach! Tak, to wy jeszcze nie wiecie — zdziwił się Golicyń, patrząc z poza szkieł ze złym uśmiechem.

Jak zwykle w podobnych chwilach, twarz jego stwardniała, jakby zastygła i stała się podobną masce.

— Kuryer przyjechał z Warszawy z ostatecznym orzeczeniem się Konstantego. Jutro o godzinie siódmej rano wojsko wezwane będzie do przysięgi, a my zbierzemy się na placu Senatorskim i robimy powstanie.

— Powsta... Powsta... — powtórzyć chciał Trubecki, ale już nie mógł, bo głos urwał mu się, oczy rozszerzyły, twarz pobladła, zzieleniała, grube wargi zaczęły drżeć. W tej chwili stał się nagle bardzo podobny do żyda.

— Ożydzał ze strachu — pomyślał ze wstrętem Golicyń. — Cóż, nie odpowiadasz pan? Raczże dać odpowiedź!

— Przestańcie Golicyń! Nie wolno tak dalej — krzyknął Obolęński, pochylając się nad Trubeckim. — Jak wam nie wstyd, czy nie widzicie?

Głowa Trubeckiego opadła na poręcz fotelu i oczy stanęły słupem. Obolęński rozpinał mu kożuszek.

— Wody! Wody!

Golicyń znalazł karafkę, nalał wody do szklanki, podał Trubeckiemu, który próbował na próżno

uchwycić wargami brzeg szklanki, ale tylko dawał zębami o szkło. Dłuższa chwila upłynęła, zanim zdołał przełknąć wodę, wreszcie wypił, odechnął głębiej i podniósł głowę. Obolęński pochyłony nad nim, gładszył go ręką po włosach, jak niedawno Rylejewa.

— No! nic to! Trubecki nic to! Nie słuchajcie Golicyna, on was nie zna. Pomówimy z Rylejewem i wszystko się jakoś ułoży. Wszystko będzie dobrze, wszystko będzie dobrze.

— Moje właściwie nic, błahostka; serce mam trochę słabe, w tych dniach nie czułem się zdrow, a jeszcze napiłem się kawy, to widocznie od tego, tak od tego, a przytem tak nagle... ja nie mogę tak nagle. Darujcie mi panowie, na miłość Boga, darujcie.

Rudawe włosy lepiły mu się do spoconego czoła, grube wargi wciąż jeszcze drżały, choć uśmiechał się, a w uśmiechu tym było coś dziecięco prostego i dziwnie żalnego. Don Kiszot zbudzony z halucynacji, lunatyk, który runął z dachu i rozbił się.

Golicyń doznał uczucia wstydu, jakby uraził dziecko, odwrócił się więc, aby nie widzieć. Bał się współczucia. Rozumiał dobrze, że skoro tylko zacznie żałować Trubeckiego, daruje mu wszystko i gotów usprawiedliwić zdrajcę.

— Posłuchajcie księżę — zaczął, nie patrząc na Trubeckiego.

— Posłuchajcie Golicyń — przerwał mu Obolęński spokojnie, lecz twardo. — Ja to mam polecenie od Rylejewa przywiezienia Trubeckiego i sam to spełnię, a wy nie mieszajcie się do tego, proszę was i zostawcie nas samych. Poje-

dziecie do Rylejewa i zapowiedzie mu, że my też zaraz przyjedziemy.

— Ja tylko chciałem powiedzieć...

— Idźcie już proszę was Golicyn i róbcie, co wam polecono.

— Więc to rozkaz?

— Tak! rozkaz.

— Słucham! — odparł sucho Golicyn, skłonił się i wyszedł, ociągając się.

— Wszyscy ludzie rozumni, to są najgorszy durnie, przyszło mu na myśl po drodze, a za oczynego durnia uważał w tej chwili siebie.

Tak! Trubecki odejdzie z żalem, jak ów młodzieńca ewangeliczny, lecz czemuż jest gorszy odemnie, czem gorszy od nas wszystkich. Kto wie, co będzie jutro z nami? Czy wszyscy nie odejdziemy z żalem?

ROZDZIAŁ VIII

Skoro Golicyn powrócił do Rylejewa, zastał go już całkiem innym niż poprzednio. Rylejew umył się i przebrał, zdjął z siebie ranny chałat, a włożył frak lubo domowy, lecz z cienkiego sukna, ciemno kawowego koloru, „pius“ z modną kamizelką z tureckiego szala i białym wysokim halsztukiem. Wszedłszy do bawialni, ożywił się jak zwykle, widokiem gości i rozmawiając z nimi, z gorączkowym rumieńcem na twarzy i z blyszczącymi gorączką oczyma, wyglądał prawie na zdrowego. Słowem Golicyn nie poznał w nim rannego Rylejewa, a za to odnalazł dawnego o suchej, ściągłej twarzy, z cerą ciemną, prawie że cygańską, z ogromnymi jasno-ciemnymi oczy-

ma, pod gęstą, czarną brwią. Usta cienkie jak u kobiety z prześlicznym uśmiechem, naturalnie wijące się włosy, bezskutecznie przygładzone szczotką i zaczesane na skronie, z tyłu głowy chłopięcy wicherek. I cały zdawał się lekki, lotny, ognisty, jak rozechwiany od wichru płomień.

Po upływie godziny, przyjechali Oboleński z Trubeckim. Rylejew zaprowadził ich do swego gabinetu i zamknął drzwi do bawialni, gdzie zgromadzona była reszta gości.

— Wszyscy się na was oglądamy Trubecki, by zająć stanowisko w obecnych wypadkach. Nadarza się bowiem sposobność, której nie można zmarnować.

— Więc wy myślicie, że już trzeba działać, Rylejew?

— Działać! oczywiście, bezwzględnie, okoliczności same prą nas do tego. Teraz lub nigdy! sposobność jedyna, i jeśli teraz nie zaczniemy, to zasłużymy w całej rozciągłości na miano podłych — odparł Rylejew, patrząc mu w oczy wymownie. — A wy co myślicie książę?

— Myślę, że trzeba się wpierw przekonać, jaki duch panuje w wojsku i jakimi środkami związek rozporządza.

— Bez względu na środki, cofać się już nie pora, za dalekośmy szli. Może być, żeśmy już zdradzeni i wszystko odkryte. Przeczytajcie to na przykład, rzekł — podając Trubeckiemu donos Rostowcewa.

Trubecki ledwie spojrzał na papier i nie mógł go prawie odczytać z nadmiaru wzruszenia.

— Cóż to? donos!

— Jak widzicie! Kości racone i nie utrzymamy już szabli w pochwie, skazaniemy już na zgubę.

— Tak! Ale nie tylko my sami, drugich na zgubę wydajemy, a my nie mamy prawa nikogo gubić... nikogo gubić... tak — zająknął się Trubecki i pomyślał sobie: Teraz trzeba wszystko wyznać i powiedzieć, że chcę wystąpić ze stowarzyszenia. Z tem jechał do Rylejewa, lecz język mu kołowaciał. Powiedzieć mu taką rzecz byłoby tem samem, co znieważyć, lub uderzyć człowieka niewinnego. Dawonek za dzwonkiem dźwięczał w przedpokoju.

— Czemu tak dużo ludzi najęźdza tu? — pytał Trubecki.

— Dowiedzieli się o kuryerze z Warszawy — objaśnił Rylejew, poczem spytał: — A jakieś siły uważacie książę za niezbędne?

— Kilka pułków przynajmniej, jakie sześć tysięcy ludzi, a choćby jeden pułk staro gwardzystów, bo do młodszych nikt nie przystanie.

— W takim razie niema kłopotu — ze dwa pułki: moskiewski i lejb grenadyerski, ja sam odpowiadam i ręczę — zawołał Rylejew.

— To tylko słowa — przerwał mu Oboleński — nie możemy ręczyć na pewno, ani za jednego człowieka.

Rylejew spojrzał na Oboleńskiego i nic nie odpowiedział, a tylko waruszył ramionami. Począł roztaczać dalej plany powstania.

Ta lotność, lekkość, błyskawiczność, która była w nim i czyniła go podobnym do rozchwieanego wichrem płomienia, udzielała się otoczeniu, skutkiem czego, on jakby rozkazywał, a tamci słuchali, a sprzeciwić się nie można było, zwolna i Trubecki zapalił się jak struna, nie tknięta smyczkiem, co odpowiada jednak na dźwięk drugiej struny, strojąc się do jednego z nią tonu.

— Mój plan taki — zaczął. — Skoro zbiorą się pułki, dla nowej przysięgi. a żołnierze okażą się niechętni, to oficerowie odprowadzić ich powinni do najbliższego pułku, a skoro się ten przyłączy, do następnego, i tak dalej. Gdy już wszystkie pułki gwardyjskie, a przynajmniej znaczna ich część, zebrane będą razem, zażądać zbiorowo przybycia cesarzewicza Konstantego. W ten sposób zachowane zostaną formy legalne, a sam nawet opór żołnierzy będzie świadectwem ich wierności. Równocześnie udać się trzeba do senatu i zażądać wydania manifestu, w którym się ogłosi, że mają być wybrani delegaci z każdego okręgu, dla rozstrzygnięcia, komu ma przypaść tron i na jakich podstawach. W międzyczasie senat powinien zatwierdzić rząd tymczasowy, który zatrzyma władzę, dokąd nie zostanie uchwaloną nowa rosyjska konstytucja, na wiecu przedstawicieli ludowych. Po ogłoszeniu manifestu wojska powinny wyjść ze stolicy i stanąć obozem w pobliżu, aby wśród buntu nawet zachować równowagę i spokój... i spokój... tak...

— Rewolucja na różanej wodzie — pomyślał Golicyn.

— Prześliczny plan! — odparł Rylejew — tylko boję się, czy nie za wiele zabierze czasu to chodzenie od pułku do pułku i czy to koniecznie potrzebne.

— Ależ bezwzględnie, jakże można inaczej.

— Ja uważam, że wystarczy, aby się jedna rota zbuntowała, a już można będzie zrobić przewrót. Niech pięćdziesięciu ludzi stanie, to ja będę z nimi! — zawołał Rylejew z takim ogniem w oczach, że Trubecki oniemiał. Zamilkł nagle, czując, że mówi nie to, co trzeba.

Z poza drzwi dochodził gwar zmieszanych głosów. Słów nie było słyhać, ale krzyk był taki, że zdawało się, iż za chwilę wszyscy zaczną się za łby wodzić. Nagle drzwi otworzyły się z hałasem i do pokoju wpadł sztabs-kapitan lejbgwardyi moskiewskiego pułku książę Szczepin-Rostowski, rozczarwiony, spocony, rozszochrany i w takim podnieceniu, że wyglądał na pijanego lub wariata.

— Niech was tu wszystkich dyabli biorą, podlecacy, tchórze, zdrajcy! — ryczał, wyrażając pięściami. — Róbcie, co chcecie, ale ja...

— Czego pan krzyczy? Myśmy nie głusi — zatrzymał go spokojnie Rylejew, tak, że Szczepin na chwilę zamilkł.

— Słuchajcie, Rylejew, ja tu z nimi nie wytrzymam, z tymi filantropami. Tu trzeba rządzić, po prostu rządzić i koniec, a jeśli nie chcecie, to ja pierwszy na siebie doniosę.

— A przestańcie pan do dyabła! — skoczył na niego Rylejew, tupiąc nogami. — Zbiesziliście się czy co? Wynoście mi się stąd zaraz, czy nie widzicie, żeśmy sprawą zajęci. Wynoście się mówię, precz!

I choć był mały, chuderlawy, w porównaniu z ogromnym Szczepinem, wziął go za ramiona, obrócił ku drzwiom i wypchnął za próg zupełnie łatwo, tak, że zanim Oboleński i Trubecki zdążyli się opamiętać, cała scena była skończona. Rozśmiali się obaj, choć Trubeckiemu było wciąż nie do śmiechu.

— Słyszeliście! — co to znaczy Rylejew — wybełkotał błędnie.

— Nic to Trubecki, nie zważajcie na to, on tylko tak gada. Krzykacz, awanturnik, ale serce dobre, a zresztą mam go w ręku.

— Serce dobre, a chce rządzić ludźmi — mówił swoje Trubecki — i nie on jeden, a wszyscy o krwi tylko, o zabójstwach marzą. Nie panowie, ja nie mogę. Nigdy nie byłem złoczyńcą, ani zwińrzem i rozlayśnym zabójcą być nie potrafię, nie potrafię — tak....

I chciał już powiedzieć, że pragnie wystąpić ze związku, ale znów język odmówił mu posłuszeństwa. Im mocniej chciał, tem trudniej było mu powiedzieć.

— No! ja już pójdę — rzekł nagle, podnosząc się z miejsca i podając rękę Rylejewowi z dziwnym pośpiechem.

— Gdzie znowu? Zaczekajcie, jakże tak można, wszakżeśmy nic jeszcze nie postanowili.

— A cóż tu postanawiać? I tak nic nie ułożymy.

— A to dlaczego nie mamy czegoś postanowić. Choć może istotnie niema co z góry układać; okoliczności same wskażą nam drogę. A więc z Bogiem! do jutra, mówił, kładąc ręce na ramiona Trubeckiego i przysuwając twarz swą do jego twarzy, tak blisko, że tamten czuł jego oddech. A wy Trubecki nie gniewajcie się na mnie, nie gniewajcie się gołąbku na miłość Boga, mówił z dziecięcym serdecznym uśmiechem. Winien jestem, sam czuję, że zawinił wobec was Trubecki. Rozporządzałem się na własną rękę, nie słuchałem, szumiałem, ale to wszystko jutro się skończy. Jutro tyś dyktator, a ja prosty szeregowiec, twój wierny poddany; niech kto poważy się palcem na ciebie zakrzywić, a własną ręką zabije. No! Chrystus z tobą. — Chciał go uściśnąć, lecz tamten cofnął się i bardzo pobladł.

— Więc i uściśkać mnie nie chcecie, gniewacie się widać na dobre — zaglądnął mu w oczy Rylejew.

Trubecki myślał tylko o tem, jakby najprędzej stąd uciec. Objął i pocałował Rylejewa a w duszy powtarzał: »Pocałowaniem wydasz syna całowiczego« i wybiegł z pokoju.

W sieniach dopiero zauważył, że ktoś idzie za nim i trzyma za poły od szyneli. Obejrzał się i zobaczył Oboleńskiego, który mówił do niego coś, czego nie mógł zrozumieć, wreszcie pojął, oco chodzi.

— Będziecie jutro na placu senackim — pytał Oboleński.

Trubecki wysilał się na spokój.

— No cóż? Jeśli wystąpi jakie dwie rotty, na co się to przyda? Prawdopodobnie dzień przejdzie cicho — odparł prawie ze spokojem.

— W każdym razie będziecie? — nalegał Oboleński.

Trubecki nic już nie odpowiedział, wyrwał poły szyneli i wybiegł na ulicę, skoczył do karety i zatrzęsnał drzwiczki, krzyknawszy na sztangreta:

— Jedź do domu!

Sam rzucił się na poduszki siedzenia, wpół martwy. W karecie pachło różą herbacianą, ulubioną perfumą Katarzy.

— Ona jeszcze nie wie — pomyślał — lecz dowie się prędzej czy później.

Myśl ta przejęła go nowym lękiem.

— W każdym razie będziecie na placu — zadzwoniło mu w uszach.

Pochylił się ku oknu karety, chciał je spuścić i zawołać na sztangreta, by wiozł go z powrotem do Rylejewa, ale osłabł i opadł znów na poduszkę i stał się znów bez siły, miękkim, nie sprężystym.

ROZDZIAŁ IX.

Jadąc do Petersburga, Golicyń miał zamiar zatrzymać się w hotelu Deniła na Mojce, obok policyjnego mostu. Do własnego mieszkania w domu Bajera przy Praczesnym moście zajeżdżać nie chciał, bo najpierw mieszkanie to stało puste i nieumeblowane prawie przez całe lata, następnie wiedział od Rylejewa, że policya go śledzi. Skoro jednak przyjechał pocztowym dyliżansem, z towarzyszkami podróży panią Pałyczewą i jej córką i zdał je niejako z ręki do ręki babce Natalii Rzewskiej, staruszka ani słyszeć nie chciała, by miał jechać od niej do hotelu i zatrzymać go przemocą.

Zmiłuj się ojczulku! Czy to słyszana rzecz, żeby gość z porządnego domu odjeżdżał do traktyer-ni. Dom pusty, czy wam tu mało miejsca. Wy zresztą dla nas nie obcy człowiek.

Od pierwszych słów Natalia Kiryłowna udowodniła mu dalekie pokrewieństwo. Golicyń przyjął zaprosiny tem chętniej, że mniemał, że w domu jej będzie mu bezpieczniej, a zresztą nie chciał rozstawać się z Marynką.

Dom Rzewskiej stał na Fontance przy Alarczyńskim moście; miejscowość cicha, dokoła pustka, gdzieś dopiero na krańcach widnokładu rysowały się niskie sylwetki małych domków. Zdawało się, że w nocy z tej pustki dochodziły wołania i krzyki: »Ludzie na pomoc, grabią nas, patrol! Patrol!« Ludzie wyskakiwali wtedy z łóżek, wysuwali głowy przez okienka i odpowiadali: »Idziemy! Idziemy!« Lecz wcale nie szli, tylko powracali do ciepłej pościeli, chowając głowy pod kołdry.

Otoczony starym ogrodem, niegdyś pociętym w regularne aleje i kwatery, lecz dawno już zarosłym i zapuszczonym, dom ten podobny był do wszystkich podmiejskich rezydencji, naleśających do Ekaterynskich wielmożów. W obszernych sieniach z kolumnami, wyłożonych marmurem, drzewały stare sługi, wiążąc siatkowe robótki lub odmawiając półgłosem psalterz. W obszernych salach obicia na ścianach wyblakłe już były i wypelzłe, kryształowe wisioriki na pajakach i żyrandolach zmatniałe, ciemne, jak zadymione topazy, dzwoniły, gdy kto siedł przez pokój. Ogromne holenderskie piece z błękitnych kafli były mocno rozgrzane, we wszystkich pokojach pachło żywicą i wszędzie panowała głucha cisza.

Pokój babuni był narożny, obicia w rzucane wiązanki kwiatów, i jak w sklepie starożytności znajdował się tu cały skład, szafianerek, etażerek, oszklone serwantki z porcelanowymi figurkami, krągłe stoliki z brązową kratką, brzuchate komody z chińską inkrustacją; wszystko wogóle przypominało wiek już ubiegły. Na oknach niskie ekrany z malinowymi szybkami, które rzuciły na wszystkie przedmioty i twarze różowy odbłask, jakby wieczystego zachodu. U jednego z okien klatka i podstawka z żerdzią dla domowej papugi białej z żółtym czubkiem, zwanej Potapem Potapiczem.

Babunia była drobna, sucha, z twarzą woskowo-błądą jak u nieboszczyka; rzekłbyś, przeleżała dobę w trumnie, potem wstała i znowu żyje. Zawsze strojna w jedwabnej popielatej sukni, w białej kresie dokoła szyi, w białym tiulowym czepcu z szeroką rüsą, pod którym przypięte były fałszywe pukle *en grappes de raisin*. Na

plecy zarzucona luźna kacawejka, gdyż babunia wiecznie ziębła. Na pół godziny przed wyjściem staruszki z sypialni, jedna z rezydentek, Niemka spasiona jak kupiecka klacz, siadywała na fotelu, aby wygrzać miejsce. W krześle siedziała babunia presto, mimo niezliczonych poduszek, które ją otaczały, jedwabnych, wełnianych, wyszywanych. Pray sobie na stole miała zawsze puszczkę z pudrem i pudrowała się często, ocierając się chusteczką lub skórą z pęcherza. U nóg jej na okrągłym stołeczku, leżała zawsze zwinięta w kłębek suczka bolońska, okropnie ała — Fidelka.

— Powiedz, czemu ty tak trzęsiesz tacą — mówiła babunia do dziewczki służebnej Martuszeki, gdy ta przynosiła jej z rana herbatę.

— A bo Fidelka bardzo mnie po nogach kąsa.

— Czyż dlatego masz tacą trząść? — dziwiła się Natalia Kiryłówna.

Była bardzo delikatnego zdrowia i przy najbliższej słabości kładła się do łóżka i przystawiała do skroni kempresy, moczone w occie. Nie lubiła słuchać o nieboszczykach. Stara rezydentka Zacharowa, posłyszawszy o czyjejs śmierci, przechodziła do sypialni powiedzieć o tem pani na ucho.

— Cicho bądź! Nie mów nikomu, że ja wiem, tyś mi nie powiedziała, pamiętaj! — nakażywała jej srogo babunia.

Jednakże w mezaninie, tuż prawie nad sypialnią, umarła jedna z rezydentek, których mnóstwo było w domu.

— Umarła — zwiastowała Zacharowa swej pani, wskazując palcem na sufit.

— Cicho bądź!

Wynieśli nieboszczkę ukradkiem i pochowali ją, a babunia nie wspomniała o niej wcale, jakby jej nigdy na świecie nie było. Długo widziała i przeżyła i dlatego bała się wszystkiego, wdychała też często nad tem, jak łatwo zmienia się fortuna.

— Całe nasze życie to gra hazardowna — mawiała.

Po dwóch lekkich atakach apopleksyi często wpadała w półświadomość; siadywała wówczas całemi godzinami nieruchoma, śledząc tylko w milczeniu ruchy papugi, kołyszącej się na kółku, krzyczącej przeraźliwym skrzetem: Potap, Potapicz! Potapow! Po takich momentach ożywała się i opowiadała chętnie o swej młodości, gdy była frejliną na dworze Katarzyny. Oznajmiała z tajemniczym szeptem jako najświeższą nowość, że książę Platon Zubow *ce charmant vaurien* umiał oczarować jej cesarską mość swem zachwycającem obejściem; wspominała też chętnie o łaskawej uprzejmości cesarzowej matuszki.

— Bywało, zauważy, że komuś słońce dokuca, to idzie, bywało do okna i własnymi rękami storę zapuszcza. Ale za to nie miała pobłażania dla swywoli. Gdy raz generałowa Korzyn pustosowała nad miarę na maskaradzie, kazała zabrać ją z sali sekretarzowi do tajnych poleceń Sierżkowskiemu i ukarać lekko cielesnie, poczem przewieziono ją z wszelkimi honorami z powrotem na bal.

Lubiła także babunia opowiadać o panu Fontenelle, którego poznała osobiście w czasie bytności swej w Paryżu, przed rewolucją.

— Skończony to był filozof, nigdy głosu nie podnosił, nie gniewał się, nie płakał ani się nie

śmiał. »Panie Fontenelle«, pytam go, »pan się nigdy nie śmieje«. »Nie«, odpowiada, »nigdy nie robię cha! cha! cha!«. Żadnych uczuć nie doznawał, w nikim się nie kochał, a tylko niektórzy ludzie podobali mu się. »Panie Fontenelle«, pytam go, »czy pan mnie szanuje«. *Je vous trouve fort aimable madame.* »A gdyby panu powiedzieli, że ja kogo zabiłam; uwierzyłby pan?«. »Poczekalbym łaskawa pani, aż się wyjaśni«. Powiedział tak, ale sam się uśmiechał. Krzepki był staruszek, przeżył więcej, jak sto lat. Mądrała! Takich dziś nie znajdziesz...

Ludzie nowego wieku ze swemi »kusemi« myśłami i »kusymi« frakami nie podobali się babuni.

— Wszyscy wy, kiedy patrzę na was, tacy jesteście obakubani, jakbyście prosto z łaźni wyszli. Nie mogła przywyknąć do modnych, długich pantalonów, które zastąpiły dawne, krótkie do pończoch i płytkich trzewików.

— Od sankiulotów poszła ta moda, Boże odpuść, bezwstydników bez spodni.

Siemrała na tą modę i wspominała, jak raz na balu w Moskwie gospodarz domu zbliżył się do takiego modnego fircyka, który ukazał się pierwszy raz w długich spodniach. »Ja ciebie, powiada, zaprosiłem na bal do tańcowania, a nie do wspinania się po maszcie, a ty przebrałeś się za majtkę«.

— Od 1812 roku Moskwa zdegenerowana — wdychała Natalia Kiryłówna, słuchając opowiadania Niny Lwownej o nowinkach moskiewskich. Gdyby nasi dawni ludzie z grobu wstali, by spojrzeć na miasto, toby tylko westchnęli, widząc, do czego doszło. Całkiem zmarniała Mo-

skwa, ani sasyety, ani wyższego towarzystwa. Takie teraz czasy, że co godzina zda się gorzej, wołałyby i oczy nie widzieć i uszy nie słuchać.

Jedynym gościem Natalii Kiryłownej był stary Fryndin, Foma Fomicz, dymisyonowany brygadier z czasów Suworowa. Małego wzrostu, przyjemnej twarzy z blade-niebieskimi oczyma, jak wyblakłe niezabudki, z dziecięcym wyrazem w oczach i dziecięcym uśmiechem; mówiący cicho miłym, spokojnym tonem. Fryndin kochał się kiedyś prawdopodobnie w babuni i wierzył jej pozostał do końca życia. Zawsze niezmiernie ugrzeczniony, pozwalał tylko sobie na małe żarciki przy grze w »muskę«, mówiąc na przykład, że wychodzi siedem z kierów, kiedy było siedem z pików.

— Przestań Batuszka! Cóż to za jakieś figle! — gromiła go staruszka.

— I czemu nie pofiglować matuszko. Natalio Kiryłowna, życie i tak krótkie — uśmiechał się stary swoim cichym uśmiechem.

Gdy babce chciało się drzemać, czytał jej głośno sentymentalną książkę p. t.: „Plody melancholii dla ciałych serc“, a gdy nudziła się, opowiadał jej anegdoty.

— Wiecie matuszka! w »Północnej pszczołce« piszą, że Chińczycy wyuczyli małpy, by obrywały liście z drzew herbacianych, a to dlatego, że lepiej od ludzi wspinają się po gałęziach.

— Kłamstwo! — przeczyła babunia — przestanę pić herbatę, bo nie chcę jej z małpich łap.

— Myją im łapki, w trzech wodach myją matuszka — uspokajał ją Fryndin.

A czasem zaczynał filozofować.

— Nie ma w ludzkim życiu pomyślności, po którychby nie nastąpiły utrapienia i te w więk-

szej mierze, ale serce ciche zawsze dla radości otwarte; tak i ja raduję się. Żadnych już w świecie pragnień nie mam, a nie żyję chyba na świecie szczęśliwszy odemnie człowiek — powtarzał, zażywając szczyptę tabaki ze złotej tabakierki z wizerunkiem Pawła I, gdzie był napis: »Po Bogu on dla mnie jedyny, nim tylko żyję«. A taki spokój był w jego jasnym uśmiechu, że można było wierzyć, że prawdę mówi.

Lubił porównywać przeszłe i obecne czasy.

— Pradkowie nasi żyli z mniejszym oświeceniem, ale z większym niż my zadowoleniem. Rozkoszy takich nie zażywali jak my, ale też i lęku i niespokojności nie znali. Dziwna rzecz, że ludzie nie chcą wstępować w ślady przodków swoich, a co jeszcze obaczą wnuki i prawnuki nasze, o tem i pomyśleć straszno.

Golicyn powrócił do starego domu po gerących rozprawach spiskowców, gdzie mówiono o buncie, krwi, przewrocie i płomiennym pochodzie powstania. Dom ten, gdy wchodził do niego, wydał mu się królestwem sennych wizyi, które zniknąć teraz muszą. Senne obrazy pierzchną i nie chciał Golicyn żałować ich, a przecie żał mu było. Wszakże domy takie rozburzyć trzeba było, zniszczyć by nie został i kamień na kamieniu, dlatego przecie i on szedł do powstania, a jednak miał uczucie, że przesuwają się oto przed nim po raz ostatni i zagładają mu w oczy z cichą żałością cienie własnej przeszłości.

Gdy wszedł do bawialni, babunia siedziała jak zwykle na niskim fotelu przy stoliku, gdzie przy dwóch woskowych świecach rozkładała nigdy nie kończący się pasyanse. Stary Fryndin czytał jej przeszłoroczne gazety, Nina Lwowna wią-

zała coś na drutach, a Marynka wyszywała białym haftem. W pokoju mocno było napalone i nakadzone żywica, tak, że aż Golicyn trachę się zadyszał, przyszedłszy ze świeżego powietrza. Fidelka saszczekała i chciała go ugryźć w nogę. Papuga, drzemiąca w klatce, zaszeleściła piórami, otwierając leniwie jedno oko i mruknęła sennie: »Potap Potapica Potapow«.

Wszystko to ciche było sennie, spokojne, niezmienne zda się jak wieczność.

— I gdzie to przepadłeś? zwróciła się babunia do Golicyna z przyjaznym gderaniem. — Czemu to w miejscu nie posiedzisz, a tylko latasz po ludziach od rana do nocy.

— Byłem u wuja księcia Aleksandra Mikołajewicza — skłamał Golicyn, chcąc uniknąć zbyt cichych pytań. — Pokłoń mu od was zaniósłem, a i on kazał was pozdrowić.

— Nie mówisz ty prawdy — odparła staruszka. — Aleksander Mikołajewicz dawno już o mnie zapomniał.

— Ale owszem babuniu, pamięta was wybornie, pozdrowić was kazał i rączki ucałować — skłamał znów Golicyn, a Fidelka saszczekała głucho.

Przez chwilę wszyscy umilkli i w pokoju zrobiło się jeszcze ciszej, sennie, spokojniej.

— Marie! poco psujesz oczy, nie można haftować przy świecach — rzekła do córki Nina Lwowna.

Marynka wyszyła jeszcze kilka ściegów, przewlekła igłę dla umocnienia haftu, odgryzała nitkę i odłożyła robotę.

— Chodź no do mnie wnuczko! — wezwała ją babunia. — Jakaś nie wesoła dziś jesteś i li-

czko blade, ale chociaż pobladłaś, bardzo dziś na awantaz wyglądasz — mówiła staruszka gładząc ją po twarzy.

Potem rzekła zwracając się do Niny Lwownej.

— Bardzo wyładniała Marynka i poszukać by jej trzeba przystojnego kawalera, nie takiego starego grzyba jak wasz Awkwitonow. Porzuć ty raz matko te wasze Czeremuszki i przenieś się całkiem do mnie. Pożałuj przecie starej, bądźcie ci tu dobrze, zobaczysz, i kawalera stosownego znajdziemy dla Marynki.

Nina Lwowna nie odrzekła, tylko głowę pochyliła i zadzwoniła głośniejszymi drutami.

— A kiedyż spełnicie wasze przyrzeczenie Maryo Pawłowna — rzekł do Marynki Golicyn.

Widział on, że dziewczynie nie miła jest gadanina babki, i chciał pomódz jej przerywając wątek.

— Cóż ja przyrzekałam księciu?

— Pokazać suweniry babuni.

— Ach tak! z największą przyjemnością, jeśli babunia pozwoli.

— Samabym ci pokazała batiuszka, ale cóż! Nogi już nie służą, wstawać się nie chce. Pokaż mu Marynko i owszem.

Staruszka lubiła bardzo pokazywać gościom swoje suweniry i pyszniła się nimi jak dziecko.

Maryo Pawłowna podeszła z Golicynem do oskłonej serwantki, otworzyła ją i zaczęła pokazywać staroświeckie cacka. Tabakierki, bombonierki, medaliony, kameje, skrzyńeczki do muszek i pudru, figurki z saskiej porcelany i także filiżaneczki.

— A to co? — spytał Golicyn, pokazując na mały przedmiot, wyrobiony z kości słoniowej i złota.

— Samolówka na pchły — odparła Marynka.
 — Widzi pan tu jest rurczka z dziurkowaniem dnem, z jednej strony spodem zamknięta. Do środka wkręciło się listewkę, nasmarowaną miodem, pchły wpadały przez dziurkę i lepiły się do ścian. Babunia opowiada, że modne damy nosiły takie samolówki na szyi zawieszane na jedwabnych wstążeczkach.

— Mieli też co wymyślać — zaśmiał się Golicyń.

Marynka spojrzała na niego z cichym wyrzutem, a on zrozumiał wtedy, że nie wolno mu śmiać się z tych biednych pamiątek starego wieku, które jej są miłe i drogie. Ona sama zresztą podobna jest do nich, a przedziwny orok, który ją owiewa, miał w sobie tchnienie przeszłości. Z przeszłości śmiać się nie wolno. Śmiać się możemy z własnych dzieł, a wnuki nasze i tak śmiać się z nas będą, każdy wiek ma swoją śmieszność na kształt owej pchlej samolówki.

— Marynko, chciałbym pomówić z wami na osobności — szepnął jej ukradkiem.

— Niech pan idzie do błękitnego pokoju — odszepnęła równie tajemniczo Marynka.

Poczem zamknęła serwantkę i zwróciła się do babuni, a Golicyń wysunął się cicho z bawialni. Babunia kończyła właśnie pasyaansa, którego wynik budził powszechną ciekawość, gdyż był on rodzajem kabały.

— Dama karowa! przy kierach dama karowa! — unosił się Fryndin.

— Siedźcież cicho! batiuszka, i czego się tak bez miary szastacie — gromiła go babunia.

— List i droga! List i droga! — wołał Fryndin, nie dając się uśmierzyć i zaglądając w karty przez ramię staruszki.

— Wcale nie list i droga, a śmierć i marjaż — sprostowała Nina Lwowna, także bardzo waruszona.

— Spełnienie życzeń i niezmiennie powodzenie — objaśniła z tryumfem babunia, wykładając ostatnią kartę.

— Bądźcie tak dobry, Foma Fomicz, i pomóżcie mi saciągnąć krosna — rzekła wtedy Marynka.

— Co ci się zachciewa zaczynać przed nocą — zdziwiła się Nina Lwowna.

— Bo chcę jutro saraz od rana zasiąść do roboty, zwłaszcza, że dnie teraz takie krótkie — odrzekła Marynka, rumieniąc się po uszy, bo nie umiała kłamać. — Pozwól matyczko, pozwól gołąbko miła — prosiła, obejmując matkę, by ukryć na jej piersiach spłonioną twarzyczkę.

— No, to dobrze, idź więc, idź!

Minawszy kilka pokoi ciemnych, lub też słabo tylko oświetlonych płomykiem nocnej lampki, Marynka i Foma Fomicz weszli do błękitnego pokoju.

Czekał już ich tam Golicyń, siedzący obok krosien, na których rozpoczęty był haft, wyobrażający białą papugę na zielonem tle, prawdopodobnie portret Potapa Potapicza.

— Wy, księżę, tutaj? — uśmiechnęła się zdziwiona Marynka, czerwieniąc się powtórnie. — Przepraszam was, Foma Fomicz, że was niepotrzebnie trzymała, skoro księżę tu jest, to on mi pomoże. Zapomniałam na wieki, że mi wczoraj obiecał.

— Nie troszczcie się o mnie, Maryo Pawłowno. Zostawię was tu z księciem, a sam pójde zdrzemnąć się gdzieś w fotelu. Sen mam lekki, więc gdyby ktoś wołał panią, to usłyszę i saraz dam znać. *Tout à vos ordres mademoiselle.*

Rzekłszy to, staruszek wyszedł, szurgnąwszy szarmaneko nogami. Zrozumiał on wybornie, o co chodzi. Marynkę kochał, jak rodzoną córkę. Akwitonowa nie cierpiał, Golicyna zaś uważał za takiego konkurenta, że i marzyć nie można o lepszym.

Skoro Foma Fomicz wyszedł, Marynka siadła przy krosnach i zaczęła niby oglądać haft, Golicyn siadł obok niej i oboje milczeli.

— No i cóż, księżo. Co mi macie powiedzieć? Ja słucham — odezwała się wreszcie Marynka, uśmiechając się do niego.

Odpowiedział jej takimże spojrzeniem i uczuli znów tak samo, jak w czasie swej podróży w dyliżansie z Petersburga do Moskwy, że milczenie takie zbliża ich nieskończenie i jednoczy, jak gdyby spotykali się po długiej rozłące i poznawali się wzajemnie na nowo, z radosnem zdumieniem.

— Pamiętacie, Marynka, com słyszał od was w czasie naszej podróży, że może nie macie wcale narzeczonego. Jakże to jest, macie go? czy nie? — spytał Golicyn.

— Dlaczego chcecie wiedzieć o tem? — spytała z kolei Marynka, pochylając się znów nad haftem i szturgając paluszkami czubaty łebek Potapa Potapicza.

— Marynka! miła! Wy przecie wiecie dlaczego.

Wziął jej rękę, której mu nie cofnęła, a tylko schyliła niżej jeszcze głowę tak, że twarz zasłonięta była prawie całkiem wисяcymi po bokach lokami. Wiedziała, że los jej waży się w tej chwili i starała się ukryć wzruszenie, lecz nie mogła tego dokazać, bo serce tłukło się w niej tak mocno, że chyba i on musiał słyszeć.

— Co wam? Co wam jest Marynko? Czemu nie chcesz mówić ze mną, jak dawniej? Czemu jesteś taka...

— Jaka? Nic! ja przecie nic. — Czyż można zresztą zawsze swywolić, jak dziecko. Ja już nie dziecko, a życie to nie żart.

— Życie? Cicho.

Przypomniały się Golicynowi słowa ojca Marynki:

Korząc się sercem wierzyć trzeba,
I w cierpliwości czekać końca.

— No cóż! jeśli nie chcesz mówić ze mną, to nie mów, a tylko wierz Marynko, wierz bez względu na to, co się zdarzyć może, że masz we mnie przyjaciela. Czy będziesz wierzyć temu Marynko?

— Oczywiście, że tak — chciała odpowiedzieć po dawnemu, ale nie mogła i uśmiechnęła się całkiem inaczej jakimś bladym uśmiechem.

— Wierzę, tak — prawie — skończyła wreszcie.

— Czyż można wierzyć prawie? — odrzekł Golicyn z goryczą, puszczając jej rękę. — Cóż robić? nie zasłużyłem widocznie na nic lepszego.

Znowu zamilkli, czując, że mówią oboje nie to, co trzeba. Słowa rozdzieliły ich, jakby po krótkim spotkaniu znów przysła rozłąka i to na wieki.

— I to już wszystko księżo, coście mi chcieli powiedzieć?

— Nie! nie wszystko, zostało jeszcze najważniejsze. Chodzi o to, abyście wiedzieli Marynko, że z Akwitonowem możecie postąpić, jak sama zechcecie. Wyście już wolna Marynko. Dług, który

mieliście na Czeremuszkach, zapłacony i nikt już pani Czeremuszek nie odbierze. Teraz dopiero może pani mieć swobodny wybór.

Radość błysnęła nagle w jej oczach, lecz równie szybko zgasła.

— Co wy mówicie, książę? Dług zapłacony? I ktoś to zrobił?

— Wszystko jedno kto.

— Jakto wszystko jedno? Los mój się rozstrzyga, a ja nie wiem kto?

— Ach! Boże mój. Nie w tem rzecz. Ale jeśli już pani chce koniecznie wiedzieć, to...

Tu Golicyń zaplatał się i zmienił jak dzieciak, mocno czerwieniąc się.

— Chcecie wiedzieć? To Foma Fomier zapłacił, ot kto.

— Foma Fomicz? Skądże on wziął pieniądze? Biedniejszy jest przecie od nas.

— Może od babuni?

— Od babuni? Przecież mama dziś jeszcze cały ranek prosiła, żeby babunia zapłaciła choć część długu, a ona stanowczo odmówiła. Dlatego wy nie mówicie prawdy, książę? Co macie na myśli?

Badala go oczyma, mówiąc to, a wreszcie wstała nie odrywając od niego wzroku.

— Waleryanie Michajłowiczu — rzekła — proszę mi zaraz powiedzieć, kto zapłacił? a jeśli mi pan zaraz nie powie, to Bóg wie, co sobie pomyślę.

Nie odrzekł nic, ale ona zrozumiała i pobiła.

— Więc to pan! A! dzięki wam książę, pan jest bardzo dobry. Pożalowaliście książę ubogiej dziewczyny i obdarowaliście ją; a tylko nie przyszło wam na myśl, że może my, choć biedne, nie zechcemy przyjąć takiego podarku... jałmużny?

Gdybyście mieli choć trochę nie już przyjaźni, lecz szacunku dla mnie i dla mamy, nie zrobilibyście tego książę. Choć zresztą, to ja sama winna jestem, że pozwoliła... głupia... głupia... dziewczyna.

Zakryła twarz rękami, opadła na krzesło i zaczęła płakać. Scaupłe jej ramiona wstrząsały się od szlochu; z pod rozsuniętej muslinowej *Fichu*, wychylała się szczupła pól dziecinna szyja, pól dziecinne piersi falowały pod stanikiem, podnosząc się i opadając.

— Co ja narobiłem, głupi? — zawołał Golicyń, chwytając się za głowę.

Nie wiedział sam, co dla niego w tej chwili ważniejsze, wyzwolenie Rosyi, powstanie, rewolucya, czy ta płacząca dziewczyna.

Marynka wstała i szła ku drzwiom, nie odejmując rąk od twarzy. Golicyń rucił się za nią chcąc ją zatrzymać.

— Marynko! Maryo Pawłowno! poczekajcie! nie uciekajcie tak, dajcie powiedzieć, posłuchajcie na Boga.

— Puśćcie mnie książę! puśćcie!

Ale on nie puszczał i przytrzymał mocno jej rękę.

— Niechże pani pozwoli, niech pani pozwoli powiedzieć. Nie mogę przecie tak Marynko! Odejdzie pani zaraz i może się już nigdy nie zobaczymy.

Zatrzymała się, słuchając.

— Tylko minutkę... ja tylko chcę — ...Niech pani siądzie proszę, niech pani usiądzie.

Ciągnął ją za rękę, prowadząc do krzesła. Uległa, poszła za nim i siadła na dawnym miejscu.

— Głupiec! ze mnie, głupiec! Wszyscy rozumni ludzie, to najgorsze durnie, to chyba o

mnie powiedziano — powiedział strapiiony — gdybym był wiedział, że to tak wypadnie. Nie! czyż pani mnie uważa za ostatniego nikczemnika. Pani sama mówiła wczoraj, że najlepiej po prostu. Ja też chciałem. Pani nie wie Marynko, w jakim ja jestem położeniu... Pamięta pani bajkę. »Wędrowiec i wielbłąd«, wielbłąd oszalał, wędrowiec wpadł do studni, a tam krzak malin... Ghociaż nie, to nie to — ja wciąż mówię nie to, co trzeba, poprostu, rozum tracę Marynko! Nie mogę przecież pozwolić, żeby się pani gubiła, bo ten Awkwitonow, to dla pani zguba, gorzej niż zguba. Mówiłaś sama przed chwilą, że prawie wierzysz, iż jestem wam przyjaznym. Jak to strasznie, jak boleśnie, że w życiu naszym wszystko jest zawsze prawie, a nigdy całkiem... I znowu nie to. Poczekaj! co tu ja chciałem... Gdyby przyjaciel wasz, prawie, że przyjaciel, szedł na śmierć, na pojedynek na przykład, z którego może nie wróci, i chciał przedtem zrobić dla pani coś dobrego, gdyby zapłacił ten przeklęty dług za Czeremuski, żeby cię ocalić od zguby. Czyżby pani nie przyjęła? czy odmówiłaby pani takiemu, idącemu na śmierć przyjacielowi?

Ona przestała płakać i odkryła twarz, a nie rozumiejąc jeszcze słów, wsłuchiwała się w głos jego, wpatrywała w rysy, takie w tej chwili miłe, proste, dziecięce niemal, a takie przytem smutne, że znów, jak wtedy przy pierwszym zbliżeniu, ścisnęło się jej serce przecuciem, że temu człowiekowi grozi jakaś bieda, że trzeba mu jakoś pomóc, ostrzedz, uratować.

— Ja wiedziałam, ja wiedziałam — zawołała klasnąwszy w dłonie. — Mów pan! Mów pan

natychmiast! Co to jest? Co to znaczy? Co za pojedynek? Jaka śmierć?

— Nie pytajcie Marynko! Nie mogę powiedzieć.

— Kobieta?

— Jaka kobieta?

— Znowu pan zapomniał o narzeczonej?

— Nie mam żadnej narzeczonej, wszak mówiłem.

— Pan mówił, że nie, ale może mimo to pan ją ma.

— Dlaczego mi pani nie wierzysz Marynko? Czy pani nie widzi, że ja mówię prawdę.

— Więc co? Proszę mówić! Dlaczego pan mnie tak męczy, co pan ze mną wyrabia?

— Nie mogę powiedzieć, powtórzył Golicyn.

Od Fomy Fomicza Marynka słyszała, że czasy są niespokojne, że książę Konstanty zrzekł się tronu i wojska będą przysięgać, a jeżeli nie zechcą, to może będzie bunt.

Może to to, pomyślała z wróżebnym lękiem.

— Ja przed chwilą powiedziałam nieprawdę, że wierzę panu prawie tylko, bo ja wierzę całkiem i bez względu na to co się zdarzyć może, będę zawsze wierzyć. A tylko straszno mi bardzo, straszno, wiedzieć a nie wiedzieć. I co ze mną będzie? Waleryanie Michajłowiczu, miły mój, a czyż nie możnaby, żeby tego złego wcale nie było.

— Nie, Marynko! nie można.

— A kiedyż to będzie?

— Nie wiem! Rychło już, może jutro.

— Jutro? To znaczy odejdzie pan i może się wcale nie zobaczymy.

Pobladła i pochyliwszy się ku niemu, położyła mu ręce na ramiona, on ukląkł przed nią i objął ją w pól.

— Serdeczna ty! Najdroższa! Jedyna!

W tej chwili wspomniał Zofię; czy nie zdrada to niebieskiej kochanki dla ziemskiej? Nie! Nie było w tem zdrady, kochał w obu, niebieskiej i ziemskiej, jedno jedyne.

— Więc odejdziesz i nigdy już, nigdy, nigdy nie zobaczymy się — powtarzała Marynka, płacząc; nie były to już jednak, niedawne gorzkie łzy, a przeciwnie, słodkie, kojące łzy miłości.

— A jeśli zobaczymy się, czy nie porzucisz mnie?

Pochyliła się ku niemu niżej jeszcze, tak nisko, że twarz jej miał tuż przy swojej i czuł na twarzy jej oddech.

Patrzyli na siebie, milcząc, i znów przypominali się niby i poznawali wzajemnie, jakby poprzez sen jakiś bezpamiętnie dawny, a wielokrotnie prześniony. Uśmiechy ich zbliżały się wciąż do siebie, aż wreszcie zlały się w pocałunku.

— Rodzona ty moja! Rodzona! Rodzona! — powtarzał, jakby w tem jednym słowie mieściło się wszystko, co czuł. — Przecznaj mnie, Marynko, bo ja, widzisz, idę także i za siebie i za ciebie także...

— Dlaczego za mnie?

— Potem się dowiesz.

— Nie możesz teraz powiedzieć?

— Nie mogę. Przecznaj mnie.

— No! Chrystus z tobą! Chroń go, wspieraj, ratuj! Matko przeczysta! — błogosławiła go temi słowami, co niegdyś Zofia i pocałowała go z macierzyńską już tklivością.

— Tak, Matka! Matka przeczysta — myślał — rodzinna ziemia matka! Matka i oblubienica razem. Na mękę krzyżową, na śmierć; za nią, za Rosję, Matko przeczysta...

ROZDZIAŁ X.

W nocy z 13 na 14 grudnia, w małych pokojach Rylejewa, po raz ostatni zebrali się spiskowcy. Nocy owej tak samo, jak w dzień, tłoczyli się tłumnie, wchodzili i wychodzili. Nie spierali się już, jak poprzednio, nie krzyczeli, nie hałasowali, zachowywali się cicho, twarze mieli skupione, czując, że nadeszła stanowcza godzina.

Podżyły mężczyzna, w sielonym wytartym fraku i białym halsztuku; w szyldkretowych okularach na nosie, z twarzą chudą i oschłą na oko, a w gruncie marzycielską, czytał z przejęciem powoli z rękopismu. Był to baron Włodzimierz Steingel jeden ze starszych członków północnego związku, który odczytywał manifest, jaki miano ogłosić w imieniu senatu, który brzmiał, jak następuje:

Obalenie byłego rządu. Ustanowienie rządu tymczasowego do czasu wprowadzenia stałego. Wolność druku i zniesienie cenzury. Wolność wyznawania każdej religii. Równość wszystkich wobec prawa. Zniesienie poddaństwa. Jawność sądów. Wprowadzenie prysięgłych. Zniesienie stałej armii.

— No! a jakże my to wszystko zrobimy — zapytał ktoś.

— Bardzo prosto — odparł Steingel. — Polecimy senatowi i synodowi, by stworzyli rząd tymczasowy z członków głównego zarządu tajnego związku i z władzą nieograniczoną. Im rozda się ministerstwa, dowództwo armii i wszystkie urzędy, poczem rząd tymczasowy przystąpi do zwołania zebrania przedstawicieli narodowych,

którzy zatwierdzą nowy porządek rzeczy dla całej Rosyi.

Każdy, kto wchodził do tych małych izdebek, wpadał odrazu w upojenie, jak gdyby mocne wino biło mu do głowy. Każdemu dech zapierało od wielkiego pocucia mocy. Zrobią co zechcą; jak postanowią, tak będzie.

— Nic z tego nie będzie — myślał Golicyń — a może i będzie. Szaleńcy, lunatyki, projektodawcy, a może i prorocy. Może to wszystko nie spełnienie a zapowiedź, nie grom a błyskawice, lecz gdzie jest błyskawica, tam paść musi i grom.

— Miasto Niżny Nowogród, przemianowane na Słowiańsk, zostanie stolicą nowej Rosyi — czytał Steingel.

Golicyń zmrużył oczy i patrząc na mętne woskowe świece z rozchwianymi płomieniami, mrugającymi poprzez gęsty dym tytoniowy, marzył i widział już zda się na jawie złociste kopuły Syonu rosyjskiej wolności.

Pułkownik inżynierii Bateńkow, pochyły, kościasty, nieruchawy, który wymawiał każde słowo z takim trudem, jakby wtaczał pod górę ciężki kamień, palił fajkę na długim, wiśniowym cybuchu, saciągając się często, jakby chciał wessać w ten sposób wszystkie brakujące wyrazy. Bohater z dwunastego roku utracił był pod Monmirail całą baterię, z nadmiaru jak mówiono męstwa. Był on przytem mistrzem w kobiecych robotkach, a zwłaszcza lubił wyszywać na kanwie, wyszywał więc i teraz, marsząc o przyszłym swym udziale w rządzie tymczasowym, gdzie zasiadzie razem ze Sperańskim, generałem Jermolowem, archiepiskopem Filaretem i Pestlem. Doradzałby przekształcić wojskowe osady Arakcejewą na

gwardyę narodową, *garde nationale* i by oddać twierdzę Petropawłowską miastu, dla pomieszczenia w niej rady miejskiej i miejskiej straży.

— U nas w Rosyi, nie należy niczego robić rewolucyjnie, a tylko za pośrednictwem senatu i drukowanych ukazów, a przysięgną bez oporu. Można by także wziąć trochę wojska i przechodzić z bębni i muzyką od pułku do pułku, a wiele ważnych rzeczy można by w ten sposób dokonać.

— Będzie o nas przynajmniej stronnica w historii — radował się dragoński sztabs kapitan, Aleksander Bestuzew, podnosząc oczy do nieba; poczem dodał z przejęciem.

— Czyż nie powinna usynowić nas ojczyzna.

— No! już z tem dajcie pokój — przerwał sucho Oboleński i nachmurył się.

Podpułkownik lejś grenadyerski Bułatow, ładny, smukły, biały jak porcelanowa laleczka, ze zdziwionemi błękitnemi oczyma i zdziwioną nieco obłądną twarzą, słuchał wszystkich z równem przejęciem i jak gdyby chciał zrozumieć, lecz nie mógł.

— Jedno wam powiem przyjaciele, jeśli i ja wezmę udział w wypadkach, znajdą się i u nas Brutasy, a może nawet przewyższą dawnych rewolucjonistów.

— Nie kończył przemowy tej i urwał zmieszany.

— Jaki plan działania? — pytał Golicyń.

— Plan nasz jest następujący — objaśniał Rylejew. — Mówić przeciw przysiędze i krzyknąć w pułkach, że Konstantego zmusili, że zrzeczenie się na piśmie nie nie znaczy, że niech sam wyda manifest lub najlepiej przyjedzie. Skoro wabu-

rzymy umyśli w pułkach poprowadzimy je na plac.

— A dużo będzie tych pułków — zapytał Batenkow.

— Policzymy: cały Izmailowski, jeden batalion finlandzkiego, dwie rotę moskiewskiego, lejbnadryerki także dwie rotę, morską załogę całą część kawalerii i artylerii.

— Nie trzeba artylerii, wystarczy biała broń — wykrzyknął znów Bałatow.

— Powodzenie zapewnione, powodzenie zapewnione — krzyczeli wszyscy.

— No! a cóż będziemy robić na placu? — pytał Obolenki.

— Przedstawimy senatowi projekt konstytucji, a potem pójdziemy prosto na Zimowy dworzec, aresztować carską rodzinę.

— Łatwo powiedzieć aresztować, a jeśli zbiegnie? pałac ma dużo wyjść.

— Niezłe byłoby dostać plan — radził Batenkow.

— Carska rodzina nie szpilka, nie sprzątną jej nam tak łatwo przed aresztowaniem — zaśmiał się Bestuzew.

— Nie myślimy przecież, aby samo zawładnięcie pałacem zakończyło sprawę — ciągnął dalej Rylejew. — Zresztą jeśliby nawet car z rodziną zbiegł, to i tak gwardya przejdzie wtedy na naszą stronę. Najważniejsza rzecz pierwszy wybuch, który wywoła zamieszanie, a potem same już okoliczności wskażą, co trzeba dalej robić. Pamiętajcie druhowie, powodzenie każdej rewolucji w jednym słowie: »Waż się!« — krzyknął z zapalem cały rozjaśniony, błyszczący, lotny, podobny bardziej niż kiedy rozchwieanemu od wichru

plamieniowi i tak był piękny w owej chwili, jak jeszcze nigdy.

— Wy, młodzi, nie macie żadnego wyobrażenia o żołnierzu rosyjskim, a ja go znam na wyłot — przemówił wtedy sztabkapitan Jakubowicz, chuderlawy, smagły, jak cygan, z głową obwiązaną czarną opaską z powodu postrzału, który dostał w bitwie jako kaukaski bohater. — Szynki rozbijać, od tego trzeba zacząć — objaśniał. — Skoro się dobrze spiją, żołnierz chwyci za bagnet, a chłop za siekiere. Grabić będą cokolwiek, ale to nic. A wtedy puścić należy czerwonego koguta, to jest podpalić miasto na czterech rogach, aby i prochu nie użyć, bo to wymysł niemiecki, i pójść do cerkwi, wynieść z nich chorągwie i urządzić pochód do samego pałacu carskiego. Wtedy bez wystrzału weźmiemy cara i jego rodzinę, ogłosimy republikę i wszystko będzie skończone.

— Doskonale! wybornie! to dopiero po naszymu, do diabła z filantropią — ryknął zapamiętale książę Szczepin-Rostowski. — Tylko prędzej! prędzej! Szkoda czekać jutra. Zaczynamy zaraz, natychmiast. — Skoczył i wszyscy skoczyli, jakby naprawdę gotowi byli lecieć, tylko nie wiedząc gdzie i po co.

— Co wy sobie myślicie, panowie! zmiłujcie się. Cóż będziecie robić w nocy. Żołnierze śpią i nie wstaną aż do chwili przysięgi. Czyż nie widzicie, że Jakubowicz żartuje.

— Nie! nie żartuję i cóż tu, proszę was, wygląda na żart — uśmiechnął się dwuznacznie Jakubowicz.

— O nie, przyjaciele. Przystępując do wielkich czynów, nie możemy uciekać się do niskich środ-

ków działania. Do czystej sprawy ręce muszą być czyste i nie wolno zohydzać świętego płomienia wolności — przemówił znów Rylejew i zwolna wszyscy ucisiali się, odyskując niejako równowagę i opamiętanie.

W kącie przy piecu przy oszpeconym stoliku, zastawionym fiaskami, siedzieli Küchelbeker, czyli poprostu Kuckla, jak go nazywano i Puszcyn.

Koleski asesor Küchelbeker był to rosyjski Niemiec, wydawca dziennika „Mnemozyna”. Człowiek młody jeszcze, długi, niezgrabny, białobrewy, z wyłupiaszami oczyma, podobny był do wielkiego owadu z rodu komarów, którego zowią w Rosyi Karamor. Sam on przyznawał, że jedynym jego życiem jest pisanie wierszy i marzenia o przyszłym odrodzeniu rodu ludzkiego. Nie należał do stowarzyszenia „Gwiazdy polarnej”, lecz za to był członkiem innego tajnego związku „Przyjaciel rozumu”, zwolennikiem filozofii Śellinga.

Sędzia nadworny Iwan Puszcyn, kolega szkolny i przyjaciel Puszkina, zwany przez poetę „mądrym wietrznikiem” z powodu, iż miał słabość do kobiet, wina i kart; porzucił jednak świetną karierę wojskową i objął skromny urząd w okręgowym sądzie moskiewskim, aby dowieść własnym przykładem, że na najskromniejszym stanowisku przynieść można korzyść ojczyźnie. Wyслуchiwał też z niezmordowaną cierpliwością najdrobniejszych sporów lwerskich przekupek, procesujących się o motek nici i prowadził te sprawy z niemniejszą powagą, jak gdyby szło o ważne interesy państwowe. W szkołach przezywano go staruszką lub matką Zofią, która, jak mówiono o nim, za wszystkich usycha, a te szkolne

przydomki doskonale charakteryzowały niewyczerpaną dobroć jego, gotową zawsze troszczyć się i kłopotać o wszystkich w równej mierze.

Küchelbeker i Puszcyn wiedli z sobą rozprawy o filozofii natury.

— Absolut — mówił Küchelbeker — to jest boskie zero, w którym jednoczą się plus i minus ideał i rzeczywistość. Pojmujecie, Puszcyn?

— Nie rozumiem ani słowa Kückla, a czy nie moglibyście tego samego prościej powiedzieć.

— A prościej tak. Natura to hieroglif nakreślony przez najwyższą mądrość, to odbicie ideału w rzeczywistości, rzeczywistość równą jest abstrakcyi, a różni się tem tylko, że jest ograniczoną i zamkniętą w sobie. Rozumiecie teraz.

Puszcyn patrzył na niego lekko osowiałem oczyma i słuchał z tą samą cierpliwością, jak w sądzie poważnionych przekupek.

Dymisyenowany porucznik, Kachowski, o twarzy chudej, ściągłej, a przytem dziwnie ciężkiej, prawie że kamiennej, z nadmiernie wysuniętą dolną szczęką i oczyma tak żałosnymi, jak u chorego dziecka lub psa, który utracił pana, chodził po pokoju wciąż po tej samej linii od pieca do gabinetu i od drzwi do pieca — tędy i napowrót bez końca, z męczącym niemal maniackim zapamiętaniem, miarowo jak wahadło.

— Przestań Kachowski wałęsać się — zawołał na niego Puszcyn.

Lecz ten nie odrzekł ani słowa, jakby nie słyszał i przechadzał się dalej.

— Rzeczywistość i oderwany abstrakt stanowią jedno — a tylko w dwójce formie — objaśniał Küchelbeker. — Idea tego zjednoczenia, to abso-

lut, nieodzowny warunek wszystkich bytowań, a sam bez bytu. Zrozumieliście teraz.

— Nie, nie srozmiałem. Ale jaki ty jesteś dziwny człowiek Kùchla, żeby w takiej chwili myśleć o takich rzeczach. A pójdziesz jutro na plac?

— Pójdę.

— I będziesz strzelać?

— Będę.

— A cóż na to twój absolut?

— Mój absolut bezwzględnie się na to zgadza. Wasz wiekiusta powinna toczyć się pomiędzy dobrem a złem. Poznanie i czynienie dobra, to jedno i to samo, poznanie jest życiem, a życie poznaniem. Aby dobrze czynić, trzeba dobrze myśleć — zawołał Kùchelbeker, a choć długi, niezgrabny, brzydki, tak był w tej chwili przeświecony światłem wewnętrznym, że stał się przepięknym.

— Ach ty mój absolucie, abstrakcyo bezwarunkowa, ty mój miły długoszu, ty paplo! — rozśmiał się Puszczyn i pochylił się do niego, by go ucałować.

Bez powodu śmiejące się — odezwał się Kachowski, który przystanął był przez chwilę i przysłuchiwać się zaczął. — To, co on mówi jest potrzebne i wobec tego wszystko inne jest frazką. Jeśli dla czego warto robić rewolucję, to właśnie dlatego co on mówi. Aby można było żyć na świecie, cały świat musi się oczyścić — zakończył Kachowski, pochylając się do Puszczyna i wygrażając mu przed samym nosem palcem wskazującym, poczem wyprostował się, wykręcił na pięcie i spacerować znów zaczął tam i napowrót jednostajnie, miarowo, jak wahadło.

Późno już było; kozaczek, Filka, dawno chrapał, skurczony na twardem wieku skrajni, stoją-

cej w przedpokoju pod wieszadłem. Goście rozchodzili się, a tylko w gabinecie Rylejewa zostało jeszcze kilku ludzi dla omówienia ostatnich szczegółów.

— A wiecie panowie, żeśmy nie rozstrzygnęli najważniejszej kwestyi — przemówił Jakubowicz.

— Jakiej najważniejszej? — spytał Rylejew.

— Niby to nie wiecie? Co zrobić z carem i jego rodziną? To jest najważniejsze — szekł Jakubowicz, wpijając się wsrekiem w Rylejewa.

Rylejew milczał, lecz cał, że wszystkie oczy zwrócone są na niego i że wszyscy czekają.

— Ująć ich trzeba i trzymać pod strażą do czasu zwołania powszechnego soboru, który rozstrzygnie, kto ma panować i na jakich warunkach — odpowiedział wreszcie.

— Pod strażą? — pokiwał wątpliwie głową Jakubowicz — a któż ustrzeże cara? Czy myślicie, że postawieni przy nim strażnicy, nie staną się z powrotem niewolnikami od pierwszego na niego spojrzenia? O, nie! aresztowanie cara spowodowałoby niechybną zgubę naszą i całej Rosyi, spowodowałoby wojnę domową.

— A cóż wy sami myślicie o tem? Jakubowicz! — przemówił milczący dotąd Golicyn, którego rozgniewał drwiący ten jakiegoś tamten używał. Do drwin mu nie brak odwagi — pomyślał — ale sam tchórzy.

— Cóż ja? — ja jak wszyscy — wywinał się Jakubowicz.

— Nie tak. Odpowiadajcie wprost, wyście podnieśli kwestję, wam też należy powiedzieć swoje; — sierzcił się dalej Golicyn.

— Pozwólcie panowie! jeśli niema innego sposobu, jest nas tu sześciu ludzi, to jest sie-

dmiu — poprawił się Kachowski, który w swej monotonnej przechadźce wkroczył był do gabinetu i zamiarował właśnie zawrócić, i zatrzymał się słysząc o co chodzi. — Ciągnijmy losy, na kogo padnie ten będzie musiał zabić cara, lub sam będzie zabity.

— A może i nie tchórz, — pomyślał Golicyn przypominawszy słowa Bylejewa, który mówił o Jakubowiczu, że go zna jako człowieka, który pogardza śmiercią i gotów jest w każdej chwili oddać swe życie w ofierze.

— No, cóż panowie, zgadzacie się? — spytał Jakubowicz obrzucając wzrokiem wszystkich dookoła, z drwiącym uśmiechem na ustach.

Wszyscy milczeli.

— A czy wam się zdaje, że to tak łatwo podnieść rękę na cara — przemówił wreszcie Bateńkow.

— Nie! tego nie myślę, Pokusić się o podniesienie ręki na cara, to przecie nie to samo co na zwykłego człowieka.

— Na poświęconą osobę imperatora! zapewne — nierdział się znów Golicyn, lecz Jakubowicz inaczej go zrozumiał.

— Właśnie tak! — powiedział. — Poświęcona osoba, pomazaniec Boży; my to już mamy we krwi. Rewolucyoniści my, bezbożniki, a mimo to ci sami zawsze ruscy ludzie chrześcijańscy. Nie tchórze my i nie podli, każdy gotów oddać życie za pomyślność ojczyzny; lecz gdy do cara dojdzie, ręka na niego podniesiona, odmówi nam posłuszeństwa i serce odmówi. A w sercu trudniej jeszcze cara zabić niż na placu.

— Cicho i milcz! — krzyknął Kachowski tak niespodzianie, że się wszyscy na niego obejrżeli.

— Cóż to jest, na kogo krzyczysz — pytał Jakubowicz, tak zdumiony, że się nawet nie obruszył.

— Na ciebie! Tak, na ciebie. Milcz i nie waz się o tam mówić. Patrz oto u mnie — pogroził mu pięścią i nie dokończył, choć chciał widocznie jeszcze coś dodać.

Wkońcu jednak machnął tylko ręką, mruczając coś pod nosem o paplach, mielących językiem i powrócił do swego spaceru, jak gdyby nic nie zaszło, chodząc znów tam i napowrót z twarzą senną, miarowo, jak wahadło.

— Lunatyk — pomyślał Golicyn.

— Czego on się ciska — zawołał Jakubowicz na dobre rozłoszczony i chciał się rzucić za Kachowskim, lecz Rylejew zatrzymał go za rękę.

— Zostawcie go w spokoju, czyż nie widzicie, że on sam nie wie, co gada.

W tej chwili Kachowski znów wszedł do gabinetu. Jakubowicz spojrział na niego i splunął.

— Pfu! Waryat, wystrzegajcie się go Rylejew, bo narobi wam jeszcze biedy.

— Mylicie się Jakubowicz — przerwał spokojnie Golicyn. — Kachowski jest przy zdrowym rozumie i powiedział to, co należało powiedzieć.

— Jaki należało! Co należało? Mówcie przecie do rzeczy, albo niech was dyabli biorą.

— Dość się już nagadaliśmy, im mniej powiesz, tem więcej zrobisz.

— Cóż to? Czy i wy Golicyn oszaleliście?

— Słuchaj pan, jam nie amator kłótni, ale jeśli pan koniecznie chce.

— Dajcież pokój, właśnie znaleźli czas na spory — przemówił Rylejew z tak gorzkim wyrazem, że się obaj odrazu opamiętali.

— Macie słusność, Rylejew — rzekł Goliecy — rano mędrzy od wieczora, jutrzejszy dzień nas osądzi, a teraz pora iść do domu.

Powstali wszyscy, a z nimi gospodarz, który wyprowadzał ich do przedpokoju, gdzie rosyjskim zwyczajem w futrach i szynelach zatrzymali się jeszcze na rozmowie. Zbudzili poprzednio chrapającego Filka i wyprawili go do kuchni, żeby im nie zawadzał. Mieli wszyscy uczucie, że rozmowa o carobójstwie splątała na nowo ich zamysły, skutkiem czego nie postanowili i w przyszłości nie postanowią.

— Środki działania nasze nieokreślone i niepewne — zaczął Bateńkow.

— To trudno, nie możemy robić repetycyi — odparł Bestużew.

— Wojska wyjdą na plac, a potem zobaczymy, co wypadnie i postąpimy według okoliczności — mówił Rylejew.

— Teraz niema co krytykować; słuchać musimy rozkazów naszego naczelnika; ale gdzież on sam jest? Gdzie się przed nami ukrywa?

— Trubecki dziś trochę niezdrowszy — odparł Rylejew.

— Ale czy będzie jutro na placu?

— Cóż wy Bestużew! Pocóż te wątpliwości — upomniał go Rylejew.

— Teraz panowie spuśćmy się na Boga, niech On sam rozsądzi — rzekł Obolenki. — My z Bogiem, tylko z Bogiem.

Jakubowicz, Bestużew i Bateńkow wyszli razem; Goliecy i Obolenki zostali jeszcze w przedpokoju, żegnając się z Rylejewem. Kachowski, który wciąż jeszcze spacerował, zmiarkował wreszcie, że mieszkanie opustoszało, wyszedł więc

także do przedpokoju i wdziewać zaczął szynel, z tym samym, zawsze sennym wyrazem i z twarzą lunatyka.

— Co ci jest Kachowski? — pytał Rylejew — czyś chory?

— Nie! Zdrow jestem; do widzenia.

Uściskał mu rękę i poszedł ku drzwiom.

— Poczekaj — zatrzymał go Rylejew — mam do ciebie jeszcze dwa słowa.

Kachowski nachmurzył się.

— Co? Jeszcze gadanie i po co?

— Można i bez gadania.

Rylejew odprowadził go na stronę, wyjął coś z bocznej kieszeni i wsunął mu cicho do ręki.

— Co to? — zadziwił się Kachowski i podniósł rękę, w której zobaczył sztylet.

— Zapomniałeś? — spytał go Rylejew.

— Owszem pamiętam — odrzekł Kachowski i dziękując za szczyt.

Był to znak dawno przez nich umówiony, że ten, któremu wręczony zostanie sztylet, ma być wybrańcem głównego zarządu tajnego związku, przeznaczonym do zabicia cara. Rylejew położył mu ręce na ramionach i przemówił podniosłe, słowami, które widocznie z góry przygotował, a które może przeznaczone były dla potomności, podług słów Bestużewa: Będzie może i o nas stroniczką w historii.

— Drogi przyjacielu; Tyś, jak gwiazdka na ziemi naszej i wielką jest twoja ofiarność. Mogłbyś dokonać większych rzeczy, niż zabicie cara na placu.

Chciał uściskać Kachowskiego, lecz ten odsunął się.

— Jakże to zrobić? — spytał dziwnie spokojnie, jakby zamysłony.

— Włóż mundur oficerski i jutro zrana idź prosto do pałacu i tam go zabij, albo też na placu, skoro tam wyjedzie.

Na twarzy Kachowskiego zachodziła odmiana, jakby się w nim zwolna, zwolna coś budziło! Robił wrażenie człowieka, który chce a nie może się przebudzić, aż wreszcie w oczach jego zabłyśła świadomość, jakby teraz dopiero pojmował, z kim i o czym mówi. Lunatyk zbudził się.

— A no dobrze! — rzekł błędąc, choć zawsze równie spokojnie i jakby w zamyśleniu, ja jego, a ty wszystkich; bo ty chcesz wszystkich.

— Dlaczegoż wszystkich? — wyszeptał Rylejew, także błędąc.

— Jakto dlaczego? przecież ty sam mówiłeś, że jednego mało, trzeba wszystkich.

Rylejew nigdy tego nie mówił, a nawet myśleć o tem się bał. Milczał jednak, a Kachowski coraz bledszy wpijał się w niego wzrokiem.

— No! i czemuż milczysz. Przemów przecie, chyba że mówić nie wolno, tak nie wolno, ale zrobić można.

Twarz jego zmieniła się nagle, usta skrzywiły w uśmiechu, nadmiernie wysunięta dolna szczęka poczęła drżeć.

— No Bóg zapłać za zaszczyt, lepszego nie było, więc mnie wybraliście, a wy wszyscy co? Nie macie ochoty we krwi się babrać, jeszcze by też! tacy honorowi ludzie, szlachetnych uczuć, A cóż ja? wystarczy gwizdnąć, taki złoczyńca, wyrutek, niskie narzędzie mordu, sztylet w waszych rękach.

— Co ty Kachowski? Nikt cię przecie nie zmusza, sam chciałeś.

— Tak sam, i jak zechcę to zrobię, poświęcę się dla ojczyzny, nie dla ciebie, ani dla waszego związku. Nie będę szczeblem dla niczych stóp. Jakie to niskie! Przysposobiłeś mnie sobie za sztylet w twojem ręku, ale powiadam ci, żeś stracił rozum, robiąc tak. Miałeś się za bardzo subtelny, a to takie grube, że każdy głupiec poznałby się. Wyostrzyłeś sztylet, ale się strzeż, aby cię nie ukłuł.

— Petio! gołąbku, co ty wygadujesz? — zawołał błagalnie Rylejew, wyciągając ku niemu ręce. — Wszakże my wszyscy razem, czyż ty nie z nami?

— Nie! nie z wami, nie z wami! nigdy nie byłem i nie będę z wami. Sam jestem, sam! sam!

Więcej nie mógł mówić, bo mu dech zapierało, drżał cały jak w konwulsjach; twarz mu pociemniała i straszna była jak u szaleńca.

— Masz oto twój sztylet, a jeśli poważysz się raz jeszcze, to ja ciebie...

Mówiąc to, podniósł kindżał nad głowę Rylejewa, a drugą ręką chwycił go za kołnierz. Obolęński i Golicyń rzucili się na pomoc, ale Kachowski odrzucił wtedy sztylet, który padł z brzękiem na podłogę i pchnął Rylejewa z taką siłą, że ten omal nie upadł, poczem sam wybiegł na schody. Rylejew stał chwilę odurzony, lecz potem wybiegł także na schody i przechyliwszy się przez poręcz wołał za odchodzącym:

— Kachewski! Kachewski!

Lecz odpowiedzi nie było i tylko już zdaleka, prawdopodobnie u wyjścia z podwórca, ciężka brama zatrzasnęła się z hukiem. Rylejew przestał tak chwilę, jakby czekając na coś, poczem wró-

cił do przedpokoju. Wszyscy trzej milczeli czas jakiś, starając się nie patrzeć sobie w oczy.

— Waryat! — orzekł na koniec Rylejew. — Prawdę mówi Jakubowicz, że jeszcze biedy nam napyta i wszystkich nas zgubi.

— Głupstwo! — zaprzeczył Oboleński — zgubi tylko siebie nieszczęsny. Wszyscyśmy nieszczęśni, ale on najbardziej, w takiej chwili sam! Sam jeden idzie za wszystkich, czy może być gorsza męka? pociągnął go za rękę Rylejew.

— Ja go obraziłem?

— Tak! ty, czy można komuś powiedzieć: idź! zabij.

— Powiedzieć nie można, ale można zrobić — powtórzył Rylejew z gorskim uśmiechem słowa Kachowskiego.

Oboleński wzdrygnął się i zbladł, a potem poczerwieniał mocno, tak samo jak kiedyś w czasie rozmowy z Golicynem.

— Niewiem czy można, to wiem, że lepiej samemu zabić, niż powiedzieć zabij — wyrzekł cicho z ciężkim wysiłkiem.

— I znów wszyscy samilkli; Rylejew opadł na skrzynię, słutąca niedawno za łósko kozackowi Filce i oparłszy łokcie na kolanach, zakrył twarz rękami. Oboleński przysiadł obok niego i uspokajał go pieczołotliwie, jakby miał do czynienia z chorem dzieckiem. Milczenie trwało długo, wreszcie Rylejew podniósł głowę i wyglądał znów jak dziś zrana na człowieka ciężko chorego. Rumieńce zbladły, oczy zgasły z płomienia zostały już tylko popioły.

— Ciężko bracia! ciężko nad siły — westchnął z głuchym łkaniem.

— A pamiętasz Rylejew — przemówił Oboleński, gładząc go po włosach z cichą pieśczętą —

Niewiasta, skoro rodzić zaczyna, lęka się, że przyszedł jej czas, lecz potem nie pamięta bólu, w radości, że się człowiek na świat narodził.

— Co za słowa! — zdumiał się Rylejew — ktoś to powiedział?

— Co! zapomniałeś? to nie! przypomnij kiedyś, a teraz posłuchaj jeszcze. »Wy teraz macie smutek, lecz nawiedzę was jeszcze, a wtedy rozradują się serca wasze i nikt radości waszej odjąć wam nie zdoła«. Tak to Rylejuszka będzie smutek, ale będzie i radość, której nikt nam odjąć nie zdoła.

W oczach Rylejewa zaświeciły łzy, ale po przez łzy te uśmiechać się zaczął, kładąc rękę na ramieniu Golicyna.

— Pamiętasz Golicyn, jak rzekłeś kiedyś do mnie: choć nie wierzycie w Boga, niech wam Bóg pomoże.

— Pamiętam Rylejew.

— Więc i teraz powiedz tak — zaczął Rylejew, lecz urwał czerwieniąc się zmieszany.

Golicyn zrozumiał go przeżegnał mówiąc.

— Niech ci Bóg pomaga Rylejew. Niech będzie Chrystus z tobą i z nami wszystkimi.

Rylejew objął jedną ręką Golicyna, drugą Oboleńskiego i przytulił ich do siebie, a usta ich społy się w potrójnym pocałunku.

Po przez lęk i ból, po przez mękę krzyżową, była w nich wielka radość i czuli, że radości tej nikt im odjąć nie zdoła.



CZĘŚĆ DRUGA.

ROZDZIAŁ I.

Od Piotra zaczyna się w Rosyi rewolucya, która trwa po dziś dzień.

Słowa te Puszkina, wypowiedziane do Pestle, przyszedł na myśl Golicynowi, gdy rankiem 14 grudnia, wyszedłszy na plac senacki, spojrzał na pomnik Piotra.

Pochmurny ranek, cichy, senny, mglisty, namyślać się zdawał w co się ma obrócić: w mróz czy w odwilż? Admiralska »igła« wpiła się w niskie obłoki, niby w watę. Mostki na Newie szły ku białej ścianie i zdawać się mogło, że tam za Nową niema już nic prócz mgły i białej pustki, że tam jest kraniec nieba i ziemi, wogóle koniec świata i że w tę białą, odległą pustką skoczyć chciał spiżowy jeździec na spiżowym rumaku. Golicyn spacerował tam i napowrót po bulwarze nadbrzeżnym, spoglądając na pusty plac, a obaczywszy idącego Puszczyzna zbliżył się do niego.

— Zdaje się o ósmej? — rzekł.

— Tak o ósmej.

— A już dziewiąta i nikogo niema.

— Nikogo.

— Gdzież się podzieli?

— Nie wiem.

— A cóż Rylejew?

— On lubi długo spać.

— Otóż to właśnie, bylebyśmy nie przespali wolności Rosyi. — Zaczęli razem spacerować, czekając czy kto nie nadejdzie, lecz nie było nikogo.

— Ja już pójdę — rzekł Puszczyzn.

— A dokąd? — spytał Golicyn.

— Do domu — odparł Puszczyzn i odszedł, a Golicyn spacerował dalej tam i napowrót.

Baba w zamarzłej odzieży, z twarzą zsiniałą od zimna, płukała białinę w przerębli. Stary latarnik spuścił na bloku latarnię ze słupa, obryzganego jeszcze letniem błotem i nalewał konopnego oleju do blaszanej lampki. Wędrowny przepieknął rozkładał na skrzyni miętowe cukierki w kształcie rybek białych i różowych i karmelki, ulane w postaci złotych i czerwonych kogucików. Chłopak z mleczarni, w brudnym fartuchu, z pustym koszykiem na głowie, wpatrywał się natrętnie w Golicyna, wiedząc może z doświadczenia, że tam, gdzie taki pan wyczekuje, nadejść może za chwilę i dama. Ta ciekawość malca dokuczyła Golicynowi tak, że seszedł z Nadbrzeżnej na admiraleki bulwar.

I tam jednak skoro zaczął chodzić po jednej stronie chodnika, ukazał się z drugiej strony języczek w czarnych okularach i dziwnym płaszczu, który spoglądał na niego tak, jakby chciał zapytać: »No cóż będzie, co?«, a potem mijając go powtórnie, jakby odpowiadał: »Co będzie, to będzie, a pogapiemy się«.

— Szpieg! — pomyślał Golicyn — i skreślił za węgiel, a znalazłszy ławeczkę, usiadł na niej i przyszedł się.

— Dawniej kupisz bywało, bułkę za kopiejkę i miałeś co jeść na dwa dni, a teraz i z dziewiciu kopiejkami do straganu nie przystępuj — targowała się żebraczka z przekupką, handlującą kołaczami, posyłając w stronę Golicyna miłosierne spojrzenia dla wzbudzenia jego współczucia. A nad głową jego na bezlistnym sęku rozdziawiła wrona czarny dziób, w którym czerwieniło się coś, jak krew i krakała.

Zrobiło mu się nagle dziwnie smutno, ciężko, ekliwie i zimno, wstał więc i przeszedłszy admi-rałski plac, wstąpił do kawiarni Loreda na rogu Newskiego, tuż obok domu głównego sztabu. Tu paliły się jeszcze lampy, bo światło dnia słabo tylko przenikało przez parterowe okna. Gorąco było od napalonych pieców, pachło kawą i świeżym chlebem. Z sąsiedniego pokoju dochodził stuk kul bilardowych. Golicyn usiadł przy stoliku i kazał sobie podać herbaty. Tuż obok, dwóch młodych urzędników czytało na głos manifest o wstąpieniu na tron cara Mikołaja.

— Ogłaszamy wiernym poddanym naszym, że w skrusze serca i korać się przed wyrokami Przedwiecznego, słożyliśmy przysięgę starszemu bratu naszemu, cesarzewiczowi Konstantemu Pawłowiczowi, jako prawnemu podług ustaw następcy na tron wszechrosyjski.

Gdy doszli do ustępu o rzeczeniu się korony przez Konstantego i powtórnej przysiędze, czytający zatrzymał się.

— Czy zrozumieście? — spytał donośnym szeptem, którego Golicyn nie mógł nie słyszeć.

— Rozumiem — odparł drugi. — Ilez tu wrzecie będzie tych przysięg? dziś jednemu, jutro drugiemu, pojutrze może trzeciemu.

— Wzywamy wszystkich wiernych poddanych naszych do zjednoczenia się z nami w gorących modłach do Najwyższego, by raczył wesprzeć nas w zamiarach naszych wstąpienia w ślady oplakiwanego przez nas monarchy, jakby panowanie nasze było dalszem przedłużeniem jego rządów.

— Rozumiem to.

— Rozumiem: »Naniżaleś wątku«.

I znów od początku...

— To także szpiegi — pomyślał Golicyn i odwrócił się od nich, a wzięwszy do rąk poszarpany egzemplarz książki »O cnotliwych zamiarach« udał, że czyta. Po chwili wszedł, pobrzękując szablą, chorąży konnej gwardyi i zamówił u sklepowej Francuski funt cytrynowych karmelków. Golicyn poznał w nim kniazia Aleksandra Odojewskiego, a przywitawszy się z nim, odprowadził go na stronę.

— Skąd ty?

— Z nocnej służby, w zimowym dworcu stałem na warcie całą noc.

— No i cóż?

— A nic, tylko że hrabia Miłoradowicz był u cesarza z raportem, że wszystkie pułki powracają od przysięgi. Całe wojsko przysięgło, a można powiedzieć, że i miasto, bo do cerkwi przecisnąć się nie podobna. Hrabia Miłoradowicz wesół, jak solenizant, zaprasza wszystkich na pierog do dyrektora teatru Majkowa, a stamtąd do baletnicy Teleszowej.

— A cóż ty myślisz Sasza?

— Nic nie myślę. Już jeżeli wojskowy gubernator zaprasza na pierog do tancerki baletowej, to widocznie bezpieczeństwo panuje w mieście.

Francuzka podała Odojewskiemu funt karmelków przewiązany różową wstążeczką.

— Gdzie idziesz stąd? — pytał go Golicyn.

— Do domu.

— Po co?

— Będę leżał na kanapie i smoktał karmelki — odpowiedział Odojewski, nicmędrszego nie wymyślę.

Uściskał rękę Golicyna i wyszedł. Golicyn zaś został i usiadł znów przy stoliku. Znużony, był senny, powieki mu ciężły, oczy zamykały się same.

— Byłoby nie zasnąć!

I zdało mu się, że cały pokój wypełnia biała wata, a poza nią kryje się Marynka. — Wołał ją, lecz słyszeć nie mogła, bo wata wszystko zagłuszała, a tylko siedząca nad nim czarna wrona rozdziawiała dziób, w którym czerwieniło się coś podobnego krwi i krakała mu nad uchem: Nic z tego! nic z tego nie będzie.

Lecz oto zbudził się od nagłej wrzawy. Wszyscy zerwali się i pobiegli do okien, by patrzeć na ulicę; lecz okna były niskie, prawie równo z ziemią, więc widać przez nie było tylko nogi biegnących ludzi.

— Co się stało. Zabili kogo?

— Ograbili?

— Pożar?

— Bunt!

Golicyn porwał się także i omal kogoś z nóg nie zwałił, wybiegając na ulicę.

— Bunt! bunt! — posłuszał okrzyki wśród biegnącego tłumu, z którym się złączył i biegł ra-

zem za róg Newskiego, przez plac admirałski, ku Grochowej.

— Ach! bieda! bieda!

— Cóż takiego?

— Gwardya buntuje się, nie chce przysięgać Mikołajowi Pawłowiczowi.

— Kto z Mikołajem tego rąbią i sieką, a tych, co za Konstantym, wloką ze sobą.

— A któż jest cesarzem?

— Mikołaj Pawłowicz.

— Konstanty Pawłowicz.

— Niema wcale cara!

— Ach! bieda! bieda!

Dobiegłszy do Grochowej, Golicyn posłyszał zdaleka bicie w tarabany i głąchą wrzawę głosów, podobną huczeniu nadlatującej wichury, coraz bliżej, bliżej, aż naraz ziemia zadudniała od tysięcznych stóp, powietrze zadrzało od krzyków ogłuszających.

— Ura! ура! ура! Konstanty!

Pochylony wprzód, jakby padając, z nastawionymi bagnetami, pędził batalion leibgwardyi moskiewskiego pułku z rozwiniętym sztandarem, prosto przed siebie, jak do ataku, jakby zamierzał zdobywać szturmem niewidzialną fortecę.

— Ura! ура! ура! krzyknęli żołnierze z zapamiętaniem, a usta mieli otwarte, oczy wyszłe na wierzach, szyje wyciągnięte z naprężonymi żyłami, jakby ten krzyk, który podnieśli, był dla nich niesłychanym wysiłkiem, jakby się równał podźwignięciu niezmiernego ciężaru. A niskie, brudno-żółte domki Grochowej ulicy, patrzyły na to niezwykle widowisko, niby starzy urzędnicy petersburscy, którymby pokazano koniec świata.

Tłum biegł razem z żołnierzami. Ulicznicy gwizdali, piszczeli i brykali jak małeńkie czarty,

a trzy wielkie czarty trzech sztabs - kapitanowie, biegli przed batalionem. Byli to: Aleksander i Michał Bestuzewowie i Szepein Rostowski. Bestuzewowie zatknęli na ostrzach obnażonych szpad swe kapelusze z piórami, a Rostowski wymachiwał olbrzymią szablą, którą zarabiał już na śmierć trzech ludzi. Potykając się i płacząc w połach płaszcza Golicyn biegł z nimi trzymając w ręku opadłe z nosa okulary i krzyczał jak wszyscy bez upamiętania.

— Ura! Konstantyn.

ROZDZIAŁ II.

Z Grochowej zawrócili na lewo, obok domu Łobanowa i parkanu Izaaka i wpadli na plac Senacki; tu zatrzymali się przy pomniku Piotra i ustawili się w bojową kolumnę frontem do admirałcyi, a tyłem do Senatu. Wystawili placówkę strzelców wywiadowczych, a w środku kolumny ustawili rozwinięty sztandar, dokoła którego skupili się wszyscy obecni tu członkowie tajnego związku. Podobne to było do igraszek olbrzymów, ogromne i straszne jak śmierć, a śmieszne przytem i niewinne jak chłopięca awawola.

Aleksander Bestuzew, wszedł za kratę pomnika i pochyliwszy się do postamentu, pisać coś zaczął ostrzem swej szpady.

— Co ty robisz! — spytał go Odojewski.

Na skały Piotrowej granicze

Wolności ostrzę oręże.

Zadeklamował patetycznie Bestuzew.

— I czego chmurzysz się Golicyn, zauważył Odojewski — Bestuzew chciał cały pułk zbun-

tować; a że lubi trochę powować, to i cóż? my to wszyscy lubimy, a mimo to jesteśmy suchy.

Książ Szepein, ochłonawszy z poprzedniego szaleństwa, osłabł, ociężał i przysiadłszy na kamieniu, oglądał uważnie swoje ręce w rękawiczkach. splamionych krwią. Próbował je zdjąć, lecz przyklepiły od krwi — więc podał je zrzucił z rąk i tarł dłonie śniegiem, aby zmyć krew.

Wszystko będzie dobrze, powtarzał Odojewski słowa Obolenskigo, o i to jest dobrze, rzekł do Golicyna, ukazując na Szczepina.

— Tak jest, bez tego nie można, odparł ten, a rzekłszy te słowa obejrzał się mimowoli na Kachowskiego.

W prostym keczuchu, obwiązanym czerwonym pasem, za który zatknęty był sztylet i dwa pistolety. Kachowski wyglądał jak zawsze, z twarzą chudą, o rysach dawnie ciężkich, prawie że kamiennych i żalonych oczach chorego dziecka. Poczuł on na sobie wzrok Golicyna i coś jakby drgnęło w tej kamiennej twarzy, jakby się chciało odalonić, lecz natychmiast odwrócił się posępny. »Nie z wami, ja nie z wami, Nie byłem z wami nigdy i nie będę« przypominały się Golicynowi wczorajsze słowa Kachowskiego i zrobiło mu się naraz nieskończenie żal samotnika, nad którym uczuł litość do nie zniesienia bolesną.

— A ot i Rylejuszka; zmęczył się biedak, zmordował, ścisnął go Golicyn z osobliwą czułością, bo czuł się wobec niego winnym z powodu podejrzenia, że przespi sprawę, a on tymczasem od wczesnego ranka miotał się po koszarach i werkach, chcąc nabierać żołnierzy, nic nie wkurzał i wrócił z pustymi rękami.

— Mało nas! Golicyń, och, jak mało.

— To nie, w każdym razie trzeba było zacząć, przypomniał Rylejewowi, właśnie jego słowa.

— Tak! Trzeba było choć na minutkę, jesteśmy wolni, zawołał Rylejew.

— A gdzie Trubecki? Przypomnieli sobie nagle.

— Czort jego wie, przepadł, jak pod ziemię skrył się.

— Złakł się widocznie i przepadł.

— Jakże tak można panowie, czyż możemy zacząć bez dyktatora, zafrasował się Rylejew.

Tu za stalowym murem bagnatów bezpiecznie było jak w fortecy, a przytem zacisznie i ciepło od mnogich oddechów ludzkich. Od żołnierszy szedł zapach koszarowy razowego chleba, tytoniu i siermiężnego sukna; paniczek Odojewski woniał przednią perfumą z parmeńskich fiołków, a mieszanina tych dwóch zapachów wydała się Golicynowi symbolem zjednoczenia.

Csłonkowie tajnego związku ściskali się, całowali po trzykroć, jak na Wielkanoc. Twarze ich były tak zmienione, że patrzyli na siebie, jakby oglądając się po raz pierwszy. Mówili pospieszenie, porywczo, przerywając sobie wzajemnie, często bez związku, jak w malignie, lub pijanem odurzeniu.

— No cóż, Saszka! Dobrze idzie, nieprawda? — pytał Golicyń Odojewskiego, który nie zdążył dojść do domu z kawiarni, gdyż po drodze dowiedział się o buncie i natychmiast przybiegł na plac.

— Deskonale, Golicyń! Wspaniale! Nigdy się nie spodziewałem, że tak świetnie pójdzie — odparł Odojewski, poprawiając szynel, pryncem

wypadła mu z kieszeni paczka, obwiązana różową wstążeczką.

— No cóż! Może będziesz teraz podły! na kanapie leżał i karmelki smoktał — rozśmiał się Golicyń, a w duszy pomyślał: »Ożenię się z Marynką, stanowczo się ożenię«. Co ja bredzę? — próbował się opamiętać — zgine zapewne za chwilę; no tak, ale jeśli nie zgine, to się ożenię.

Zbliżył się także Puszczyn, z którym pocałowali się trzykrotnie, jak na Wielkanoc.

— A jednak zaczęło się, Puszczyn, a tyś mówił, że przed dziesięciu laty ani pomyśleć.

— No, byśmy zaczęli bez pomyslenia.

— I może źle wyszło?

— Owszem, dobrze.

— Wszystko będzie dobrze! Wszystko będzie dobrze! — powtarzał Oboleński, także trochę odurzony, lecz z tak jasnym uśmiechem na twarzy, że patrząc na niego, wszystkim się robiło w duszy jasno.

A Wilhelm Küchelbeker, długi, niezgrabny, podobny do postrzelonej czapli, opowiadał wszystkim, jak go po drodze na plac dorożkarz przewrócił z saniami.

— Potłukłeś się?

— Nie! Prosto w śnieg, miękko, byle pistolet nie zamókł.

— Niby ty umiesz strzelać?

— Mierzył do wrony, a trafił w krowę.

— Jakie ty miewasz dziwne przygody, Kuchla!

— Śmieję się, żeby nie płakać z radości — pomyślał Golicyń i pobiegł rozgorączkowany, by mietać się po całym mieście, szukając Trubeckiego.

— Nie wydali żadnych rozporządzeń, spędzili jak baranów na plac, a sami się kryją, warknął Kachowski.

Wszyscy zamilkli nagle zbudzeni z upojenia i wszystkim przebiegł po sercu, chłodny dreszcz. Nie wiedzieli co począć. Zebrali się tu o jedenastej; na admirałkiej wieży wybiła dwunasta, a nie było jeszcze widać żadnego przeciwnika, jak gdyby wszystkie władze wymarły. Zamierzali zaskoczyć senatorów, lecz okazało się, że ci już o ósmej z rana złożyli przysięgę i przejechali się do zimowego pałacu na nabożeństwo. Żołnierze w mundurach tylko bez płaszczy, ziębli i rozgrzewali się winem zaprawnym korzeniami, przestępowali z nogi na nogę, lub bili się rękami po ramionach; po za tem stali tak spokojnie, że przechodnie myśleli, że to wojskowa parada. Golicyn chodził wzdłuż frontu, przysłuchując się rozmowom żołnierzy.

— Konstantyn Pawłowicz, sam tu jedzie z Warszawy.

— Na czwartej stacyi od Narwi, stoi z korpusem polskim, dla wytępienia tych, co przysięgą będą Mikołajowi Pawłowiczowi.

— Inne pułki, także odmówią przysięgi.

— A jeśli on tu nie przyjdzie, to my do niego pójdziemy i na rękach przyniesiem.

— Ura! Konstanty. Tem kończyło się wszystko, a gdy pytano ich dlaczego nie przysięgają, odpowiadali:

— My podług sumienia.

Między prawym frontem czworoboku, a parkanem cerkwi Izaaka, tłoczył się tłum cywilnych; Golicyn wszedł między nich i także nastuchiwał.

W tłumie byli chłopci, rzemieślnicy, mieszczanie, kupcy, służba, urzędnicy i ludzie niewiedomego zawodu, dziwnie odziani, jakby się umyślnie przebrali. Mieli więc na sobie płaszcze pańskie, a chłopskie czapki, albo też półkożuszki chłopskie, o do tego wysokie kapelusze, czarne fraki i zgrzebne koszule z czerwonymi szarfiemi zamiast pasów. Jeden z nich miał twarz całą umazaną sadzą jak kominiarz.

— Taki kmostr, figurą jest w policyi, to sobie pysk osmolił, aby go nie poznali. Objął ktoś Golicyna.

— Czarny pysk ale sumienie białe. Nie sztuka polubić białego, pokochaj mnie i czarnym bo być białym każdy potrafi; odcinał się czarno gęby, szczerząc zęby białe jak u Negra. Wielu miało broń, stare zardzewiałe szable, noże, siekiery, rydle i żelazne drągi, takie jakich używają stróża do rąbania lodu, a także i zwykłe dębczaki, jak w czasach Puhaczewszczyzny. A ci co pszyzali z gołemi rękami, wyrwali koły z Isakowskiego parkanu, albo kamienie z bruku, zbrojąc się czem kto mógł.

— Widząc to bezładne barbarzyństwo i ucisk prostego narodu, cesarz Konstanty Pawłowicz, postanowił to wszystko uporządkować; przemówił chudy rzemieślnik, z wynędzniałą, szłą i mądrą twarzą — ubrany w zatłuszczony kaszket i drelichowy paskowany kubrak przepasany rzemienym pasem.

— Po dwie skóry z nas zdzierają, przekłęci — syczał gniewnie bezczepny sługa dworski, staruszek w bajowej dworskiej katanie z kilku pelerynkami.

— Ciężko żyć ludziom, w całym ruskim carstwie, oj tak! tak! biadała baba czerwona jak

burak, z grubym ręcznikiem pod pachą, widocznie wysłała co tylko z łaźni, a przy niej dziewczynka z wyłopiaszami oczyma, w długim matczynym kaftanie, otwierała szeroko buzię i słuchała chciwie, jakby coś rozumiejąc.

— Panowie szlachta, najgorsi w świecie *padlecy*! — zawołał ktoś w tłumie.

— Przeżyli już oni swoje piękne czasy, to też on ich teraz wytrzebi.

— Nie długie im już panowanie, nie dziś to jutro, krew z nich strumieniem pociecze.

— Wolność! dzieci wolności! — zakrzyknął ktoś, a wszyscy w tłumie, jak jeden mąż, odkryli głowy i przeżegnali się.

— Sam on już idzie rozprawić się z nimi, już niedaleko.

— Ale gdzie tam! wzięli go pod straż, w kajdany zakuli i wywieźli.

— Ach ty nasz biedaku serdeczny!

— Nie bójcie się, już my go odbijemy.

— Idą już! idą! posłyszał Golicyń i obejrzawszy się, zobaczył od strony admirałskiego bulwaru, nadjeżdżającą gwardyę konną. Jeźdźcy w stalowych hełmach i pancerzach, postępowali zwolna, ostrożnie jakby skradając się, jadąc po trzech w szeregu.

— Widzicie! Leżą jak senne muchy, nie do smaku biedaczkom, śmiano się w tłumie.

— No! Bogu chwała, zaczyna się.

ROZDZIAŁ III.

Jenerał gubernator Miłodarowicz podjechał do placówki strzelców, wystawionej przed frontem powstańców. W mundurze z haftem złotym, prze-

pasany błękitną wstęgą Andrzeja, w trójkątnym kapeluszu z białym pióropuszem siedział jak przykuty na bystrym wierzchołku. Przybył na plac prosto z mieszkania, baletowej tancerki Katiienki Teleszowej. Na zmiętej jego twarzy, w mięsistych wargach i rozmarzonych oczkach, rozlany był wyraz lekceważenia, jakby zamierzył rozburzyć jednym jękiem cały ten szyk zbrojny.

— Stój! nie najezdź! — krzyknęli mu żołnierze i rozwinęli się w półkole, nastawiając bagnety.

Ruski Bajard, towarzysz Suwarowa, który wyszedł bez jednej rany z trzydziestu bitew, miałby się uleknąć tych warchołów?

— Dość tego chłopcy! przepuścić! — krzyknął, i pchnął konia galopem z taką zimną krwią, z jaką bywało trwał pod eguiem paląc fajkę i poprawiając fałdy amarantowego płaszcza.

— Boże wielki! jeszcze nie ulana kula, co by mnie miała trafić, przypomniał dawne przechwałki.

— Cóż wy hrabio? Nie jedźcie! Zabijają was; ostrzegał Oboleński który tu nadbiegł. A proste oczy, prostych ludzi wpiły się w Miłoradowicza, jak stalowe sztychy i zdawały się mówić.

— Ach ty trefnisiu! samochwale, ty fanfaronie.

— Nie bój się — rzekł do Oboleńskiego Miłoradowicz — nie zabijają. Nie zbójce to, nie potwory, a rozbrykane wisusy, głuptychy niefortunne. Litować się nad nimi trzeba i rozsądku nauczyć.

Mówiąc to układał w wyraz współczucia mięsiste swe wargi. W oczach żołnierzy dostrzegł Golicyń posępną złą zawziętość, czuł, że jeszcze chwila a wezmą go na bagnety.

— Do nogi broń! — zakomenderował i uchwycił za uzdę konia Miłoradowicza. Radzę odjechać waszej światłości i zostawić w spokoju żołnierzy.

Koń kręcił głową, wspinał się i narowił, ostry rzemień, wpijał się w palce Oboleńskiego, który jednak bólu nie czuł i nie puszczał uzdy.

Adjutant Miłoradowicza, młodsiutki porucznik Baszucki, podbiegł w tej chwili ze ściągniętą od lęku twarzą i stanął obok wierzchowca.

— Powiedziecie wy przynajmniej hrabiemu panie poruczniku, żeby odjechał stąd bo go zabiją; zwrócił się do niego Oboleński. W odpowiedzi porucznik, wzruszył tylko beznadziejnie ramionami.

Lecz Miłoradowicz nie widział już nic i nie słyszał. Spłoszona klacz, rwąc się naprzód targnęła uzdą tak silnie, że Oboleński wypuścił ją z rąk. Jeździec ruszył cwałem w środek wystawionej placówki, która rozstąpiła się przed nim i znalazł się przed frontem buntowników.

— Dzieci! — zaczął Miłoradowicz, przygotowaną z góry przemową, z dobrotną pewnością siebie starego ojca komendanta. Widzicie moją szpadę? wyryty na niej napis: »Druhowi memu Miłoradowiczowi«. A wiecie kto mi ją dał? Sam wielki książę Konstanty Pawłowicz. I jakże to wy myślicie, że mógłbym go zdradzić, jego, mego przyjaciela i że was oszukuję?

Zwolna przeciskał się tymczasem Kachowski, przez szeregi żołnierzy i zatrzymał się o parę kroków zaledwie od Miłoradowicza. Lewą rękę oparł na rękojeści kindżała zatkniętego za czerwony pas.

Oboleński zauważył, że z dwóch pistoletów, które miał wpierw za pasem Kachowski, został już

tylko jeden i że trzyma on prawą rękę zasuniętą pod kożuchem.

— Czyż niema tu między wami starych żołnierzy Suwarowa — przemawiał dalej Miłoradowicz, czy zebrali się tu tylko sami smarkacze i cywilne kanalie, zakończył spoglądając na Kachowskiego, a ten przysłuchiwał się niby uważnie i patrzył mu prosto w oczy. Od waroku tego straszno się zrobiło Oboleńskiemu i prawie nie zdając sobie sprawy co robi, wyrwał bagnet od stojącego obok żołnierza i kładąc począł ostrzem wierzchowca Miłoradowicza. Kachowski spojrzał na niego i Oboleński czuł na sobie drwący jego uśmiešek. Koń spał się dęba, a równocześnie usłyszał Miłoradowicz, znany dobrze trzask, niby wysadzenie korka od butelki szampana. »Okoń macie«, lecz nie zdążył już dodać »jeszcze nie ułana ta kula, od której mi zginąć przyjdzie«.

W białym obłoczku dymu, mignęła mu w oczach biała spódniczka baletowej tancerki i dwie różowe nóżki z pod białej spódniczki, niby dwa różane pączki trykające z rozkwitłego pęka białego kwiatu. Wydęły się mięsiste wargi starego młodzika, jak bywało w ostatnim akcie baletowego widowiska, gdy klaszcząc z całej siły w dłonie, wołał: »Fora! Teleszowa! bis!« Pocałunek powietrzny, posłała mu od sceny Katienka i opadła czarna kurtyna. Odrzucił ręce, zadrgał parokrotnie, jak pajac ciągniony na nitce — i zwałił się z konia. Kapelusz z piórami spadł mu z głowy, odsłaniając rzadkie kosmyki farbowanych włosów, na błękitnej wstędze Andrzeja, sączyła się czerwona struga. Oboleński czuł, że ostrze bagnetu, który trzymał zatapia się w żywe ciało, chciał wyjąć lecz nie mógł, bo zawadziło

o coś. Dopiero gdy rozplynał się obłoczek wystrzałowego dymu, spostrzegł, że Młodawicz padając, natknął się na sztych jego bagnetu, który wsadził mu się w plecy między żebra. Z natężonym wysiłkiem, wy dobył wreszcie ostrze z rany.

— Co za ohyda! — wymyślał z boleśnie ściągniętymi rysami, całkiem tak, jak w dniu pojedynku ze Swininem.

W tem! zagrziała z czworoboku salwa karabinów, a na placu rozległ się radosny okrzyk — »Ura! Konstanty!« Radowano się bo tłum pojął, że teraz dopiero zaczyna się naprawdę, że przestąpili próg przelewając krew. Kachowski wrócił do czworoboku i jak poprzednio przeciskał się ukradkiem przez szeregi. Skoro usłyszał krzyki i strzały, podniósł głowę i spojrzał jakby zdziwiony, lecz opuścił ją znów pogrążając się w zwykłą zadumę.

— Ten się przed niczem nie cofa — pomyślał Oboleński i jeśli car wyjdzie nie da mu pardonu.

ROZDZIAŁ IV.

— Wystaw sobie Komarowski! — mówił cesarz — są ludzie, którzy na nieszczęście noszą ten sam, co ja mundur, a którzy... Urwał, krzywiąc się jednym kątem ust, jak człowiek, którego mocno bołą zęby — a którzy nazywają mnie samozwańcem — skończył z przymusem. Wyraz samozwańiec w ustach rosyjskiego samodziernicy, poraził dosłownie Komarowskiego, tak że nie znalazł na razie odpowiedzi.

— Łotry! Mruknął tylko, a czując, że to za mało, dołączył do tego całą jeszcze listę rdzen-

nie rosyjskich wyzwisk. Cesarz w mundurze Izmailowskiego pułku, bez płaszcza, przepasany wstęgą Andrzeja, tak, jak przybrany był na nabożeństwo, siedział wierzchem na białym koniu, w otoczeniu świty, złożonej z jenerałów i fligel-adjutantów. Stał tak na czele batalionu lej. gwardyi preobrażeńskiego pułku, który ustawił się kolumną na admiralskim placu, wprost Newskiego. Cisza zimowego dnia pogłębiła się bardziej jeszcze tem, że skutkiem zajęcia przez wojska placów i ulic, ustała w mieście wszelka jazda kołowa. Bliskie głosy dochodziły do słuchu prawie jak w pokoju. Zdała od strony senatu donosiły echa przeciągły, nie milknący gwar podobny do szumu fal, bijących o brzegi, a wśród tego wyróżniały się co pewien czas oddzielne odgłosy, niby gruchot kamieni unoszonych wartkim strumieniem.

— Ura! ra! ra! Zagrziała potem salwy karabinowe, a gwar głosów wzmocnił się jeszcze, jakby się przybliżył i znówu gromkie odgłosy.

— Ura! ra! ra!

Jenerał Komarowski spoglądał ukradkiem na cesarza. Pod nisko nasuniętym trójkrotnym kapeluszem z czarnymi piórami, twarz Mikołaja pobladła jakąś sino-przejrzystą bladością, a głęboko osadzone ciemne oczy rozszerzyły się.

— Strach ma wielkie oczy, pomyślał niewiadomo dlaczego Komarowski.

— Słyszysz te krzyki i strzały? Zwrócił się do jenerała monarcha, to nic, ja im pokatę, że nie tchórz.

— Wszyscy podsiwiają męstwo waszej cesarskiej mości, a tylko powinnością waszą jest ochraniać drogocenne swe życie dla dobra ojczyzny;

odpowiedział Komarowski. Wtedy cesarz ucałował, że nie należało mówić o tchórcostwie. Wciąż wypadł z tonu i brał fałszywą nutę, jak śpiewak ze zdartym głosem lub aktor nie umiejący roli.

Rycerz bez trwogi i skazy, taką rolę należało mu odegrać i z początku grał ją dobrze. »Być może dziś wieczorem nie będzie nas obu na świecie, lecz zginieśmy pełniąc swą powinność, rzeź rano do Benkendorfa, ubierając się. Potem, wydając rozkazy komendantom gwardyjskiego korpusu, dodał surowo.

— Odpowiedzcie mi głową za spokój w stolicy. Pamiętajcie, że choćbym miał być cesarzem jeden dzień tylko, potrafię dowieść zem godzien tego dostojenstwa. Lecz gdy usłyszał wyraz bunt, serce w nim zamarło, pociemniało mu w oczach i świat zawirował dokoła niego, jak wichura. Miotać się zaczął, sam nie wiedząc po co, najpierw do głównego odwachu, gdyż zdało mu się, że powstańcy już dobierają się do bram zimowego pałacu i chciał postawić wartę w progu. Potem biegł sam do głównej bramy, gdzie natknął się na pułkownika Chruszczyńskiego, powracającego właśnie z koszar moskiewskiego pułku z głową zranioną, przewiazaną białą opaską.

— Zabierajcie się stąd! ukryjcie się, aby widok krwi nie podrażnił tłumu; krzychał, machając rękami, choć żadnego tłumu jeszcze nie było. Potem nagle znalazł się sam bez świty na placu przed pałacem, wśród skupionej gromadki przechodniów, do których coś przemawiał, przytaczał ustępy z manifestu i bez przejścia prosić ich zaczął prawie uniżenie.

— Nakryjcie panowie głowy! nakryjcie głowy, bo się zaziębiacie. Ludzie ci, krzyczeli ura! padali

na kolana, czepiali się poły jego mundura, chwyтали za ręce i nogi.

— Ojczulku ty nasz i wrogów twych na strępy rozerwiem, nie wydamy ciebie!

Jakiś osobnik w lisiem futrze, z twarzą czerwoną i błyszczącą, pchał się do całowania cesarza. Oddech jego cuchnął wódką, a prócz tego szedł od niego jakiś zapach jakby skóry i bardziej jeszcze odrażający niby surowego mięsa. Na tyłach gromadki, rozbijał się jakiś pijaczyna, którego szarpano i bito, lecz który zdążył jeszcze zakrzyknąć: »Ura Konstanty«.

Cesarz odetchnął głębiej, wtedy dopiero, gdy zobaczył, że przed bramą zimowego pałacu ustawia się kolumna batalionu lejbgwardyi przeobrażeńskiego pułku.

Zebrała się wreszcie świta i przeprowadzono konia.

— Dzieci! Moskiewski pułk dopuszcza się swawoli. Wyście zuchy i nie pójdzicie w ich ślady. Casyście gotowi iść za mną gdzie wam każe, zawołał cesarz przejeżdżając przed frontem, zwykłym swym rozkazującym tonem.

— Radsiśmy starać się, wasza cesarska mość, odparli żołnierze, nie zbyt skwapliwie i nie zbyt przyjacielsko, lecz Bogu dzięki, że choć tak...

— Naprzód! dywizyon! pół obrotem lewem skrzydło — zakomenderował cesarz i powiodł ich na admirałski plac. Lecz doszedłszy do Newskiego, zatrzymał się nie wiedział co dalej począć i postanowił poczekać na raport wysłanego dla wywiadu generała Suchozaneta, komendanta gwardyjskiej artylerii. Wszystko to zdawało mu się chwilami, jakby wizją gorączkową, gdy zwłaszcza spuścił oczy i zamyslał się, co mu się często zda-

rzało. Takie chwile zapomnienia nawiedzały go jakby krótkie omdlenia. Przywiódł go do przytomności głos generał-adyutanta Lewasewa, który nadjechał tu, zaraz po pierwszej wraswie i strzałach, na senatorskim placu.

— Hrabia Miłoradowicz ranny! wasza cesarska mość.

— Rana ciężka, prawdopodobnie żyć nie będzie.

— No cóż! sam sobie winien. Dostał za swoje; waruszył ramionami cesarz, a cienie jego wargi skrzywiły się uśmiechem, od którego dreszcz poszedł po obecnych.

— O! to nie to co Aleksander Pawłowicz, pomyślał generał Komarowski, ten nam dopiero nada konstytucję!

— Cóż nam powiecie, Iwanie Onufrowiczu? — zapytał cesarz nadjeżdżającego Suchozaneta.

— *Cela va mal sire* — zaczął ten. — Bunt rozszerza się, a buntownicy nie chcą słuchać żadnych perswazji. Wojska, które przysięgły, również są niepewne i mogą przejść w każdej chwili do zbuntowanych, a wtedy wytworzą się niebezpieczne warunki. Racście wasza cesarska mość zarsządzić sprowadzenie artylerji — kończył swe doniesienie Suchozanet.

— Więc sam mówisz, że jest kruczo?

— Coś zrobić, niema innego sposobu, trzeba posłać po artylerję.

Lecz cesarz już nie słuchał. Czuł, że przebiegają mu dreszcze po plecach i dolna szczeka drży, pocieszał się, że to od zimna, lecz wiedział, dobrze, że nie tylko od tego. Czuł to samo, co w dzieciństwie, gdy w czasie burzy wsunął głowę pod poduszkę, a dziadźka Lamsdorf wyciągał go za ucho. Sam sobie współczuł. Czego oni wszyscy

chcą od niego? co on im zrobił. Ofiarą jest niewinną woli brata. Biedny mały, *pauvre diable*. Biedny Nika.

Skoło się znów ocknął, przekonał się, że mówi z nim już nie generał Suchozanet, a generał Wojnow, naczelnik gwardyjskiego korpusu.

— Wasza cesarska mość! W Ismailowskim pułku wzburzenie i niepewność.

— Co! Co! co wy mówicie? jak wy śmiecie! — krzyknął na niego cesarz z taką nagłą wściekłością, że ten osłupiał, otwierając szeroko oczy ze zdumienia. — Miejsce wasze panie nie tu, a tam, gdzie burzą się żołnierze, powierzoni waszej opiece.

— Ośmielam się dodać jeszcze, wasza cesarska mość...

— Milczeć!

— Najjaśniejszy panie!

— Milczeć!

A każdy okrzyk, wychodzący z ust jego, brzmiał wzrastającą wściekłością.

Cesarz wiedział bardzo dobrze, że nie ma powodu gniewać się, lecz nie mógł sobą zawładnąć. Jak ogniasty napój ożywczy i wzmacniający, rozlał mu się po żyłach ten nagły gniew. Nie czuł już nikczemnych dreszczyków ani drgania dolnej szczęki i stał się znów rycerzem bez trwogi, samowładcą nie samozwańcem. Zrozumiał teraz, że będzie uratowany, jeśli potrafi rozgniewać się jak należy.

W tej chwili stanął przed nim nieznanym mu oficer, w mundurze sztabu-kapitana pułku dragoniego. Oficer był wysoki, o cerze smagłej, nieco żółtawej, z czarnymi oczyma, czarnym wąsem i czarną opaską na głowie. Stał z szacunkiem,

lecz bez uniżenia, a w spokoju jego było, co nowe czyło odległość, dzielącą monarchę od poddanego.

— Czego potrzebujesz? — spytał go cesarz, jakby zniewolony, zwracając się ku niemu.

— Ja byłem z nimi, lecz rauciłem ich i postanowiłem stawić się ze skrucą przed waszą cesarską mością — rzekł spokojnie oficer.

— Nazwisko wasze?

— Jakubowicz.

— Dziękuję wam za spełnienie powinności — rzekł cesarz, podając mu rękę, z właściwym sobie uśmiechem, który zakochane w nim damy nazywały demonicznym.

Jakubowicz uściskał ją.

— Idźcie więc do nich, panie Jakubowski.

— Jakubowicz — poprawił z naciskiem oficer.

— I powiedźcie im, w moim imieniu, że jeżeli złożą broń, daruję im wszystko.

— Spełnię rozkaz, najjaśniejszy panie, lecz żyw stamtąd nie wrócę.

— Jeśli się boicie?

— Oto dowód, że nie jestem tchórzem i że honor miłszy mi nad zranioną głowę — odparł Jakubowicz, unosząc czapkę i ukazując przewiazkę na ranę. Następnie dobył z pochwy szablę i zatknął na niej białą chusteczkę, godło zgody, trzymając ją przed sobą, poszedł na plac senacki, w stronę buntowników.

— Zuch! odezwał się ktoś ze świty. Cesarz nie nie odrzekł i nachmurzył się. Jakubowicz długo nie wracał — wreszcie ukazał się zdaleka biały sygnał. Cesarz nie wytrzymał i pojechał naprzeciw.

— No i cóż? panie Jakubowski.

— Jakubowicz, poprawił znów tamten z tym samym co poprzednio naciskiem. Tym rozbił.

się wasza cesarska mość i nie chce słuchać o niczem.

— Więc czegoż oni chcą?

— Pozwólcie wasza cesarska mość powiedzieć na osobności.

— Strzeżcie się wasza cesarska mość — podszepnął Benkendorf — to jakaś zbójcka mordą. Lecz cesarz pochylił się z konia, nakłaniając ucha.

— Ot teraz! możnaby go zabić, pomyślał Jakubowicz.

Nie był tchórzem, i gdyby był postanowił śmierć cesarza, to by się nie zląkł! lecz nie wiedział poco? i za co zabijać. Nieboszczyka cesarza Aleksandra za to, że go w randze nie posunął, ale tego za co? A przytem zdawało mu się, że królóbójca musiałby być ubrany czarno i przyjechać na czarnym koniu, i żeby do tego było z paradą, słońce, muzyka, ale tak poprostu zabić, co za przyjemność?

— Proszę, żeby wasza cesarska mość, zechciał sam do nich podjechać, z nikim innym mówić nie chcą.

— A o czemże chcą mówić?

— O konstytucji — odparł Jakubowicz.

Jakubowicz kłamał, bo nie zaczynał żadnych układów z buntownikami. Skoro go zdaleka dostrzegli, zaczęli krzyżeć: »Podły ty! i wzięli go na cel, tak, że zaledwie zdążył szepnąć parę słów do ucha Michałowi Bestuzewowi i zaraz uciekł.

— A ty co myślisz? — pytał cesarz Benkendorfa, powtarzając mu do ucha słowa Jakubowicza.

— Kartaczy by im posłać, oto co myślę, — zawołał z oburzeniem Benkendorf.

— Kartaczy albo konstytucję, pomyślał cesarz, a blada jego twarz pobladła bardziej jeszcze. I znów mrówki mu zaczęły chodzić po plecach, a dolna szczęka szarpała.

Jakubowicz spojrzał na niego i zrozumiał, że miał słuszną, gdy szepnął do Bestuzewa:

— Trzymajcie się; on się boi.

ROZDZIAŁ V.

— Stąd lepiej widać, wejdź tu — zachęcał Golicyń Obołenski, pomagając mu wdrapać się na stos granitowych brył, zwalonych u podnóża pomnika Piotra, dla przebudowy Isakowskiej cerkwi. Golicyń obrzucił wzrokiem plac. Od senatu do admiralicyi, od soboru do nadbrzeżnej i dalej wzdłuż całej rozciągłości Newy, kipiał tłum wielotysięczny. Jednakże, małe, czarne, stłoczone jak siarnka kawioru głowy, głowy, głowy. Ludzie wisieli na drzewach bulwowych, na latarniowych słupach, na kołowrotach od studni — tłoczyli się na dachach, na frontonach senatu i galeryach admiralickiej wieży, jak w olbrzymim amfiteatrze wypełnionym szeregami widzów, rozmieszczonych we wznoszącym się półkolu. Niekiedy w dole na placu w jednolicie rozkołysanej fali głów, powstawały miejscowe wiry.

— Co to? — zapytał Golicyń, ukazując na jeden z takich punktów.

— Szpiega widocznie złapali — odpowiedział Obołenski.

Golicyń obaczył człowieka bez czapki, w haftowanym złotem mundurze fligeladjużanckim, z piętnami krwi na białych łosiowych spodniach, biegnącego jakby uciekał.

Niekiedy bezpośrednio po salwie, tłum rozbiegał się, lecz po chwili powracał znów na dawne miejsce, gdyż ciekawość brała górę nad strachem. Wojska, które przysięgły Mikołajowi, okręcały pierścieniem buntowników. Wprost naprzeciw Preobrażeńcy, na lewo Ismailowcy, na prawo konni gwardziści, a dalej na nadbrzeżnej, tyłem do Newy, jazdna gwardya fińska, konni pionierzy, na ulicy Galernej i u admirałskiego kanału Siemienowcy. Wojska przesuwaly się, za niemi fale tłumy, a wśród tych krążeń i ruchów tkwił nieruchomo, jakgdyby oś tego koła, stalowy czworobok z nastawionymi bagnetami. Długo patrzył Golicyń na dwie równe linie, czarnych pałeczek i białych krzyżyków; pałeczki to daszki kaszkieców, krzyżyki rzemienie tornistrów, a między temi dwoma liniami trzecia równa, lecz różnolita, złożona z ludzkich twarzy. Na twarzach tych jedna wspólna myśl, zawarta w pytaniu i odpowiedzi, które słyszał niedawno. »Dlaczego nie przysięgacie? My podług sumienia«. Więc niezachwiana stałość, mężnego czworoboku, to święta moc ludzkiego sumienia. Na skale Piotrowej oparta i jak ona nie dająca się skruszyć.

W środku czworoboku, stali więc członkowie tajnego związku, wojskowi i cywilni, fraczkowi nikczemnego wyglądu, jak ich potem określali kwartalni. Tuż przy nich sztandar pułkowy, z wypełzłym szelągami nieco szmatek złocistozielonego jedwabiu; sztandar podziurawiony od kul na polach Borodinu, Kulmu, Lipska, dziś przedstawiający święte gedło rosyjskiej swobody. Stał jeszcze stolik obryzany atramentem, przyniesiony tu z senatu, na którym leżały jeszcze jakieś papiery, być może niedopisane brulien ce-

sarskiego manifestu; obok nich bochenek chleba i fiaska wina.

Po bladem niebie przemknął bladawy przebłysk słońca, a najekone ostrza zaiskrzyły się na kształt stalowych igieł, na szarem tle granitowego postumentu zamajaczył też rdzawą zielenią brązowy posąg i ożył na chwilę straszliwym jakimś życiem wizerunek człowieczy.

— Z nim, czy przeciw niemu? pomyślał znów Golicyń, tak samo jak w czasie powodzi. Co znaczy ten gest prawicy, wyciągniętej nad waburzoną falą ludzką, jak wpierw nad spiętrzoną falą spienionych wód. Wtedy zatrzymał powódź, czy zahamuje ją i teraz? Czy może oszalały rumak skoczy w otchłań, wraz z oszalałym jeźdźcą?

Wróciwszy w środek czworoboku, przekonał się Golicyń, że gwardya konna gotuje się do ataku na powstańców, a tymczasem Rylejew przepadł, Trubecki się nie pokazał i nie było wogóle żadnej komendy.

— Trzeba wybrać nowego dyktatora, mówili jedni.

— Ale kogo — z niską rangą, bez znanego nazwiska, nikt się nie poważy; trzonczyli się inni.

— Oboleński! wyście najstarsi rangą, bierzcie dowództwo.

— Nie panowie! darujcie! wszystko co chcecie tylko tego na siebie nie wezmę.

— Cóż będzie? Patrzcie wszak za chwilę zaatakują nas.

Dwa szwadrony jazdy wystąpiły właśnie z poza ogrodzenia Isakowskiej, i stawiały się w szarych bojowych, tyłem do domu Łobanowa.

Koleski asesor Iwan Iwanowicz Puszczyń, przechadzał się przed frontem czworoboku, w długim cywilnym płaszczu i wysokim kapeluszu, kursując fajeczkę z takim spokojem, jakby się znajdował w swoim gabinecie na Michajłowskiej, lub też w domku Puszkina przy swoim szeleście drutów od pończochy, poruszanych ręką Aryny Rodjonówny.

— Chłopczy! Czy posłuchacie mojej komendy, spytał żołnierzy.

— Radziśmy starać się waszą wielmożność.

Puszczyń wyciągnął wtedy rękę w zielonej rękawiczce i podniósł ją wysoko, jakby chciał machać niewidzialną szablą.

— Do nogi broń. Formuj szereg frontem do kawalerji.

Pierwsza celna salwa położyć mogła trupem całą jazdę idącą do ataku, lecz Puszczyń nie chcąc doprowadzić odrazu do ofiar wśród ludzi, polecił strzelać w nogi koniom, lub poprzez głowy jeźdźców. Gdy rozprószył się dym, okazało się, że pierwszy atak nie udał się kawalerji. Przeszkadzała ciasnota, wystający narożnik ogrodzenia, który trzeba było omijać, a najbardziej gołoledź. Konie ślizgały się i padały, a i ludzie szli niechętnie, rozumiejąc, że jazda nie może atakować z powodzeniem o kilkadziesiąt kroków, gdy ogień karabinów mierzy prosto w pyski końskie.

— I czego tu u dyabła lezicie? Łajali Moskiewscy, pomagając jeźdźcom podnosić się.

— A jak nie leżeć, kiedy nas pędzą, a wam bracia Bóg zapłać, żeście przez głowy strzelali, bo inaczej nie wyszlibyśmy żywi; dziękowali konni gwardziści.

— Przechodźcie do nas chłopcy.

— Poczekajcie! Jak się ściemni, to przejdziemy.

— W tył! Równaj się! Zakomenderował dowódca jazdy generał Orłow i ustawiać zaczął szyki do nowego ataku. Lecz i drugi atak nie powiódł się. Czworobok zniżył tak samo bagnety, a konie natknawszy się na ostrza, cofały się w tył, unosząc z sobą jeźdźców. W dodatku tłum zgromadzony za parkanem obrzucać zaczął jazdę kamieniami, cegłami, polanami. Omal nie zabito w ten sposób generała Wojnowa.

Książca Eugeniusza Wirtemberskiego obrzucono twardymi śnieżkami, jak dzieciaka. Atak po ataku, jak fala za falą rozbijał się o czworobok, który trwał niezachwiany, niewzruszony i z każdym nowym nacięciem zdawał się krzepnąć, twardnieć. Oparty o skałę Piotrową i sam jak skała niewzruszony. Wtem dały się słyszeć zdala przy wesolej przygrywce wojskowej muzyki gromkie okrzyki:

— Ura! Konstanty!

To trzą i pół rotę marynarskiej gwardyi wybiegło z Galernej ulicy pod przewodem porucznika Michała Kuchelbekera i sztabkapitana Mikołaja Bestuzewa. Zrównawszy się z Moskiewskimi, ścisnęli się i całowali.

— Gołębki wy! Bracia mili, Bóg zapłać, żeście nie zawiedli, nie zdradzili.

— Zjednoczenie armii i floty.

— Górą nasi! Na morsu i na lądzie!

— Bogu chwała, cała Rosja wysłała w pole.

Morska gwardya sformowała nowy czworobok, na prawo od Moskwiczów, tyłem do admirałskiego kanału, frontem do Isakowskiej. I znowu, z przeciwną już strony, od placu dworcowego, rozległy się okrzyki:

— Ura, Konstanty! Po bulwarze biegli w rozwianych szynelach grenadyerzy, rozproszeni luznemi gromadkami, w nasuniętych furażerkach, przewieszonych karabinach i ładownicach. Już dobiegli prawie, przesadziwszy stos kamieni, porzucony na rogu Admiralskiej, lecz tu powstało zamieszanie. Komendant pułku Stiurler, biegnący z żołnierzami, prosił ich i zaklinał, żeby wrócili do koszar.

— Chłopcy! To zdrada! Nie słuchajcie podlega — krzyczał równocześnie porucznik Panow, członek tajnego związku, biegnący z drugiej strony obok żołnierzy.

— Wy za kim? — spytał Kachowski, podbiegając do Stiurlera z pistoletem w rękę.

— Za Mikołajem — odparł ten.

Kachowski wystrzelił, Stiurlew chwycił się za bok i pobiegł dalej; ścigali go dwaj żołnierze z bagnetami.

— Wot bij, przekłętego Niemca.

Ostrza bagnetów zatopiły się w jego ciele i Stiurler padł. Grenadyerzy dopadli do Moskiewskich i zaczęły się znów uściski i pocałunki braterskie. Trzeci czworobok sformował się na lewo od pierwszego, frontem do Nadbrzeżnej, tyłem do Isakowskiej. Teraz stało już na placu trzy tysiące wojska i około dziesięciu tysięcy cywilnego tłumu, gotowego na wszystko, gdyby dostał rozkaz, lecz wodza dotąd nie było. Pogoda zmieniła się, powiał od zachodu mroźny wiatr, mróz tężał. Żołnierze bez płaszczy marali, przestępując z nogi na nogę i bijąc rękami po ramionach.

— Czego my stoimy? — sarkali niektórzy. — Nogi zamokły, ręce skostniały, a my stoimy wciąż, jakbyśmy do ziemi przymarali.

— Pozwólcie Wasza Wielmożność iść do ataku — przemówił gefrejter Lubimow do sztabskapitana Michała Bestużewa.

— Do jakiego ataku i gdzie?

— Na wojska! na pałac! na twierdzę! gdziekolwiek, byle tylko zacząć.

— Poczekaj bracie, musimy się doczekać komendy.

— Ech! Wasza Wielmożność, to czekanie zabija sprawę.

— Tak! czekać i stać, to jedno co umiemy, uśmiechnął się szyderczo Kachowski. Cała ta nasza rewolucja jest stojąca.

— Stojąca rewolucja — powtórzył Golicyń z wróżebnem przeczcuciem.

ROZDZIAŁ VI.

— Co się to dzieje? Na jakiego czekamy przeciwnika?

— Nic nie rozumiem całego tego bigosu. Niech mnie zabiją, jeśli co z tego pojmuje.

Taką wymianę zdań pomiędzy dwoma generałami podsłuchał wielki książę Michał Pawłowicz, który także nic nie pojmował. Przyjechał on co tylko do Petersburga, wezwany nagląco przez brata Mikołaja z miasteczka Nienali, gdzie popasał w drodze z Warszawy. Zmęczony, głodny, zdrożony, znalazł się niespodzianie na placu w ośrodku rewolucji, — jak kur w kapuśniaku — podług własnego jego wyrażenia. Skoro po nieudanym ataku kawalerji władze przekonały się, że nic się nie dokáže siłą i postanowiły użyć perswazyi, książę Michał poprosił cesarza o pozwolenie przemówienia do buntowników. Mikołaj

odmówił szczerze, lecz potem zgodził się, machnąwszy ręką, mówiąc posępnie:

— Rób, jak uważasz.

Książę Michał pojechał więc przed front powstańców.

— Jak się macie chłopcy! — krzyknął wesoło i dzwicznie, jak na paradzie.

— Zdrowia życzymy Waszej Cesarskiej Wysokości — odpowiedzieli równie wesoło żołnierze.

Krzywonogi Miszka, pocziwy mrug. *Le bourru bien faisant*, jak go nazywano, srogą miał twarz, ale serce miękkie. Raz pijany żołnierszyna, salutował go na ulicy, nie stając na baczność, lecz książę darował mu ten występki, mówiąc:

— Choć pijany a mądry. Tak samo i teraz gotów był wszystko darować buntownikom, za to, że odpowiedzieli mu tak wesoło.

— Zdrowia życzymy...

— Co wyprawiacie dzieci? Coście tu zmalowali — zaczął dobrotliwie, po domowemu. Wielki książę Konstanty Pawłowicz sam się wyrzekł tronu, sam byłem świadkiem. Wiecie jak kocham brata; w jego też imieniu nakazuję wam złożyć przysięgę według prawa.

— Niema takiego prawa, żeby dwom przysięgać — podniosła się wrzawa wielu głosów.

— Uciszcie się! — zakomenderował wielki książę, lecz nie słuchano go już.

— My nic złego nie robimy i nie będziemy Mikołajowi przysięgać.

— Gdzie Konstanty?

— Chcemy Konstantego.

— Niech sam przyjedzie, wtedy uwierzymy.

— Nie upierajcie się dzieci, bo będzie źle, próbował wmieszać się jeden z generałów.

— Pożedł precz! do czartowej matki! — krzyknęli żołnierze i to z taką złością, że książę Michał pojął wtedy dopiero co się święci i pobladł nagle. Koń jego jakby także zrozumiał, zadrdzał i spłoszył się.

W wąskim przesmyku między dwoma czworobokami, Moskiewskim i morskiej floty, miotał się w jedną, to w drugą stronę Wilhelm Küchelbeker, trzymając w ręku wielki pistolet, ten sam co był upadł w śnieg i zamokł. Rozpinał to zapinał płaszcz, aż wreszcie zrzucił go całkiem i został tylko we fraku, długi, niezgrabny, krzywoboki, cienkonogi, podobny do postrzelonej czapli.

— *Voulez vous, faire descendre Michel?* — spytał tuż przy nim głos jakiś bardzo znany, lecz dziwnie zmieniony, przyczem zdało mu się nagle, że wszystko, już kiedyś było.

— *Je le veux bien mais ou est il donc* — odparł ktoś drugi.

— Czy nie widzicie? Ten w czarnym pióropuszu.

Mrusząc krótkowzroczne niebieskie oczy, równie smętne i marzące, jak wtedy, gdy rozmawiał z kolegą i przyjacielem Puszkinem, o Szillerze, o miłości i sławie, Puszczyń wziął na cel księcia Michała. Nagle ucał, że ktoś go trąca w łokieć. Obejrzał się i obaczył dwóch żołnierzy, którzy nie nie rzekli, a tylko pokręcili głowami. Puskin zrozumiał, że tego nie należy zabijać.

— Czekajcie-no dajcie, niedługo się to wszystko skończy — przemówił znów tensam znany głos i Küchelbeker pomyślał znów, że to już kiedyś było, podniósł do nosa swój wielki pistolet i oglądał go jakby ze zdziwieniem.

— A wiecie? zdaje się, że naprawdę zamokł — rzekł żałośnie.

— Tyś sam przemokł, mój ty absolutny absolut — odrzekł Puszczyń, klepiąc go po ramieniu. W tej chwili zbliżył się i Golicyń i pocałował się przysłuchiwać.

— Zdaje się, że my tu wszyscy panowie nie jesteśmy na sucho — uśmiechnął się jadowicie Kachowski.

— A wy sami co? Wszak strzelacie najlepiej z nas — przemówił Puszczyń.

— Mam już dwóch na sumieniu, to chyba będzie dosyć! a będzie jeszcze trzeci — rzekł Kachowski.

Golicyń zrozumiał, że ten trzeci to będzie Mikołaj.

W głębi admirańskiego bulwaru i placu senatorskiego, w pobliżu zbuntowanych czworoboków, zatrzymała się wielka, ośmiokołowa karetka, z rozłożystym koźłem, przypominająca staroświeckie kolasy. Z karocy tej wysiedli dwaj starcy z załęknionymi twarzami, obleczeni w cerkiewne szaty. Jednym z nich był metropolita Serafim Petersburski, drugim Eugeniusz Kijowski. Któryś z jenerałów porwał obu władków z pałacowej cerkwi, gdzie sposebili się do odprawienia podług zwyczaju nabożeństwa z powodu wstąpienia na tron, wsadził ich do karety dodawszy im dwóch dyaków i przywiózł na plac. Staruszkowie, postawieni w tłumie, przed placówką strzelców, nie wiedzieli co począć i szeptali coś do siebie bezradnie.

— Nie idźcie tam, bo zabiją — krzyczeli niektórzy z tłumu.

— Idźcie do nich z Begiem — zachęcali inni — to wasz duchowny obowiązek, nie Bismarckie to przecież, a swoi, chrześcijańscy ludzie.

Chwytno za poły metropolitę Eugeniusza, chcąc go zatrzymać i wreszcie wciągnięto go w tłum, tak, że Serafim został sam, co go tak oszołomiło, że pozbył się nawet strachu, nie zdając sobie prawie sprawy co się z nim dzieje. Nagle obaczył nad sobą zdziwioną pocziwą twarz młodego porucznika morskiej załogi. Był to Michał Karłowicz Küchelbeker, rodzony brat Wilhelma, równie długi, niezgrabny, wypukłooki jak tamten.

— Czego potrzebujecie, batiuszka? — spytał, przykładając rękę do czapki.

Jako rosyjski Niemiec, Küchelbeker był lutrem, nie wiedział więc jak się trzeba obchodzić z metropolitą i przypuszczał, że skoro jest duchownym, należy mu powiedzieć batiuszka.

Serafim nie nie odpowiedział tylko spuścił głowę, zaszeptał coś trwożliwie i przeżegnał się.

Kiedyś światowe damy, nazwały go za przyjemną powierzchowność Serafimkiem. Teraz liczył już przeszło lat siedemdziesiąt, twarz miał drobną okrągłą starczą, wąsikie szczeliny zapuchłych oczek, małutki nosek i małą bródkę zarosłą w klin. Trząsł się cały i bródka mu się trzęsała, Küchelbekerowi żal się zrobiło starszaka.

— Czego chcecie batiuszka? — spytał jeszcze łagodniej.

— Jabym chciał do żołnierzy, pomówić z nimi — wybełkotał wreszcie Serafim ukazując pulchną ręką czworobok powstańców.

— Sam nie wiem co począć — wzruszył ramionami Küchelbeker — tu nie wolno nikogo przepuszczać, ale poczekajcie batiuszka, zapytam i wrócę za minutę.

Pobiegł, a Serafim podniósł nieśmiało oczy na żołnierzy; spodziewał się ujrzeć straszne szwie-

żące rysy, tymczasem były to zwykłe ludzkie twarze, wcale nie straszne. Trochę odetchnął i z odwagą, jaką niekiedy ogarnia tchórzów, zdjął mitrę, oddał ją dyakonowi i położywszy na głowie krzyż, szedł prosto przed siebie. Żołnierze rozstępowali się, opuszczali broń i kreślili znak krzyża. Postąpił jeszcze kilka kroków i zatrzymał się przed samym frontem czworoboku.

Tu ludzie zegnali się także, ale wołali:

— Niech żyje Konstanty!

— Wojownicy prawosławni — zaczął Serafim i wszyscy umilkli nasłuchując.

Mówił tak niewyraźnie, że rozumiano tylko poszczególne wyrazy.

— Wojownicy! uspokojcie się, złożcie przysięgę, złożcie przysięgę zaklinam was! Konstanty Pawłowicz rzekł się trzykrotnie. Sam Bóg mi świadkiem.

— No Boga to już zostawcie w spokoju — przemówił głos choć cichy, ale tak twardy, że wszyscy się obejrżeli.

To mówił kniaź Waleryan Golicyn.

— A ty co? Kto ty taki? Skąd się wzięłeś? W Boga to i w Chrystusa nie wierzysz?

— Wierzę! — odparł równie cicho i twardo Golicyn.

Serafim podał mu krzyż.

— A! jeśli wierzysz to pocałuj.

— Tylko nie z waszych rąk — rzekł Golicyn i chciał mu odebrać krzyż.

Lecz Serafim nie dał go sobie wydrzeć, choć złakł się, nowym, innym strachem, jakby w twarzy tego buntownika dojrzał twarz samego dyabła.

— No cóż? Nie bójcie się, oddam. Do czasu jeszcze macie krzyż, potem go wam odejmą —

rzekł Golicyn, a oczy jego błysnęły z pod okularów tak groźnie, że Serafin zląkł się na dobre i oddał krzyż, mruczając coś i żegnając się.

Golicyn wziął krzyż i pocałował go ze czcią.

— Dajcie i mnie — rzekł Kachowski.

— I mnie! i mnie! — wyciągali ręce inni.

Krzyż obiegł wszystkich w szeregu, a gdy powrócił do Golicyna, ten oddał go Serafinowi.

— A teraz idźcie stąd Władko i pamiętajcie, że po niewoli uświęciliście błogosławieństwem krzyża wolność rosyjską.

I znowu jak w pierwszej chwili powstania, Golicyn krzyknął nagle jakimś niesamowitym głosem:

— Ura! Konstanty.

— Ura! ura! ura! — podchwycili żołnierze.

— Wracajcie na swoje miejsca, batiuszka, pilnujcie swojej cerkwi.

— Jakiż z ciebie metropolita, skoro ty dwom naraz przysięgasz.

— Oszust! zdrajca i dezertar Mikołajowski.

Bagnety i szable skrzyżowały się nad głową Serafima. Podbiegli dwaj dyakoni i uprowadzili go, ujmawszy pod rękę.

— A ot i armaty! — zauważył ktoś, ukazując nadjeżdżającą artylerję.

— No i cóż? Wszystko jak należy — uśmiechnął się Golicyn. — W ślad za krzyżem kartackim, w ślad za Bogiem dyabeł.

ROZDZIAŁ VII.

— Nie jestem pewny artylerji — odpowiadał cesarz, ilekroć nalegano na niego, by posłał po armaty.

Nietylko artylerji nie był pewien, lecz wogóle i całej reszty wojsk. Siemionowcy porozumiewali się z buntownikami za pośrednictwem tłumy, zdradzając ochotę połączenia się z nimi, Ismailowcy na trzykrotne pozdrowienie odpowiedzieli cesarzowi głuchym milczeniem, a Finlandcy strzelcy stanawszy na Isakowskim moście, nie chcieli się ruszyć. »Cóż będzie, jeśli wszyscy przejdą na stronę buntowników — myślał cesarz — wtedy i artylerja nie pomoże, bo działa przeciw mnie o bróć«.

— *Bonjour, Charles Fedorowicz.* Ładnie zaczyna się nowe panowanie, obryzgane krwią — zwrócił się cesarz do nadjeżdżającego barona Tola, z właściwym sobie nieco krzywym uśmiechem, jakby przy bólu zębów.

— Najjaśniejszy panie; jedyny sposób położenia temu końca, to roznieść armatami tę hołotę — odpowiedział Tol.

Cesarz nachmurzył się i nic nie rzekł, bo nie wiedział, co powiedzieć; bał się wypaść z roli i uderzyć w fałszywy ton.

— Nie trzeba krwi — odpowiedział mu Benkendorf.

— Tak, krwi — przypomniał sobie cesarz. — Nie trzeba krwi — powtórzył głośno — czy chcecie, żebym w pierwszym dniu panowania przelewał krew moich poddanych.

Umilkł i nadał się, jak dzieciak. Znowu uczuł żal nad sobą. Biedny mały, *pauvre diable*, biedny Niks.

Wziąwszy Benkendorfa pod ramię, Tol odjechał z nim na bok i spytał, ukazując oczyma na cesarza:

— Co mu jest?

— Jakto co? — zdziwił się niby Benkendorf, udając, że nie rozumie, i spejrzał na prostacko-żołnierską twarz Tola z przebiegłym uśmiechem.

— Czy mu żal tych kanalii? — zadszawił się Tol.

— O tem nie możemy sądzić pan, ani ja. Miłosierdzie cesarskie jest bezgraniczne. Planem naszym jest okraść buntowników i zmusić ich do poddania się, bez rozlewu krwi.

Tol nie odpowiedział. Jako generał liniowy, niegdyś podkomendy Suworowa, ulubieniec Kutuzowa, znawca taktyki Napoleońskiej, zrozumiał, że Benkendorf mówi z lekkomyślnością i dyletantyzmem człowieka, który nigdy prochu nie wachał. Rozumiał także, że zbuntowane czworoboki trzymają się mocno, że można je wystrzelać, skartaczować, unicestwić, lecz nie da się ich inaczej znieść, że przytem jeśli żagiew buntu przeniesie się na tłum, to przy wielotysięcznym tłoku wywiąże się nie walka regularna, a bezładna bijatyka, która nie wiadomo czem się skończy.

Wojska wierne Mikołajowi, chwiałały się, a wśród wodzów panował nastrój, który poprzedza zwykle bitwy przegrane, to jest wszyscy potracili głowy i miotali się bezładnie, podając niezdarne rady, jak na przykład, żeby poczekać do jutra, to się może buntownicy sami rozejdą, albo żeby posłać po sikawki i oblać ich wodą prosto w twarz, co odejmie im możność działania.

Nareszcie ukazała się artylerya, po którą cesarz pozwolił posłać, po długim ociąganiu się. Wyjechały więc z Grochowej ulicy cztery armaty na wysokich lawetach, bez jaszczków, pod komendą pułkownika Nestorowskiego.

— Czy ma pan z sobą kartacze, panie pułkowniku? — spytał Tol.

— Nie było rozkazu, panie jenerale.

— W takim razie, proszę natychmiast posłać po nie i to z największym pośpiechem — rozkazał Tol.

Wiedział co robi i że samowolnym tym rozkazem, ratuje życie cesarza, a może i byt państwa rosyjskiego.

Cesarz tymczasem przejeżdżał powoli, krok za krokiem, od rogu Newskiego do domu Łobanowa, a stamtąd do Isakowskiego parkanu, aż do ostatniego rogu który właśnie zasłaniał front buntowników. Czas włókł mu się niesłychanie przy tej przejeździe. Minuty upływały bardzo powoli i dłużyły mu się, jak wieczność. Zatrzymawszy się w tym narożniku, który go zasłaniał, cesarz uczuł, że jakaś siła ciągnie go i dalej poza narożnik.

Pociąg to był nieprzeparty, by przekroczyć ten róg, poza którym gwizdały kule i wlokło go coś tam, wchłaniało, jak sawrotny wir wciąga w bezden, płynącą drzazgę. Oczu nie mógł oderwać od tych strasznych szarych desek, przypominających rusztowanie szafotu. Wiedział jednak co go tam wlecze; pokaze im, że nie tchórz. Przychodziły mu na myśl słowa Jakubowicza: »Chcą żeby wasza cesarska mość sam wyjechał, z innymi mówić nie chcą«. Istotnie poco posyła drugich, a sam nie wyjedzie.

Kule za węglem przelatywały tymczasem ponad głowami wojsk, widocznie buntownicy mierzyli przez wierach. Róg parkanu zasłaniał od nich cesarza, a jednak zdawało mu się, że kule gwizdają mu nad głową.

— Co ty im mówisz? — spytał Mikołaj Benkendorfa, który wyjechał za węgiel i przemawiał

coś do stojącego na przedzie batalionu Preobrażeńców.

— Mówię im, wasza cesarska mość, żeby się durnie nie kłaniali kulom.

Nie skończył jeszcze tych słów, gdy cesarz sam uchylił głowę. Na blade policzki Mikołaja wystąpiły dwie krwiste plamy, spiął konia ostrogą, a ten wyskoczył wraz z jeźdźcem, poza róg parkanu.

Wtedy cesarz zobaczył buntowników i oni go ujrzeli i krzyknęli:

— Ura! Konstanty!

Padła z ich strony salwa, lecz i teraz mierzyli widocznie umyślnie przez wiersz, szczczędzi go. Kule gwizdały mu nad głową, jak rzemienie, które świszczą, lecz nie spadają, a w gwizdzie tym był jakby chichot. »Tchórzyś sztabkapitanie Romanow!« Spiął znów konia ostrogą, ten porwał się dęba i poniósłby jeźdźcę przed sam front buntowników, gdyby nie generał adjutant Wasylczukow, który chwycił za uzdę.

— Puść! — krzyknął z wściekłością cesarz.

Lecz tamten trzymał mocno i nie puściłby choćby ten opór miał go życia pozbawić; wierny był »rab«.

Wreszcie palce cesarza, trzymające cugle, rozluźniły się, osłabły i udało się Wasylczukowowi zawrócić konia, który pokłusował w tył. Mikołaj nie zdawał sobie sprawy ze swego stanu, lecz doświadczał tych samych uczuć co w dzieciństwie, gdy, chroniąc się przed burzą, wsuwał głowę pod poduszkę. Opaniętał się dopiero, wyjechawszy na plac przed zimowym dworcem i zrozumiał, że wyjaśnić powinien sobie i drugim, dlaczego odjechał z tego straszego miejsca. Zawezwał więc

komeandanta pałacu Baszuckiego i spytał go, czy spełniony rozkaz wzmocnienia straży pałacowej dwoma rotami saperów.

— Wykonano wasza cesarska mość.

— Ekwipaże gotowe? — spytał jeszcze cesarz adjutanta Adlerberga.

— Tak jest! wasza cesarska mość.

Poleciał był by przygotowano zamiejskie pojazdy, dla przewiezienia cichaczem w razie potrzeby, obu cesarzowych i następcy tronu, do Carskiego Sioła.

— A cóż cesarzowa? — spytał jeszcze Adlerberga.

— Raczy się bardzo niepokoić i zaklina, by wasza cesarska mość raczyła z nimi odjechać.

Cesarz rozumiał dobrze, że odjechać, znaczyłoby uciekać.

— A ty co myślisz? — spytał spoglądając z podełba na Adlerberga.

— Ja myślę, że życie waszej cesarskiej mości...

— Dureń jesteś — krzyknął cesarz, zawróciwszy konia i pojechał znów w stronę pałacu senackiego.

Na wieży admirałskiej wybiła trzecia godzina. Zaczynało zmierzchać. Śnieg padał i białe lekkie płatki krążyły w pociemniałym powietrzu. — W głębi admirałskiego bulwaru, stała rota piechoty artylerii z czterema armatami — i zapasowe jaszczyki z kartaczami. Generał Suchozanet podjechał do cesarza.

— Wasza cesarska wysokość — zaczął, lecz cesarz spojrzawszy na niego tak, że się pod ziemię chciał schować, z powodu nie dodania należnego tytułu.

Wówczas jednak «biedny mały» przypomniał sobie jak sam niedawno zakomenderował: »Zostawić tu rotę wielkiego księcia« jakże go mieli drudzy tytułować, skoro sam się nie miał za cesarską mość.

— Najjaśniejszy panie! — poprawił się Suchozanet. — Wieczór nadchodzi, a w obecnym położeniu, ciemność mogłaby się stać zgubna; pozwólcie oczyścić plac kartaczami.

Cesarz nie odrzekł i powracał na dawne miejsce przy parkanie Izaaka. I znów miał przed sobą gładkie szare deski i ten straszny narożnik, podobny rusztowaniu. Znów ten sam gwizd kul przelatujących nad głową z szyderczym jakby chichotem, gwizd rzemieni co świszczą lecz niesmagają.

Wpierw tłum dzielił się na dwie gromady, z których jedna sprzyjała carowi, druga buntownikiem, teraz obie części zwały się w jedno, a w ciemnościach wzrastających ludzie tłoczyli się i naciskali wierachowca cesarskiego.

— Tłum zaczyna napierać, raczcie odjechać wasza cesarska mość — doradzał ktoś ze świty.

— Bądźcie tak dobrzy moi ludzie i rzejdźcie się. Wracajcie do domu, cesarz was o to prosi — perswadował Benkendorf.

— Do mnie będą strzelać, a mogą was trafić — rzekł cesarz.

— Patrzcie, jaki się miękki zrobił — dał się słyszeć głos w tłumie.

— Teraz, kiedy was przycisnęło, to się przychlebiacie, a potem gotowicie naszego brata w kozi róg zapędzić.

— Nie pójdziemy stąd. Ginąć będziemy z nimi.

Twarze stawały się złe, stojący dotąd bez czapki, zaczęli nakrywać głowy.

— Zdjąć czapki — krzyknął cesarz z nagłym gniewem i znów, jak przed chwilą, szalone uniesienie rosło się płomieniem w żyłach jego, jak ognisty trunek i znów poczuł, że będzie ocalony, byle się petrafił na dobre rozgniewać. W tej chwili z poza parkanu ciskać poczęto kamienie, cegły, polana.

— Strońcie od parkanu wasza cesarska mość — krzyknął generał adjutant Wasylczykow.

Tam przed owym strasznym węglem siedział na parkanie, jak na koniu, młody chłopina z czarnymi włosami, z zapadłym noskiem, tkwił na deskach w rozpiętym półkożusku, a pod którego widać było czerwoną koszulę, całkiem jak kat na szafocie.

— Ot i nasz Pugaczew — zaśmiał się wyrostek, patrząc prosto w oczy cesarzowi.

— Czemu się wasza cesarska wielkość chowa za parkanem. Pojedźcie tam.

Tłum usłyszawszy to, zakrzyknął dokoła.

— Pugaczew! Pugaczew! Gryszka Otropjew. Klątwa na ciebie.

— Co będzie, jeśli zabiją, jak psa kamieniem, albo polanem — pomyślał z obrzydzeniem cesarz, a gdy uprzytomnił sobie, jak niedawno pchał się do uścisków z nim jakiś czerwonopyski oberwaniec, który cuchnął surowem mięsem, zamgliło go we wnętrzu, pociemniało w oczach, ręce i nogi rozprężyły się tak, że omal z konia nie spadł.

— Ura, Konstanty! — krzyczano, a w mrokach wieczoru zaświeciły ogniki strzałów i huknęła salwa. Spłoszony hukiem koń szarpnął się pod cesarskim jeźdźcem.

— Wasza cesarska mość, nie mamy ani minuty do stracenia. Kartacze niezbędne — rzekł Tol.

Cesarz chciał coś odpowiedzieć, lecz nie mógł, bo język odmówił mu posłuszeństwa. I jak było dawniej, gdy dziadzio Lamsderf wyciągał go w czasie burzy z pod poduszki, gdzie wsuwał głowę na widok błyskawicy, Mikołaj powiedział sobie w duszy:

— Koniec już, wszystko przepadło.

ROZDZIAŁ VIII.

— Stojąca rewolucja — powtórzył Golicyn słowa Kachowskiego. — Stoją oto i nic nie robią. Żołnierze w mundurach tylko, siębną po dawnemu, przestępując z nogi na nogę, lub też biją dłonią o dłoń, aby się rozgrzać, czekając, sami nie wiedząc, na co. Przeczekali tak przeszło cztery godziny, nie podejmując żadnego ruchu, a tymczasem przeciwnik zdążył pozbiierać wszystkie pułki, aby ich zdławić. Stoją, jak urzeczeni czarem, zastygli, i póki stoją, póty trzymają się twardo, krzepko, wyczuwa się w nich siłę, lecz przy najmniejszej próbie zmiany niemoc ogarnia, że i kroku stąpić nie potrafią. Niby w strasznym śnie, podnoszą stopy, chcąbiegnąć, a wciąż stoją w miejscu. A przeciwnik również się nie rusza, jakby prześcigali się z sobą wzajemnie, kto kogo przestoi.

— Czyby Kachowski miał słusność — zapytywał siebie Golicyn — czy cała ta nasza rewolucja stoi? Zwycięstwo samo nam idzie w ręce, a my go nie bierzemy i wypuszczamy jakby umyślnie, sposobność za sposobnością, lub popełniamy co chwilę jakąś niedorzeczność. Skoro moskiewski pułk się zbuntował, powinien był iść do innych

pułków, by je z sobą pociągnąć, lecz pułk zamiast to uczynić, pomaszzerował prosto na plac, gdzie nie został nikogo. Skoro moraka załoga przystąpiła do powstania, mogła wziąć z sobą artylerję; działa przeciw działom rozstrzygnęłyby sprawę na rzecz powstańców; lecz armat nie było, bo ich nie zabrano. Lejb-grenadyersy mogli zająć twierdzę, która górowała nad miastem i nad zimowym dworcem, mogli zagarnąć pałac, gdzie znajdował się senat, rada, obie cesarsze i następca tronu. Mogli to zrobić i nie zrobili. Lecz nawet pomimo tych wszystkich błędów siły powstańców były znaczne; trzy tysiące wojska i dziesięćkroć tyle ludu, gotowego iść za nimi na pierwsze skinienie wodza, ale wodza nie było.

— Dajcie nam tylko broń, a w pół godziny zrobimy przewrót w całym mieście — wołano w tłumie.

— Strzelać będą, poco idziecie na śmierć — odginali żołnierze cywilnych.

— Niech strzelają! Ginąć chcemy z wami — odpowiadali ludzie.

Gotowość działania, była u ludu, u wojska i u młodszych członków związku, lecz nie u starszych, bo ci nie chcieli działać, a tylko pragnęli cierpieć i umierać.

— Czy umiecie grać w poddawkę? — spytał Kachowski Golicyna.

— W jaką poddawkę?

— A no! Taka gra w warcaby, gdzie ten wygrywa, kto więcej daje sobie zahrać. To właśnie my robimy; poddajemy się my im, a oni nam, współubiegając się, kto kogo w głupocie prześcignie.

— Nie! To nie głupota!

— A cóż innego?

— Nie wiem, może to, że pasujemy się nie tylko z nimi, ale i w nas samych. Nie umiem jasno powiedzieć.

— Nie umiecie? Ech! Golicyń, więc i wy, jak drudzy. A cóż to innego, jeśli nie głupota. Widzieliście, jak niedawno nasi pojмали szpiega, adjutanta Bibikowa, wysaturchali go, zbili, zdarli płaszcz, a wtedy Michał Küchelbaker, ujął się za nim, wyrwał z rąk tłumy, przeprowadził sam przez placówki, z największą uprzejmością i jeszcze własny szynel na niego włożył, żeby się biedaczek nie zaziębł. Ćwiczmy się w chrześcijańskiej cnocie, gdy nas biją w prawy policzek, podstawiamy lewy. Samiście urzeczani i wojskoście urzekli, tak, że strzela przez głowy, oszczędzając wroga. Rewolucya z miłością bliźniego filantropijny bunt. Duszę chcemy zbawić i krwi się boimy, ale krew będzie na próśno przelana i ta spadnie na nasze głowy. Wystrzelają, jak durniów i to się nam należy. Służalczy my! Służalczy wieczni. Podły kraj, podły naród! Nigdy w Rosyi nie będzie rewolucyi.

Umilkł nagle, odwrócił się i chwyciwszy się obu rękami za żelazne pręty ogradzające pomnik Piotra, poczał bić głową o kratę.

— No! Przestań Kachowski; sprawa jeszcze nie przegrana, powodzenie możliwe.

— Możliwe? W tem właśnie podłość, że całkiem możliwe, lecz nie wolno zmarnować ani sekundy. Pomóżcie, Golicyń na miłość Boga! Powiedźcie im, co oni wyrabiają, co oni wyrabiają. Chobiał nie! bo i wy... wy także z nimi. Wy wszyscy razem, tylko ja.

Usta jego zadrgały, twarz skrzywiła się jak u małego dziecka, któremu się na płacz zbiera;

opadł na kamienny stopień ogrodzenia, zgął się, skulił, a oparłszy łokieć na kolanach, pryncisnął ręce do skroni, łkając głucho:

— Zawsze sam... sam... sam jeden.

Patrząc na niego Golicyń, zrozumiał, że jeśli jest wśród nich człowiek gotowy duszę nawet własną zgubić dla sprawy ogólnej, to właśnie Kachowski, zrozumiał także, że niczem ukrzepić go, ani pocieszyć nie można; pochylił się tylko ku niemu i pocałował go w milczeniu.

— Panowie! chodźcie zaraz! Oboleński wybrany dyktatorem, złożymy radę wojenną — objaśnił, zbliżywszy się do nich Puszczyń, tak spokojnie, jak gdyby nie byli na placu rewolucyjnym, lecz w jadalnym pokoju Rylejewa przy herbach.

Narzucono Oboleńskiemu dyktatorstwo prawie przemocą. Jako jeden z trzech członków zarządu tajnego związku, starszy rangą adjutant gwardyjskiej piechoty, miał on prawo do dyktatury bardziej, niż kto inny, lecz zato najbardziej ze wszystkich, nie chciał brać na siebie władzy. Długo się wzbraniał, lecz widząc, że stanowcza odmowa z jego strony, może zgubić sprawę, przyjął wreszcie i nakazał zwołanie rady wojennej. Zwoływali tą radę i zebrać jej nie mogli; członkowie wezwani szli i zatrzymywali się w drodze, jakby zamysłeni, wciąż jakby pod wpływem urzeczenia bezczynnu.

— Czego my stoimy Oboleński? Na co czekamy — pytał Golicyń, znalazłszy się przy stole ustawionym pod sztandarem, w środku caworoboku.

— A cóż mamy robić? — odparł Oboleński, opieszale i jakby niechętnie, jak gdyby myślał o czem innem.

— Jakto co!? Iść do ataku.

— Nie! Jak wasza wola Golicyn, lecz ja do ataku nie pójdę. Popsuliłyśmy sprawę, smuszając przyjazne nam pułki, do wystąpienia przeciw nam. Proszą tylko o to, by przecsekać do nocy, a wszystkie do nas przejdą. Przetrzymajcie, mówią, a przejdziemy na waszą stronę, skoro noc nastanie, zresztą wojska mamy mało, siły nierówne.

— A lud! cały lud z nami, dajcie mu tylko broń.

— Niechże Bóg uchwali! Dać im broń? Sami-byście żałowali. Byłby to tylko zamęt, grabież, rzecz zwykła, przelew niewinnej krwi.

— Unikać należy wszelkiego przelewu krwi i działać ile możności legalnymi środkami — przypomniał ktoś, słowa Trubeckiego.

— No! a jeśli nas wystrzelają do nocy — rzekł Golicyn.

— Nie wystrzelają. Nie wzięli nawet jaszczy-ków z kartaczami.

— Te przecie łatwo przywieźć.

— Nie ośmielą się strzelać, zabraknie im odwagi.

— A jeśli nie zabraknie?

Oboleński nic nie odrzekł, a Golicyn zrozumiał, że wszelkie namowy są tu bezskuteczne.

— Patrzcie! patrzcie! — zawołał Michał Bestuzew — bateria się ruszyła.

Bataljon lejb gwardyi Preobrażeńskiego pułku, wystawiony przed ostatnimi pułkami, rozstąpił się na dwie strony. W pustą przestrzeń wytoczone zostały trzy armaty, które obrócono wylotami na buntowników.

Bestuzew wskoczył na stół, aby lepiej widzieć.

— A oto i kartacze, zaraz je będą ładować — zawołał.

A potem zenkoczył ze stołu, wymachując szablą.

— Teraz właśnie trzeba iść do ataku i zabrać im armaty.

Wszyscy zwrócili się do Oboleńskiego, czekając komendy, lecz on milczał, nieruchomy, ze spuszczonemi oczyma, jakby nie wiedział i nic nie słyszał. Golicyn chwycił go za rękę.

— Oboleński, co tobie?

— O co chodai?

— Jakto! Czy nie widzisz, że armaty pod nosem i zaraz strzelać będą.

— Nie będą! Mówię ci, nie odważą się.

Armaty stały mniej jak o sto kroków od powstańców, pod komendą podpułkownika Anienkowa, który był członkiem tajnego związku. Łatwo było dopaść ich i zagarnąć, to też Golicyna chwycił gniew.

— Ależ to wariacya! czysta wariacya! Co ty wyprawiasz?

— Uspokój się Golicyn, ja już wiem, co robię. Niech oni zaczęą pierwsi, a my potem, tak trzeba.

— Dlaczego trzeba? Mów przecie, przestań brodzić — wołał Golicyn coraz bardziej rozwścieczony.

— Posłuchaj Golicyn — przemówił Oboleński, wciąż jeszcze nie podnosząc oczu. — Za chwilę przecie umrzemy razem; nie guiewaj się gołąbku, że nie umiem wyrazić, co czuję. Nie potrafię powiedzieć, a tylko wiem, że tylko tak trzeba, nie inaczej, jeśli my z nim.

— Z kim?

— O nim zapomniałeś? — przemówił Oboleński, podnosząc oczy z cichym uśmiechem, a wtedy z kolei Golicyn opuścił warok.

Ból ostry, jak od pchnięcia nożem, przeszył mu nagle serce, ten sam ból, to samo pytanie, które już słyszał. Z nim czy przeciw niemu? Wszak przez życie całe o tem tylko myślał, żeby w takiej chwili być z nim, a oto chwila nadeszła, a on zapomniiał.

— Nic to! Golicyn, nie! Wszystko będzie dobrze, wszystko będzie dobrze — przemówił Oboleński. — Chrystus z tobą, Chrystus z nami wszystkimi. Może być zresztą, że my nie z nim, za to on to już napewno z nami. A co się tyczy ataku — dodał po chwili — to się nie bój. Pójdziemy na bagnety i napewno nie stchórzymy, a sobaczymy już co będzie. No, a teraz czas nam na front. Już jaki jestem, te jestem, a zawsze dyktator — rozśmiał się wesoło i podniósłszy szablę ruszył na front, a za nim wszyscy.

Dobiegłszy do linii, obaczyli kłusującego do nich od strony armat, generała Suchozaneta. Zatrzymał się przed placówką strzelców, do których przemawiał coś, wskazując ręką w stronę cesarza. Żołnierze przepuścili go.

— Dzieci! — przemówił Suchozanet, stanąwszy przed linią moskiewskiego pułku. — Działa na was obrócone, lecz monarcha łaskawy lituje się nad wami i daruje wszystko, jeśli natychmiast złożycie broń.

— Suchozanet! a gdzie konstytucya? — wołano do niego z czworoboku.

— Przysłany jestem tu z łaską cesarską, a nie dla układów.

— To ruszaj do dyabła z powrotem.

— I przyslij kogoś zaciejszego od siebie.

— Satychem na niego dzieci. Bij! zabij!

— Nie tykajcie podleca! Szkoda na niego kuli.

— Ostatni raz mówię wam złożcie broń, bo kąć strzelać!

— Strzelaj! — krzyknęli wszyscy, dodając nieprzystojne wymyslenia.

Suchozanet spał konia ostrogą i zawrócił go, poczem puścił się galopem. Tłum rozstąpił się i udało mu się dopaść bateryi. Dano za nim salwę, lecz umknął już był i tylko posypały się białe pióra z kity jego kapelusza.

Golicyn zauważył z zachwytem, że Oboleński także strzelił. Wtedy około bateryi ukazał się nagle jeździec na białym koniu; był to cesarz. Powstańcy widzieli, jak podjechał do Suchozaneta i pochyliwszy się, powiedział mu coś na ucho. Nastąpiła cisza, a potem słychać było dokładnie komendę Suchozaneta.

— Ładuj baterye! zakładaj lont!

— Ura Konstanty — ryknęli z zapamiętaniem powstańcy.

W półświatle mrocznego wieczora, błysnęły równocześnie spiżowe paszcze dział i gwiazdki zapalonych lontów. Golicyn patrzył w te światła prosto w oczy śmierci, i znane słowa zabrzmiały w uszach, nabierając nowego znaczenia.

— Z nami Bóg! Z nami Bóg! Kachowski nie miał racyi! Będzie rewolucya w Rosyi i to taka, jakiej świat nie widział.

ROZDZIAŁ IX.

Jeśli w tej chwili nie złożą broni, kąć strzelać — rzekł cesarz, posyłając Suchozaneta do buntowników.

— No cóż! jak? — spytał go następnie, gdy ten powrócił.

— Wasza cesarska mość, oblężający ci krzyczą o konstytucję; kartaczy by im posłać — powtórzył Suchozanet słowa Benkendorfa.

— Kartacze czy konstytucję? — pomyślał snów cesarz, tak samo, jak poprzednio.

Suchozanet czekał rozkazu, lecz cesarz milczał, jakby zapomniał o jego obecności.

— Armaty nabite? — spytał wreszcie, wypowiadając wyrazy te powoli z wysiłkiem, jakby mu przychodziły z trudem.

— Tak! wasza cesarska mość, lecz dotąd ślepymi nabojami, czy załadować kartacze?

— No tak! idź! — odrzekł cesarz również powoli i z wysiłkiem. — Choć nie! czekaj jeszcze — zatrzymał go. — Pierwszy strzał, w powietrze!

— Słucham! wasza cesarska mość — odrzekł Suchozanet i odjechał do armat, a cesarz patrzył zdaleka, jak ładują je kartaczami.

Poprzedni strach znikł, ustępując miejsca nowemu. Cesarz nie bał się już o siebie, bo zrozumiał, że powstańcy oszczędzają go i że tak już będzie do końca; natomiast bał się tego, co sam zrobić zamierzał.

W tej chwili podjechał do niego Benkendorf.

— Co robić? powiedz co robić? — szepnął mu cesarz do ucha.

— Jaki? Strzelać stanowczo, wasza cesarska mość, inaczej pójdą za chwilę do ataku i zabiorą nam armaty.

— Nie mogę! nie mogę! czyż ty nie rozumiesz, że ja nie mogę.

— Uczucia te przynoszą zaszczyt waszej cesarskiej mości, lecz teraz nie czas na nie. Trzeba zdobyć się na jakieś postanowienie, albo przelać

krwawo kilku, dla ocalenia reszty, lub pożegnać się z panowaniem.

Cesarz słuchał, nie rozumiejąc.

— Nie mogę! nie mogę! — szeptał wciąż, jakby bezprzytomnie, a w głowie jego brzmiało coś tak dziwnego i nowego, że się Benkendorf złąkł.

— Raczcie się uspokoić! Wasza cesarska mość, raczcie się uspokoić. Pozwólcie mi dać rozkaz, a wszystko biorę na siebie.

— No! dobrze, jedź tam zaraz — rzekł cesarz i skinąwszy ręką odjechał na stronę.

Zakrył oczy rękami i nagle tak jasno i wyraźnie, jak na jawie, zobaczył nagie ciało małego synka, Sassy. Dawno to już było, pięć lat temu, w duszną letnią noc w czasie burzy, w błękitnej sypialni Sassy. Ząbki się wyrzynały małemu, tak, że nie sypiał po nocach, płakał, rzucał się w gorączce, lecz wtedy usnął spokojnie. Alexandrine przyprowadziła męża do łóżeczka Saray i cicho odkryła kołderkę. Mały spał obnażony, bo rzucając się, zrzucił z siebie kołderkę i leżał tak cały różowy z dołeczkami na buzi, uśmiechając się przez sen.

— *Regards le, regarde le donc, oh qu'il est joli le petit ange* — szepnęła Alexandrine z uśmiechem, a sztabkapitan Romanow uśmiechał się także.

— Co ze mną? Czy bredzę na jawie?

Próbował opamiętać się cesarz, a odjąwszy rękę od oczu, zobaczył przed sobą generała Suchozaneta, który meldował mu po raz trzeci już.

— Armaty nabite, wasza cesarska mość!

Cesarz w milczeniu skinął głową, więc Suchozanet odjechał po raz trzeci, bez rozkazu i w niepewności.

— Boże mój ratuj, wspieraj! — próbował cesarz modlić się, lecz nie szło mu to.

— Salwa armatnia po kolei, prawe skrzydło zaczyna! — krzyknął wreszcie Mikołaj z uczuciem lekkiego zabójcy, który podnosi nóż, nie dlatego żeby uderzyć, lecz na próbę.

— Zaczynaj, pierwsze działo, pierwsze pierwsze! — pobięła komenda, po baterji, od dowódcy do dowódcy.

— Pierwsze! — powtórzył młodszy komendant Bakunin.

— Zostaw! — krzyknął cesarz.

Nóż zawisł w powietrzu; nie był w stanie uderzyć nim. Lecz po chwili znów.

— Zaczynaj! pierwsze...

I znów.

— Zostaw! I tak do trzech razy.

Aż wreszcie.

— Zaczynaj! pierwsze!

Dziwne uczucie! jakby w jakiejś potwornej malignie, staczał się z szaleństwa, w szaleństwo, z lęku w lęk. Nagle przypomniał sobie, że pierwsza salwa ma być w powietrzu. Kto wie? może się złątną, rozbiegną, trzeba próbować.

— Pierwsze! pierwsze! — zabrzmiała znów komenda.

— Pierwsze pal! — zakomenderował Bakunin.

Ale ogniomistrz zawahał się nie założyć palnika lontowego.

— Co ty sukinsyn! komendy nie słyszysz! — poskoczył do niego Bakunin.

— Wasza wielmożność! to przecie moi — przemówił cicho podoficer i spojrzał ukradkiem na cesarza.

Oczy ich spotkały się i jakby znikł nagle między nimi społeczny przedział, porozumiewali się wzrokiem, nie jak poddany z monarchą, lecz jak człowiek z człowiekiem.

— To przecie moi, Sasza! Dziecięce ciałko Saszy.

»Zostaw!«, chciał krzyknąć Mikołaj, lecz czyjaś straszna ręka zdławiła mu gardło.

Bakunin wyrwał z rąk ogniomistrza lontowy palnik i sam go założył na puszkę z prochem. Gruchnęła salwa, zagrział ogłuszający huk ze strasliwym grzechotem, lecz kartacze przelatywały górą ponad głowami tłumu. Nóż opadł, lecz nie wraził się w ciało ofiary, a ześliznął się mimo.

Czworobok nie drgnął i trwał, krzepko oparty na skale Piotrowej, bez ruchu, niezachwiany, jak owa skała. Tylko na salwę armatnią odpowiedział głuchy trzask karabinowego ognia i tryumfalne okrzyki.

— Ura! ура! ура! Konstanty.

A wtedy jak woda przeobraża się w parę od dotknięcia rozpalonego do białości żelaza, tak lęk cesarza przerodził się w szaleństwo wściekłego gniewu.

— Drugie pal! — krzyknął i huknęła druga armatnia salwa.

Obłok dymu rozleciał się nad tłumem, lecz po krzykach rozdzierających, przeraźliwych piskach i strasliwych jakichś odgłosach, jakby mokrego mlaskania, poznał Mikołaj, że kartacze padły w sam środek tłumu. Nóż wraził się w ciało, a skoro dym rozprószył się, obaczył cesarz, że czworobok stoi wciąż jeszcze nieruchomy a tylko wydzieliła się z niego mała gromadka, która biegła pędem do ataku.

Lecz gruchnęła trzecia, czwarta i piąta salwa, a po przez kłębiący się dym, przerywany ognistą smugą, widać było, jak grad kartaczy spada na zbitą ścianę stłoczonych ciał ludzkich. Zaważać jeszcze nieważszona skała Piotrowa, lecz i w nią godziły pociski, zdawało się, że za chwilę rozstrzelanym zostanie spiszowy jeździec. A gdy już plac opróżnił się, wytożono armaty dalej i ścigano ogniem uciekających po ulicy Galernej, Isakowskiej, Angielskiej, Nadbrzeżnej, aż do Newy i Wasilewskiego Ostrowu.

— Nabijaj! Pal! Nabijaj i pal! — krzyczał wciąż Suchozanet, całkiem już ochrypłym głosem.

— Nabijaj! Pal! — wtórował mu cesarz.

Grom za gromem, strzał za wystrzałem — nót zatapiał się w ciało, coraz głębiej, głębiej, głębiej, lecz jemu było wciąż jeszcze mało, jakby nasycić chciał nieugaszoną żądzę, a ognisty trunek rozlewał się po żyłach jego z upajającą, jak nigdy jeszcze mocą.

Jenerał Komarowski spojrzał na cesarza i pomyślał nagle, tak samo, jak pierwszej, nie wiadomo, skąd.

— Nie człowiek to, a szatan.

ROZDZIAŁ X.

Golicyn stał przy żelaznej kratce, ogradzającej pomnik Piotra, z twarzą zwróconą ku baterii w chwili, gdy padła pierwsza salwa, której kartacze przeleciały ponad głowami tłumu, by uderzyć w okna, ściany i krawędź dachu pałacu senackiego. Posypały się okruchy rozbitych szyb, dwaj ludzie, którzy wspięli się byli na szalę wagi,

trzymanej przez boginię sprawiedliwości na frontonie senatu, upadli do podnóża posągu, a kilku zważyło się z dachu, upadłszy z głuchym łoskotem gumowych piłek na bruk Mostowej ulicy i znalazło śmierć na miejscu. Mimo to, tłum, zebrany na placu, ani drgnął.

— Ura, Konstanty! — wrzasnęły wyzywająco tysięczne głosy.

— Za mną, dzieci! Formuj szyk do ataku! — zakomenderował Oboleński, podnosząc szablę.

— A może on i miał słuszość — pomyślał Golicyn. — Może oni w samej rzeczy nie poważają się strzelać, zabraknie im tchu w ostatniej chwili. Przestali, przeczekali zwycięstwo, a teraz my pójdziemy na bagnety i zabierzemy im armaty. Lecz w tejże prawie chwili padła druga salwa i pierwsze szeregi Moskiewskiego pułku legły skośzone, dalsze, mimo to, trzymały się jeszcze, natomiast tłum rozbiegał się, rozpląwał, jak mrowisko, nadeptane i zduszone nogą ludzką. Część uciekała ulicą Galerną, część Nadbrzeżną, tu wielu, natknawszy się na poręcz ogrodzenia Newy, padało w śnieg. Inni wreszcie biegli w stronę koszar konnej gwardyi, lecz i tu przyjęła ich salwa działowa z baterii wielkiego księcia Michała Pawłowicza. Biegący powiewali białymi chustkami i czapkami, lecz mimo to strzelano do nich z obu stron. Ludzie miotali się, tłoczyli i dusili się wzajemnie. Trupy padały szeregami, waliły się na siebie, tworząc całe stosy. W końcu, nie wiedząc, gdzie uciekać, tłum zawirował na miejscu w obłędnej trwodze, a kartacze miażdżyły go, druzgotały ciała i ćwiartowały, tak, że wreszcie bryzgać poczęła krew i oderwane sumaty ciał latały, podskakiwały urwane ręce i nogi, a

wszystko to przy akompaniamencie stalowego gwizdu i zgrzytu spadających pocisków. Wszystkie głosy zlały się w jeden dziki jęk, wszystko tonęło w jakimś potwornym, rozjęczanym chaosie.

Golicyn stał bez ruchu. Widział, że drgnęły wreszcie szeregi czworoboku, a wnet potem za-trzepotał już w dali, unoszony przez uciekających żołnierzy sztandar pułkowy, pohańbione godło świętej wolności rosyjskiej.

— Stójcie chłopcy! — wołał Oboleński, lecz nikt go już nie słuchał.

— Gdzie biegniesz? — krzyczał z ojcowskim gestem Michał Bestuzew, chwytając uciekających żołnierzy za kołnierze.

— „Od wichru słomka gnie się“, Wasza Wielmożność, bronili się jeden z żołnierzy i poleciał dalej.

Golicyn słyszał gwizd kul, przelatujących mu koło uszów. Kule zerwały mu kapelusze z głowy, podziurawiły płaszcz, zakrył w końcu oczy rękami i czekał śmierci.

— No! Zdaje się wszystko skończone, posłyszal przy sobie spokojny głos Puszczyka.

— Nie, nie wszystko, pomyślał Golicyn, coś jeszcze należy zrobić, ale co? Między dwoma salwami nastąpiła krótka cisza, a wtedy usłyszał za sobą cichy chrzęst. Obejrzał się i zobaczył Kachowskiego, który, stojąc na kamiennym stopniu u podnóża pomnika, chwycił jedną ręką żelazny pręt sztachetowy, a w drugiej trzymał pistolet z odwiedzionym kurkiem. Golicyn próbował odgadnąć do kogo mierzy, spojrzał ku bateriom i u lewego flanku zobaczył jeźdźcę na białym koniu, w którym poznał Mikołaja. Kachowski wystrzelił, lecz chybił, zeskokczył wów-

czas ze stopnia, wy dobył z zadadrsa drugi pistolet i pobiegł, a w ślad za nim Golicyn. On także biegnąc, dobył z bocznej kieszeni pistolet i odwiódł kurek. — Zabić go! zabić zwierza!

Lecz ledwie ubiegli dziesięć kroków wpadł na nich uciekający tłum, okrążył ich, ściskał, atłoczył, zwałł się na nich, i poniosł z sobą wył. Golicyn potknął się, upadł, ktoś zwałł mu się na pierś, ktoś inny nadeptał obcasem na skroń, tak boleśnie, że zemdlął. Gdy się ocknął, tłum był już rozproszony, Kachowski znikł, Golicyn macał długo ręką po ziemi, na której leżał, szukając pistoletu, lecz nie znalazł go, widocznie wypadł mu gdzieś w ścisku. Przestał więc wreszcie szukać, dźwignął się i próbował iść sam, nie wiedząc dokąd, zataczając się jak pijany. Salwy ucichły chwilowo, podnoszono działa, aby strzelać w dół za zbiegami, uciekającymi Galerną i Nadbrzeżną.

Golicyn przedzierał się przez opustoszały plac, między stesami trupów, sam jak martwy. wśród martwych. Cisza panowała i nieruchomość, zacięły już ostatnie jęki i tylko krew rozlewała się strugami, ciepła jeszcze tak, że topiła śnieg, a potem sama krzepła. Przypominał sobie, że moskiewscy uciekali Galerną, powlókł się więc i on za nimi, by złączyć się z towarzyszami i razem z nimi umrzeć. Po dredze potknął się o coś, a schyliwszy się znalazł pistolet nabity, który podjął i niewiadomo dlaczego zasunął go w zadadrsa. Gdy uchodził w Galerną, znów zaczęła się kanonada, jeszcze bardziej mordercza, w tej ciasnocie między domami. Przelatując ponad wąską, długą ulicą, kartacze dosięgały ludzi, i kosiły ich znów. Chroniąc się od nich uciekający, wbie-

gali do domów, kryli się za węgly, za każdą wypukłość murów, stukali do bram, lecz te były przeważnie zamknięte i nie ustępowały pod naporem, a kule tymczasem biły o ściany, odbijały się i powracały, nie szczędząc żadnego zakątka.

— Ułłuką naw na miazgę w tej diabelskiej stępie, warknął siwy Wąsał grenadyer i z przyswyczenia wydebył z za cholewy tabakierkę, lecz zaraz potem schował ją z powrotem, mniemając widocznie, że nie godzi się w obliczu śmierci zażywać tabakę.

— Krwio pijcy, zbrodniarze przekłeci, kłątwa wam, krzyczał w uniesieniu, wygrażając pięściami ten sam rzemieślnik w dymowej bluzie, który w pierw przemawiał o welności, lecz padł niebawem przeszyty kulą. Stary. Łysy urzędniczyna, bez futra, ni płaszcza, we fraku tylko, przycisnął się do ściany, przyłgął, rozplaszczyl się niejako i krzyczał przeraźliwie jednostajnym, pisakliwie głosem, niewiadomo czy z bólu, czy ze strachu.

Otyła jejmość w puklach, wymykających się z pod czarnego kapelusza z różami, przysiadła na ziemi w kuczki, zęgnęła się co chwila, płacząc z łkaniem, podobnem do gdakania.

Chłopak w osmolonym fartuchu, z pustym koszem na głowie, ten sam może, co z natrętną ciekawością gapił się na Golicyna, leżał na wznak zabity, pławiąc się w krwawej kałuży. Komuś obok Golicyna pociąg rozmiął głowę; odgłos taki, jakby ktoś mokrem płótnem uderzał o ścianę, pomyślał z dziwnem znieczuleniem. I zakrył oczy rękoma. Byleby prędzej, prędzej, raz skończyć, przyzywał cicho śmierci, lecz śmierć nie przy-

chodziła. Zdawało mu się, że wszyscy jego towarzysze zabici być muszą, a on jeden tylko pozostał przy życiu i zwała się na niego strasliwa rozpacz, gorsza od śmierci. Zabić się chciał i już wyjął pistolet i przyłożył go do skroni, lecz wspomniał Marynkę i dłoń mu opadła.

W tymże czasie Michał Bestuzew zebrał niedobitków i formował z nich oddział, samierzając iść przez lód na twierdę, zając ją i obrócić dział na pałac zimowy, by zacząć nowe powstanie. Sformowały się już trzy plutony, gdy pierwsza kula armatnia przeleciała z gwizdem i uderzyła w lód. To bateria z isakowskiego mostu paliła w dół ku Newie. Pociągi jeden za drugim padały na rzekę, lecz mimo to żołnierze szli. W tem nagle rozległ się okrzyk:

— Toniemy!

Rozbijany kartaczami lód popękał i powstały w nim olbrzymie szczeliny, w jednej z nich pasowali się ludzie ze śmiercią, reszta uciekła na brzeg.

— Tędy dzieci! — wołał Bestuzew, ukazując ręką na bramę akademii malarskiej, lecz zanim dobiegli, zatrzaśnięto wrzeciadze. Żołnierze wyrwali deskę z dna rozłupanej łodzi i próbowali zbić wrota z zawiasów. Dźwiri trzeszczały pod ciosami i zaczęły ustępować, lecz w tej chwili ujrżeli szwadron konnej gwardyi, mknący prosto na nich.

— Ratujcie się dzieci! Ratuj się kto może — krzyknął Bestuzew i wszyscy się rozbiegli, został tylko chorąży. Bestuzew objął go, pocałował, polecił oddać sztandar pędzącemu na przodzie porucznikowi i sam odszedł. Oglądał się jednak

w biegu i widział, jak chorąży zbliżył się do oficera, by oddać mu sztandar i padł natychmiast, zarabany szabłą. Oficer porwał zdobyty w ten sposób sztandar i pocwałował z nim.

ROZDZIAŁ XI.

Wszystko skończone! wasza cesarska mość — meldował Benkendorf.

Monarcha milczał samyśloni.

Co to było? co to było? — przypominał sobie jak przez sen, czując, że zaszły rzeczy straszliwe i nieodwołalne.

— Wszystko skończone! bunt uśmierzony — powtórzył Benkendorf, a w głosie jego było coś nowego co zdziwiło cesarza, choć nie pojął jeszcze całkiem i nie dowierzał.

Mikołaj podniósł nieśmiało oczy i znów je spuścił; po chwili spojrzał śmieiej i nagle pojął, że nie stało się nie strasznego, przeciwnie wszystko odbyło się jak należy, uśmierzył oto bunt, ukarał buntowników.

Jeśli będę choć przez dzień jeden cesarzem pokażę, że tego godzien; — pokazał.

Teraz dopiero stał się naprawdę carem, nie samowładcem już, a samowładcą. Na blade policzki jego wystąpiły dwie krwiste plamy, zagryzione wargi czerwieniły się jakby opily się krwi i twarz cesarza nagle ożyła.

— Tak Benkendorf! skończone, już jestem cesarzem, lecz za jaką cenę, Boże mój. Cóż robić! Dziej się wola nieba.

Wszedł teraz w nową rolę i czuł, że już z niej nie wypadnie, nowa maska przyłgnęła do twarzy jego, maska której nie zdejmie.

— Ura! ура! ура! Mikołaj — rozlegały się na senackim placu krzyki wielotysięczne, które dotarły w głąb zimowego pałacu, gdzie zrozumiano również, że wszystko skończone i że bunt uśmierzony.

W małym okrągłym gabinecie, którego okna wychodziły na plac pałacowy, młoda cesarzowa Aleksandra Fiodorówna siedziała na niskim krześle przy oknie i patrzyła przez szyby z kądem był widok na plac zalany wojskiem. Starsza cesarzowa Marya Fiodorówna, miotła się jak zwykle i paplała bezładnie. Trzymała w ręku mały portrecik zmarłego cesarza Aleksandra i usiłowała wsunąć go do rąk każdemu po kolei, powtarzając wciąż prośby i błagania by zaniesiono buntownikom ten wizerunek.

— Pokażcie im, pokażcie tego anioła, może się opamiętają.

W gabinecie znajdowali się przy monarchiniach Mikołaj Karamzin i książe Aleksander Golicyn. Karamzin wychodził na plac i opowiadał swoje wrażenia.

— Co za twarzę widziałem! Jakże słyszałem słowa! Macie tu niedorzeczną tragedję tych szaleńców liberalistów. Umrzemy wszyscy za świętą Rus! — wołano — a rzucono kamieniami, których pięć, czy sześć padło przy mnie. Dość powiedzieć, że ja, spokojny historyograf, pragnąłem działowego ognia, przekonany będąc, że niema innego sposobu ukrócenia buntu.

— A wiecie, Mikołaju Mikołajewiczu, że to, co się dziś dzieje, to żywa krytyka waszej historii państwa rosyjskiego — szepnął mu na placu jeden z tych szaleńców liberalistów.

Często później wspominał Karamzin te niepojęte słowa.

Gdy sagrał pierwszy huk armat, starsza cesarzowa, Marya Fiodorowna, klasnęła z rozpaczą, w dłonie.

— Bóże mój! do czegośmy doszli! syn mój wstępuje na tron z armatami, przelewa się ruska krew!

— Skatona krew! wasza cesarska moc — pocieszał ją Golicyn.

Lecz ona powtarzała zatroskana:

— Co powie Europa! co powie Europa!

A młoda cesarzowa, upadłszy na kolana przy pierwszym strzale, nie wstawiała, nie ruszała się i tylko głowa jej drżeć poczęła bez przerwy, »jak lilia w gromach burzy« — myślał Karamzin. — A i potem, gdy burza ucichła i wszystko się skończyło, nie ustało to drżenie i na zawsze już chwiała się ta głowa kobieca, jak kwiat z nadłamaną łodygą. Sama tego nie zauważyła, lecz inni widzieli, myśleli, że przejdzie, lecz zostało już tak na całe życie.

W sąsiednim pokoju, przy okrągłym stoliku, siedział, jedząc swój kotlecik, mały Szaşa, następca tronu. Ubrany w czerwoną kurtkę, auto szmerowaną złotem, w rodzaju husarskiego munduru, malec posłyszał pierwsze okrzyki o Mikołaju i podbiegł do okna, klaszcząc w ręczki:

— Tatus! tatus!

W paradnych salach pałacu, lśniących od światła w żyrandolach, umilkł szumiący gwar, gdy wszedł cesarz.

— Ani go poznać! Całkiem inny człowiek. Tak w nim zaszła zmiana w głosie, w ruchach — zauważyli wszyscy.

— *Tout de suite il a pris de l'aplomb* — pomyślał książę Aleksander Golicyn. — Powraca

innym niż wyszedł. Nie samowładca to już, a samowładca.

— Błogosławiony, który przychodzi w imię Pana.

Temi słowy witał wchodzącego do cerkwi metropolitę Serafim.

— Najwspanialszemu, najczcigodniejszemu władcy, imperatorowi wszech Rosyi mnogie lata. Niech zleje na niego Pan szczęśliwe dni i życie spokojne, niech mu da zdrowie i zbawienie, a na wrogi jego niech zesze pogrom i poskromienie — śpiewał hucznie, jak grom głos dyakonów pod koniec nabożeństwa.

— Tak! Imperator z Bezej łaski, samowładca wszech Rosyi. Co mi dał Bóg, tego mi żaden człowiek nie odejmie — pomyślał cesarz i wierzył teraz, że wszystko dzieje się jak należy.

ROZDZIAŁ XII.

— »Krwii boimy się, chcemy krwi uniknąć, a kraw będzie, lecz na darmo przelana« — przypomniał Golicyn słowa Kachowskiego. — Daremna! daremna! daremna! — Krew! — dźwięczało mu upornie w rozbolełej głowie, jednostajnie do unuczenia, jak w gorączkowej bredni.

— Leżąc na sofie w bibliotece, patrzył z pod przymrużonych i palonych gorączką powiek na krąg światła padający od lampy z zielonym abażurem w pół mroku zalewającym kąty pokoju, na półki wypełnione książkami, na wykwitające ze ścian, miękkie linie pastel, wyobrażających rysy prababek i pradziadków. Takie to było wszystko ciche, spokojne, harmonijne, że straszny dzień

przeżyty na placu, mógł wydać się tylko przerażającym snem.

Późną nocą, gdy się już wszystko skończyło, podoficer moskiewskiego pułku, uciekając od kursujących patroli, przemyczał się głuchymi zaułkami przez zaspy śniegowe w okolicach Krukowskiego kanału. Tu natknął się w ciemnościach, na ciało Golicyna, który leżał, jak martwy, zdrętwiały i przemarzły między zwalonemi tu kłodami drzew. Minał go w pierwszej chwili, mniemając, że jest zabity, lecz zawrócił, usłyszawszy słaby jęk, a pochyliwszy się, poznał przy słabem świetle latarni twarz jednego z przewodców powstania, których widział dziś rana na placu. Doniósł więc o nim porucznikowi Küchelbekerowi, który znajdował się w pobliżu z gromadką żołnierzy. Ouciono Golicyna, a Küchelbeker wsadził go na dorożkę i zawiózł go do Odojewskiego, u którego sam mieszkał w pobliżu wielkiego teatru. Gospodarza nie było w domu, dowiedziano się, że nie powrócił jeszcze z placu.

Skoro Golicyn usłyszał, że wszyscy prawie koledzy ocalali, ożywił się niesmiernie i przypomniał obietnicę jaką dał Marynce, że obaczy się z nią, choćby ostatni raz przed wiecznem rozłączeniem; chciał też zaraz jechać do domu. Küchelbeker jednak nie puścił go, ułożył, zakrył, obwiązał mu głowę płócienną chustką umoczoną w occie, napoił herbata, ponczem i jeszcze jakimś specjalnym dekoktem. Golicynowi zdawało się, że spać nie będzie, że się tylko położy na chwilę, mimo to ledwie zamknął oczy wpadł w sen głęboki jakby się w czelusć pogrążył.

Skoro się przebudził, nie było Küchelbekera, wołał, lecz nikt się nie odezwał, spojrzawszy na

zegarek, przekonał się ze zdziwieniem, że już jest siódma godzina rana, że przespał pięć godzin, gdy zdawało mu się, że ledwie trzy minuty. Wstał i obezdrł całe mieszkanko, lecz nie znalazł nikogo prócz drzemiącego ordynansa, którego rozbudził, a który mu powiedział, że pan jego nie wrócił dotąd i że Küchelbeker pojechał ze starym kamerdynerem, szukać go po całym mieście.

Golicyn czuł się bardzo słaby, doświadczał zawrotu głowy i dotkliwego bólu w skroni od uderzenia obcasem, mimo to ubrał się do wyjścia; wtedy dopiero zauważył, że ma na sobie cudzy kapelusz, że okulary jakimś cudem ocalały. Wyszedł na ulicę, wsiadł do dorożki i wieść się kazał najpierw na senator ki plac, a potem dopiero do domu.

Nie rozwidniło się jeszcze całkiem, niebo szarzało dopiero, a na dachach bieleć poczynął śnieg. W miarę zbliżania się do senackiego placu, ulice nabierały wyglądu koszar wojennych. Wszędzie wojska, patrole, kordony, placówki, stogi słomy i siana, piki i karabiny ustawione w kozły, sygnały wart, trzask palonych ognisk, dokoła których migały poprzez smugi dymu błyszczące lufy haubic.

Na rogu ulic Angielskiej i Nadbrzeżnej, Golicyn wysiadł z sanu bo dalej nie było już przejazdu i poszedł pieszo, przedzierając się przez tłum. Uszedłszy kilka zaledwie kroków, musiał się zatrzymać, bo na plac nie puszczano nikogo. Wojsko okrążyło go dokoła, a prócz tego w oznaczonych odstępach, stały armaty obrócone panczami do głównych ulic. Ulicą nadbrzeżną jechał wielki wóz zakryty słomianą rogozą, za jego

zblizeniem się lud rozstępował się i zdejmował czapki.

— Co to? — spytał Golicyn.

— To wiozą nieboszczyków — odpowiedziano mu szeptem. — Daj im Bóg królestwo niebieskie, to przecież ludzie chrześcijańscy, a pod łód ich wrzucają jak psów.

Szeptali tak w dalszym ciągu ludzie stojący obok Golicyna, który dowiedział się w ten sposób, że policja zbierała przez całą noc trupy i zwoziła je nad rzekę, gdzie zrobiono wiele przegrębli dla wrzucania zwłok. Topiono tak wszystkich, nie tylko umarłych bo znajdowali się wśród nich i żywi ciężko ranni. A nie było czasu na odróżnianie, bo polecono do rana oczyścić plac. Niektórych wrzucono tak niedbale, że sterczeli z lodu i przymarzali. Stada wron wietrząc żer, zbierały się i ważyły nad Newą, jak czarne chmury ze złowieszczym krakaniem, a prócz krakania tego dawał się słyszyć jakiś inny jeszcze potworniejszy zgrzyt, podobny do żelaznego szczęku.

— A to co? czy słyszycie? — spytał znowu Golicyn.

— A! to pranie i maglowanie — odpowiedział mu ktoś, bojaźliwym szeptem.

— Jakto pranie i maglowanie?

— A no! idź i sam zobacz.

Golicyn przecisnął się jeszcze trochę dalej i spiąwszy się na palcach zaglądał tam skąd dochodził się ów zgrzyt.

Tam na placu ludzie skrobali bruk żelaznymi zgrzeblami, oczyszczali go ze krwi zakrzepłej wraz ze śniegiem i posypywali białym, czystym, poczem wbijali go walcami, a na stopniach gan-

ku w gmachu senackim zmywano zakrzepłe kałuże krwi, alewając je kipiakiem z dymiących cebrów, potem wycierano kamienne płyty wiechciami i ścierkami, wstawiano szyby w oknach, szabelano ściany i białe kolumny senatu, tynkowano dźwiury zrobione od kul, a w górze pod dachem przyprawiano na nowo szalki, trzymane przez boginię sprawiedliwości.

Ranek pochmurny wstawał taki sam mglisty i cichy, jak wczoraj i namyślał się tak samo w co się obrócić, w mróz, czy w odwilż? Igła admirańska wpiła się podobnie jak wczoraj w niskie obłoki podobne do białej waty, a mostki biegnące przez Newę, gubiły się tak samo w białej ścianie mgły i śniegu. I zdawało się, że tam za Newą niema już nic, prócz śniegu i pustynne mgły, że tam koniec wszystkiego, nieba i ziemi ostatni kraniec świata. A spiżowy jeździec na spiżowym koniu skoczyć chciał zda się w tą białą otchłań najdalszą i ostateczną.

Na placu tymczasem trwało wciąż skrobanie, sgrzytanie, ścieranie żelaznymi zgrzeblami.

— Nie zeszkrobia — pomyślał Golicyn — krew wystąpi z ziemi, poskarży się Bogu i sprowadzi pokromienie zwierza.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

TOM DRUGI.



CZĘŚĆ TRZECIA.

ROZDZIAŁ I.

— Rewolucya na progu Rosyi, lecz klnę się, że progu tego nie przekroczy, póki ja cesarzem jej z Bożej łaski! — Co ty tak na mnie patrzysz?

Benkendorf przewracał oczyma, myśląc tylko o jednym, jakby tu nie zasnąć, lecz trudno było zaskoczyć go, lub wprowadzić w zakłopotanie, wtedy nawet, gdy był senny.

— Rozkoszuję się wami, najjaśniejszy panie, nie napróżno porównują waszą cesarską moc do Apella, jak tamten pokonał Tyfona, smoka groźnego, tak wasza cesarska moc stłumiła rewolucję powszechną.

Rozmowa ta toczyła się w poczekalni między gabinetem cesarza, a pokojem adjutantów, w zimowym pałacu, w nocy z 14 na 15 grudnia.

Cesarz spędził esiem godzin na placu, zmęczył się, wymarzał, wygłodził, mimo to, wróciwszy do pałacu, posilił się na prędce wieczerzą po nabożeństwie i zabrał się natychmiast do przesłuchania aresztowanych.

W mundurze preobrażeńskiego pułku, w szarfiu i wstędze w botfortach i łosiowych spodniach, zapięty, zasznurowany na wszystkie guziki i pętelki, nie położył się ani na chwilę, a tylko zadzierał czasem, siedząc na obitej skórą kanapie z wysoką, wypukłą poręczą, przed stołem, zawalonym papierami.

Dworski lokaj wszedł już trzeci raz do pokoju, stąpając cicho, i zmieniał po raz trzeci liczne świece, degorywające w kandelabrach, na jaspisowym stoliku. Na angielskim ściennym zegarze wybiła godzina czwarta. Benkendorf spojrzał na zegar złośnie, bo wszak i on nie spał już drugą noc; starał się mówić dużo, aby nie zasnąć.

— Nieraz przepiękny dzień zaczyna się od burzy, tak będzie i z panowaniem Waszej Cesarskiej Mości; sam Bóg obronił nas od klęski nie mniejszej, jak najazd francuski — powtórzył słowa zasłyszane od Karamszina.

— Tak! Pomyślnie się rozwiązało — rzekł cesarz, czując jednak, że jeszcze w nim serce zamiera, jak u człowieka, który przebiegł co tylko przez wąską kładkę, zawieszoną nad przepaścią.

Spojrzał ukradkiem na Benkendorfa, z utajoną nadzieją, że go może uspokoi i ubezpieczy, lecz ten przeciwnie starał się, jakby umyślnie omotać go siecią strachu, jak pajak złowioną muchę.

— Wszystko wisiało na włosku, Wasza Cesarska Mość! Gdyby powstańcy okazali trochę więcej zuchwałości i energii, odnieśli by niezawodnie powodzenie, lecz na szczęście Bóg miłosierny pogrążył buntowników w jakąś dziwną odrętwiałość. Przestali na placu w bezczynności właśnie tyle godzin, ile było potrzeba dla zarządzania środków obronnych. Gdyby saperzy spóznili

się o jedną minutę, w chwili, gdy lejby granadyery wyruszałi wreszcie w pole, złoczyńcy ci zdobyliby pałac z całą najdostojniejszą rodziną i strach pomyśleć, jakby sobie wówczas poczyniła ta zezwierzęcona szajka wyrzutków, którzy wyparli się Boga, cara i ojczyzny. Włosy dębem na głowie stają, i krew stygnie w żyłach, gdy się o tem pomyśli.

— Myślisz, że wszystkichby wyrzegli?

— Wszystkich, Najjaśniejszy Panie!

— A! prawda, że mnie chcieli przecie już na placu zabić.

— A tak! Bardzo być może, że ta sama kula, którą przeszyty został Miłoradowicz, przeznaczoną była dla Waszej Cesarskiej Mości.

— A czy żyje on jeszcze?

— Kona, może dociągnie do rana, gangrena w kiszkaach.

Zamilkli obaj po tych słowach.

— A jakże teraz! Czy już spokój? — zapytał cesarz i wnet potem pomyślał, że za często się o to dopytuje.

— Bogu dzięki! dotąd panuje spokój.

— Dużo aresztowanych?

— Sto siedmiu ludzi z niższych rang, dziesięciu oficerów i kilku fraszkowych z tej cywilnej kanalii. Już to nie są główni przewodcy a zwykli szeregowcy.

— A Trubecki? On przecie jest głównym.

— O nie najjaśniejszy panie, ręczyć mogę, że sprawa bierze początek wyżej.

— Jakto wyżej; co przez to rozumiesz?

— Nie wiem jeszcze na pewno, lecz domyślam się, że wysocy dygnitarze, może nawet członkowie rady państwa, umoczyli w tem rękę.

— Któż mianowicie?

— Wolałbym nie wymieniać nazwisk.

— Nazwiska! mów! ja każę!

— Mordwinow, Sperański.

— Nie może być — wyszeptał cesarz, lecz serce w nim znów zamrło, nie od przeszłego, lecz już od przyszłego lęku.

Zaledwo przebiegł nad jedną przepaścią, a oto otwiera się druga; myślał, że wszystko skończono, a to się dopiero zaczyna.

— Wasza cesarska moc, wszystko się może na nowo rozpocząć — wyrzekł Benkendorf, jakby odgadł i podłuchał myśl Mikołaja.

— Sperański! Mordwinow! to niemożliwe — powtórzył znów cesarz, próbując jeszcze wywikłać się z lepkiej sieci, jak mucha, co trzepocze się w pajęczynie. — Nie! Benkendorf, ty się mylisz.

— Daj Boże, abym się mylił najjaśniejszy panie!

Arcy-spieg patrzył na Mikołaja milcząc, tymże wzrokiem, widzącym arszyn pod ziemią, jakim spoglądał na cesarza onegdaj, wilią wybuchu grudniowej rewolucji. Po jego cienkich wargach przewijał się zaledwie dostrzegalny uśmiezek. Rozweselił się i senność mu nawet przeszła, bo zrozumiał w tej chwili, że mucha nie wywikła się już z pajęczyny, którą ją omotał. Był poprzednio Arakczajew, teraz kolej na Benkendorfa. Wydobył z kieszeni i położył na stole ćwiartkę papieru gęsto zapisanego.

— Racście to przeczytać, wasza cesarska moc.

— Co to?

— Projekt konstytucji Trubeckiego, ich dyktatora.

— Aresztowany?

— Jeszcze nie! Ukrył się u swego austriackiego szwagra Lejbzelternna. Prawdopodobnie za chwilę go przywiozą. A co się tyczy tej konstytucji — przypomniał sobie nagle, a może użalił się nad carem i zapragnął go zabawić — skoro pijana hołota krzyśać poczęła na placu »Ura konstytucya« — spytał ich ktoś: »A wiecież wy głuptasy co to konstytucya?« »A jakże! Wiemy — odpowiedzieli — Konstanty mąż, a konstytucya żona«.

— Nie głupio! — odrzekł Mikołaj, uśmiechając się swym swym krzywym uśmiechem jakby przy bólu zębów, lecz policzki miał przytem wciąż nadęte, jak malec postawiony w kąt, na pokutę.

Benkendorf wiedział czego cesarzowi brakuje. Wiedział, że Mikołaj boi się i nienawidzi, a pragnie za wszelką cenę pogardzić, pogardy tej laknie nieugaszonym pragnieniem. Poszliż do mnie Łasarsza, aby umoczył palec w wodzie i zwilżył mi język, bo goręję w tych płomieniach. Anegdota o konstytucji była tym zwilżonym palcem, chłodzącym na chwilę, lecz nie gaszącym pragnienia.

Z poza drzwí dochodził gwar głosów. Do sąsiedniej sali adyutantury, kozacka pikietą przyprowadzała pod konwojem aresztowanych, których badali generałowie Toll i Lewaszew.

Benkendorf poszedł ku drzwiom i uchylił je.

— A wieluż tu tych Pugaczewców? — spytał opryskliwie.

Komendant pałacu Baszucki, szepnął mu coś na ucho.

— Kto? — spytał głośniejsze Benkendorf.

— Jeszcze jedna kanalia frackowa, niejaki Rylejew; czy zgłosić go do jego cesarskiej mości.

— Teraz jeszcze nie; potem. Ty najpierw donieś o Trubeckim. No! idź.

Skoro Benkendorf wyszedł, Mikołaj oparł głowę na wysokiej poręczy i próbował zdrzemnąć się, ale było mu niewygodnie. Głowa zsuwała się z gładkiej poręczy, a bał się położyć, aby nie zasnąć na dobre.

Wszedł kamerdyner generała adyutant Adlerberg, niosąc zręcznie z lokajką biegłością tacę z czarną kawą. Mikołaj pił ją całą noc, aby odgonić sen. Przy wejściu kamerdynera, drgnął i ocknął się.

— Raczcie położyć się wasza cesarska mość.

— Nie Fedorycz, nie do snu mi dzisiaj.

— Drugą już noc wasza cesarska mość nie śpi; można się rozchorować.

— Gdy zachoruję to się położę, lecz póki sił starczy trzeba się trzymać.

Napił się kawy, a aby się lepiej jeszcze rozbudzić, zabrał się do pisania listu do brata Konstantego. Nie mógł o nim myśleć, bez nienawistnego zgrzytania zębów, lecz w liście swym wypowiadał tkliwe rodzinne uczucia.

Drogi mój, drogi Konstanty — wierz mi i bądź pewien, że jedynym pragnieniem mojem będzie stosować się do woli twojej, idąc w ślady naszego anioła nieboszczyka cesarza. To jedno tylko mam w sercu. Aresztowania idą nieźle, i wkrótce już będę mógł donieść ci wszystkie szczegóły tej nieszczęsnej i haniebnej historii. Wtedy dopiero przekonasz się, jak ciężkie brzemie włożyłeś na barki swego nieszczęsnego brata i jak bardzo zasługuje na współczucie, twój biedny mały, *votre pauvre diable, votre katorżnik du palais d'hiver*.

Generał Toll wszedł z papierami.

— Siadaj Karolu Fedorowiczu i czytaj.

Toll przeczytał zesłanie Oboleńskiego, aresztowanego razem z Rylejewem.

— Jak myślisz! Czy można darować winę niższym członkom związku i tym nieszczęsnym młodym ludziom.

— Toll nic nie odrzekł, nie pierwszy to raz cesarz go pytał o to.

— Biedni, biedni nieszczęśnicy — westchnął cesarz — odpowiedzialni za nich jesteśmy przed Bogiem. I za cóż ich karać, skoro błędy ich to błędy całego naszego wieku. Nie gubić ich trzeba, ale ratować. Przeciwnie nie kat, ani morderca. Czyż nie rozumiesz Toll, że ja nie mogę, żadną miarą nie mogę. Czyż nie widzisz, że mi się serce rozdziera.

— Rozpłacz się jeszcze — pomyślał Toll, nie wiedząc, co robić z oczyma.

Na prestackiej jego, lecz uczciwej twarzy, pruskiego kaprała, malowała się cierpliwa nuda z jaką słuchać musiał utyskiwań cesarza.

A cesarz biadał jeszcze długo gadatliwie, z tą rozlewną czułościowością, którą wniósł w dzieciństwo po matce. Przymierał różne maski przed Tollem, jakby stał przed zwierciadłem.

— No, jakże myślisz przyjacielu? jak myślisz? czy można im darować?

— Wasza cesarska mość — odrzekł Toll, który wreszcie nie wytrzymał i rzucił się tak, że aż krzesło pod nim zatrzęszczało. — Darować zawsze będzie czas, lecz nie można uwalniać nawet najmłodszych członków, dopóki się nie odkryje głównych sprężyn i podżegaczy całego zaburzenia. Do tego czasu należy wszystkich bez wyjątku poddać surowym przepisom, jakie nakazuje usta-

wa. Co wasza cesarska mość kaze zrobić z Obo-
lańskim?

Cesarz nachmurzył się i nadał; zrozumiał, że rozmówca jego nie pragnie być zwierciadłem. Westchnął jednak raz jeszcze i pochylił się nad stołem, gdzie był rozłożony plan petropawłowskiej twierdzy, z korytarzami i numerami cel więziennych. Mikołaj zakreślił jeden z tych numerów czerwonym ołówkiem, zanotował go na rozkazie do komendanta twierdzy Sukina i oddał milcząc, papier ten Tollowi, który wziął go również w milczeniu i wyszedł.

Cesarz znów oparł głowę o poręcz i przymknął oczy, próbując zdrzemnąć się i znów głowa stoczyła mu się po gładkim obiciu.

Po chwili wszedł komendant pałacowy Baszucki, niosąc w jednym ręku szpadę, w drugim srebrny talerzyk, na którym leżało coś małego i krągłego.

— Co to?

— Hrabia Miłoradowicz, wasza cesarska mość — zaczął, lecz nie skończył, bo głos załamał mu się w łkaniu.

— Umarł?

— Tak! wasza cesarska mość!

— Daj mu Boże królestwo niebieskie — rzekł cesarz i przeżegnał się, myśląc, że należałoby jednak coś odczuć.

— Ostatnie jego słowa były: »Umieram jakim żył, z czystym sumieniem, szczęśliwy, że mogłem oddać życie za monarchę«. Prosił, by uwolnić jego włościan, a waszej cesarskiej mości polecił oddać tę szpadę i kulę, która go przeszyła.

Baszucki położył na stole szpadę i postawił talerzyk z kulą.

— Nie mogę... Darujcie wasza cesarska mość — szkałał znowu, pocałował cesarza w ramię, odwrócił się i wybiegł.

Mikołaj wziął kulę ostrożnie dwoma palcami i przypatrywał się jej długo i ciekawie. Nowa, świeżo ulana, mała pistoletowa kula, nie wojskowa, widocznie strzelał ktoś z tych cywilnych kanieli frackowych. »Przesnaczona była dla waszej cesarskiej mości« — przypomniał sobie słowa Benkendorfa.

Odczytał kulę i wziął zapisaną ćwiartkę, którą mu zostawił Benkendorf, mówiąc, że to jest konstytucja Trubeckiego. Zabrał się do czytania jej.

»Doświadczenie wszystkich narodów i wszystkich wieków dowiodło, że absolutna władza jest równie zębna dla rządzących, jak i dla rządzonych; że nie zgodna ona jest z zasadami świętej wiary naszej, ani z prawami zdrowego rozumu. Nie wolno uświęcać powagą ustaw przemocy jednego człowieka, nie wolno dopuścić, by jedna tylko strona miała prawa, a druga tylko obowiązki. Ślepe posłuszeństwo opierać się może tylko na strachu i niegodnem jest zarówno rozumnego rozkazodawcy, jak i spełniających rozkazy. Stawiając osobę swą powyżej ustaw, zapomnieli monarchowie, że w ten sposób stawiają siebie sami poza obrębem praw, poza obrębem człowieczeństwa. Że nie wolno im powoływać się na prawo, skoro chodzi o innych, a zapoznawać takowe, gdy chodzi o nich samych.

Jedno z dwojga, albo prawa są sprawiedliwe, a wtedy czemużby nie mieli podporządkować się im, albo są niesprawiedliwe, a wtedy czy wolno podporządkowywać im innych. Wszystkie narody europejskie dążą do zdobycia praw i swobód, ro-

syjski naród bardziej niż każdy inny zasługuje na jedno i drugie. Rosyjski naród wolny i niezależny nie może być własnością jednego człowieka, lub jednej rodziny. Istotnym zwierchnikiem władzy, może być tylko sam naród.

— *Quelle infamie* — pomyślał cesarz. — Szkaradne to, lecz nie głupio pomyślane.

Znowu chciał pogardzić, a nie mógł, czując, że to już nie konstytucya, żona Konstantego. Rozstrzelać można buntowników na placu, ale jak to uśmiercić. Straszny był ten zapisany papierok, gorszy od kuli, niezniszczalny.

— Trubecki, wasza cesarska mość — zameldował Benkendorf.

Cesarz namyślał się, lecz wreszcie rzekł:

— Niech wejdzie!

ROZDZIAŁ II.

W spotkaniu pod Kulm, dwie rety Siemienowców, nie mające zapasowych naboików, dostały rozkaz, by wyprzeć białą bronią Francuzów z lasu, gdzie stali z armatami, ostrzeliwując przeciwnika. Komendant rety, książę Sergiusz Piotrowicz Trubecki, poszedł na czele żołnierzy z obnażoną szablą, tak spokojnie i wesoło, że wszyscy rzucili się ochoczo do ataku na bagnety i wyparli Francuzów z lasu. A pod Lützen, gdy książę Eugeniusz gromił ogniem z 40 armat gwardyjskie pułki, Trubecki chcąc zażartować z porucznika von Bock, szedł z tyłu i rzucił mu w plecy parę grudek ziemi, od czego ten, znany w pułku z tchórzostwa, swalił się na ziemię, jak martwy. Tak samo swalił się i książę Trubecki w dniu 14 grudnia.

Skoro się tylko zbudził z rana, przypomniał słowa Puszczyzna: »Lecz będziecie w każdym razie na placu«, i znów jak wczoraj, osłabł na samą myśl o tem, zaniemógł, stał się nagle miękki, płynny, jak ciecz. Bojąc się, że spiskowcy przyjdą po niego, wyszedł z domu, wsiadł dorózkę i kazał się zawieźć do kancelaryi głównego sztabu, aby tam spytać, gdzie i jak będą przysięgać, bo zamierzał złożyć przysięgę nowemu cesarzowi, w nadziei, że jeśli co zajdzie, to pospiesz w złożeniu przysięgi, przyniesie jakąś zmianę i dowiedział się, że przysięga dopiero jutro o jedenastej.

Ze sztabu poszedł Trubecki do siostry, na ulicę wielką Michałowską, a stamtąd do przyjaciela Nigiel-adjutanta Bibikowa, na rogu Fontanki i Newskiego. Nie zastawszy go w domu, posiedział czas jakiś z żoną jego i bratem, pogawędził z nimi i zobaczył, że już jest godzina pierwsza; pomyślał więc, że pułki już przysięgły i że wszystko odbyło się spokojnie i odjechał do domu, aby się przebrać i udać się na nabożeństwo do pałacu.

Jadąc jednak z Newskiego na admiralski plac, zobaczył tłum, usłyszał okrzyki: niech żyje Konstanty! Zapytał co to jest? a dowiedziawszy się o buncie, emal nie utracił zmysłów, zaraz na ulicy.

Nie pamiętał już dokładnie co było potem. Poszedł znów nie wiadomo poco do głównego sztabu, stanął w progu zamyślony, a potem wstępować zaczął po schodach i wszedł do kancelaryi, gdzie zastał ludzi biegających z zastraszonemi twarzami. Ktoś powiedział:

— Panowie! Wyście w mundurach, idźcie na plac, bo tam jest cesarz.

Wszyscy wyszli i on ze wszystkimi, lecz odłączył się od nich i przeszedł przez dziedziniec

sztabowy, na ulicę Millionną. Zatroškany, nie wiedział co z sobą począć i miotał się jak tropiony zając. Wrócił do sztabu, gdzie w bramie spotkał znajomego urzędnika, który go namówił, by razem pójść do kancelaryi.

— Ooh! bieda! bieda! — powtarzał wciąż urzędnik.

— Miłoradowicz zabity! — krzyknął ktoś nad samem uchem Trubeckiego, któremu aż nogi podcięło.

— Słabo wam książę?

Ktoś dał mu powąchać trzeźwiących soli i nagle ocknął się wśród nieznajomych ludzi, którzy ciągnęli go z sobą na senatorski plac.

— Chory jestem, panowie, czuję się bardzo niedobrze — mówił im prawie z płaczem.

I znowu kancelarya. O Boże! Któryż to już raz? pomyślał z rozpaczą.

Przeszedł do dalszych pokoi, do biura kuryerskiego, gdzie było pusto, bo się wszyscy rozbiegli, długo siedział sam jeden, radując się, że wreszcie zostawiono go w spokoju.

Skoro się ściemniać poczęło usłyszał huk armat, tak mocny, że szyby w oknach drżały. Zerwał się i chciał gdzieś biec, lecz opadł znów bez sił, i słuchał w odrętwieniu, wystrzału za wystrzałem.

Z biurkiem kuryerskim, połączona była ciemna komórka służąca do pakowania skarbowych przesylek. Pachło tu lakiem, szarem płótnem, płonął mętne światłem mała lampka wisząca na ścianie, na stole leżały całe zwoje szpagatu, a od pułapu sterczał wielki hak, takte przeznaczony do lampy. Trubecki spoglądał wciąż na ten hak, zdawało się bezmyślnie, dopiero potem

przypominał sobie, że przychodziło mu wciąż do głowy: »Dobrzeby było powiesić się«.

Wystrzały ucichły, do biura zaczęli przychodzić kuryerzy, dozorcy, egzekutorzy; kłaniali się nisko i patrzyli na niego ze zdziwieniem, wstał wówczas i wyszedł.

Wciąż jeszcze nie wiedział co z sobą począć wreszcie postanowił przenocować u swego szwagra austriackiego posła Lebzeltera. Wiedział, że i tam go odśwjadą, lecz jak spłoszony psotnik choć wie, że zasłużył na różgi, chowa się przecie pod stół, tak się i on przyczaił.

U Lebzelterów była Katarza; zobaczywszy ją zdał sobie dopiero sprawę, że o niej głównie myślał, za nią tęsknił i męczył się najbardziej tem, że ona o niczem nie wie. Chciał jej nieraz powiedzieć, lecz zawsze odkładał, i ostatecznie nie powiedział, choć wiedział dobrze, że jest to największa ze wszystkich jego podłości.

Znużony położył się spać wcześniej i zasnął twardo. Sniło mu się coś bardzo miłego jakieś niby góry, nie góry, fale nie fale fioletowo przezroczyste jak ametysty, a on niby lata nad niemi, niby spaceruje, i ogarnęła go we śnie nagle radość, że się aż zbudził.

Leżał w ciemnościach z otwartymi oczyma, a serce biło mu jeszcze wciąż od tej wyśnionej radości. Chciał przypomnieć co to było, wiedział, że niepodobne do niczego innego i wiedział także z całą pewnością, że to więcej niż sen. Wspominał także swój niedawny strach i poczuł odrętwienie, że strach ten całkiem już przeminął i nigdy nie wróci. Nie było mu nawet wstyd, a tylko dziwił się, całkiem jakby tu nie szło o niego, a o jakiegoś innego człowieka. Przypominał także

swój ulubiony psalm. Czytał go zawsze po łacinie, jak się go nauczył w dzieciństwie w pensjonacie jezuickim od starego polskiego księdza Alojzego.

»Gdy dusza moja w trwodze, w Tobie nadzieję pokładam. W Bogu wysławiam słowo Jego, bo i cóż mi uczynić może, ten, co z ciała jest. Nieprzyjaciele moi odwracają się i podają tył, skoro wzywam imienia Twego, a stąd wiem, że Bóg jest ze mną. W Bogu nadzieję pokładam i nie trwożę się, cóż mi uczyni człowiek?«

Znów zamknął oczy i zdążył tylko pomyśleć: »Tak właśnie, śpią skazańcy«. No cóż? niech! i zasnął jeszcze głębiej i słodziej, lecz już bez żadnych widzeń we śnie.

Zbudził się nagle, jak to często bywa, nie od hałasu, lecz od tego, że z góry wiedział, że będzie hałas i w samej rzeczy po chwili rozległo się mocne stukanie do drzwi.

— Wasza światłość! Wasza światłość! — porysował zalekany głos kamerdynera.

— Co takiego?

— Przyjechali z zimowego dworca.

Trubecki arezumiał, że jest aresztowany.

Csterech konwojowych z obnatenymi szablami wprowadziło więźnia do gabinetu cesarskiego, za nim weszli: generał adjutant Lewaszew, Toll-Benkendorf, komendant pałacowy Baszucki i naczelny policmajster Szulgin.

Mikołaj wstał, zbliżył się do Trubeckiego, stanął przed nim i wpatrywał się w niego długo w milczeniu. Ryży, ospowaty, z odstającymi uszami i wielkim garbatym nosem, z grubymi wargami i rozstrzępionymi baciakami po obu stronach twarzy, z dwoma bolesnymi zmarszczkami do-

koła ust. »Tak więc wygląda ten ich dyktator, trzęsie się cały, ożydzał ze strachu« — pomyślał cesarz z niugaszoną żądzą pogardy.

Poszedł do więźnia bliżej jeszcze i podnosząc wskazujący palec dotknął prawie jego czoła.

— Co to było w tej głowie? — rzekł — że wy z waszem imieniem, z takiej rodziny, weszliście w taką sprawę razem z tą całą hołotą.

Mikołaj miał się sam w tej chwili za Apolla belwederskiego, miążdżącego Tyfona.

— Wy kniaź Trubecki, pułkownik gwardyi, jak wam nie wstyd.

Po chwili pierwsza maska spadła i cesarz przywdział drugą, w miejsce groźnej, sentymentalną, tą samą, którą przymierzał niedawno przed Tollem.

— Taka miła żona! Czy macie dzieci?

— Nie! Wasza cesarska mość.

— To bardzo szczęśliwie, że nie macie dzieci, bo los wasz będzie straszny, straszny.

Pomimo wewnętrznego gniewu Mikołaj był spokojny, wszystko było z góry obmyślane.

— Od czego tak drżycie?

— Ziębłem najjaśniejszy panie, jechałem tu tylko w mundurze.

— Dlaczego?

— Bo mi ukradli futro.

— Kto?

— Nie wiem. Widocznie w czasie samieszania przy aresztowaniu; było mnóstwo ludzi — odparł Trubecki i uśmiechnął się, podnosząc oczy; a nie było ani śladu trwogi w tych oczach szarych, wielkich, smutnych i dobrych.

Stał niezręcznie z rękami założonemi w tył.

— Raczcie stać, jak należy, ręce do szwów.

— Sire...

— Skoro wasz monarcha mówi do was po rosyjsku, nie wolno wam odpowiadać mu w innym języku.

— Moja wina! wasza cesarska moc, ale mam ręce związane.

— Rozwiązać!

Saulgin zbliżył się, zaczął rozwiązywać, Mikołaj odwrócił się, a zobaczywszy w rękach Tolla papier, rozkazał:

— Czytaj!

— Toll przeczytał zeznanie jednego z aresztowanych, który twierdził, że wypadki z dnia 14 grudnia są dziełem tajnego związku, który ma znaczniejsze rozgałęzienie, w czwartym korpusie, i że książę Trubecki, jako sztabowy oficer tego korpusu, może dać dokładne wyjaśnienia. Trubecki słyszał i ucieszył się, zrozumiał bowiem w pierwszej chwili, że zeznający naprowadził umyślnie śledstwo na fałszywy trop, aby zasłonić południowy związek.

— Czy to zeznanie Puszczyzna? — zapytał Mikołaj.

— Tak, Puszczyzna, wasza cesarska moc — odparł Toll.

Trubecki zauważył, że mrugnęli do siebie.

— No! Cóż powiecie na to? — spytał cesarz, zwracając się znów do Trubeckiego.

— Puszczyzn myli się, najjaśniejszy panie! — odparł Trubecki, zbierając całą przytomność umysłu, ażeby odgadnąć, co znaczyło to mruganie.

— Więc wy myślicie, że to Puszczyzn — rzucił się na niego Toll.

Ale Trubecki nie stracił się, zrozumiał już, o co chodzi; przez niego chcą zaplątać Puszczyzna.

— Wasza wielmożność sami raczyliście twierdzić, że to zeznanie Puszczyzna.

— A gdzież Puszczyzn mieszkają?

— Nie wiem.

— Wszak u ojca?

— Nie wiem.

Ja zawsze mówiłem, że czwarty korpus to gniazdo spiskowców — rzekł Toll.

— Wasza wielmożność ma niedokładne wiadomości; w czwartym korpusie niema wcale tajnego związku i za to ja ręczyć mogę — odparł Trubecki i spojrzał na Tolla z jawnym prawie tryumfem.

Toll zamilkł z uczuciem myśliciela, któremu z przed nosa prawie sprzątnięto zwierzynek, a i cesarz także zrozumiał, że chybili obaj.

— A cóż wy jesteście? O sobie mówcie; przecież wy należeliście do tajnego związku.

— Należałem — wasza cesarska moc — odparł Trubecki spokojnie, wiedząc, że już teraz nie da się zaskoczyć.

— Dyktatorem byliście.

— Tak jest.

— A to ładnie! Plutonem nie umie dowodzić, a zachciało mu się rządzić losami narodów. — A czemuż to nie byliście na placu?

— Wiedząc, że potrzebne im tylko moje nazwisko, odszedłem od nich. Przedtem spodziewałem się do ostatniej chwili, że pozostając z nimi w stosunkach, w charakterze niejako naczelnika, potrafię wstrzymać ich od nierozsądnych zamysłów.

— Od jakich? czy carobójstwa? Ucieszył się znów Toll, zasadzając się na niego. „O carobójstwie nikt nie myślał“, chciał odrzec Trubecki,

lecz przypomniał, że to nieprawda, odpowiedział więc inaczej.

— W politycznych zasadach związku nie było carobójstwa. Chciałem tylko powstrzymać ich od wywołania zaburzeń w wojsku i niepotrzebnego przelewu krwi.

— Wiedzieliście o zaburzeniach? — spytał cesarz.

— Wiedziałem.

— I nie donieśliście?

— Nie dopuszczałem nawet myśli do siebie, bym mógł uprawnnić kogo do nazwania mnie podłym.

— A teraz, jak was nazywają?

Trubecki nic nie odrzekł, lecz spojrzał na Mikołaja tak, że zrobiło mu się nieswojo.

— Przestań się pan wykręcać i mów wszystko, co wiesz — krzyknął Mikołaj groźnie, bo zaczął go ogarniać gniew.

— Nic więcej nie wiem.

— Nie wiecie? a to co?

Mikołaj poszedł szybko do biurka i wziął zapisaną ćwiartkę papieru, na której położył był przedtem kulę, by papier odrazu znaleźć.

— Meże i o tem nie wiecie. — Kto to pisał? Czyja ręka?

— Moja.

— A wiecie? że za to samo mógłbym was kazać na miejscu rozstrzelać.

— Kaźcie waszą cesarską moc! Macie do tego prawo — odparł Trubecki podnosząc ponownie oczy — i wspomniał w myśli »W Bogu nadzieję pokładam i nie trwożę się, cóż mi uczyni człowiek«?

— Nie trzeba się gniewać, nie trzeba się gniewać — powtarzał w myśli cesarz, lecz było już

zapóźno. Nagły przypływ wściekłego gniewu, rozlewał się już jak trunek ogoiści po żyłach jego.

— A! tak! Myślicie, że was rozstrzelają i że staniecie się interesującym bohaterem — syczał zadyszczanym szeptem, zbliżając twarz swoją do twarzy więźnia i następując na niego tak, że go prawie pchnął. Nie tak! nie tak! nie rozstrzelanym będziesz, a zgnijesz w twierdzy w kajdanach, w kajdanach; arszyn pod ziemią; los twój będzie straszny, straszny, straszny!

Im częściej powtarzał ten wyraz, tembardziej czuł cesarz swoją bezsilność wobec człowieka tego, który stał przed nim. Mógł zakuć go, zesłać, zamęczyć, zabić nawet, lecz mimo to nic z nim nie dokaze.

— Szubrawiec! — wrzasnął wreszcie Mikołaj — rzucił się na Trubeckiego, chwytając go za kołnierz. Mundur zaszczał. Zerwać mu szlify, zerwać mu szlify! O tak! tak! tak!

Sam mu zdierał szlify, trząsł, szarpał, popychał, aż zwałił więźnia na podłogę.

— Najjaśniejszy panie! — przemówił cicho Trubecki, powalony przed nim na klęczki, patrząc mu prosto w oczy, a Mikołaj dorozumiał się reszty. »Jak wam nie wstyd«. Opamiętał się wreszcie, odstał od niego, opadł w krzesło i zakrył twarz rękami. Wszyscy czekali w milczeniu, jak się to skończy. Trubecki wstał i spojrzał na Mikołaja z tym samym co wprzód cichym uśmiechem. Gdyby Mikołaj mógł go widzieć, zrozumiałby, że w uśmiechu tym była litość.

Otworzyły się drzwi od sypialni cara, wielki książę Michał wysunął ostrożnie głowę i potem równie ostrożnie wsunął ją z powrotem i drzwi

zamknął. Milczenie trwało długo, wreszcie cesarz odjął ręce od twarzy, która była w tej chwili nieruchoma, nieprzenikniona. Wstał i wskazał Trubeckiemu krzesło, stojące przy stole.

— Siadajcie tu i piszcie do żony — rzekł, nie patrząc na niego.

Trubecki siadł, wziął pióro do ręki i spojrzał na cesarza.

— Co rozkazacie pisać wasza cesarska mość.

— Co chcecie.

Mikołaj patrzył przez ramię na to, co pisze Trubecki.

Przyjaciółko moja, bądź spokojna i módl się do Boga.

— Co tu długo pisać, przerwał Mikołaj. Piszcie tak, będę żywy i zdrowy.

Trubecki napisał. Cesarz stoi za mną i polecił mi donieść, że jestem żywy i zdrowy. Będę żywy i zdrowy, poprawił Mikołaj, dopiszcie w górze »będę«.

Trubecki dopisał, cesarz wziął papier i sam go oddał Szulginowi.

— Proszę to wręczyć księżnie Trubeckiej. Szulgin wyszedł i znów zapanowało milczenie. Trubecki wstał, cesarz stał przed nim i miał wciąż oczy spuszczone, jakby ich nie śmiał podnieść. Siadł potem za stołem i napisał do komentanta Sakina. »Trubeckiego umieścić w Aleksiejewskim forcie Nr. 7.« Oddał papier Tollowi.

— No, idźcie już! — rzekł, podnosząc wreszcie wzrok na Trubeckiego. Proszę nie gniewajcie się księżę; moje położenie także nie do zazdrości, jak to chyba sami widzicie. Uśmiechnął się krzywo i pęserwieniał, bo zrozumiał, że niczem nie poprawił wrażenia. — Nadał się więc i nachmurzył.

— Idźcie stąd! idźcie wszyscy! skinął ręką, a gdy wyszli, usiadł znów na kanapie na dawnym miejscu i zamarł w nieruchomości, lecz już nie drzemał, ale szeroko otwartymi oczyma, patrzył prosto przed siebie w zwierciadło. Na ścianie nad kanapą, wisiał wielki naturalnych rozmiarów portret cesarza Pawła pierwszego. Portret ten odbijał się w zwierciadle, a płomienie świec dogorywających w kandelabrze na jaspisowym stoliku nadawały rozedrganem swem światłem, pozory ruchu i życia wizerunkowi. Zdawało się, ożył cesarz Paweł i lada chwila wystąpi z ram, w swym mundurze komandora Maltańskiego, w purpurowym płaszczu, przypominającym archierejską rasę, mały człowieczek z zapadłym noskiem, oblaknemi oczyma i uśmiechem i piej główki. Syn patrzył na ojca, ojciec na syna, jakby chcieli sobie coś wzajemnie powiedzieć. »11 marca, 14 grudnia« wtedy zaczęło się, teraz się kończy. »Uduszą mnie jak udusili ojca« przypomniał Mikołaj słowa brata Konstantego i mógłby w tej chwili powiedzieć o sobie to samo czem groził niedawno Trubeckiemu, »los twój będzie straszny, straszny, straszny«. Wstał i podszedł do zwierciadła, w lustrzanej szybie odbiła się twarz syna, u stóp wizerunku ojca. Błada twarz z zaczerwienionemi od bezsenności powiekami, nadęta jak u skarconego dzieciaka postawionego w kąt, z włosami najęzonymi jakby stanęły dębem. Zdało się Mikołajowi, że to nie on, lecz jakiś jego sobowtór, samowaraniec, cesarz parwenjusz.

Zbliżył twarz swą do zwierciadła, rysy jego skrzywiły się w drwiącym uśmieszku, a wargi wyszeptaly bezdźwięcznie.

— Sztab-kapitanie Romanow! to przecież ty.

Otrząsnął się ze zgrozy, bo zdało mu się, że to nie on sam, a tamten drugi w swierciadle chichocze i szepta mu.

— Sztabs-kapitanie Romanow, to przecież ty.

ROZDZIAŁ III.

— Marynko! — rzekł Golicyń, otwierając oczy.

Pierwszy to raz ocknął się przytomny, po długiej malignie, w czasie której czuł, że ona jest przy nim i męczył się tem, że nie umie jej nazwać.

— Co, Waleryanie Michajłowiczu, co mój miły — odrzekła Marynka, nachylając się nad nim i zaglądając mu w oczy z trwożną radością. — No! powiedz co? co? co? — pytała, usiłując pojąć jego życzenia.

Chciał ją spytać co się z nim dzieje i gdzie jest, lecz był tak osłabiony, że bał się mówić, by nie zwalić się znowu w bezdenną czelusć bezpamięci, z której zaledwie się wynurzał. Sam próbował przypomnieć sobie i pamięć mu wracała, lecz po chwili gubił ją znów, myśli jego rwały się jak zetlała przędsza, rozpraszały w drobniakach. Uwagę jego zajęły liczne flaszeczki z receptami, stojące na nocnym stoliku, plama świetlna woskowej świecy, ocienionej jedwabną umbrellką, jednostajne cykanie kiessonkowego zegarka, prawdopodobnie własnego, który leżał przy nim na nocnym stoliku.

— Która godzina? — przemówił nakoniec z ostrożnym wysiłkiem.

— Pół do siódmej — odpowiedziała Marynka.

— Rano czy wieczór? — chciał spytać, lecz wnet zapomniał i myśleć zaczął o czem innem: chcąc spytać, jak długo był chory.

Milczał czas jakiś, potem rzekł:

— Który dziś dzień?

— Czwartek.

— A data? — chciał się jeszcze dopytać, lecz nie mógł się na to zdobyć.

Nagle w tej ciszy posłyszał głuchy huk, podobny do dalekiego strzału.

— Czy jeszcze strzelają? — sadziwił się i przypomniał sobie, że taki sam huk słyszał przez cały czas w swej gorączce i za każdym razem chciał biec tam, gdzie strzelają, podnosił się, zrywał do biegu i zostawał na miejscu. »Stali, stali, przestali«, cykał mu jednostajnie zegarek i on uprzytomnił sobie, że to znaczy, iż przestali rewolucję.

— Spetniał! — rzekła Marynka, kładąc mu rękę na czole.

— No! chwała Bogu — przemówił radośnie Foma Fomicz, którego Golicyń poznał po głosie.

Lekarz onegdaj powiedział: »Byle się tylko spociał, to wyzdrowieje«. Marynka ocierała mu chusteczką czoło i twarz, on patrzył na nią i przypominał jakby po przez sen wróżebny, bezzamiętnie dawny, nieraz prześniony.

»Miła! miła dziewczeczka, owiana technieniem miłości, jak rozkwiecony bez, świeżością wonnej rosy«.

Miała na sobie stary popielaty kaftaniczek, z grodenaplu, a na głowie blendynowy czepeczek nocny, z pod którego zwisały się po obu stronach twarzy długie ciemne loki. Twarzyczka jej pobladła i wychudła nieco, przez co duże jej cie-

mne oczy zdawały się jeszcze większe i ciemniejsze.

— Miła, redzona miła! — wyszeptał i podnieść się starał ku niej.

Oczy ich spotkały się; Marynka zrozumiała czego chce i położyła mu na ustach dłoń, jak płatki kwiatu rozgrzane od słońca.

— Czas już podać lekarstwo, Maryo Pawłowna — przemówił Foma Fomicz.

Marynka nalała pełną łyżkę mikstury i napiła go. Było to kwaśne i pachło migdałami i ananasem.

— Jeszcze! — poprosił Goliceyn.

— Nie można więcej; chcecie pić?

— Nie, spać.

— Poczekajcie, głowa za nisko.

Jedną ręką objęła go pod ramieniem i podniosła z nieoczekiwaną siłą i zręcznością, drugą poprawiała poduszki. Gdy podnosiła go, oparty twarzą o jej ramię, wyczuwał przez stanik jędrną miękkość dziewiczej piersi.

— Czy tak dobrze? — spytała, ułożywszy mu głowę na poduszkach.

— Dobrze, Marynko... Mateńko...

Sam nie wiedział czy powiedział to umyślnie, czy mimowoli, lecz gdy ona uśmiechnęła się, a oczy ich spotkały się powtórnie, powtórzył jeszcze dwukrotnie:

— Mateńko! Marynko!

Chciał coś jeszcze dodać, lecz nie odłączyła go od siebie, jak gdyby ciemne fale; czuł tylko, że ona całuje go w czoło. Przeżegnała go następnie szepcząc:

— Spij rodzony mój! śpij z Bogiem!

Zamknął oczy z uśmiechem i zdawało mu się, że ona go buja, huśta, kołysze.

Przespał jednym tchem do jedenastej godziny następnego dnia. Zbudziła go kotka Markiza, biała kotka, z błękitnymi ślepkami, autentyczna nie podrobiona markiza. Przespała całą noc, zwinęta w kłębek, na klawikordzie, a gdy już miała dość snu, wstała, wygięła grzbiet, zamruczała i skoczyła czterema łapkami na klawisze, czem oczywiście zbudziła Goliceyna.

— A psik! niegodziwa! ot i rezbudziła — fuknęła z oburzeniem Marynka.

— Petap Potapow Potapicz — posłyszal Goliceyn z drugiego pokoju głos papugi. Dorożumiał się wtedy, że znajduje się w staroświeckim domu babuni, tylko pokój był mu nieznany, żółto-brunatny, przyległy do pokoju, gdzie stały krosna. Objaśniono go potem, że w małej jego sypialni, na parterze za duszno było i za ciasno i dlatego przeniesiono go tutaj. Pachło tu brzośzowymi polanami, które z hukiem i trzaskiem paliły się w piecu, wypełniając połowę bawialni różowym odblaskiem, podczas gdy druga połowa zalana była zimnem błękitno białym światłem zimowego poranku. Okna wychodziły na ogród z oprószonymi szronem staremi lipami. Na ścianach obitych cytrynowo-żółtą tkaniną, wykwitał u góry pod sufitem, biały fryz, wyobrażający pochod płasających amorków, nagie ich kształty, zaróżowiły się od ognia płonącego w piecu i zdawały się ożywać.

— Jaki wesoły pokój — pomyślał Goliceyn i jemu samemu zrobiło się nagle wesoło.

Biała kotka, nie bojąc się widocznie za bardzo fukania Marynki, skoczyła na kołdrę i ocierać się poczęła pyszczkiem o nogi Goliceyna z głośnym mruczeniem.

— A psik! a psik! nieznosna! — wołała Marynka.

— Nic nie szkodzi, Marynko! wyspałem się już dobrze.

— Dobry dzień księciu, jak się czujecie dzisiaj? — spytał Foma Fomicz, wychodząc z poza parawanu. Peruczkę miał na głowie przekrzywioną na bok, pudrowany hacap rozczochrał mu się, długi kaftan był zmięty, widocznie noc całą nie kładł się i przesiedział ją, czuwając na fotelu za parawanem.

— Doskonale spałem; poco się o mnie tak troszczycie, mam się już całkiem lepiej — odpowiedział Golicyń.

Marynka spojrzała na niego zdziwiona i uradowana, taka zmiana była w głosie jego i twarzy.

— No! chwała Bogu wielkiemu, chwała Bogu — rzekł Foma Fomicz i przeżegnał się, a w dziecięcych jego oczach, w dziecięcym uśmiechu promieniała taka dobroć, że Golicynowi zrobiło się jeszcze weselej.

— A możebyście coś przekąsili książę, może kawki z bułeczką, albo jajek.

— Wszystko, wszystko co chcecie Foma Fomicz, okrzepnie mi się jeść chce.

Lecz Golicyń spoważniał, nagle podniósł się i zaczął nasłuchiwać, bo znów do uszu jego doszedł huk jakby dalekiego wystrsała armatniego, ten sam huk, który słyszał wczoraj i który niepokoił go wciąż w czasie gorączki, tylko teraz wiedział, że to nie przywidzenie.

— Co to jest? słyszycie?

— Biegnijcie, na miłość Boga, Foma Fomicz i dowiedzieć się co to takiego — prosiła Marynka.

— Jakto? czy nie słyszycie? — powtarzał Golicyń — strzelają, tak strzelają, a w oczach jego zabłysła nadzieja.

Zrywał się z pościeli, gotów w tej chwili biec tam, gdzie owe strzały.

— Waleryanie Michajłowicsu! na miłość Boga uspokójcie się, Foma Fomicz dowie się.

Staruszek nie słyszał huku bo głuchy był na jedno ucho, lecz gdy wyszedł do sąsiedniego pokoju, którego okna wychodziły na dziedziniec, huk rozległ się tak mocny, że i on usłyszał. Zbliżył się do okna, podstawił sobie stołek i otworzył okienko, a wysunawszy głowę odrazu zrozumiał skąd pochodzi huk powrócił w tedy do pokoju chorego.

— Ach! tak to mi dopiero salwa artyleryjska — mówił kiwając głową i śmiejąc się jak dzieciak. — Bądźcie spokojni książę! Salwa to nie straszna. Furtka w bramie dębowa, obraca się na żelaznym bloku i spada hałaśliwie; stróż Jefim, nosi drzewo do kuchni, a jak zatrzaśnie furtkę, strzela to jak z armaty.

Zamilkł na chwilę poczem wpadł w filozoficzny nastrój i rzekł, zażywając szczyptę tabaki ze złotej tabakierki z portretem cesarza Pawła pierwszego na której był napis: »Po Bogu on dla mnie jedyny, nim tylko żyję«.

— Tak mój panie łaskawyl. Z tego wypadku widzieć można, jak niedośkonale są nasze ludzkie spostrzeżenia i wnioski. Jeśli na przykład nie umiemy odróżnić trzasku zamykanej furtki, od salwy armatniej, to co dopiero mówić o naszych wysoce niby uczonych gadaniach o przyrodzie o tajemniczych prawach rządzących bytem.

Umilkł nagle widząc, że Marynka daje mu znaki i ukazuje wzrokiem na Golicyna, który zbladł nagle, osunął głowę na poduszki i zamknął oczy.

— A o śniadaniu tośmy całkiem zapomnieli — zaczął znów Foma Fomicz. — W tej chwili lecę do kuchni i przyniesę kawusi z bułeczką, jajeczek, a może i kaszki ryżowej.

Marynka skinęła głową i staruszek wybiegł.

Gdy zostali sami, Golicyn wciąż leżał milcząc z zamkniętymi oczyma, a ona przysiadła i gładziła dłoń jego rękę.

— Jaki dzień miesiąca mamy dzisiaj? — spytał Golicyn.

— Osiemnasty grudnia.

— To znaczy trzy dni. Zachorowałem we wtorek rano.

— Tak we wtorek; kamerdynar wszedł do waszego pokoju, niosąc herbatę i zastał was w gorączce nieprzytomnego; leżeliście w ubraniu na kanapie.

— Bredziłem co w malignie?

— Tak.

— A o czym?

— Ciągłe o tych wystrzałach, a także o zwierzu i że trzeba jakiegoś zwierza zabić.

— A pamiętasz Marynko, jakem ci mówił, że się jeszcze zobaczymy, ot i zobaczyliśmy się.

Pepatrzył na nią przeciągle i uważnie, pragnął zapytać jej, czy wie, co było czternastego, lecz nie wiadomo, dlaczego bał się zadać jej tego pytania.

Lecz ona domyśliła się i rzekła pierwsza:

— Ja wszystko wiem. Marszałek dworu babuni był na senackim placu i wszystko widział.

Powrócił wieczorem i opowiadał nam; on i was tam widział.

Urwała nagle i pochyliwszy się nad nim położyła twarz swą do jego twarzy, potem ukryła ją w poduszce i zapłakała.

— Przestań Marynko! Nie płacz najmilsza dziewczeczko moja, przecież jesteśmy razem i już nigdy...

Chciał powiedzieć nie rozstaniemy się już nigdy, lecz wiedział, że to nieprawda, że nie wolno mu jej łudzić, że ona wie o wszystkim nie tylko o tam co było, lecz i o tem co będzie i płacze nad nim, jak żywy nad umarłym na wieczne pożegnanie.

Gdzie twój luby? Gdzie twój miły?

Komu dasz dziewiczy wieniec?

Dom mój, trumna pod mogiłą

Zimny trup twój oblubieniec.

Przypomniawszy, jak czytał niegdyś te wiersze Zofii Naryszkin.

— A ot i śniadanie — zwiastował Foma Fomicz, wchodząc z tacą.

Marynka zerwała się i wybiegła; staruszek spojrzawszy na nią, pokiwał głową i westchnął, potem przeniósł wzrok na Golicyna, lecz nie rzekł nic, czując widocznie, że niema go czem pocieszyć i że łudzić go niema prawa.

W czasie śniadania, chcąc rozzerwać chorego, opowiadał mu o rzeczach ubocznych, o wykupie Czeremuszki, o talentach doktora, który go leczy, o chorobie babuni, która dowiedziawszy się o buncie, zasłała i przeleżała się tak, że omal nie dostała apopleksyi. Położywszy się do łóżka, nie kazała wpuszczać do siebie nikogo ze służby,

bojąc się, jak mówiła, by nie zarznęli, pamiętała bowiem czasy Pugaczewa.

— A to wszystko Martyszki narobili — rzekł wkońcu.

— Co za Martyszki? — spytał Golicyn.

— Martyniści — objaśnił Foma Fomicz. — Dzierżawin o nich pisze. Martyniści, masoni i inni bezbożni wolnodumcy, brykali, brykali i dobrykali się, będzie u nas to samo co we Francji.

Golicyn uśmiechnął się, a staruszek na to tylko czekał. Wsunął z kieszeni gazetę, dodatek nadzwyczajny do *Petersburskich Wiadomości*, gdzie było urzędowe sprawozdanie z wypadków 14 grudnia.

Golicyn chciał przeczytać, lecz Foma Fomicz nie pozwolił na to i sam wyjął z kieszeni futerał z okularami, założył je na nos, wytarłszy poprzednio starannie szkła, i czytać począł głośno.

»Wczorajszy dzień stanie się bezwątpienia epoką w dziejach Rosji — czytał staruszek swym cichym, jakby odległym głosem. W dniu tym mieszkańcy stolicy dowiedzieli się z uczuciem radośnej nadziei, że cesarz Mikołaj przyjmuje koronę swych przodków. Lecz podobąło się opatrności dopuścić, by radeś dnia tego zamaconą została pętałowania godnem zajęciem«.

Dalszy opis przedstawiał bunt, jako małe, nieznaczające zaburzenie wojsk na parady.

»Dwie zbalamucone rotę ustawiły się w czworobok przed gmachem senatu, pod przewodnictwem siedmiu, czy ośmiu oficerów i kilku nikczemnego wyglądu fraczkowych cywilów...«

— To właśnie o mnie mowa — uśmiechnął się Golicyn.

Foma Fomicz odpowiedział mu takimże uśmiechem, rzucając mu spojrzenie z pod okularów.

»Nieliczne gromadki przechodniów okrzyły czworobok, krzycząc Ura! Wojska prosiły o pozwolenie atakowania, by jednem uderzeniem unicestwić bunt, lecz monarcha imperator, litując się nad szaleńcami, oszczędzał ich i dopiero pod wieczór zdecydował się wreszcie, zadając gwałt sercu, użyć siły dla stłumienia zamieszek. Wyjechały armaty i w ciągu paru minut oczyściły plac kilku wystrzałami. Taki był przebieg wczorajszych wypadków, bezwątpienia smutnych, lecz skoro się uwzględni, że buntownicy przestali cztery godziny na placu, nie znajdując posłuchu, prócz u kilku pijanych żołnierzy i kilku ludzi z miejskiego motłochu, również pijanych, i że ze wszystkich gwardyjskich pułków zaledwie dwie rotę dały się wciągnąć, to przynajmniej trzeba, że w okolicznościach tych znaleźć można raczej wiele pocieszających odznaczeń, gdyż ogromna większość wojsk wyszła z tej próby zwycięsko, składając dowód niezachwianej wierności i całkowitego oddania dla najdosłójniejszej osoby panującego nam prawowitego monarchy. Sąd ustawowy rozpocznie się niebawem nad występnyimi uczestnikami zaburzeń, które zostały już całkowicie ukrócone. W mieście panuje spokój«.

— Czy naprawdę jest w mieście spokój? — spytał Fomy Fomicza Golicyn.

— Cicho jest, to prawda, lecz od takiej ciszy człowiek nie ozdrowieje — odparł staruszek, kiwając głową. — Miasto jakby wymarło i tylko migają kibitki z aresztantami, pod konwojem żandarmów. Wciąż nowych i nowych wiozą i końca temu niema. Dojdzie się tego, że jedna połowa rodu ludzkiego obróci do w więźniów, a druga

w dozorców. A wie książe — dodał, zniżając głos — sny się czasem sprawdzają.

— Jakie sny?

— A choćby i wasz e armatnich strzałach. Południowa armia, jak słyhać nie przysięgła; idzie podobno na Moskwę i Petersburg, by ustanowić konstytucję; generał Jermołow także, a ten ma siły duże, cała armia kaukaska opowiedziała się za nim, oddana mu bezgranicznie. Ja, widzicie znam zdawna generała Aleksego Piotrowicza. Orzeł to z naszych dawnych Suworowskich. Z nim niema śartów. Gotów jeszcze założyć nową dynastję Jermołowych na miejsce Romanowych. Tak więc widzicie książe, kto wie, czy nie zaczniesz się wszystko na nowo.

Golicyn słuchał i znów zagorzał w oczach jego błysk nadziei, lecz sam go zgasił.

— Jeśli zaczniesz się, to nie tak rychło — przemówił cicho do siebie raczej.

Ale Foma Fomicz usłyszał.

— Nie rychło może, ale przyjdzie.

— A cóż wam potem, przecież wy za carem.

— Ja, wasza światłość, stary człowiek, dzieciąty krzyżyk liczę, toż więc po staremu żyję i po staremu myślę, a każdy rdzenny Rosjanin oczekuje wszelkiej pomyślności i wszelkiej sławy dla ojczyzny wyłącznie od monarszego tronu.

— A więc widzicie; wy jesteście za carem, a ja za republiką, cóż wam po mnie? lepiej i nie znać.

— No, desyć już, książe miły! Nie tak to dużo w świecie dobrych, uczciwych ludzi, by mieli się z sobą swarzyć. Więc cóż chcecie żebym zrobił, może do policji donieść? Tfu! widzicie jaki! Ja tu krzątam się przy nim, niańczę, dogadzam, a on ze mnie szpiega robi.

Próbował sierznić się starszek, ale nie umiał. Oczy jego i uśmiech dziecięcy wyrażały zawsze tę samą niewyczerpaną dobroć.

— Foma Fomicz! proszę was do babuni — rzekła Marynka, wchodząc do pokoju.

— W tej chwili. A co się stało?

— Nic, a tylko babunia zatęskniła za wami, mówi żeście o niej zapomnieli i dbacie już tylko o księcia.

— W tej chwili! natychmiast — zawołał Foma Fomicz, mocno wzruszony i zerwał się, by pospieszyć, drępcąc i suwając starymi nogami.

»A on oto kocha ją tak same, jak przed czterdziestu laty« — pomyślał Golicyn.

Z poza drzew ogrodowych, opruszonych sarnem, poblękitniały, pozieleniały, jakby wyblakłe turkusy, blade jak dziecięce oczy dobrego starszka, a zimne grudniowe słońce, zajrzało do okna. Kwiaty mrozu wykwitłe na szybach zaiskrzyły się jak drogie kamienie i bursztynowe światło zalało pokój. Na blade cytrynowe wypełzłem obiciu wystąpiły skaczące zajaczki, a na białym fryzie, rozszłociły się obnażone kształty amorków.

— Co za wesoły pokój — pomyślał znowu Golicyn. To tak od słońca, chociaż nierozstrzygnął stanowczo patrząc na Marynkę... to od niej. Przebrała się już i miała na sobie swą codzienną, szromną sukienkę, z białej krepy, w różowe kwiatki. Umyła się, zaplouła warkocze i upięła je z tyłu w koszyczek, a tylko po obu stronach twarzy zwieszały się czarne loki. Pomimo bezsennej nocy, twarzyskę miała świeżą, jak »różana jutrzienka« zdaniem Fomy Fomicza, wyraz jasny, promienny, bez śladu w oczach niedawnych

leż. Porządkowała pokój, zmiatała okruchy, ustawiała systematycznie flaszki z lekarstwami, zabierała naczynie od śniadania, wymyła je, wytarła, poprawiała ogień w piecu żelaznym hakiem, aby nie gasł w główniach, lecz płonął jasnym płomieniem.

Golicyn śledził ją w milczeniu, każde jej poruszenie, młode, krzepkie, a zręczne, harmonijne, jak muzyka, tak że wszystkie najpowszedniejsze czynności, które dokonywała, stawały się jasne i świąteczne, jak ona sama. Uczuła widocznie na sobie wzrok jego, bo się obejrzała, uśmiechnęła i przysłała do niego, by przysiąc na krawędzi łóżka.

— No co?

Słoneczny promień rozdzielał ich, jak przejrysta tkanina upięta w ramach, a w błękitnawo żółtym świetle krążyły złote pyłki, jakby rozpląsane w zawrotnym tańcu. Marynka pochylając się ku niemu, weszła głową w ów promień, a Golicyn zauważył, że czarne jej włosy przesycone słońcem, stały się rudo ogniste, z czerwonym niemal odblaskiem, niby agat oglądany przez rubinową szybę.

— Patrzcie! rude! zaśmiała się Marynka, patrząc na swoje loki i sama się zdziwiła.

Golicyn uniósł się nieco i dzielący ich dotąd promień, zjednoczył ich, a gdy skłoniła niżej jeszcze głowę, ujął ręką pukiel jej włosów i przycisnął go do ust. Zapach włosów dziwnie upajający, odurzył go jak mocne wino, bijąc mu do głowy.

— Nie trzeba! jak można włosy! zawstydzila się Marynka, poczerwieniała i odebrała mu z rąk swój czarny pukiel. Golicyn pobałdł nieco i opadł na poduszki jakby w niemocy. Miał zawrót głowy

i zdawało mu się, że sam krąży jak te słoneczne pyłki rozpląsane w zawrotnym tańcu.

— Jak dobrze! Marynko! — słoneczko moje szeptał do niej po przez złoty promień z błogim uśmiechem.

— Co dobrze? — pytała, uśmiechając się doń oczyma.

— Wszystko dobrze! żyć dobrze...

— Żyć... żyć... byle tylko żyć pomyślał i ogarnęło go takie umiłowanie i żądza życia, jakich nigdy jeszcze nie doświadczył.

ROZDZIAŁ IV.

Naczelny śledczy komitet, w sprawie wypadków 14 grudnia, rozpoczął posiedzenie swe w zimowym pałacu, a potem w Petropawłowskiej twierdzy. Całą sprawą kierował osobiście sam cesarz, pracując nieraz po piętnaście godzin na dobę, tak, że otoczenie, niepokoiło się o jego zdrowie.

— *Point de relache.* Za wszelką cenę dojdę z pomocą Bożą, do samego jądra spisku, mówił Mikołaj do Benkendorfa.

— Powoli! powoli! wazza cesarska moc, siłą niczego się nie dojdzie; działać trzeba łagodnością i chytrością.

— Nie ucz! sam wiem co mam robić, odpowiadał cesarz, lecz chmurzył się i czerwieniał, na wspomnienie o Trubeckim, pocieszając się jednak, że niepowodzenie to było skutkiem znużenia, bezsenności osłabienia i nie powtórzy się więcej. Odetchnął, uspokoił się i poczuł znów tak samo, jak po strzałach na placu, że wszystko dzieje się jak należy.

Rylejew badanym był w Komitecie 21 grudnia, a następnego dnia przewieziono go do zimowego pałacu, gdzie cesarz, miał go przesłuchać osobiście.

— Byleby odrazu koniec! — myślał Rylejew, lecz zrozumiał wnet, że śmierć nie przyjdzie odrazu, że samęszą go powoli, stopniowo, zmuszając do wypicia kropla pokropi śmiertelnego kielicha.

Nazajutrz po aresztowaniu Rylejewa, cesarz kazał dowiedzieć się czy żonie jego nie brak środków do życia. Natalia Rylejewa odpowiedziała, że mąż zostawił jej tysiąc rubli, a wówczas cesarz polecił posłać jej dwa tysiące, a 22 grudnia w dniu imienin Nastienki, córce Rylejewa, wręczono jej jeszcze tysiąc rubli na wiązanie od cesarzowej Aleksandry Federówny i przyrzeczono, że darują więźniowi życie, jeśli przyniesie się do wszystkiego. »Miłomierdzie cesarza wstrząsnęło duszę moją«, pisała żona do męża, więzionego w fortecy. Najbardziej zadziwił Rylejewa ów podarek, posłany na imieniny Naści.

»Co za czułości! wie, czem braci ludzi, podlec; a gdyby jednak... zaczął myśleć Rylejew i nie kończył, bo robiło mu się straszno.

Raz dziękował komendantowi Sukinowi za widzenie się z żoną. Sukin zdziwił się, bo nie dał nigdy pozwolenia na odwiedzenie więźnia, myślał więc, że żona Rylejewa weszła bez przepustki, zarządził śledstwo wśród doktorów, lecz wszyscy jednogłośnie stwierdzili, że nie przekroczyła ona bram twierdzy.

— Chyba się wam przysniło — mówił Sukin do Rylejewa.

— O nie! Widziałem ją, jak was widzę, powiedziała mi rzeczy, o których wiedzieć nie mogłem, jak o podarku cesarza.

— Otem powiedziano wam w Komitecie śledczym.

— W Komitecie później, lecz w pierw dowiedziałem się od niej.

— Musieliście zapomnieć.

— Nie, nie zapomniałem, nie odchodzę jeszcze od rozumu.

— To musiała być zjawy.

— Jakto zjawy?

— Widzenie na jawie. To się zdarza, musicie być chory, leczyć się trzeba.

— Tak! chory być muszę — pomyślał z obrzydzeniem.

Dnia 22 grudnia przewieziono go do zimowego pałacu późnym wieczorem. U wejściu na odwachu zrewidowane go starannie, lecz rąk mu nie związano, a tylko wprowadzono pod konwojem, do adjutantury, gdzie posadzono go w kącie za parawanem i kazano czekać. Starał się obmyślić co powie za chwilę cesarzowi, lecz myślał o czem innem. Przypomniało mu się jak w ostatnią noc, gdy go aresztowane, żona jego, Natalia, objęła go rękami i wołała z krzykiem tak rozdzierającym, jak przy porodach:

— Nie puszczę! nie puszczę!

I trzymała go w ramionach mocno, mocno. O! mocniejsze od żelaznych kajdan słabe te ramiona kobiece, okowy miłości, jak trudno mu przyszło wyswobodzić się z nich. Uniósł ją prawie nieprzytomną, zaniósł na łóżko, ułożył w pościeli, a potem sam wybiegł i raz jeszcze obejrzał się. Ona otworzyła oczy i patrzyła na niego, ostatni raz spotkali się spojrzeniem. — Ja przynajmniej wiem za co mnie ukrzyżują, lecz ona stojąca pod krzyżem, gdy miecz jej serce przeszyje, nie będzie wiedziała za co.

O takich rzeczach myślał, siedząc w biurze adjutantury za parawanem. A w końcu nie myślał już o niczem, tylko czuł, że gorączka pali go coraz bardziej. Płomień świec raził go w oczy jakby rżnąc ostrzem, nawiedzały go majaczenia i здавало mu się, że siedzi w swej celi więsiennej, z oczyma utkwionemi we drzwi, które się zaraz otworzą, by wpuścić Nataszę, tak samo, jak w czasie owej sjawy.

Drzwi się otworzyły i wszedł Benkendorf.

— Proszę wejść! — rzekł, wskazując ręką i puszczając go przodem.

Rylejew wszedł. Cesarz stał w drugim końcu pokoju; Rylejew skłonił się i chciał podejść bliżej, lecz Mikołaj zatrzymał go.

— Stój! — rzekł cesarz i sam zbliżył się do niego i położył mu ręce na ramiona.

— Cofnij się! wstecz! wstecz! wstecz — rzekł trzykrotnie, zmuszając go, by cofnął się i obrócił w ten sposób, by światło od świec, padało mu prosto na twarz.

— Ot tak! — rzekł stawiając go przed sobą, patrz mi prosto w oczy. A ty — dodał, zwracając się do Benkendorfa, idź stąd i pamiętaj, że nikogo teraz nie przyjmuję.

Benkendorf wyszedł.

Cesarz milcząc, patrzył długo w oczy Rylejewa.

— Uścwiwe! — rzekł wreszcie — takie oczy nie kłamią. Mówił to, jakby do siebie, a po krótkiej przerwie spytał:

— Jak nazwisko?

— Rylejew.

— A imię?

— Konrad.

— Po ojcu?

— Fedorycz.

— Czy wierzysz Konradzie Fedorowiczu, że ci mogę przebaczyć?

Rylejew milczał, cesarz przysunął twarz swą do jego twarzy i patrzył mu w oczy jeszcze mocniej, a wreszcie uśmiechnął się.

— Co to? co to? — myślał Rylejew, bo w uśmiechu cesarza dojrzał coś, jakby prosiącego i smutnego.

— Biedni my obaj — rzekł po chwili cesarz, wdychając ciężko. — Nienawidzimy się wzajemnie, boimy się siebie. Kat i ofiara, lecz nie odróżnisz kto tu jest katem, kto ofiarą, kto winien? Wszyscy, a ja bardziej niż wszyscy. No! daruj mi! Nie chcesz bym ja ci przebaczył, więc ty mi przebac. Przybliżył usta do jego twarzy, Rylejew pobałdł i zachwiał się.

— Siadaj! — rzekł cesarz, podtrzymując go i sam go posadził na krześle.

— No wypij! zachęcał i sam mu nalał szklankę wody. — Cóż? lepiej teraz? możesz mówić?

— Mogę.

Rylejew chciał wstać, lecz cesarz nie dał mu i zatrzymał go za rękę.

— Siedź.

Sam przysunął sobie krzesło i siadł naprzeciw.

— Słuchaj Konradzie Fiedorowiczu, sądzę mnie jak chcesz, wierz lub nie wierz, ale ja ci powiem całą prawdę. Ciężkie brzemię włożyła na mnie opatrzność, za ciężkie na jednego, a ja zawsze sam, bez rady, bez pomocy. A cóż ja właściwie znaczę? Komendantem brygady byłem, niczem więcej. Klnę się Bogiem, że nigdy nie pragnąłem władzy, nie chciałem panować. Gdybyś ty wiedział Rylejew! lecz nie, ty nigdy tego wiedzieć

nie będziesz i nikt się nie dowie, co ja czułem i co czuć będę do końca życia na wspomnienie tego okropnego dnia 14 go grudnia. Krew! krew! cały we krwi. Nie smyjesz! nie odkupisz niczem. Jam przecie nie zwierz, nie potwór, a człowiek, a przytem ojciec tak, jak ty, Rylejew. Ty masz córeczkę Natę, a ja mego Saszkę. Car ojciec, naród dzieci, więc jakie? ja nóż we własne dziecko, jakby w mego Saszkę.

Zakrył twarz rękami i długo ich nie odejmował, wreszcie odjął i położył je znów na ramionach Rylejewa i spojrzał mu w oczy z uśmiechem, jakby błagalnym.

— Widzisz! ja z tobą, jak przyjaciel, jak brat, bądźże i ty mi bratem, pożałuj, poratuj.

— Kłamię czy nie kłamię? — myślał Rylejew. — Kłamię czy nie kłamię? Roskusić mnie chcesz, no dobrze, poczekaj, niech i ja ciebie rozgryzę.

— Chcecie znać prawdę wasza cesarska moc? wiedacie zatem, że wolność to potężna kusicielka i ja w niej rozkochany, pociągnąłem za sobą drugich. I nie żałuję tego, nie doznaję skruchy. Czyż winien jestem przed ludźmi dlatego, że mi plemiennie pożałował ich szczęścia. Lecz nie o sobie chcę mówić, a o ojczyźnie, która do ostatniego tchu droższą mi będzie nad wszelkie pomyślności świata i nad niebo samo.

Mówił, jak zwykle, książkowo, bez prostoty, dziś więcej niż kiedykolwiek, bo obmyślił to sobie wszystko naprzód i z góry przygotował. Lecz nagle porwał się, podniósł rękę, blada twarz jego zapłonęła ramieniem, oczy zabłyśły i stał się naraż znów dawnym Rylejewem nieukrótconym buntownikiem; lekki był, poletny, ognisty jak rozchwyany od wichru płomień.

— Wiedziecie o tem wasza cesarska moc, że póki ludzie żyć będą, trwać będzie wśród nich umiłowanie swobody. Chcąc wykorzenić z Rosyi pragnienie wolności, musielibyście wytępić do ostatka całe pokolenie wychowane i wzrosłe za poprzedniego panowania. Smiało twierdzić można, że na tysiąc ludzi nie znajdzie wasza cesarska moc i stu, którzyby nie pałali namiejętnem posiadaniem wolności. I nie tylko Rosya, wszystkie narody Europy tchną tem samem pragnieniem, którego nie słumi nic, najśrodszy nawet ucisk. Ukażcie mi wasza cesarska moc jakiegokolwiek kraj, ukażcie okras historii, gdzieby naród jaki szczęśliwym był, pod absolutną władzą, bez ustaw i praw, bez caci i sumienia. Wrogami waszemi nie my, a ci którzy wobec was poniżają swą godność ludzką. Zapytajcie wreszcie siebie wasza cesarska moc, co byście zrobili na naszym miejscu, gdyby podobny wam człowiek, mógł igrać z wami jakbyście byli bezdusznym przedmiotem.

Cesarz słuchał tego w milczeniu, oparty łokciem o poręcz krzesła, z głową opartą na dłoni, słuchał spokojnie, uważnie; a Rylejew mówił coraz głośniejszym głosem, krzyczał prawie, żywo gestykulując, to się zrywał z miejsca, to znów siadał.

— W manifestcie waszym, zapowiedzieliście wasza cesarska moc, że rządy wasze będą dalszym ciągiem Aleksandrowego panowania. Czyż nie wiecie tego, wasza cesarska moc? Czyż nie wiecie tego, że panowanie Aleksandra było dla Rosyi zabójcze? On to jest głównym winowajcą wypadków 14 grudnia. On to dźwignął w olbrzymim wysiłku umysły i podniósł Rosyę do świętych praw człowieczeństwa, aby ją następnie

zatrzymać i wstecz odwrócić. On to rozdmuchał w sercach naszych święty płomień, aby go potem zdławić. Oszukał Rosję, oszukał Europę. — Zdjęto z nas złote więzy owite laurami, zostały rdzawe kajdany, które gniotą ludzi. Wstąpił na tron błogosławiony, a zeszedł przeklęty.

— Ty wciąż tylko o nim, a cóż o mnie powiesz? — zapytał cesarz zawsze równie spokojnie.

— Co o was? A oto co. Was, wasza cesarska moc, gdy byliście jeszcze wielkim księciem, nikt nie lubił, bo i nie było za co. Jedynem zajęciem waszem front, musztra, żołnierze, o niczem innem wiedzieć nie chcieliście, a patrzyliśmy na to i lęk nas zdejmował, że na tronie rosyjskim zasiądzie pruski pułkownik lub gorzej jeszcze nowy Arakcejew, złośliwszy od pierwszego; i nie omyliliśmy się. Wyście źle zaczęli wasza cesarska moc, jakieście to sami raczyli przyznać, przez krew weszliście na tron, w naród swój, w dziecko własne ugodziliście nożem... a teraz kajać się chcecie, prosicie o przebaczenie. Jeśli prawdę mówicie, dajcie wolność Rosji wasza cesarska moc, a wszyscy my staniemy się wiernymi sługami waszemi. Ale, jeśli kłamstwem coście rzekli, to strzeżcie się, bo cośmy zaczęli drudzy skończą. Krew za krew, na głowę waszą, syna waszego, wnuków i prawnuków i przyjdzie chwila, gdy ujrzą narody, że żaden z nich w siłę powstańczej nie dorówna naszemu narodowi. Nie śluda te najjaśniejszy panie, bo wrok mój przeniera w tej chwili zasłonę przyszłości po przez całe stulecie. Będzie rewolucja w Rosji, będzie. A teraz ukarście mnie wasza cesarska moc, zabijcie.

Osunął się na krzesło w niemocy.

— Napij się, napij — mówił cesarz, podając mu szklankę wody. Może kropel.

Wyszukał je sam w szafie i dał mu wachać angielską sól zmieszaną ze spirytusem. Rylejew cały w potach chciał otrzeć twarz, lecz nie znalazł chustki i cesarz dał mu własną. Krzątał się przy nim, zabiegał, trenzczył o niego gibki i giętki w ruchach. Długa jego smukła postać gięła się węzowo w łaskawej pieczołowitości.

— Cóż to sen? zmora? czy zjawy? myślał z lękiem Rylejew.

— Ach Boże mój, co wam? odpocząć trzeba, położyć się, może wina, herbaty, może jaki posiłek?

— Nie trzeba, nie nie trzeba, wabraniał się Rylejew, a w duszy myślał tylko, kiedy się to skończy.

— Czy możesz wysłuchać mnie teraz — zapytał cesarz i przysunął sobie znów krzesło, by się naprzeciw niego, poczem zaczął:

— Dziękuję za prawdę, przyjacielu!

Rzekłszy to, uściśnął mocno obie jego ręce.

— Wszakże nam monarchom wszyscy kłamią, raz na wiek prawdę usłyszysz. Wszystko, coś mówił o mnie, prawdą jest, prócz jednego. Niemcem na tronie rosyjskim nie będę, choćbym nim był przedtem, od dziś nie będę. Babka moja, cesarzowa Katarzyna, była Niemką, lecz wszedłszy na tron rosyjski, stała się Rosyanką. Tak i ja. *Personne n'est plus russe de coeur que je ne le suis* — rzekł po francusku, lecz natychmiast powtórzył to po rosyjsku. — My obaj ruscy ludzie, ja car i ty buntownik, a powiedz sam, na miłość Boga, czy moglibyśmy mówić tak z sobą, gdybyśmy nie byli ruscy?

Coś podobnego do bladego uśmiechu przemknęło po wargach Rylejewa.

— A co! — podchwycił cesarz i także się uśmiechnął. — Mów! Nie bój się. Sam widzisz, że prawdy ze mną być się nie trzeba.

— Wyście bardzo rozumny, najjaśniejszy panie.

— No tak! A wyście mnie mieli za głupca i to druga omyłka. Głupcem nie jestem i rozumiem bardzo dobrze, że z Rosją źle się dzieje. Ja, pierwszy obywatel kraju, niczego bardziej nie pragnę, jak by ojczyzna moja wolną była i szczęśliwą. A czy wiesz, że ja, jako wielki książę, liberałem byłem, lecz tailem umyślnie moje uczucia. »Włazłszy między wrony«, znasz przysłowie, więc i ja krakałem z Araksajewem, im głośniej, tem lepiej, a skrycie wam pomagałem. No, powiedz teraz, czego wyście chcieli? Konstytucyi? Republiki? »Kłamię w każdym słowie, lub sen to chyba, zmora, zjawia — myślał Rylejew z lękiem, lecz od lęku mocniejszą była namiętna ciekawość. — »A gdyby tak spróbować, nie uwierzyć, lecz udać, że wierzę«.

— Czegóż tak milczysz? Czy boisz się?

— Nie, nie boję się; ja chciałem republiki — odpowiedział Rylejew.

— No, chwała Bogu, przynajmniej rozumny jesteś człowiek — odparł Mikołaj, ściskając mu znów rękę. — Bo widzisz, co do mnie, ja rozumiem absolutną monarchię, rozumiem republikę, lecz nie rozumiem konstytucyi. To forma rządu kłamliwa, przebiegła, rozwiązała, i ja cofnąłbym się raczej po granicę państwa, niżbym się na nią zgodził. Widzisz, jakim ja z tobą szczery, płacze i mnie tem samem.

Milczał chwilę, poczem chwycił się nagle za głowę.

— Co to było? Co to było? Coście zrobili mój Boże! Powstałście na druha własnego, na sprzymierzeńca. Więc nawet was w błąd wprowadziłem. I czemuście nie przyszli prosto do mnie, czemuście nie powiedzieli »tego oto chcemy«. Lecz i teraz... Posłuchaj Rylejew, może i teraz nie zapóźno jeszcze. Razem zgrzeszyliśmy, razem pokutujemy. Babka moja mawiała: »Ja nie lubię zamodzierzawia, jam w duszy republikanka, lecz nie uwoził się jeszcze ten krawiec, co skroić ma dla Rosyi nową szatę«. Próbujmy ją razem skroić, ja z wami; wy najlepsi ludzie w Rosyi, bez was nie zdziałam nic. Zawiążmy więc nowy spisek. Absolutna władza, to wielka potęga, wielka siła, bierzcie ją wspólnie ze mną. Poco wam rewolucya? Ja sam rewolucya.

Jak lecący w przepaść czepia się jeszcze urwiska, lecz już wie, że spadnie, tak i Rylejew bronił się lękiem, lecz już zaczynał wierzyć i już się radował.

Oczy cesarza również zabłyśły radością.

— Poczekaj! Nie postanawiaj nic, daj sobie czas do namysłu. Mówić tak z kimś, jak ja dziś z tobą, można raz tylko w życiu. Pamiętaj, że nie twoje to losy, ani moje rozstrzygają się dziś, a losy Rosyi. Jak powiesz, tak się stanie. No powiedz. Chcesz razem, czy nie chcesz? Tak? Czy nie?

Rylejew chciał coś powiedzieć, lecz w gardle mu zaschło; w oczach zbierały się łzy i już, już miały spłynąć, to znów osychały.

Po chwili jednak ujął rękę, którą wyciągał do niego cesarz. Urwał się ostatecznie... już leciał w otchłań, już uwierzył.

— Co ja zrobiłem? Cośmy zrobili? Jak mogliśmy my wszyscy, chociaż nie, to ja jeden wszystkich zgubiłem. Więc na mnie jednym niech się tu zaraz wszystko skończy. Ukarzcie mnie tu zaraz, na miejscu zabijcie, a tamtym niewinnym darujcie.

— Wszystkim, wszystkim i tobie i wszystkim. Niemam wam nic do przebaczenia. Wszak mówiłem ci, razem będziemy, razem.

Objął go i zapłakał, przynajmniej tak wydało się Rylejewowi.

— Płaczecie? I nad kim? Nad mordercą — zawołał Rylejew, osuwając się na kolana.

Z oczu płynąć mu zaczęły łzy nie utulone, a coraz słodsze. Mówić zaczął w upojeniu, jak w malkinie lub szaleństwie.

— Pamiętaliście o imieninach Nastienki. Ot jaki wy! wiedzieliście czem szarpnąć. Czuję bicie anielskie waszego serca, wasz jestem, wasz na wieki! Lecz cóż ja? pięćdziesiąt milionów czeka waszej łaski. Czyż można mnie mieć, by monarcha, który przebacza zabójcom swoim, nie pragnął miłości swego narodu i szczęścia ojczyzny? Ojciec! Ojciec! My wszyscy jak dzieci w rękach twoich. Ja nie wierzyłem w Boga i ot co! Bóg cud pokazał. Pomazaniec Boży. Rodzony car ojciec... Słoneczko jasne...

— A chcieliście nas wszystkich wyrzucić? — spytał nagle cesarz cichym szeptem.

— Chciałem! — odparł Rylejew również szeptem i dawny lęk przemknął jak błyskawica przez duszę jego, przemknął i znowu zagaś.

— Wy! chcieliście? Kto jeszcze?

— Nikt więcej, ja jeden.

— A Kachowskiego nie namawiałeś?

— Nie! on sam.

— A! sam. No! a Pestel, Murawiew, Bestuzew, w drugiej armii jest także spiszek, czy wiedziałeś o nim?

— Wiedziałem.

— No mów! mów, wszystkich wymień. Trzeba wszystkich ratować, by nie padły znów daremne ofiary. Powiesz?

— Powiem. I peczoby się syn miał ukrywać przed ojcem. Mogłem być waszym wrogiem, lecz nie jestem podłym i skoro wierzę wam, to całym. Przed chwilą jeszcze nie wierzyłem, a teraz, Bóg widzi. Pytajcie.

Mówił wciąż na klęczkach, a cesarz się pochylił ku niemu i szeptał do siebie, jak spowiednik z pokutnikiem, lub jak dwoje kochanków.

Rylejew wymieniał wszystkich, wszystkich wydawał, imię za imieniem, tajemnicę za tajemnicą...

Zdawało mu się czasem w ciągu tej spowiedzi, że słyszy szelest portyery wiszącej na drzwiach, oglądał się niespokojnie, a raz i cesarz sam wstał i poszedł ku drzwiom, jakby się bał, czy kto nie podsłuchuje.

— Nie! Niema nikogo, sam widział — rzekł cesarz, rozsuwając portyery tak, że Rylejew mógł zobaczyć prawie całą przestrzeń, choć nie całkiem.

— No cóż! zmęczyłeś się — rzekł Mikołaj, rozumiejąc, że nie należy przeciągać struny.

— No dość już! idź już odpocznij, jeśli zapomniałeś o czem, to mi jutro powiesz. A jakże w twojej celi? czy nie brakuje czego? może ciemno lub wilgoć.

— Nie! nic mi nie trzeba, gdyby tylko z żoną...

— Widzieć ją chcesz, jak tylko skończymy śledstwo, zobaczysz ją. O żonę i Nastię bądź spokojny. One moje! wszystko dla nich zrobię.

— Nagle spojrzał na niego i pokiwał głową z żalonym uśmiechem.

— Jak wy mogliście? Co ja wam zrobiłem? — zachlipał tym razem szczerze.

Nad sobą utalił się; *pauvre diable*. Biedny mały, biedny Niks.

— Darujcie! darujcie! wasza cesarska mość — ięknął Rylejew, jak śmiertelnie ugodzony, przypadając mu do nóg. Albo lepiej nie, nie przebacicie, śmiercią ukarście zaraz, bo nie przeniosę tego.

— Bóg przebaczy! dosyć już, dosyć! — mówił cesarz i objął go i całował, głaskał ręką po głowie, ocierał łzy to sobie, to jemu, jedną chusteczką.

— No! z Bogiem! do jutra! spij spokojnie. Pomódl się za mnie, a ja za ciebie. Daj przeżegnam. O! tak! Chrystus z tobą.

Pomógł mu wstać i sam powiodł do drzwi adyutantury, gdzie zawołał.

— Lewaszew! odprowadzić.

— Chusteczka! wasza cesarska mość — rzekł Rylejew podając chustkę.

— Weź na pamiątkę — odrzekł cesarz podnosząc oczy w górę. — Bóg widzi, że chciałbym otrzeć tą chusteczką łzy, nie tylko twoje, ale wszystkich cierpiących, uciśnionych i płaczących.

Wychodząc Rylejew nie zauważył, jak z poza ciężkich fałdów, owej portyery, której szelest niepokoił go, wysunął się Benkendorf.

— Zapisaleś wszystko? — zapytał cesarz.

— Niektórych rzeczy nie dosłyszałem. No! teraz rzecz skończona! Mamy wszystkie imiona,

wszystkie nici spisku. Winszuję waszej cesarskiej mości.

— Niema czego przyjacielu. Ot, co ze mnie zrobili, szpiega.

— Nie szpiega, a spowiednika, który czyta w sercach. Jak mówi apostoł. » Jako miecz obosieczny, przeniknąłeś mnie, do głębi ducha i mózgu.

»Przysłałego Rylejewa, utrzymywać na mój rachunek. Dostarczyć mu kawy, herbaty i innych rzeczy. Dać mu papier i wszystko do pisania, a co napisze natychmiast mnie odesłać. Pozwolić mu pisać co chce, kłamać i łgać ile zapragnie.

Taką kartkę posłał cesarz do komendanta twierdzy Sukina.

— A ta chusteczka! ta chusteczka na pamiątkę — zachłysnął się Benkendorf, całując cesarza w ramię.

Ten spojrzał na niego milcząco i nie wytrzymał, lecz rozśmiał się z cichym tryumfem. Czuł, że odniósł dziś większe zwycięstwo, niż na placu 14 grudnia. Bał się jeszcze, nienawidził i nie nasycił jeszcze nieugaszzonej żądzy pogardy, lecz miał już nadzieję, że nasyci ją niebawem.

ROZDZIAŁ V.

Golicyn przychodził do zdrowia tak szybko, że się wszyscy zdumiewali i przypisywali ten pomysłny stan artystycznym talentom lekarza, on jednak sam wiedział dobrze, że nie doktor leczy go, a Marynka. Patrząc na nią, poił się niejako ożywcza wodą i wierzył mocno, że gdyby nawet umierał, onaby go z martwych wskrzesiła. Pięć

dni po pierwszym ocknięciu się z maligny, wstał już z łóżka i chodził trochę po pokoju.

Dnia pewnego stróż babuni, Ananiasz Wasilicz, doniósł Fomie Fomiczowi, że człowiek jakiś pyta się o księcia, a nie chce powiedzieć swego nazwiska.

— A na co wygląda?

— Bóg jego wie — odparł stróż — chłop nie chłop, pan nie pan, dziwnie jakoś ubrany.

— Pewnie szpieg — pomyślał Fomicz i rzekł do stróża:

— Przegnaj go na cztery wiatry.

— Jużem go gnał, ale on iść nie chce. Koniecznie powiada, dla ważnego interesu samego księcia muszę się z nim zobaczyć.

Foma Fomicz sam zeszedł do sieni i zobaczył młodego człowieka, wysokiego, bladego, chudego, z czarną, klinowatą bródką, ubranego w kołuch niepokryty, esmolony kaszket i ciepłe »walonki«. Wyglądał na subjekta sklepowego lub agenta-dostawcę.

— Księżę chory jest i nie może się z tobą widzieć — rzekł nienafnie staruszek, który też odgadnąć nie mógł, czy ma do czynienia z panem czy z chłopem. — A ty sam kto taki?

— Koniecznie muszę się widzieć, koniecznie — powtórzył młody człowiek, nie wymieniając swego nazwiska.

— No! idź z Bogiem, bracie — rozsierdził się Foma Fomicz i próbował się go pozbyć, lecz tamten iść nie chciał.

— To proszę, oddajcie księciu tę karteczkę, a ja poczekam. Nie jestem wcale tym, za kogo mnie macie, a całkiem przeciwnie — rzekł, uśmiechając się tak, że mu Foma Fomicz uwierzył i wziął kartkę by ją zanieść Golicynowi.

Na kartce nabazgrane było niewyraźnie po francusku: »Koniecznie muszę widzieć was, Golicyn, przyjmijcie mnie, bo i tak nie odejdę«. Podpisu nie było, a pismo było nieznajome, mimo to Golicyn zgodził się przyjąć go.

Skoro tylko wszedł do pokoju, Golicyn poznał go od razu po blado-niebieskich, wypukłych oczach i rucił się ku niemu z okrzykiem:

— Kuchla!

— Poznałeś mnie!

— Zrzucić tylko brodę, odepnij brodę, całkiem na żydka wygląda.

— Nie mogę zdjąć, bo przyklejona.

Skoro Foma Fomicz uspokojony wyszedł, Golicyn posadził przy sobie gościa.

— No! teraz mów.

Kuchelbeker zaczął opowiadać, że wszyscy prawie spiskowcy aresztowani, a kogo nie wzięto, ten sam się zgłasza. Naznaczona jest naczelna komisya śledcza, lecz cesarz sam kieruje sprawą. Nie będą więźniów oszczędzać. Jedni ulegną karze śmierci, drudzy pójdą na zesłanie, lub zginią po turmach.

— Żyją wszyscy? — spytał Golicyn.

— Tak, wszyscy; nikt nawet nie jest ranny.

— Cud! stali przecie pod takim ogniem.

— Może to nie napróżno — pomyślał — może los zachował nas na trud większy od śmierci.

— No! a co słyszać z południową armią i kaukaskim korpusem?

— Wszystko stracone, niema już na co liczyć. No! a teraz rzecz najważniejsza, czy chcecie ze mną uciekać?

— Z wami? A! w samej rzeczy, wspaniała będzie ucieczka. Wyście właśnie do takich rze-

czy. Wszakże was, Küchelbeker, pierwszy lepszy sztyldwach zatrzyma.

— Nie śmieście się, Golicyń, rzecz jest całkiem poważna i dobrze obmyślana, są pieniądze i ludzie pewni. Znam aktora Postoszkina z Aleksandrowskiego teatru, w wodewilach grywa. Brodę wam dostanie z rekwizytów teatralnych nie gorszą od mojej i kożuch i chłopską odzież. Byle się dostać za rogatki, a potem z transportem zboża na Archangielsk. Dopóki lody nie puszcza ukrywać się będziemy na wyspach u rotmanów, a potem na angielskim lub francuskim okręcie za morse. A można i do Warszawy. Żydki za parę setek przez granicę przeprowadzą. Do Paryża możemy pojechać, a potem do Wenecyi.

— Do Wenecyi? — zaśmiał się Golicyń — a wiesz ty Küchla, co mówiła o Wenecyi pewna rosyjska dama. Ładne miasto i klimat ładny, lecz cóż stąd, nie ma z kim słozyć partyjki preferansa. Tak i ty, Küchla, nie potrafisz żyć bez Rosyi.

— Potrafię! My i w Rosyi obcy; nie ojczyznę oplakujemy, a za ojczyznę tęsknimy, nosimy żalobę nie po tem, co umarło, lecz po tem, co się jeszcze nie narodziło. Nie wiem, jak ty czujesz, Golicyń? Lecz dla mnie Rosya dzisiejsza jest całkiem splugawiona, okrwawiona. Czarne dni nastały i potrwać długo, jakie pięćdziesiąt, a może i sto lat! Umrzeć nam przyjdzie w głuchej pustyni, zdaleka od świętej ziemi Syonu, gdzie można żyć i śpiewać podniosłą pieśń.

Bo niewolnicy co wloką okowy

Podniosłych hymnów śpiewać nie zdołają.

— Więc jakże przyjacieln, czy chcesz?

— Nie Küchla, nie chcę; i zresztą jakże tu choremu człowiekowi włóczyć się po mrozie.

— No! jak uważasz, ale jeszcze się zastanów, pomyśl; ja jeszcze raz zajdę.

— Owszem zajdź, pomyśl jeszcze — odrzekł Golicyń, byle się go tylko pozbyć, a w duszy jego powstała zła myśl. »Niemiec i dlatego ucieka«, lecz stłumił ją natychmiast i pośegnał się z Küchla, równie serdecznie, jak go był powitał.

Po odejściu gościa, Golicyń zamyslił się, nie o ucieczkę, bo o tem nigdy nie myślał na serio, lecz o tem, co będzie, skoro go zaarrestują. Nie zastanowił się jeszcze dotąd nigdy poważnie nad takim obrotem rzeczy, nie zaglądał w przyszłość i żył z dnia na dzień, jakby ukołysany w kolebce, jaką był dla niego ten żółty wesoły pokój. Zdawało mu się niby, że świat kończy się za wrótami starego ogrodu, oprószonego śniegiem i czepiał się sam niedorzecznej nadziei, że go nie znajdą. Stary dom, wierny druh, dobra kryjówka, jakbyś wpadł na dno morskie, nie znajdą, nie odszukają. Przyczai się tu, przeczeka, a potem odjedzie z Marynką, do Czeremuszek, lub jeszcze dalej na kraj świata, ożeni się z nią, poszle do dyabła politykę i będzie poprostu szczęśliwy.

Depiero po wizycie Küchli, zrozumiał, że uwięziony będzie na pewno i pomyślał, co się stanie z Marynką. Przypomniała mu się rozmowa, jaką miał z Niną Lwowną. Ceterdziestoletnia matka Marynki, wychowanka instytutu, kształcona pod wpływem sentymentalnych romansów pani de Siza, i Genlis, naiwną była w życiowych sprawach i niepraktyczną, jak dziecko. Dowiedziawszy się od Trudina o wykupie Czeremuszek i widząc zabiegi Golicyna o względy Marynki, ucieszyła się bardzo,

nie rozumiała tylko dlaczego Golicyń nie pomówi z nią, matką, o swych uczuciach i uważała to za niewłaściwe. Lecz skero dowiedziała się, że i on brał udział w buncie 14-go grudnia, zlekła się mocno. Długo kryła się z tem, milczała i czekała, czy on pierwszy nie zacznie, lecz w końcu nie wytrzymała i zaczęła go sama.

Zaczęła zdaleka o swem samotnem wdowieństwie, o sieroctwie Marynki, o tem, że wierzy w nieściwość zasad Golicyńa i czystość jego zamiarów, a ostatecznie zapytała go wprost:

— Jak myślicie księżę? czy sprawa ta zakończy się dla was pomyślnie.

— Jaka sprawa? — spytał Golicyń, lubo odrazu zrozumiał o co chodzi, lecz było mu wstyd i straszno. »Skrzywdziłem córkę, myślał i matka wie o tem«.

— A! te strasne wypadki 14 grudnia — zaczęła Nina Lwowna — darujcie, że mówię tak prosto z mostu, ale widzicie, ja matka, a taki szlachetny człowiek, z uczuciem szlachetnem jak pan, zrozumiecie chyba łatwo serce matki. Mówcie więc szczerze Waleryanie Michajłowiczu, w waszych rękach nasz los.

— Pozwólcie Nino Lwowna — odparł Golicyń — że odpowiem wam równie szczerze, jakżeście mnie pytali. Nie; sprawa moja nie skończy się pomyślnie, uwiężą mnie, będą sądzić i skazać albo na śmierć albo na więzienie i katorgę.

Ona zbladła tak, że zdawało się, że za chwilę omdleje.

— A co będzie z Marynką? — szalała ręce z płaczem. — Co robić? poradźcie księżę, poratujcie.

W zapłakanej jej twarzy odbiło się podobieństwo z płaczącą Marynką.

Golicyń wziął jej rękę i pocałował z szacunkiem i miłością.

— Jam winien bardzo wobec was Nino Lwowna, lecz daję wam słowo, że zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy, aby Marynka o mnie zapomniała i najlepiej będzie, jeśli wyjedziecie panie obie natychmiast do Czeremuszek.

Na tem skończyła się rozmowa, lecz teraz dopiero zrozumiał, że złożył przyrzeczenie, które wykonać jest nad siły jego. Łatwo powiedzieć »zrobię wszystko, aby o mnie zapomniała«. Im więcej myślał o tem, tem więcej czuł się winny. Nieświadomą dziewczeczkę, dziecko prawie, wlecze oto ze sobą na mękę, której może sam przenieść nie zdoła, chwycił się jej jak tonący i ciągnie na dno, albo jak ten wędrowiec w pustyni, co uciekając od zwierza wpadł do studni i zawisł na sęku i rwie maliny z krzaka zwisającego nad studnią, zapominając o otchłani.

Siedział z myślami temi przy oknie w żółtym pokoju, gdzie mroczno było jeszcze pomimo południowej godziny. Zawieja oblepiła okna śniegiem, stare drzewa za oknem skrzypiały z jękiem targane wichurą, wicher hulał w kominie wyjąc żałością i smutnością; Golicyńowi ciężko się zrobiło na duszy i bezgranicznie smutne. Przypominał, jak uciekając z placu, stał pod ścianą w ogniu wystrzałów w wąskiej uliczce jak zapragnął gorąco śmierci i przyłożył już pistolet do skroni, lecz odjął go, wspomniawszy Marynkę. Dlaczego to uczynił?

— O czem tak dumacie? — usłyszał głos Marynki i wzdrygnął się, bo nie zauważył jej gdy

wchodziła do pokoju. Uśmiechnął się do niej jak zawsze gdy ją widział lecz nie odrzekł.

Na wiessadle przy drzwiach zawieszony był płaszcz jego, ten sam, który miał na placu, Marynka zdjęła go, usiadła przy stoliku z robotą i cerować zaczęła małe okrągłe dziurki powstałe od kul.

— Widocznie ten gość rozstroił was, któż to taki? — pytała, nie podnosząc głosu.

— Stary przyjaciel Wilhelm Kuchelbeker.

— Także był z wami na placu?

— Był.

— O czymże mówiliście? Czy sekret?

— Radził uciekać.

— No! a wy?

— Ja nie chcę.

— Dlaczego?

— Ja bez Rosyi nie mogę i bez was.

— Dlaczego bezemnie, ja przecie z wami.

— A Nina Lwowna?

— Mama także z nami, a jeżeli nie, to możemy i bez mamy. Gdzie wy, tam i ja. Czy widzicie tę igielkę z nitką, gdzie igła tam nitka.

On śledził w milczeniu ruchy cienkich paluszków wywlekających i przeciągających nitkę, która migąła mu szybko przed oczyma, — ona spokojna i pegedna cerowała krągłe dziurki.

— Ja wciąż myślę o tem Marynko co będzie z tobą, gdy mnie wsadzą do więzienia.

— A może cię nie schwyca.

— Na pewno schwyca.

— To i cóż ze mną będzie, to samo co i z tobą — odpowiedziała spokojnie, jakby już dawno wszystko postanowiła.

Zamilkli oboje.

— Marynko! Czy zrobisz o co cię poproszę? Przyrzeknij.

Spojrzała na niego.

— Poco? Wiesz bardzo dobrze, że zawsze robię to co chcesz.

— Wszystko.

— No! oczywiście! — odparła, z tym swoim miłym uśmiechem, który tak lubił.

Zatrzymał się chwilę zbierając siły.

— Wyjeżdżaj natychmiast do Czeremuszek — rzekł stanowczo.

Ona przestała szyc; podniosła oczy i spojrzała na niego, długo, uważnie jakby nie rozumiała o co chodzi i próbowała pojąć.

— A jakże wy bezemnie?

— Mnie tak źle.

— Samemu źle?

Milcząc, potwierdził głową.

Popatrzyła na niego jeszcze uważniej, jeszcze spokojniej i zaczęła:

— To nie prawda! Dlaczego mówicie nieprawdę?

— Owszem, to prawda.

— A no dobrze; ale i wy zróbcie teraz, o co was poproszę i powiedźcie, że nie kochacie mnie, to znaczy nie tak...

— Jakto nie tak?

— A oto tak. Jeśli ścisnąć kogo za rękę trochę za mocno, to boli, lecz gdy ranę urazisz, boli nieznośnie. Otóż ja tak kocham, a jeśli wy nie... powiedźcie tylko, to zaraz odjadę.

Spokojna stanowczość, biła z jej twarzy i głosu i Golicyn zrozumiał, że jeśli powie „nie tak“, ona naprawdę odjedzie i wszystkiemu będzie koniec. Milczała, czekając, a on nic nie mówił;

wtedy wstała, podeszała do niego, objęła głowę rękoma i pocałowała w czoło.

— Jakiś ty głupiotki! Boże mój! żeś mi to dał takiego głuptaska — uśmiechnęła się, a on tak samo, jak w czasie choroby pomyślał, że jest małym dzieckiem, a ona duża weźmie go na ręce i nieść go będzie, jak matka dziecko.

Marynka wróciła do swego stolika i zaczęła znów cerować.

— No! A teraz raczcie powiedzieć, coście takiego nabroili, bo ja muszę wszystko wiedzieć.

— O czym tu mówić Marynko! polityka przedurna materya!

— Myślisz, że nie na mój rozum. To nic, mów! Może jakoś pojme.

— Mówić z osiemnastoletnią dziewczyną o polityce, czyste utrapienie — pomyślał Golcyn, w przekonaniu, że ona nie zrozumie.

I w samej rzeczy dopóki mówił z tem uczuciem, ona nie zawsze pojmowała i zadawała niekiedy tak dziecinne pytania, że urywał w pół zdania, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

— Wiesz, jaka ja niemądra — śmiała się. — U nas na balu w powiecie kawaler pewien spytał panny, co ona czyta; odpowiedziała: czytałam różową książkę, a moja siostra niebieską. Otóż ja taka sama jestem.

Lecz skoro opowiadać zaczął o Zofii Narysskin, nachmurszyła się, a oczy jej błyszczały tak, że pomyślał: »Rozplacę się«.

— Ale ty ją jeszcze kochasz, jakby była żywą.

— Tak, jak żywą.

— I mnie razem.

— Tak, razem.

— Portret jest?

— Jest.

— Pokaż!

Zdjął z szyi medalion z portretem Zofii Narysskin. Ona długo wpatrywała się w niego, milcząc, potem pocałowała miniaturę i rozplakała się.

— Jaka ja zła! Jaka szkaradna dziewczyna — uśmiechała się przez łzy. — No, oczywiście, razem, razem obie kochać cię będziemy.

— A wiesz, Marynko! Tyś czytała przynajmniej różową książkę, a ja co? Wszyscy rozumni ludzie to najgorsi durnie! Uśmiechał się także przez łzy.

Teraz dopiero widział, że ona wszystko pojmuje, widzi na wskroś, wchodzi niejako sercem w serce. O tem, że zamierzał zabić ojca Zofii, cesarza Aleksandra, straszno było powiedzieć; chciał zataić, lecz nie mógł, przyznał się i do tego. Z początku nie wierzyła i dopytywała się, jakby nie rozumiejąc.

— Chciałeś zabić jej ojca? I ona wiedziała?

— Wiedziała.

— Nie! nie! dosyć! Nie trzeba mówić o tem. Nie mów, ja teraz nie rozumiem, może potem.

Czasem wchodził ktoś do pokoju, przerywając im, lecz skoro tylko zostali sami ona nagliła go.

No! mów! mów! co dalej.

Skoro ściemniło się i zapalono świecę, przeszli do błękitnego pokoju, tego samego, gdzie stały krosna i gdzie powiedział, że ją kocha, żegnając ją przed 14 grudnia.

Tu nikt im już nie przeszkadzał.

Marynka usiadła w tem samem miejscu, co wtedy przed krosnami, na których rozpięty był jeszcze nieskończony haft wyobrażający białą pa-

pugę na zielonem polu. Żółty czubek Potapa Potapicza wyszty był zaledwie do połowy. W kącie płonęła stłumionem światłem olejna lampa w matowej kuli, a od okien kładły się na podłodze czworokątne smugi księżycowego światła.

Pod wieczór zawierucha ustała, poszarpane strzępy obłoków, ciemne, to jasne płynęły po niebie na kształt widmowych wizyi, kwiaty mrozu wykwitłe na szybach iskrzyły się w tem świetle błękitem szafiru.

Golicyn opowiadał długo Marynce o tajnym związku w południowej armii, o Sergiuszu Murawiewie i jego katechizmie, a ze sposobu w jaki go słuchała, widział, że pojmuje wybornie rzecz zasadnicze.

»Królowie — czytał — przekłęci są od Boga jako ciemiężyciele narodów, dla oswobodzenia ojczyzny wszyscy powinni złączyć się i powstać przeciw tyranstwu, by ustanowić wiarę i wolność w Rosyi. Skruszeni w długiem poniżeniu naszym oddamy cześć; bo jeden będzie wtedy król na ziemi i w niebie Jezus Chrystus«.

— Przecież Chrystus jest tylko w niebie — zauważyła prostodusznie Marynka.

— I na ziemi także.

— Gdzieżby na ziemi? — zaprzeczyła jeszcze prostoduszniej, tu go nie widać.

— Właśnie dlatego nie widać, że tu zamiast Chrystusa, panuje zwierz, trzeba zwierza zabić.

— A! czyż wolno zabijać dla Chrystusa? — odrzekła.

Przed chwilą bał się, że ona nie zrozumie, a teraz zrobiło mu się straszno, bo zbyt dobrze rozumiała; osiemnastoletnia dziewczeczka prawie

dziecko jeszcze, przejrzała odrasła najgłębszą tajemnicę ducha jego, najdroższą ducha mękę.

Nagle wstała i szarpnęła mu w oczy, kładąc mu ręce na ramionach.

— Waleryanie Michajłowiczu, wierzyście wy w Chrystusa?

— Co ty Marynko?

— Wierzyście? czy tak?

— Wierzę w Jezusa Chrystusa, Syna Bożego Jedynego i że zrodził się z Ojca przed wiekami — odpasł z przejęciem Golicyn.

— No! Bogu dzięki — odetchnęła z ulgą przeżegnała się. — A to wszyscy mówią o was. »Buntowniki bezbożne«. Więc i ja pomyślałam głupia. Nie gniewajcie się za to na mnie. Papa bywało mówił: »Nie wszystkiemu wierz, co ludzie mówią, a własnym rozumem żyj«, a ja swego rozumu jeszcze nie mam i w tem bieda.

Zamyśliła się jakby coś sobie przypominając.

— Już wiem do czego to podobne — zawołała z radością — poczekajcie zaraz wam pokażę.

Pobiegła do swego pokoju i wróciła za chwilę, niosąc książeczkę w oprawie z czarnej skóry tłoczonoj złotem. Był to jeden z tych sztabuchów, w którym powiatowe panie i panienki wpisywały sobie wierszyki sentymentalne:

Dziś każde serce zdradą dysze

Wierności się nikt nie ułali

Złudne przysięgi Amor pisze

Strzałą na płynnej fali.

A dalej komplement:

Czarne twoje oczy Marie noszą żalobę po tych, których jasnego światła zbawiły.

Odwróciła kilka stronnic i pokazała mu wyblakły już nieco ustęp, wypisany dużym okrągłym pismem staroświeckich nieco konturów.

Ukochanej córce Marynee. Niech ci poszle Bóg, współnika na drogę życia, ani bogatego, ani świętego, lecz przyozdobionego szlachetnością serca podług następujących słów najszczytniejszego z pisarzy naszych Aleksandra Mikołajewicza Radiszczewa. Gdyby prawo, car lub jaka bądź inna ziemska władza, nakłaniała cię do kłamstwa lub naruszenia cnoty, trwaj w niej niezachwianie i nie bój się ani szyderstwa, ani męki, ani bólu, ani nawet śmierci samej. Zawziętość wrogów twoich skruszy się o wytrwałą trwałość twoją i żyć będziesz w pamięci dusz szlachetnych do końca wieków. Paweł Tatyczew.

— Pan Radiszczew był przyjacielem tatusia — pochwaliła się Marynka. — A oto jeszcze:

© pomnij Maryo przebłogie słowa

Nasienie niewiasty zetrze węża głowę.

Aleksander Łabzin.

— To był także przyjaciel tatusia — pochwaliła się znów.

— Tak więc oto czyjaś ty chrześniaczka, Łabzina i Radiszczewa — uśmiechnął się z radością Golicyń i zdało mu się, że od tej chwili łączeni są węzłem nowego powinowactwa.

— A ty co myślałaś? — zaśmiała się z tryumfem. — No, a teraz mów, opowiedz co dalej.

Skoro opowiedział, jak czternastego Mikołaj strzelać kazał do bezbronnego ludu, ona wyszeptwała błędnie.

— Jeśli tak, to zabić zwierza — i nie spytała już czy wolno zabijać dla Chrystusa, a i on zro-

ział, że tym razem nie tylko pojęła, lecz i przyjęła za swoje, i nie opuści go w najgłębszej tajni ostatniej męki i nie odstąpi go przed ludzkim, ani nawet przed Boskim sądem.

Skoro skończył wreszcie, Marynka przysiadła przy nim na poręczu fotela i tak samo jak w czasie choroby, przysunęła twarz swą do jego twarzy. Siedzieli tak milcząc i patrzyli na postrzępione chmury obłoczne płynące po niebie. Księżyc krył się za nie to znów wysierał, a w miarę tego kwiaty mrozu na oknie gasły to roziskrzały się błękitem szafirów.

— A pamiętasz Marynko jak mówiłaś, że ziemię kochać grzech, niebieskie tylko rzeczy miłować trzeba.

— Czy mówiłam? Nie! Nie pamiętam. Ach tak! poczekaj! to było wtedy gdyśmy jechali nocą dyliżansem. Dlaczegoś to tak zapamiętała.

— Bo widzisz, ojczyzna także ziemią, a czyż ojczyznę kochać grzech?

— Pocóż to? widocznie powiedziałam wtedy głupstwo.

— Nie! nie głupstwo, a tylko nie wszystko. Bo widzisz, wszystkiego o tem nikt z nas nie wie.

Mówił spokojnie, lecz Marynka poczuła odrazu, że to dla niego najważniejsze. Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

— Nikt nie wie o czym? — spytała szeptem.

— © ziemi i niebie, jak ziemię i niebo razem kochać — odrzekł jej równie cicho.

— Razem! — powtórzyła w zamysleniu!

— Tak jak ty mnie i Zofię razem kochasz.

Zauwa umilkła, pogrążając się w głębszej jeszcze zadumie, a potem rzekła z takim wyrazem twarzy, jakiego nigdy jeszcze u niej nie widział.

— Dawno bardzo, pamiętam to, jak przez sen, bo byłam bardzo jeszcze mała, pływalismy łódką z tatusem. Młyn u nas, w Czeremuskach, pod samym prawie dworem, rzeka groblą zatamowana, woda cicha, gładka, jak lustro. Długośmy tak pływali, aż wieczór nadszedł, prawie że noc; a woda jeszcze cichsza, jeszcze gładsza, że zda się, wcale jej niema i po powietrzu pływamy. Na niebie duże, białe obłoki, widać przez nie gwiazdy, w dole to samo, także obłoki i gwiazdy. Niby dwa nieba, jedno w górze, drugie w dole, a my pośrodku. Straszno i pięknie. Tak pięknie... O! jak teraz my z tobą. Wiesz! to samo, to samo, powiedz, czy nie to?

— To, Marynko! to.

I oboje umilkli, bo słowa wyczerpały się, jak wąska kładka, rzucona nad przepaścią. Patrzyli na siebie bez słów, aż zjednoczył ich pocałunek.

Skoro on oprzytomniał, Marynka odeszła już od niego i stała przy oknie. Pytała go o coś, czego nie mógł zrozumieć, wreszcie pojął.

— A czy pamiętasz, jak wilja, czternastego, tyś mi powiedział, że idziesz na śmierć także i za mnie. Pytałam dlaczego także i za mnie, a tyś mi wtedy nie odpowiedział.

— Dlatego, że gdy za Rosję, to i za ciebie, a czy ty aresztą sama wiesz, Marynko, kto ty?

— No kto?

On nie nie odrzekł, wpatrzony w nią. Cała biała na tle roziskrzonych na szybach szafirów, przeniknięta blaskiem miesięcznym, była mu razem bliska i daleka.

— No kto ja? — spytała znów i spuściła głowę pod jego wzrokiem, który zdawał się patrzeć nie na nią, a poprzez nią na jakąś drugą.

Coś przeszło serce jego jak grotą, tak że osunął się na klęczki.

— Rodzona ty moja, rodzona! — powtarzał, jakby w tem jednym słowie mieściło się wszystko, co czuł dla niej i pochylił głowę do jej stóp i całował je. Jak na krańcach stykają się niebo i ziemia, tak one dwie razem ziemską i niebieską Maryną i Zofią, a w nich jedna jedyna.

Czuł w tej chwili, że się już niczego nie zięknie, kajdan, tortur, ni śmierci; wiedział, że ona odgrodzi go od wszystkiego, ścianą niewzruszoną, wieczystą orędowniczką, radość niewyczerpaną. A choćby go i w piekło zesłali, to ona i tam zajdzie do niego w otchłań ciemności, a ciemność obróci się w światło i »nasienie niewiasty zetrze głowę węża«.

Siódmego stycznia, w pierwszym dniu dozwolonym, Golcyn wziął ślub z Marynką, a następnego dnia został aresztowany.

ROZDZIAŁ VI.

»Dobrze, wszystko jest dobrze« — myślał Golcyn, patrząc na brudną zieloną ścianę.

Długa, wąska, ciemna, bez okien izba, coś w rodzaju komórki z nawisłym pułapem, oświetlona tylko oszklonemi drzwiami, wychodzącemi na korytarz. Był to odwach, tak zwana Hauptwacha w zimowym pałacu, na parterze. U drzwi na korytarzu stało czterech wartowników, którzy zaglądali wciąż przez szyby, to samo robili i przechodnie. Golcynowi tak dokuczało to zaglądanie, że odwrócił się plecami do drzwi i patrzył w ścianę.

Drugą już noc spędzał na twardem, kulawem, słomianem krześle, owijając się płaszczem i drżąc od chłodu. Nogi mu drętwiały, bolały krzyś, chciał położyć się na starej, obitej skórą kanapie, lecz natychmiast pchły go oblasły. Próbował kłaść się na podłodze, podłożywszy płaszcz — lecz od drzwi i od obmarzałych jeszcze szczap drzewa, zwalonych obok nieopalonego pieca, wiało takim chłodem, że bał się zaziębić, bo nie był jeszcze całkiem zdrow. Znów więc zasiadł na krześle, godząc się z losem.

— Dobrze i tak, wszystko dobrze! — powtarzał sobie w duchu.

Przypominał, jak wczoraj, gdy prowadzili go pod konwojem na odwach, a on potknął się na ciemnych schodach, jeden z konwojowych uderzył go kolbą w plecy. Obejrzał się i zobaczył żołnierza młodego gołowąsa z perkатыm nosem, bez brwi, który też spejrzał na niego z podełba, małemi, głęboko oszdzonemi oczkami, posępnie, lecz bez złości.

— No! a ty się czego gapisz, sukinsyn, nie płacz nogami i marsz dalej.

— I to dobrze! — pomyślał Golicyn, wspominając ten moment.

A gdy wprowadzono go na odwach, dyżurny feldfelbel, cuchnący tytoniem i wódką, obszukiwać go począł drobiazgowo. Tłuste palce, obrosłe rudym włosem i upstrzone piegami, pełzały po ciele jego, macały, szczypały. Odebrał mu medalion z miniaturą Zofii Naryszkin; związał w tył ręce powrozem, który wpijał się w ciało. Najszybciej dopiero któryś z dyżurnych oficerów zlitował się i kazał go rozwiązać, ale ręce bolały go jeszcze.

Golicyn podniósł rękę i oglądał czerwone pręgi, ślady powrozu.

— I to dobrze — pomyślał.

Myśl jego pobiegła do Marynki. Ona już nie Marynka, a księżna Marya Golicyna. Rozradowała go ta świadomość. Sam jeszcze nie rozumiał, jak się to wszystko stało.

— Jutro nasz ślub! — oświadczyła mu pewnego wieczora.

Dziwił się, że tak prędko i prosił, aby poczekać, lecz ona o niczem słyszeć nie chciała, postanowiła że jutro i tak się stało. Wszystko już dawno obmyśliła i przygotowała z pomocą Fomy Fomicza w sekrecie przed mamą i nawet przed narzeczoną. Nawet nikt ze służby nie wiedział prócz starego stróża, Ananyasza Wasylicza. Babunia leżała chora, a Nina Lwowna, pojechała rankiem jeszcze na drugi koniec miasta, do jakiejś dawnej prajaciółki. Staruszek kapelan inwalidzki, z Siemienowskich kossarz, niegdyś kolega pułkowy Fomy Fomicza, Ojciec Stafiej, mistrz w kojarzeniu związków małżeńskich w wyjątkowych warunkach, dał im ślub w domowej kaplicy w domu babuni.

Golicyn uległ posłuszenie, lecz nic nie rozumiał. W czasie ślubu sterczał, jakby kij połknął — żartował Foma Fomicz. W małej domowej kapliczce, duszno było od świec i kadzideł, głowa mu krążyła i bał się, że osłabnie.

Znużony położył się wcześniej i zasnął głęboko. Gdy tak spał, Marynka weszła cichutko na palcach i obudziła go pocałunkiem. Nigdy jeszcze tak nie całowała, czuł, że w pocałunku tym oddawała mu duszę.

— Teraz wszystko dobrze! rozumiesz! — szepnęła mu na ucho, i wybiegła, zanim się opamię-

tał, cicho na palcach do matkowej sypialni! A on zasnął mocno, słodko i głupio, czując, że głupio jest spać w taką noc.

A następnego wieczora aresztowano go. Saulgin, który przyjechał z feldjegrem i czterema konwojowymi, wyprowadził aresztanta do sieni. Marynka wybiegła za nim i ledwie zdążyła, objąć go, przestępnąć i szepnąć na ucho:

— O mnie się nie bój, myśl tylko o sobie, niech cię Matka przeczekała broni.

A gdy już schodził po schodach, przegięła się przez poręcz i spojrzała na niego, a we wzroku jej nie było ani strachu, ani żalości, tylko bezgraniczna miłość. Do czegoś podobne były te oczy, wciąż myślał, lecz nie mógł sobie uprzytomnić.

Znudziło mu się wreszcie patrzeć na ścianę, odwracał się do stołu i oparty na łokciach zadzierał.

— Marynko, mateczko! — powtarzał, usypiając, tak samo jak w czasie choroby i zdało mu się, że ona go bierze na ręce, huśta i kołysze.

Obudził się od brzęku szabel i dwonienia ostróg, myślał, że spał długo, choć trwało to zaledwie dziesięć minut, była dziewiąta godzina wieczorem.

— Zaprowadzić aresztanta do cesarza — zabrzmiął czyjś rozkaz.

Okrążyli go konwojowi i powiedli nieskończenie długim korytarzem i schodami. Przeszli następnie szereg sal, obwieszonych obrazami; Golicyń poznał, że znajduje się w Ermitażu. W największej sali gorzało tak wiele świec, że zadał sobie pytanie:

— Cóż to? Bal?

Tuż potem doszedł do wniosku, że to jasne światło służyć miało do śledzenia najdrobniejszych drgnień na twarzy aresztowanych, w czasie przesłuchania. W dole światło, a w górze przez oszklony sufit ziała bezdenna czarność nocnego nieba.

W regu przy ścianie, pod Rodziną Świętą Dominikana, za rozłożonym stolikiem od kart, zarzuconym papierami, siedział młody człowiek w mundurze lejbgwardzisty z huzarskiego pułku, t. j. w obcisłej czerwonej kurtce, suto szamowanej złotem, z naszywkami oznaczającymi wysoką rangę. Był to generał-adjutant Lewaszew.

Konwojowi przyprowadzili Golicyńa przed ów stolik; dwóch zostało u drzwi z obnażonymi szablami.

— Proszę, usiądźcie książę — rzekł Lewaszew, wskazując ręką krzesło. — Spotkaliśmy się, zdaje mi się, kiedyś u waszego wuja księcia Aleksandra Michajłowicza — przemówił po francusku takim tonem, jakby siedzieli naprzeciw siebie nie jak aresztant i sędzia śledczy, lecz jak dwaj goście, którzy spotkali się w znajomym domu.

— Służyliście książę w wojsku?

— Służyłem.

— W którym pułku?

— W Preobrażeńskim.

— Czy dawno wzięliście dymisy?

— Przed dwoma laty.

Golicyń patrzył na Lewaszewa. Twarz nie była nie dobra, tylko obojętna, oczy ani głupie ani zbyt mądre, a tylko trochę przebiegłe. Światowy, przykładny młodzieniec, lichy zapewne huzar, a wyborczy tancerz. Dobry zapewne chłopak, z tych co sami lubią być i drugim być dają.

Golicyn podniósł rękę i pokazał mu czerwone pręgi od sznurów.

Lewaszew zmarszczył się.

— Znowu przesolili, a ile im razy nakazywałem...

— Czy u was tu wszystkim związują ręce?

— Prawie że wszystkim, taki już porządek; coś chcecie, na odwachu.

— Czyż to cyrkuł?

— Coś w tym rodzaju.

— A czy to wolno robić z pałacu cyrkuł policyjny?

Lewaszew nic nie odrzekł.

— No, a teraz przystąpimy do rzeczy — zaczął po chwili Lewaszew, a wyraz twarzy jego zmienił się i stał się urzędowy nie srogi, a znudzony i jakby niechętny, rozumiał widocznie, że robota niezbyt czysta. Położył przed sobą arkusz papieru i umoczył pióro w kałamarzu.

— Czy raczyliście złożyć przysięgę cesarzowi Mikołajowi Pawłowiczowi.

— Nie przysięgałem.

— Dlaczego?

— Bo przysiędze tej towarzyszą także obrzędy i zaklęcia, które uważałem za niewłaściwe.

— I nikomu nie będziecie przysięgać?

— Nikomu.

— Jakże tak bez przysięgi? Przecież w Boga wierzycie.

— Wierzę.

— A przysięga od Boga.

— Nie, nie od Boga.

— No, spierać się nie będę, czy tak mam zapisać.

— Tak zapiszcie.

Twarz Lewaszewa przybrała jeszcze obojętniejszy wyraz.

— Wy sobie bardzo szkodzicie książe, bardzo, pomyślcie jeszcze.

— Ja panie jenerale całe życie o tem myślałem.

— I toście obmyślili?

— Właśnie to.

Lewaszew uśmiechnął się i wzruszył ramionami. Z przyzwyczajenia pokręcił cienkiego wąsika i zapisał odpowiedź Golicyna.

Pytał dalej tonem bardziej jeszcze znudzonym.

— Należeliście do tajnego związku?

— Należałem.

— Jakie szczegóły wiadome są wam z działalności związku?

— Żadne.

Lewaszew milczał chwilę, spojrzał na swoje pióro, zdjął z niego jakiś pyłek i podniósł oczy na Golicyna.

— Nie sądzicie książe, aby władze nie wiedziały o niczem. Mamy dokładne zeznania naczynych świadków, stwierdzające, że wypadki 14 grudnia przygotowane były dawno i wybuchnąć miały jeszcze za poprzedniego panowania, godząc w nieboszczyka cesarza. Jeśli życzyście, mogę przytoczyć wam szczegóły zamierzonego przez was carobójstwa. Przeszłego roku odbyło się w mieszkaniu tutejszego literata Rylejewa zebranie, na którym przedstawiciel Tulczyński południowego związku podpułkownik Pestel, proponował wyćpienie wszystkich członków carskiej rodziny. Czy wiecie co o tem?

— Nie! Nie wiem.

— A kto to odpowiadał Pestelowi: Zgadzałem się z wami całkowicie.

— Także nie wiem.
 — A może raczycie przypomnieć.
 — Nie! Nie pamiętam.
 — Niedobrą pamięć macie, książę — uśmiechnął się Lewaszew, podkręcając machinalnie wąsa. — Więc ja wam przypomnę, że to są wasze słowa. A teraz czy nie zechcielibyście wymienić tych stowarzyszonych, którzy byli na owym zebraniu?

— Wybaczcie, panie jenerale, lecz tego żadną miarą nie mogę zrobić.

— Dlaczego?

— Dlatego, że wstępując do związku, przysięgłem że nikogo nie zdradzę.

Lewaszew odłożył pióro i odchylił się w tył na poręcz krzesła.

— Posłuchajcie, Golicyn! Im dłużej będziecie się zapierać, tem gorzej dla was! Chcecie ratować waszych towarzyszy, lecz nikogo nie uratujecie, a siebie zgubicie. Powtarzam wam, że władze i tak już wiedzą wszystko, a szczerze przyznanie z waszej strony potrzebne jest wyłącznie dla was samych i jest jedyną dla was drogą zjednania sobie miłośierdza cesarza.

Wypowiedziawszy te słowa, widocznie wyuczone, Lewaszew zapytał jeszcze:

— No i dlaczego milczycie? Nie chcecie nic powiedzieć?

— Nie chcę.

— Więc zmuszę was do mówienia, łaskawy panie. Spełnić muszę obowiązek sędziego i przypomnieć wam, że w Rosji stosuje się w śledztwie torturę — rzekł Lewaszew, wymawiając z naciskiem każde słowo.

— Bardziej wam wdzięczny jestem, wasza wielmożność, za to ostrzeżenie, lecz czuję się w obo-

wiązku zwrócić waszą uwagę, że teraz tem bardziej nikogo nie wydam — odparł Golicyn, patrząc mu prosto w oczy, a w duszy pomyślał: »Dobry chłopak, a jeśli naczelnictwo rozkaże, gotów piętę przypiekać«.

— *Pour cette fois je ne vous parle pas comme un juge mais comme un gentilhomme votre egal* — zaczął Lewaszew, wracając do poprzedniej uprzejmości. — Nie rozumiem, doprawdy, książę, skąd ta ochota robienia z siebie męczennika dla ludzi, którzy was sprzedali.

— Nie rozumiecie, wasza wielmożność, skąd ochota nie robienia z siebie nikczemnika? — spytał Golicyn.

Lewaszewa nieco to uraziło, lecz dobry chłopak nie wziął zbyt do serca obrazy, rozumiejąc dobrze, że aresztant w położeniu Golicyna nie usposobiony jest do prawienia grzesznostek.

— Bądźcie łaskawy książę przeczytać i podpisać — rzekł — podsuwając Golicynowi protokół przesłuchania.

Golicyn spojrział i stwierdził, że jenerał pisze, jak szewc i podpisał, nie czytając.

Lewaszew wstał, rozprostował członki, przez co obcisła jego huzarska kurtka, opięła się bardziej jeszcze na ciele, odlewając dosłownie kształt jego figurę. Nie ślęczyć bo takiemu gładyżowi nad papierami, a przystałoby mu raczej tańczyć mazura w sali balowej z pięknymi pannami, lub gnać jak wicher w płomiennym zamęcie bitwy.

Pociągnął za sznur od dzwanka, na co wbiegł feldjeger, wówczas wskazał Golicynowi stojący obok biurka, zielony, jedwabny parawan.

— Zechciejcie potrudzić się tam i poczekajcie za parawanem.

Wyszedł z feldjegrzem, a Golicyn usiadł na wskazanem miejscu.

Wkrótce potem otworzyły się drzwi w drugim końcu sali i wszedł ktoś. Kto, poznać nie było można z poza parawanu, lecz po głosach zmiarkował Golicyn, że to dwie osoby.

Rozmawiali, chodząc, aż podeszli do stolika, przy którym zatrzymali się. Oni także nie widzieli Golicyna, on zaś słuchał, co mówią.

— Ja składałem zeznania, nie kierując się rozumem, a tylko w porywie wdzięczności serca dla jego cesarskiej mości dlatego wyznałem niejedno, czego by drudzy nie powiedzieli.

Na chwilę głos zaciął, a potem Golicyn posłyszał znów.

— Łatwo samemu zginąć wasza wielmożność, ale stać się przyczyną zguby drugich, męka nie do zniesienia.

Golicyn poznawał niby i nie poznawał. Czyj to głos? Wstał z krzesła, zbliżył się na palcach do brzegu parawanu i wyglądał.

Rozmawiający stali do niego plecami zwróceniu, jednego nie widział, lecz w drugim poznał Benkendorfa. Potem dostrzegł i drugiego, wierząc i nie wierząc własnym oczom.

— Bądźcie spokojni przyjacielu! Cesarz daruje wszystkim — odrzekł Benkendorf i wzięwszy pod rękę tamtego, przeszedł z nim tuż koło parawana.

Golicyn zobaczył w przechodzie twarz drugiego człowieka. Spojrzeli sobie oko w oko. Był to Rylejew.

Opadł na krzesło i ciemne mu się zrobiło w oczach, jakby opłynęła go nagle bezdenna czarność, ziejąca z góry przez osaklony sufit.

— Proszę was — rzekł po chwili Lewaszew, zaglądając za parawan.

Golicyn wstał i wyszedł ze swej kryjówki, a z drugiego końca sali zbliżał się do niego cesarz.

Twarz zastygła, blada, jakby z marmuru wykuta, szła oto na niego, a Golicyn uprzytomnił sobie jak wtedy pod kartaczami na senackim placu, biegł z pistoletem w rękę, aby zabić zwierza.

Stanowiący przy stoliku, cesarz zmierzył aresztanta oczyma od stóp do głów i wskazał palcem protokół spisany przez Lewaszewa, który trzymał w ręku.

— Co to? Coście tu nabredzili? Pytają was o fakta, a wy zbywacie sąd prawieniem niedorzeczności. »Przysięga nie od Boga«. A czy znane są wam mój panie nasze ustawy? Czy wiecie że za to?

Tu przesunął ręką po szyi, znaczącym gestem.

Golicyn uśmiechnął się, co mu zrobić miał ten człowiek gorszego od grozy, jakiej przed chwilą doznał.

— Czego się uśmiechacie — spytał cesarz, chmurząc się.

— Daiwię się wasza cesarska mość! Należało mi grozić najpierw śmiercią, a potem torturą, wszak tortura gorsza jest od śmierci.

— Któż wam groził męką? — spytał cesarz.

— Jego wielmożność — odparł Golicyn, wskazując na Lewaszewa.

Mikołaj spojrział na Lewaszewa, Lewaszew na Mikołaja, a Golicyn na obu.

— Patracie, jaki odważny — rzekł Mikołaj — tu na tym świecie nie boicie się niczego, a cóż na tamtym? Czekaj was potępienie wieczne. Czy z tego się śmiejecie? Więc chyba nie jesteście chrześcijaninem? Co?

— Chrześcijaninem jestem, wasza cesarska moc i dla tego właśnie powstałem przeciw samowładzy waszej.

— Samowładza od Boga pochodzi, car pomażanie Boże, na Bogaście powstali.

— Nie! Na zwierza.

— Jakiego zwierza? Co za brednie?

— Całowiek, który z siebie Boga robi, zwierzem jest — przemówił Golicyń cicho i z przejęciem, jakby wymawiał jakieś zaklęcie i poblady od radości, bo zdało mu się, że słowami temi zabija zwierza.

— Ach nieszczęsny! — przemówił cesarz, kiwając głową — od mędrkowania rozum się wam zaćmił. Oto do czego prowadzą piekielne pomysły, płynące z samolubstwa i pychy. Mnie was żal, po co się gubicie? Czyż nie widzicie, że ja wam dobrze życzę — przemówił po chwili łaskawym tonem. — Czemu nic nie mówicie? — dodał jeszcze łaskawiej, biorąc go za rękę — wszak wiecie, że ja wszystko mogę, mogę nawet darować wam.

— Otóż w tem właśnie bieda, wasza cesarska moc, że wy wszystko możecie. Bóg na niebie, a wy na ziemi, to właśnie jest robieniem z całowieka Boga.

W tej właśnie chwili przypomniał sobie Rylejewa i wdrygnął się.

Cesarz odrzucił go, że nic nie zdoła wydobyć z Golicyń, przesłuchiwał go tęż niechętnie, dla

formy tylko, żeby mieć czyste sumienie. Nie rozgniewał się. Po całomiesięcznych ćwiczeniach doszedł już do tego, że na nikogo i na nic nie gniewał się w czasie przesłuchiwania. Lecz dokuczyło mu już to wszystko, radby był skończyć.

— No, dość już mielenia głupstw — krzyknął cesarz z nagle grubiaństwem — odpowiadajcie jak należy.

— Mówiłem już jego wielmożności generałowi Lewaszewowi, że dałem...

— Co mi tu wyjeżdżacie z waszym generałem, z waszem szubrawem słowem — krzyknął cesarz.

»Tamten pisze jak szewc, a ten łaje jak szewc« — pomyślał Golicyń.

— Nie chcecie więc mówić? Nie chcecie, ostatni raz was pytam, nie chcecie?

Golicyń milczał.

Twarc cesarza zmieniła się w oka mgnieniu, opadła z niej maska, ustępując miejsca nowej. Twarc jego stała się groźna, blada jak z marmuru wykuta; Apollo Belwederski, miażdżący Tyfona. Odstąpił na krok, wyciągnął rękę i krzyknął:

— Zakuć go tak, żeby i drgnąć nie mógł.

W tej chwili wszedł Benkendorf, cesarz odwrócił się ku niemu i nawdziął nową maskę.

»Biedny mały, biedny Niks, *voilà katorżnik du palais d'hiver*«.

Benkendorf szepnął coś Mikołajowi na ucho, a ten, nie patrząc już na Golicyń, jakby zapomniawszy o nim wyszedł z sali.

— Racście tu zaczekać — przemówił znów Lewaszew, wskazując krzesło za parawanem.

Golicyń usiadł, spokojny już i ucieszony.

»No i dobrze, wszystko dobrze« — powtarzał w duchu. — Skąd ochota być męczennikiem za

tych, którzy nas sprzedali? No oczywiście ochota — powtórzył z takimże dziecięcym uśmiechem, jak Marynka.

ROZDZIAŁ VII.

Parawan stał przy drzwiach; z poza drzwi tych słychać było kroki i głosy.

Drugie drzwi, te, przez które wszedł poprzednio cesarz, otworzyły się i ktoś przez nie wybiegł i słychać było głos Lewaszewa.

— Sprowadźcie tu cyrulika — trzeba krew puścić.

»W Rosyi jest tortura« — przypomniał sobie Golicyn i zaczął pilnie nasłuchiwać, chcąc wysłuchiwać, co dzieje się za drzwiami.

Głosy tłumiła ciężka portyera. Wysunął głowę z za parawanu, w sali nie było nikogo, prócz dwóch żołnierzy, stojących u drzwi nieruchomo, jak posagi.

Rozsunąwszy portyerę, Golicyn znalazł za nią drzwi na wpół otwarte. Natknął się na krzesło, na którym widocznie siedział ktoś w czasie śledztwa dla przesłuchiwania.

Dalej były drugie drzwi, również wpół otwarte, a za nimi druga portyera. Rozchylił po cichu fałdy i wyjrzał. Mała salka, obwieszona obrazami, przeważnie skopiowanymi ze szkoły włoskich mistrzów ze szkoły Perugina i Rafaela, zalana była podobnie, jak wielka, potokiem światła od mnóstwa roziskrzonych świec.

Wprost naprzeciw drzwi ktoś leżał na kanapie. Przy kanapie siedział na krześle Benkendorf, zwrócony do leżącego, którego zasłaniał prawie

całkiem, tak, że Golicyn widzieć mógł tylko nogi, okryte szalem i róg białej poduszki.

Prócz tego stało tu lub siedziało kilku jeszcze ludzi: Lewaszew, komendant pałacu, Baszucki, oberpolicmajster Szulgin i ktoś cywilny we fracku, podobny do żyda, prawdopodobnie lekarz. Potem wszedł jeszcze jeden człowiek, tłusty, rudy, w zatłuszczonym cyrmonowym fracku, z felczerskimi przyborami, do puszczenia krwi.

— Jak się czujesz przyjacielu? — spytał Benkendorf.

— Dobrze! zdumiewająco dobrze — odparł leżący — nigdy się jeszcze tak cudownie dobrze nie czułem.

— Głowa nie boli?

— Nie! przeszło, wszystko przeszło. Duch silny, rozum świeży, dusza spokojna, serce, jak niegdyś niewinne i młode. O! nigdy jeszcze nie byłem tak szczęśliwy. — Jeszcze tam w celi więziennej miewałem chwile takiej błogości, że prawie od rozumu odchodziłem. Mówiłem, mówiłem wciąż, wszystko wypowiedzieć chciałem głuchym ścianom. Nie ludzie, to kamienie wszystko odczuja. Zaczęłem krzyczeć, śpiewać, tańczyć, skakać, jak zwierzę w klatce, jak pijany, lub wariat. Komendant Sukin, przemiły człowiek, tylko nazwisko takie, że jakby miał syna, to i nazwać go nieprawywoicie, przestraszył się biedaczek, myśląc, że ja po prostu ossalałem i posłał po lekarza; chciał związać. Nic nie rozumiał. Wogóle nikt nic nie rozumie, wy jedni zrozumieście waszą wielmożność. Okropnie mi się podobają wasze oczy. Rozumne oczy, dobre, tylko tak niby, jedno oko pocziwe, a drugie jakby troszkę chytre.

— Che! che! Patrzcie jaki spostrzegawczy — rozśmiał się Benkendorf.

— Nie gniewajcie się! na miłość Boga, nie gniewajcie się... ja nie to chciałem... z początku o czym innym, a potem mi jakoś przyszło. Okropnie mi się chce mówić, pozwólcie mi się wygadać, wasza wielmożność.

— Mówcie! tylko spokojnie, bo wam znów będzie gorzej.

— Nie! dobrze, teraz wszystko dobrze. Teraz wszystko powiem. Pierwej myślałem, że trzeba się wystrzegać. A teraz myślę kogo się tu strzedz? Anioła? Cesarsa to anioł, nie człowiek, sam teraz widzę i wy także; przed takimi aniołami niema co się ukrywać. Prócz dobra nic od was spodziewać się nie można. Wszystkiego się dowiecie, wszystko powiem, do samego źródła wszystko pokażę, aż zakipi. I zrobię tak, bo mi to przyjemnie, z całym zadowoleniem. Już ja się postaram, wasza wielmożność, sami zobaczycie wszystko systematycznie doniosę, pułk po pułku wam rozkroję, nawet takich po imieniu nazwę, o którychbyście się nigdy nie dowiedzieli. Ale gdzie on? Ja jemu samemu chcę, dlaczego tu go niema? Ja jemu tylko chcę.

— Najpierw mnie, potem jemu — podsunął Benkendorf.

— Nie! Najpierw jemu, temu aniołowi; ja chcę do niego; czemu mnie nie puszczacie? Ja muszę do niego.

Porwał się z kanapy, jakby chciał biec, uniósł się na wpół i Golicyń teraz dopiero zobaczył wyraźnie twarz jego jak przedtem Rylejewa. On to był? młody książę Odojewski.

Poznawszy Odojewskiego, Golicyń zachnął się i osunął na krzesło; zakrył twarz rękoma, nie

widzieć chciał, nie słyszeć, lecz wnet ciekawość przemogła. Rozsunął znów fałdy portyery i znów patrzył. Odojewski leżał na wpół i twarz jego wyglądała prawie zdrowo, skutkiem zapewne gorączkowych wypieków na policzkach. Wyglądał jak dawniej. Miły chłopak Sasza, z tym swoim właściwym mu wdziękiem, pół chłopięcym, pół młodzieńczym.

— Jak kwiat pod sierpem zabójczym sniwarza.

Do samego ostatniego byłem całkiem czysty. Wychowywałem się w domu. *Maman m'adonné une éducation exemplaire*. Do ostatniej chwili z oczu mnie nie spuszczała. A i ja mamę, co tu mówić, gdy umarła, ledwie przeżyłem! Wstąpiłem do wojska, mając dwadzieścia lat, całkiem jeszcze byłem dzieciunny. Ja z natury jestem beztroski, lekkomyślny, leniwy, nigdy w życiu żadnej nie doznałem nieprzyjemności, za mało byłem szczęśliwy, przez całe życie. Wierse pisałem, marażyłem o złotym wieku, jak wszyscy młodzi ludzie krzychałem o wolności, tak na wiatr, Rylejew to samo, dla tegośmy się zeszli.

— Więc to Rylejew przyjął was do tajnego związku — spytał Benkendorf.

— Nie! Nie on. Zresztą to wszystko jedno, nie pamiętam kto, a i przyjęcia żadnego nie było. Wszystko to swywola, głupota, dzieciństwo, opery rozgorączkowanego mózgu Rylejewa. Bo i co może dokonać trzydziestu, czterdziestu najwyżej ludzi, młokosów, marazyści, romantyków, lunatyków, jak mówi Golicyń.

— Jaki Golicyń? Książę Waleryan Michajłowicz? — spytał Lewaszew.

— No tak, albo co?

— Czy to on odpowiadał na projekt Pestela, aby wytępić carską rodzinę. »Zgadza się z wami całkowicie, do gruntu«. Czy to on powiedział?

— Może być, nie pamiętam.

— Postarajcie się przypomnieć sobie.

— A wam to na co?

— To bardzo ważne.

— Całkiem nie ważne, głupstwo. Wasza wielmożność — dodał Odojewski zwracając się do Benkendorfa. — Czego mnie się tamten tak dopytuje, nie pozwólcie mu, my tu przecie nie szpiegi, jesteśmy nie donoszczyki.

Benkendorf, mrugnął na Lewaszewa.

— Nie gniewaj się przyjacielu, Lewaszew już nie będzie. — Chcieliście opowiedzieć nam jak przepędziliście dzień 14 grudnia.

— A tak, chciałem, tylko, że to wszystko było jak we śnie; snu nie opowiesz. Noc całą prze-
stałem na warcie w pałacu nie zmrużywszy oka, zmęczyłem się jak pies; krew uderzyła do głowy, co u mnie zwykle bywa od bezzsenności. Rano pojechałem do kawiarni Lereda, kupiłem funt karmelków kwaśnych, bardzo lubię takie karmelki. Potem poszedłem do demu wypaść się. Aż poniosło mnie na plac. Zawlekli mnie zaraz do czworoboku, dwadzieścia może razy próbowałem odejść, ścisnąć mnie zaczęli całować, więc i zostałem, sam niewiem poci!

— Mieliście w ręku pistolet? — spytał Benkendorf.

— Pistolet? — Może być, ktoś mi zapewne wsunął.

Lewaszew zaczął spisywać coś ołówkiem na papierze.

— Poci on zapisuje waszą wielmożność, pistolet głupstwo! Może miałem, może nie miałem, nie ma co zapisywać.

— A widzieliście jak strzelano do hrabiego Miłoradowicza?

— Widziałem.

— Kto strzelał?

— Tego niewiem.

— Szkoda! moglibyście uratować niewinnego.

— Ech! panowie! wy wciąż to samo, czy to koniecznie potrzebne?

— Koniecznie.

— No! dajcie uszko, powiem cicho.

Benkendorf pochylił się, a Odojewski coś mu szeptał do ucha.

— A potem jak zaczęli strzelać — zaczął znów całkiem głośno i całkiem już spokojnie i wesoło — poszedłem przez Nową na Wasilewski Ostrów, a stamtąd na Mojkę do literata Gandra. Stara Gendrowa bardzo mnie lubi, skoro więc zobaczyła, zakrzyczała: »Uciekaj«. Pieniądzy dała, ja całkiem głowę straciłem i szedłem, gdzie oczy poniosą, chciałem się pod ziemię schować, pod łód. Ludzie w oczy zagłądali, jak wrony w ślepiu konającego. Nocowałem w rynsztoku pod mostem; w przerębel wpadłem, tonąłem, zamarałem, śmierć już czułem. Wylałem obłocny i znów włóczyłem się dwa dni, Bóg wie gdzie, w Krasnem Siele byłem, w Kateringorze, ko-
zuch kupiłem, czapkę, po chłopaku się przebra-
łem i wróciłem do Petersburga. Zgłosiłem się do wujaszka Łańskiego, ministra. Obiecał przecho-
wać mnie, a potem sam pojechał do policyi i do-
niósł. No, myślę źle i sam się zgłosiłem.

— Nie zgłosiliście się, lecz was przywiózł Bassucki.

— Przywiózł, a może być, nie pamiętam, w każdym razie sam chciałem, w Rosji nie ujdiesz. Ja sam na siebie doniosłem. Ruski człowiek odważny jest, jak szpada, twardy, jak krzemień, dopóki w duszy ma Boga i cara, a bez nich robi się z niego szmata, podlec! Ot taki, jak ja teraz. Bo ja podlec jestem wasza wielmożność, co — spytał, zwracając się do Benkendorfa i patrząc mu prosto w twarz.

— Co znówu, przeciwnie, jesteście szlachetny człowiek, który zblądził, lecz nawrócił się.

— Nieprawda! Po oczach waszych widzę, że to nieprawda. Mówicie szlachetny, a myślicie podlec! No, ale i wy panowie — dodał, szepierając z kolei na wszystkich — wy także, skoro słuchacie podleca też ładni ludzie jesteście. Ja tu od rozumu odchodzę, a wy wyszukujecie to, co wy ze mną wyrabiacie? Katy, katy, oprawcy!

Twarz jego zbladła i skrzywiła się przykro.

— Przeklinam was, zakończył wreszcie.

Golicyn znów się cołnął; zakrył oczy rękami, to znów uszy zatykał, aby nie słyszeć, nie na długo jednak, bo znów ciekawość pociągnęła go nieprzepartą, znów rozsunał fałdy portyery i słuchał.

Odojewski leżał teraz, milcząc z zamkniętymi oczami, jakby omdlały, lecz znów otworzył oczy i mówić zaczął prędko i bez związku, jak w gorączce.

— No cóż! A niech! Wszyscy podli są i wszyscy szlachetni; niewinni, nieszczęśliwi. Zwierzęta i anioły równocześnie, upadłe anioły, zbuntowane trzeba tylko zrozumieć. Przemądra dobroć panuje nad światem, tak powiedział Niemiec Szelling. *Es herrscht eine allweise Güte, über die Welt, a*

po rosyjsku: przeczysta opieka Matki Bożej. A ot i ona, widzicie?

Wprost, naprzeciw niego na ścianie, wisiała Madonna sykstyńska Rafaela.

Golicyn spojrział także na obraz i nagle przypomniał sobie, do kogo podobne są te oczy. Gdy go aresztowano, a Marynka przechylona przez poręcz schodów patrzyła na niego po raz ostatni, oczy jej miały ten sam wyraz.

— Co za oczy! — przemówił Odojewski, patrząc z wyrazem zachwytu na Madonnę — to jak śpiewają w ruskich pieśniach: matka ziemia; Rosya matka; wszystkich cierpiących matka. Tylko o tem nie wolno... Już wy nie gniewajcie się na mnie, wasza wielmożność! Wszystko powiem, wszystkiego się dowiecie. Ot, tylko odpocznę chwilę i zaczynam. Kachowski strzelał, Oboleński kłutł konia bagnetem, a Küchelbeker chciał wielkiego księcia Michała zastrzelić i już w niego mierzył, tylko mu pistolet spalił na panewce. No, nic to, nic to, zapiszcie prędzej, bobyście zapomnieli. No i co jeszcze. Wszystko to głupstwo, nie o to chodzi. A wiecie, jakem ja zamarał w rynsztoku pod mostem, to było to samo... to samo... co kiedyś, gdy dzieckiem byłem, złoto-zielone filiżaneczki, z których mleko piliśmy, mama nalewała, tam u nas na wsi na entresolu, okna duże wychodziły prosto na brzozy gaj; złoto-zielone listeczki od słońca na wiosennych brzożkach, tak cudnie i całkiem, jak teraz. Tylko się nie gniewajcie, mili... drodzy... Nie trzeba się gniewać, a wszystko będzie dobrze. Darujemy jeden drugiemu, polubimy się, weźmiemy się za ręce i tańczyć będziemy wkoło, jak dzieci, jak anioły Boże w raju, w złotym, promiennym wieku.

Mówił tak coraz ciszej, ciszej, aż wreszcie zamilkł, oczy zamknął i niby zasnął! tylko po twarzy ciekły mu łzy, być może przez sen, bo razem uśmiechał się.

Benkendorf pocałował go w głowę z nieobłudną, być może, czułością.

W drugim końcu sali taka sama ciężka portyera, jak ta, za którą stał Golicyń, rozsunała się i wszedł cesarz. Wszyscy go okrążyli, mówiąc pół głosem, aby nie zbudzić chorego, poszczególne tylko słowa dolatywały Golicyńa.

- Był gorączka się nie podniosła.
- Krew trzeba puścić, okłady na głowę.
- Ważne zeznania?
- Bez związku, bredzenie chorego.
- To nic, dojdziemy.

Golicyń nie wiedział sam, kiedy wrócił na dawne miejsce za parawanem i siedział w odrośnięciu dłuższy czas.

Nagle ocknął się i zobaczył Lewaszewa, który znów zasiadł za swym stolikiem od kart i rozpatrywał papiery.

Golicyń skoczył i rzucił się ku niemu tak nagle, że Lewaszew drgnął, obejrzał się i zerwał się również.

- Co to jest? Co wam Golicyń?
- Prowadźcie mnie do cesarza.
- Nie można, zajęty, jeśli macie mu co powiedzieć, to i ja powtórzę.
- Nie! Ja chcę do cesarza, zaraz w tej chwili mnie prowadźcie.
- Czego pan krzyczy? Czyś pan zmysły postradał?
- Tak! Postradałem zmysły, rozum straciłem. Jednego już doprowadziliście do obłędu, a

teraz drugiego. W Rosji jest tortura; jednego już zamęczycie, teraz drugiego. Obu razem! Żyły wyprawacie! Wyprawajcie! Owszem, torturujcie! Przypiekajcie! Podli! Wy, podli, podli katy! Oprawcy! — krzychał Golicyń w szaleństwie, tupiąc nogami i zaciskając pięście.

Lewaszew uchwycił go za ręce, lecz on wyrwał się, odtrącił go i pobiegł, krzycząc, nie wiedząc gdzie i pogo. Przemknęła mu przez głowę myśl, aby zabić zwierza, a jeśli nie zabić, to zelżyć go, zbić, plunąć mu w twarz.

— Łapaj — krzychał Lewaszew do dwóch żołnierzy, wciąż jeszcze stojących u drzwi, co drugi w końcu sali nieruchomo, jak dwa posągi.

Na krzyk Lewaszewa posągi ożyły, zrozumiały, pojęły i rzuciły się pędem w pogoń za Golicyńem.

— Mikulin! Mikulin! — krzychał dalej Lewaszew z takim łękiem w głosie, jakby za mało było trzech ludzi dla rozprawienia się z jednym.

— Jestem wasza wielmożność — odparł, wyrastając, jak z pod ziemi, dyżurny pułkownik Mikulin, a z nim wkroczyło pięciu mołojców z jednej gwardyi, w miedzianych kaskach i pancierzach, cała armia na jednego bezbronnego.

Obstąpili go, osaczyli, okrążyli, ktoś objął go z tyłu tak mocno, że prawie dech utracił, ktoś inny dusił go za gardło, ktoś bił go po twarzy, lecz on mimo wszystko nie poddawał się i bronnił się z rozpacaliwą siłą, jaką obdarza szaleństwo.

Gdzieś w dali przemknęła twarz cesarza, lecz znikła natychmiast.

W tem z przyległej sali dobiegł go krzyk. Golicyń poznał głos Ryjewskiego, lecz ani wtedy,

ani później nie miał się dowiedzieć, co to było. Czy ocknął się chory z omdlenia i zląkł się, słysząc szamotanie, czy puszczano mu krew, a on wyobraził sobie, że wzięto go na męki, że go mordują, dość że krzyk ów był strasznym prze-poiony lękiem.

Golicyn odpowiedział na to równie przerażliwym wołaniem tak, że gdyby ktoś nieświadomy usłyszał te głosy, uwierzyłby bez wątpienia, że tu jest naprawdę miejsce kaźni, lub dom wariatów.

— Dajcie sznurów! dajcie sznurów! związać go! — krzyczał ktoś. — Czego ona kanalia wyje! zatkać mu gardziel.

Golicyn czuł jak mu zapychano usta chustką, wiązano ręce, nogi, wreszcie podjęto w górę i niesiono gdzieś. Ukorzył się, poddał, zamknął oczy.

— No teraz dobrze, wszystko dobrze — powiedział czyjś głos i jakby w czerwonej mgłę przepłynęła gdzieś biała twarz zwierza.

Golicyn utracił zmysły.



CZĘŚĆ CZWARTA.

ROZDZIAŁ I.

— Na tortury wezmą, o Boże daj siłę prze-nieść — to była pierwsza myśl Golicyna, skoro ocknął się na świeżem powietrzu.

Oberpolicmajster Szulgin, chcąc przywieść go do przytomności, kazał spuścić okna karety, w której go wieziono z pałacu do twierdzy.

— Co za męki przenosili chrześcijańscy mę-czennicy... Ale to święci, a ja. No nie, może i ja — próbował dodawać sobie otuchy, lecz ta nie przechodziła i przenikał go żywiołowy strach.

Kareta zatrzymała się przed domem komen-danta petropawłowskiej twierdzy. Szulgin wysa-dził więźnia i zdał go feldjegrowi, ten zaś wpro-wadził go do niewielkiego pokoju, z golemi ścia-nami, gdzie prawie nie było mebli, prócz stolika i dwóch krzeseł. Na stole paliła się łojowa świeca.

Feldjegier posadził Golicyna na jednym krześle, a sam siadł na drugim i tak pokojowo ziewnął zasłaniając usta dłonią, a potem przeżegnał się, że Golicyn spodziewać się zaczął, że go na męki nie wezmą.

— Nie wezmą? Aż oto idą, Boże ratuj! — pomyślał, słysząc w przyległym pokoju, kroki i szcęk żelaza i czując przytem wewnątrz pod piersią, jadownicę jakby wessanie powietrza od którego wnętrzości się przewracają.

Wszedł siwy starzec ostrzyżony nisko po żołniersku, bez nogi, postukując drewnianą kulą. Był to jenerał Sukin, komendant Petropawłowskiej twierdzy za nim wszedł niski tłusty człowieczek z przełamanym nosem, plac-major Poduszkin, dalej różni jeszcze plac-adytanci, gefrejterzy i kilku jeszcze niższych «czynów».

Sukin trzymał w ręku żelazny pręt z jakimiś kołkami.

Niezawodnie narzędzie męki — pomyślał Golycyn truchlejąc i przymrużył oczy, żeby nie widzieć.

— Ratuj mnie Boże, ratuj — powtarzał w duchu odchodząc prawie od zmysłów.

Sukin podszedł do stoła, postukując drewnianą nogą, podniósł do światła urzędowy papier i oświadczył.

— Najjaśniejszy pan, cesarz monarcha kazał ciebie zakuć w kajdany.

Wyraz «ciebie» wymówił z umyślnym naciskiem.

Golycyn słyszał to, lecz jeszcze nie rozumiał. Kilku ludzi rzuciło się na niego i zaczęło mu nakładać kajdany na ręce i nogi i zamykać je na klucz, on jeszcze nie rozumiał, lecz nagle pojął i zagryzł wargi zapierając dech w siebie, aby się na głos nie rozplakać z radości równie szalonej i żywiołowej jak poprzedni strach bo wreszcie pojął, że męki nie będzie.

Patrzył prosto w twarz komendanta, myśląc «co za godny człowiek» nawet beznosy major,

wydał mu się sympatyczny, a rabe twarze żołnierskie, wydały mu się takie pocziwe, że gotów był każdego ucałować.

Zauważył nieznana sobie pomarańczową wypustkę na mundurze adyutanta.

— Widocznie zmienili z powodu nowego panowania — pomyślał, z tą samą dziwnie bezmyślną radością.

Wstyd mu nieco było, że tak okropnie stchórzyl, lecz i wstyd ten rozplýwał się w rozradowaniu.

Jegor Michajłowicz! Zaprowadzić go do Aleksiejewskiego fortu — rozkazał Sukin Poduszkinowi, a ten związał w dwóch końcach chustkę i nałożył ją na głowę Golicyna, tak aby mu oczy zakryć.

Więzień wstał, zachwiał się i omal nie upadł, bo nie przywykły był chodzić w kajdanach. Chwycili go pod ręce, wywiedli na podwórze i wsadzili do sani. Poduszkin siadł obok niego i objął go w pól. Sanie często zmieniały kierunek, kręcąc się widocznie w ciasnych uliczkach twierdzy między bastionami.

Wyjrawszy jednem okiem z pod opaski, Golycyn zobaczył zwodzony mostek, rzucony przez rów i jakby bramę w grubym kamiennym murze.

— Gdzie mnie wieście? Do Aleksiejewskiego okopu? — spytał Poduszkin.

— Nie troszcie się o kwaterę, stancyjka będzie wyborna — uspakajał go Poduszkin, poprawiając mu przewiązkę na oczach.

Golycyn przypomniał sobie, co słyszał o tym forcie, do którego wsadzano tylko tak zwanych «zapomnianych» i że z niego nikt nigdy nie wyszedł, lecz w porównaniu z torturą wieczne wię-

zienie wydało mu się pomyślnością. Sanie zatrzymały się, aresztanta wysadzono, biorąc go znów pod ręce i prowadzono po stopniach na jakieś schody, drzwi zasgrzytały na rdzawych zawiasach i zatrzasnęły się z ciężkim hukiem.

»Zostawcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzicie« — przypomniał sobie Golicyn.

Zdjęto mu z oczu opaskę i major prowadził go przez długi korytarz, słabo oświetlony mętnymi płomykami i gdzie były po obu stronach szeregi drzwi, opatrzonych numerami. Poduszkin szedł przodem i pukał do różnych drzwi, pytając czy zajęty. Odpowiedź zawsze prawie wypadła twierdząco, wreszcie odnaleziono celę, o której plac major rzekł: »ten numer wolny«.

— Proszę tu wejść — rzekł uprzejmie Poduszkin.

Golicyn wprowadzony został jakby w wąską i długą szczelinę muru, przypominającą grób. Sztyldwach zaśwycił lampkę, składającą się z zielonej szklanej, z knotem pływającym w oliwie. Przy mdłym świetelku obaczył Golicyn nawisłe sklepienie powały, okno w głębokiej niszy, zaopatrzony w gęstą i grubą kratę żelazną, dwa krzesła, stolik szpitalny, tapczan i cuchnący szaflik w kącie, tak zwaną »paraszkę«.

Zdjęto z niego kajdany, rozebrano całkowicie, obszukując go, rewidując, poszczypując, nawet pod pachą, potem zabrano mu jego odzież i włożono ubranie aresztanta. Kurtkę więzienną, spodnie, załuszczoney chałat, ostrzępiene pantofle, nad miarę duże.

Po chwili wszedł do celi wysoki, chudy staruszek, w długopółym surducie z czerwonymi wyłogami i czerwonymi naszywkami, krojem mun-

durów z czasów cesarza Pawła. Był to komendant Aleksiejewskiego fortu, Szwed, Lilien-Ankern. Żołnierze z więziennej strażnicy uważali go za trochę obłąkanego i nazywali go »Kaszczajem« nieśmiertelnym i wierzyli mocno, że ma już sto lat, z których pięćdziesiąt spędził w kazamatach, wieczny więzień wśród więźniów.

Zgarbiony, z rękami założonemi w tył, z otwartymi ustami, z których sterczały dwa żółte zęby z oczyma niewidzącemi, szedł posuwistym krokiem prosto na Golicyna.

— Jak wasze zdrowie? — spytał go jeszcze zdaleka i niedoczekawszy odpowiedzi, osunął się na kolana i biegłym od długiego nawyknięcia gestem, nakładać począł kajdany na nogi więźnia. Włożywszy je, zaczął pokazywać, jak trzeba chodzić w kajdanach, podtrzymując za sznurki ogniw łańcucha, zsuniwszy jednak obrożę obu nóg.

Golicyn próbował, lecz znów o mało nie upadł.

— Nic to, nauczycie się — pocieszał go placmajor.

Obróciwszy obrączki na rękach, tak, aby dotykały ciała szorstką skórą, komendant spytał:

— Czy możecie tak pisać?

— Mogę.

— Ot i skończona »tualeta« — przemówił grzecznie Poduszkin, a Lilien-Ankern zawsze na kolanach, podniósł na więźnia swoje stuletnie oczy, zachodzące plewką, jak u śpiących ptaków i wyrzekł z namaszczeniem, jakby słowa modlitwy:

— Boże miłosierdzie wszystkich nas zbawi.

— Tak zapewne na tamtym świecie starzy nieboszczycy witają nowego — pomyślał Golicyn.

Stary wstał i w tej samej zawsze postawie przygarbiony, z rękoma założonemi w tył, wyszedł z celi.

Dozorcy, pomogli Golicynowi przejść z krzesła na więzienną prycę.

— Odpocznijcie z Bogiem, nie gryźcie się, wszystko przejdzie — rzekł Poduszkin. — Numerek wasz wygodny, sucheńki, ciepłutki.

Wszyscy wyszli i zamknięto drzwi, klucz zagrzyszał w zamku i nastąpiła cisza.

Golicyn czuł się pogrzebany za życia, a jednak wciąż jeszcze radował się, że męki nie było. Zobaczył na stole kęs razowego chleba i dabanek z kwasem. W czasie rewizji jeszcze prosił o jedzenie, a plac major usprawiedliwiał się, że późno już, że wszyscy w kuchni śpią i kazał przynieść chleba i kwasu.

Golicyn zjadł i wypił wszystko, dawno już nie wieczerzał z takim apetytem. Zaczął układać się do snu. Zdjął chłostat z trudem, dźwignął nogi obciążone kajdanami. Miał już wyciągnąć się, jak długi na swym tapczanie, lecz spojrzał na poduszkę bez nawleczki i zobaczył na niej tłuste plamy. Powąchał, zmarszczył się.

Na stole leżała chusteczka od nosa Marynki, złożona we czworo, z wyszytym czerwono znakiem M. T. Widocznie żegnając się, zdążyła wsunąć mu ją do kieszeni, a przy rewizji zapomnieli zabrać, czy może umyślnie zostawili przez litość. Rozłożył chusteczkę tak, aby nie dotykać twarzą brudnej poduszki i uśmiechnął się. Chusteczka pachła Marynką. Przypomniawszy sobie teraz, jak w pierwszą i ostatnią noc poślubną, gdy ona rozbudziła go pocałunkiem, nie umiał jej zatrzymać i zasnął głupio.

Gdzieś blisko, prawie nad samem uchem zagrała, zaśpiewała, zadzwoniła pieśń Kurantowa, niby złoto brzmiące anielskie pienia i zdało się

Golicynowi, że słyszy znów słowa: »Boże miłosierdzie zbawi wszystkich«, pozdrowienie martwego między martwymi.

Uśmiechnął się znów błogo i zasnął z tym uśmiechem, a ostatnią myślą jego było: »W paszczy zwierza, jak u Pana Boga za pazuchą«.

Wczorajsze dźwięki tylko w odwrotnym porządku, zbudziły go nazajutrz. Najpierw zgrzytanie śrub, odsuwanie zasuwek, a wreszcie szczęk klucza, obracanego w zamku.

Wszedł Lilien Ankern, spytał jak wasze zdrowie i niedoczekawszy odpowiedzi, znikł z celi. Fajerwerker Szykajew, młody, z wesołą twarzą żołnierz, przyniósł lekkiej herbaty w ogromnym ołowianym czajniku i dwa kawałki cukru. Cukier trzymał przez grzeczność, nie na głojej dłoni, lecz w fałdach polny munduru. Ułożył to wszystko na stole i skłonił się przyjeźnie.

— Która godzina? — spytał Golicyn.

Szykajew uśmiechnął się, milcząc i wyszedł skłoniwszy się znów. Inny, młody żołnierszyk, inwalida, wyniósł »paraszkę« i począł wymiatać celę miotłą.

— Która godzina? — spytał znów Golicyn.

Żołnierszyk milczał.

— A jaka pogoda na dworze?

— Nie mogę wiedzieć.

Chroniąc się od chłodu Golicyn owijał się chałatem i zagrzewał herbatą, oglądał przytem swą suchą, ciepłą stancyjkę.

Na utraconej szatkateryi, błękitnawy pas świeżo zamalowany oznaczał poziom, którego dosięgała woda w czasie ostatniej powodzi. Dalej były wilgotne plamy, a z sufitu i rury piecowej prawie że ciekło. Powietrze wogóle przesycone było

duzną stęchłą, podziemnej wilgoci, a gdy zapalono w piecu z korytarza, rura żelazna rozgrzana mocno trzeszczała od ognia, tak że w głowę było gorąco, a w nogi zimno.

Ściany opadały kolistą, przedłużając niejako sufit do samej podłogi, tak, że stać można było prosto tylko w samym środku celi, a po bokach trzeba się było zginać. Pod zasnutą pajęczyną sklepieniem, roily się pająki, tarakany i inne jeszcze gady, nieznanego Golicynowi wyglądu, wysuwając się do połowy z różnych szczelin.

— Lepiej się nie rozglądać — i spuścił oczy, lecz wtedy ujrzał, że coś pełźnie po podłodze; był to olbrzymi rudy szczur.

Okno było grube zamalowane kredą, tak, że nawet w dnie słoneczne panował w celi, wieczny mrok. We drzwiach wyrznięty otwór, tak zwane »oczko« okratowane od wnętrza, a zewnątrz zasłonięte zieloną firanką. Szyldwach, który chodził po korytarzu wysłanym wołokową matą, i sam miał na nogach miękie walonki, poruszał się niedośłyśzalnie, a skoro tylko więzień pozwolił sobie kaszlnąć, chrząknąć, poruszyć stołkiem, ukazywała się zaraz w »oczku« czujna twarz dozorca.

— Kto tu? — spytał z po za drzwi znajomy Golicynowi głos.

— Michajłow — odpowiedział głos Poduszki i w okienku poznał Golicyn wąż Lewaszewa.

Dlaczego nazwano mnie Michajłowem, zapytywał siebie więzień, chyba dlatego, że jestem synem Michała.

— *Celui-ci a les fers aux bras et aux pieds* — objaśniał Lewaszew, jakby pokazując komuś

rzadkiego zwierza i zdało się Golicynowi, że w okienku przemknęła twarz, wielkiego księcia Michała Pawłowicza.

Na ścianach izby widać było w pół zatarte rysunki i napisy, które widocznie kazano więźniom wyskrobać, lecz ślady ich zostały, zagrobowe pamiątki poprzednich więźniów. Niektóre z nich ocalały. Jeden z rysunków, wyobrażał kobietą główkę, pod którą wypisano wiersz:

Tyś mi na ziemi bóstwem była
Lecz już odeszłaś w wieczną dal
Módl się tam za mną....

Dalszy ciąg wytarto, zostały tylko słowa: »Ujrzeć cię jeszcze«.

Dalej znów rysunek głów męskiej i kobiecej. Pod męską wypisane było: »Bracie zdecydowałem się na samobójstwo«, a pod kobiecą: »Żegnaj mamą na wieki«, a dalej słowa ewangelii: »W ciemnicy byłem i nawiedził mnie«.

Otworzyły się drzwi i wszedł duchowny, szleszcząc wspaniałą jedwabną rasą z krzyżem na piersiach i zawieszonym orderem.

— Czy mam honor widzieć kniazia Waleryana Golicyna — zapytał ceremonialnie, zatrzymując się u drzwi.

— Proszę, bądźcie łaskawi wejść ojcze — odparł Golicyn.

»Skoro przysyłają mi popa, więc nie tortura a kara śmierci — pomyślał i przypomniał mu się wielki inkwizytor z don Karlosa Szillera«.

Chciał powstać na spotkanie gościa, ale zachwiał się, głośnie brzękając kajdanami. Duchowny poskoczył ku niemu i podtrzymał.

— Czyście się nie skalecysli, pół puda obroży lekko licząc dzwigacie na sobie.

— Nie, nic mi się nie stało. Dlaczego stoicie, siadajcie Ojcie — zapraszał Golicyn.

— Pozwólcie przedstawić się. Jestem ojciec Piotr Mysłowski, protojerej kazańskiego soboru, a tutejszych więźniów ojciec duchowny i śmiem dodać przyjaciel, czem się i szczyję, bo nie grzech pochwalić się przyjaźnią najdosłowniejszych ludzi.

»Szpieg rzuca piaskiem w oczy« — pomyślał Golicyn i spojrzał na niego uważnie.

Chłop, jak dąb, ogromnego wzrostu, barczysty, przystojny przytem, majestatyczny. Ogromna ruda broda, trochę już siwiejąca. Wygląd zdrowego włościanina, lat około pięćdziesięciu, a i twarz chłopska z grubszą ociosaną, ale dobra i rozumna. Małe oczka ocienione nawisłymi powiekami, miały ów dwoisty wyraz tak pospolity u ruskich ludzi prostoduszny i przebiegły zarazem.

— No, a kiedyż egzekucya? — spytał Golicyn, badając go uparcie wzrokiem.

— Czyja egzekucya? jaka?

— Moja, a jaka, to już wy lepiej wiecie, czy rozstrzelają mnie, czy głowę zetną?

— Co wy książe? Bóg z wami — zaprzeczył trzepiąc rękami Mysłowski. — Ot macie tu krzyż, choć i nie przystoi przysięgać, na krzyż ten klę się wam, że o żadnych egzekucjach nikt nie myśli. Czy zapomniałście, że kara śmierci zniesiona w Rosyi ustawą.

Golicyn jeszcze nie wierzył, lecz tak jak wczoraj, gdy opuściła go obawa męki, serce skakało mu z radości.

— Niema kary śmierci, za to jest tortura — rzekł, badając znów wzrokiem gościa.

— W dziewiętnastym wieku tortura? I to w chrześcijańskim państwie, po złotych dniach Aleksandrowskich — pokiwał głową ojciec Piotr — Ach, panie mój, panie! Co za niedobre myśli, dodać mogę, nawet nieprzystojne, wybaczenie, że powiem nawet, nieszlachetne, nawiedzają was. Wam się dobra życzy, a wy męczyć chcecie drugich i siebie. Nie chcecie wiedzieć, z kim macie do czynienia. Gdybyście znali niewysłowione miłosierdzie monarsze...

— Słuchajcie, co wam powiem, batiuszka — przerwał Golicyn. — Pamiętajcie raz na zawsze, że ja się o miłosierdzie monarsze nie ubiegam i przykładam nad nie strzyknek na szyję, lub topór. Nie trudźcie się więc na próżno, bo nic ze mnie nie dobędzie. Rozumiecie?

— Rozumiem; jak tu nie rozumieć! »Poszedł przez, pop!« »ty dla mnie gorzej psa«, bo i psa tak byście nie wygnali.

Głos mu zadrział, usta skrzywiły się, oczka zamglily; zasłonił oczy rękami.

— »Zdrowe chłopisko, a jaki wrażliwy« — pomyślał Golicyn.

— Wyście mnie źle pojęli, ojciec Piotrze! Nie chciałem was obrazić.

— Och! wasza światłość! Któż-by tu uważał na ebrazy — odparł ojciec Piotr, odejmując ręce od twarzy i wzdychając ciężko. — Nie raz człowiek spędzi żalotę serca na pierwszym lepszym z brzegu i lepiej mu się robi, na zdrowie wychodzi. Nie jestem przecież głupcem i wiem, co macie na myśli. Pop przyzwał do więźnia; od kogo? Od władzy oczywiście, jak szpieg niegodny. A przecież wy mnie, pania, widzicie po raz pierwszy w życiu. Piętnaście lat w kazamatach służy,

w tem piekle tutejszem, biję się z tem, jak ryba o lód. I dlaczego słuszę? Jak myślicie? Dla tej blaski, prawda? — mówił, ukazując mu order. — Obsypcie mnie rangami, gwiazdami, nie zostałbym tu i dnia jednego, gdyby nie to, że dobra życzę, choć małego, że choć trochę pomódz chcę tym, którym już nikt nie pomoże. Czyż inaczej wytrwałbym na takim paskudnym urzędzie? Przecież gdyby nie ja, lichy pop, nie byłoby tu komu ująć się za wami, a zwłaszcza po wypadkach z czternastego, które mnie bliżej obchodzą.

— Dlaczegoż to bliżej?

— A dlatego, że ja sam z takich jestem — wynurzył się ojciec Piotr i zaczął cichym szeptem.

— Choć prosty ja człowiek, lecz z łaski Boga zdrowy rozum mam i serce nie stępione. Więc patrząc na porządki tutejsze, buntuję się nieposkromionym buntem, szarpię się i męczę, chcę ująć grzechu, a nie mogę. Zdaje się oddawna już powinienem był przywyknąć, a jednak i dziś, gdy zobaczę więźnia a jeszcze, jak wy, w tych żelaznych rękawicach, wszystko we mnie kipi i buri się. Człowieka, stworzenie Boże, najbardziej dla wolności stworzone, widzieć go w kajdanach, męka niewysłowiona.

— Nie inkwizytor to z Szillera, a sam Sziller — pomyślał Goliceyn coraz bardziej zdumiony.

— Ojciec Piotrze! Jam bardzo zawinił wobec was, darujcie! — rzekł, podając mu rękę.

Ten mocno ją uściskał, pockzerwieniał, zamrugał powiekami i zachlipał, raucając się na szyję Goliceynowi z wielką czułością.

— A u spowiedzi i komunii świętej? Dawno byliście przyjacielem? — zapytał niby od niechcena.

Lecz Goliceyn odgadł odrazu, że po to głównie przyszedł. Oswobodziwszy się z uścisków, Goliceyn znów spojrzał uważniej na swego gościa i stwierdził znów ów dwoisty wyraz, przebiegły i prostoduszny razem. Nie mógł i teraz rozstrzygnąć, co w człowieku tym przeważa, chytrłość, czy prostota.

— Dawno nie byłem! — odparł mimowoli na pytanie o spowiedzi.

— A teraz nie życzyście sobie?

— Nie! Nie życzę.

Rosyjskie prawa nakazują duchownym donosić o wrogich uczuciach przeciw »wysoko połączonym osobom« — pomyślał Goliceyn.

Ojciec Piotr, jakby chciał jeszcze go o coś zapytać, lecz nie rzekł nic i spuścił głowę. Potem wstał i miał się ku odejściu.

— Spieszę do waszego sąsiada Oboleńskiego, który siedzi tu obok za ścianą. Zdaje się przyjaciel wasz.

— Tak, przyjaciel.

— Zanieść mu pozdrowienie od was?

— Owszem pozdrówcie.

Niepodobalo się Goliceynowi, że ojciec Piotr tak łatwo udziela mu wiadomości, o której nie wolno wiedzieć aresztantowi, jakby już z sobą weszli w znowę.

— Ach! omal nie zapomniałem — rzekł jeszcze Mysłowski, wyjmując z kieszeni stary skórzany futerał.

— Moje okulary! — krzyknął z radością Goliceyn, skąd się u was wzięły?

— Od pana Frindina.

— Odbiorą mi je znowu, już jedno zabrali.

— Nie odbiorą, dostałem dla was pozwolenie.

Niepodobało się i to Golicynowi, że się Myśkowski narsuza z grzecznościami, za które on niema czem płacić.

— Pan Frindin kazał jeszcze powiedzieć, że księżna Marya Golicyn pozdrawia was i kazała wam powiedzieć, że ufa mocno w Boga, a i was o to samo prosi. Pisać sama jeszcze nie może, bo teraz srogie obostrzenia, ale potem będzie mogła przexemnie — dodał szeptem prawie, oglądając się na drzwi. — Wszystko się ułoży wassa światłość, i w kazamatach ludzie żyją, tylko się nie gryźcie i nie upadajcie na duchu.

Ochodząc, podniósł rękę jakby go chciał błogosławić, lecz rozmyślił się i uściśkał go tylko, potem wyszedł.

Golicyn już teraz prawie całkiem uwierzył, że nie czeka go ani męka, ani śmierć, i cieszył się; nie była to jednak już owa wczorajsza nadobłoczna radość, »w paszcey zwierza jak u Pana Boga za pasuchą«, coś zepsuło się niby smętniało w tej radości. Zrozumiał, że są rzeczy gorsze od męki i śmierci. Choćby nawet ojciec Piotr był istotnie przedobrym, cudownie prostym popem, to dla niego Golicyna może się stać niebezpieczniejszym od wszystkich szpiegów i szpiclów.

Fajerwerker Szykajew, przyniósł obiad, kwaśny żur z kaszą. Kasza ta omaszczona była olejem, który tak szkaradnie cuchnął, że Golicyn włożywszy do ust strawę, nie mógł jej przełknąć i wypluł. Nie dano mu noża ani widelca, a tylko łyżkę drewnianą.

»Nic ostrego zapewne, abym się nie zarznął« — pomyślał.

Po obiedzie, plac-adyutant Trusow, młody człowiek, z czerwoną bezczelną twarzą, przyniósł mu

paczkę tytoniu, z wykwintną cygarnicą z perłowej masy.

— Może chcecie zapalić?

— Dziękuję uprzejmie nie palę.

— A czyż to nie wasze?

— Nie, nie moje.

— Proszę darować — rzekł Trusow z uśmiechem od którego twarz jego stała się jeszcze bezczelniejsza.

»Kuszenie tytoniem jak wpierw kuszenie ciałem i krwią Chrystusa« — pomyślał Golicyn z oburzeniem.

Skoro ściemniło się przy słabym świetle nocnej lampki, karakony wypelzły rojnie i sunęły z szaleństwem po ścianie, przerywając ciszę chrobotem swych łap. Przez górną część okna, niezamazaną wapnem widać było wąski pas ciemnego nieba i mruganie jedynej gwiazdki.

Golicyn myślał o Marynce, lecz nie chcąc się rozstrajać, zmuszał się więc do innych myśli i postanowił dać znak Obolońskiemu. Praysiadł na tapczanie i zastukał palcem w ścianę, przyłożył ucho, lecz nie było odpowiedzi. Ściana była gruba stuk palcem nie wystarczał. Zmienił więc system i zastukał śrubką od kajdan, na co w odpowiedzi usłyszał podobne stukanie. Ucieszył się tak, że zapomniał o stróżach więziennych i grzmotnął mocno w ścianę, lecz na skutek tego wpadł do celi gefrejter Niczyporenko, z rozpitą, rozczarowaną gębą.

— Ty co wyprawiasz sukini-syn, do worka chcesz?

— Do jakiego worka? — zapytał Golicyn nie tyle obrażony, co zadziwiony formą pożąjanki.

— Jak wsadzę, to sam zobaczysz — warknął gefrejter odchodząc, takim tonem, że Golicyn

zrozumiał, iż to nie przelewki i że spotkać go może chłosta.

Położył się na tapczanie, obrócił twarzą do ściany i udał że śpi, póki się nie uciszyło, potem znów zaczął stukać palcem w ścianę, a Oboteński odpowiadał.

Zrazu stukali bez rachunku, zapalczywie, z radością, byle tylko słyszeć się wzajemnie »ty?« »ja«, »ty?«, »ja« i krew im huczała w uszach, z obawy, że może odpowiedzi nie będzie i z radości, że się jednak porozumiewają. Potem zaczęli liczyć uderzenia dla układania zdań, lecz zawsze coś przoczyli, stukali za mało lub za dużo, ustawiali zniechęceni i znów rozpoczynali. Stukając Golicyń zasnął i całą noc śniło mu się, że stuka.

Przeszło tak kilka dni, tak podobnych do siebie, że Golicyń stracił rachubę czasu. Zaczął więc kręcić gałki z chleba i przylepiać je na ścianie, ile gałek tyle dni. Nudy prawie nie doznawał, gdyż miał mnóstwo drobiazgowych zatrudnień i uczył się chodzić w kajdanach, krążył po swej ciasnej izdebce, jak zwierzę w klatce, trzymając się poręczny krzesła, aby nie upaść. Jedyna chusteczka Marynki służyła mu wciąż za nawleczkę, osuszał ją i aby nie zabrudzić, nauczył się ucierać nos w palce; z początku czynił to ze wstrętem, lecz potem przywykł.

Zauważył, że szana, gdy splotał i chrząkał, wydierał mu się kopeć z gardła i z nosa, lampa nocna kępciała, bo miała za gruby knot. Golicyń wyjął go, rozdzielił na włókna i wsadził z powrotem, lampa przestała kopcić i powietrze się oczyściło.

Spał, nie rozbierając się, bo nie umiał jeszcze rozbierać się w kajdanach, bielizna zbrukała się do ostateczności, pchły go obsiadły. Mógłby poprosić o świętą bieliznę z domu przez Mysłowskiego, lecz nie chciał zaciągać u niego dalszych obowiązków wdzięczności. Długo cierpiał, wreszcie przebrała się miara więc zdecydował się prosić o bieliznę Poduszkina. Przynieśli złe smaglowaną, nie wyschlą jeszcze, parę grubych, żołnierskich kałesonów i szorstką, parcianą koszulę; wdział je z rozkoszą.

Raz piec nadymił, otworzono więc drzwi na korytarz, dla przewietrzenia celi. Te drzwi otwarte, przez które wyjść nie było można, wywołały u więźnia to ciężkie poczucie niewoli, tak nieznosne, że rad był, gdy wreszcie drzwi zamknęto.

Stukali dalej do siebie z Oboteńskim, lecz wciąż jeszcze nie mogli się zrozumieć. Golicyń miał już palce popuchłe i paznokcie połamane; pogrzebani żywcem, tłukli głowami o wieko trumny. Wreszcie Golicyń doszedł do przekonania, że niczego nie dokaza, dopóki nie obmyślał sobie alfabetu.

W ramie okna, w celi Golicyń, był blaszany wentylator; odłamał z niego drzazgę i wyostrzył na cegle, odkrytej przez oderwanie tynku; tym improwizowanym nożem wyciął patyczek z drewnianej nogi tapczana. Zdjął następnie nieco sadzy z okopconego knota, rozrobił wodą, w jamie wydrążonej w futrynie okna, umoczył drewnienko w czarnym płynie i wypisał na ścianie alfabet, litery w kratkach, z oznaczeniem liczby uderzeń — krótkie oznaczył punktami, długie kreskami. Następnie wydebył z futerała papiera, zatykający dziurawe dno i wypisał na nim poraz drugi alfabet, zamierzając posłać go Oboteńskiemu.

Co rano żołnierz iuwalida przynosił mu do umywania glinianą misę i ołowiany dzbanek, napełniony wodą. Golicyń nie mógł się sam umyć, mając ręce skute, więc żołnierz namydlał mu ręce jedną po drugiej i zlewał je wodą. Raz przyniósł mu ułamek zwierciadła, on spojrzał i nie poznawał własnej twarzy, tak wychudł, zmienił się, zarósł. Nie kniaź to Golicyń już był, a prawdziwy Michajłow katorżnik. Z żołnierzem nie wdawał się w rozmowę, a i ten zresztą uparcie milczał, lecz raz sam przemówił.

— Raczcie wasza wielmożność przejść bliżej do pieca, tam będzie ciepłej.

Mówił to szeptem i przeniósł sam taboret z misą bliżej pieca, gdzie nie dosięgał już wzrok sztyldwacha, czuwającego w korytarzu; potem spojrzał na Golicyńskiego przeciągle i jakby ze współczuciem.

— Ot! tęskno siedzieć w kasamacie — rzekł — ale co poradzisz, tak się widać Bogu podobają; Bóg lubi cierpiących, to się może i zmiłuje.

Golicyń spojrzał na niego. Twarz koścista szara, z wystającymi pod oczyma policzkami, lecz w małych, zapadłych oczkach taka dobroć, iż zdziwił się, że tego pierwej nie zauważył. Dobył z kieszeni portret ze spisaniem alfabetem.

— Możesz to oddać Oboleńskiemu?

— Pozwólcie, owszem, można będzie.

Ledwie Golicyń zdążył wsunąć mu do ręki, papierek, gdy wszedł plac-major Poduszkin, z gefrejtorem Niczyporenką. Obejrżeli piec, który znów dymił, nie zauważyli nic i wyszli.

— Małośmy nie wpadli — szepnął Golicyń, blady z przerażenia.

— Bóg się zmiłował — szepnął żołnierz.

— A dostałbyś?

— Przez strój pędzą naszego brata, za takie rzeczy.

— Zgubisz się jeszcze, oddaj mi kartkę.

— Nie bójcie się wasza wielmożność, bądźcie spokojni, dostawię na pewno.

Golicyń poczuł, że nie ma na to słów podzięk.

— Jak ci na imię?

Żołnierz znów popatrzył na niego długo i żałośnie.

— Ja wasza wielmożność człowiek martwy — uśmiechnął się cicho, jakby w samej rzeczy martwym już uśmiechem.

Golicyńowi na płacz się zbierało; poraz pierwszy w życiu rozumiał naprawdę przypowieść o łitościwym Samarytaninie, odpowiedź na pytanie: >Kto mój bliźni?< Tejże nocy wiódł rozmowę z Oboleńskim.

— Witam cię! — zastukał Golicyń.

— Witam cię! — powtórzył Oboleński — czy zdrów jesteś?

— Zdrów, tylko w kajdanach.

— Ja płaczę.

— Nie płacz! wszystko dobrze — odstukał Golicyń i sam zapłakał ze szczęścia.

ROZDZIAŁ II.

Raz o godzinie jedenastej w nocy, weszli do celi Golicyńskiego: komendant Sukin z placmajerem Poduszkinem i placadjutantem Trusowem, zdjęli z niego kajdany, kazali zdjąć aresztanckie ubranie i włożyć własne.

— Zagramy w ślepą babkę, wasza wielmożność — żartował plac major, zawiązując mu oczy

chustką, prósz tego włożył mu na głowę czarny tekturowy kaptur.

Następnie wzięto go pod ręce, wyprowadzone z celi i wsadzono do sań. Jechali niezbyt długo i zatrzymali się. Poduszkin ujął więźnia pod rękę i wprowadził na ganek.

— Uważajcie na siebie, nie potknijcie się — troszczył się o niego w drodze.

Przeprowadził go przez kilka pokoi, przechodząc słyszał Golicyn skrzypienie piór na papierze, widocznie były to biura kancelaryjne.

Wreszcie posadzono go na krześle i zdjęto opaskę.

— Poczekajcie tu — rzekł Poduszkin i wyszedł.

Przez szczelinę jedwabnego, zielonego parawanu, za którym siedział, widział Golicyn przelatujących lokai z półmiskami, widocznie gdzieś w pobliżu ucztowano. Potem przyszedł fligel-adjutant z papierami; i konwojowi, którzy prowadzić mieli aresztanta, gdyż Golicyn miał na sobie kajdany, które włożono mu powtórnie po zmianie odzieży.

Długo jeszcze czekał; nieopodal przeprowadzano drugiego więźnia, przybranego podobnie jak on w czarny kaptur, wreszcie nadszedł Poduszkin, kazał mu znów zawiązać oczy i wziął go pod rękę.

— Stójcie teraz — rzekł nagle i puścił jego rękę.

— Odkryjcie mu oczy — rozkazał czyjś głos.

Zdjęto mu więc opaskę i Golicyn ujrzał przestronną salę z białymi ścianami, a przed sobą długi stół obity zielonym sukniem; sarszuty papierami, i mnóstwo na nim zapalonych woskowych świec, umieszczonych w kandelabrach.

Za stołem siedziało dziesięciu mężczyzn w jeneralskich mundurach, wstęgach i gwiazdkach. Na pierwszym miejscu siedział minister wojny Tatischev, po prawej jego ręce, wielki książę Michał. Dalej szef głównego sztabu generał Dybicz, nowy gubernator wojskowy Petersburga, Goleniszczew Kutusow, generał adjutant Benkendorf. Po lewej stronie, były oberprokurator synodu, książę Aleksander Mikołajewicz Golicyn, jedyny tu cywilny, generał adjutant Czerniszew, Polapow Lewaszew, a na końcu fligel-adjutant pułkownik Adlerberg. Przy osobnym stoliku zasiadał urzędnik piątej rangi łysy staruszek, prawdopodobnie sekretarz.

Golicyn wiedział już, że to jest komisya śledcza, zwana także komitetem do spraw 14 grudnia. Przez chwilę panowała cisza.

— Przybliźcie się — przemówił wyniosłe Czerniszew, kiwając na niego palcem.

Golicyn podeszedł do stołu, przerywając ciszę brzękiem kajdan dzwoniących mu u nóg.

— Szanowny panie! — przemówił Czerniszew, po zwykłych pytaniach o imię, nazwisko, wyznanie, wiek i t. p. — W zeznaniach swych złożonych przed generałem Lewaszewem, odmówiliście odpowiedzi na wszelkie pytania, twierdząc, że pozostajecie w całkowitej nieświadomości okoliczności, które jednak...

Golicyn nie słyszał wpatrzony w Czerniszewa, którego powierzchowność wprawiała go w zdumienie. Człowiek liczący dobrze już ze czterdziestkę, wyglądał na dwudziestopięcioletniego młodzika. Czarna esupryna zwinięta w czarne pukle jak futro baranie, wybielony, wyróżowany, brwi czarne cienkie jak sanureczki, wąsiki za-

kręcone, żółtawe oczy ukośne wąsko przecięte, chytre i drapieżne.

— Przechytra bestya — myślał Golicyn — nie próżno mówią o nim, że samego Napoleona w pole wyprowadził.

— Raccie dziś wyznać całą prawdę, wymienić nazwisko towarzyszy, które i tak znane są już władzom, a wyznanie to potrzebne jest tylko dla was samych, aby ulepszyć wasze położenie.

— Miałem już zaszczyt zeznawać przed jenerałem Lewaszewem wszystko, co wiem o sobie, wymienić nazwiska innych uważać za sprzeczne z honorem.

— Sprzeczne z honorem? — powtórzył Czerniszew z udanem oburzeniem. — Pan przecież nie masz pojęcia o tem, czym jest honor. Kto narusza przysięgę, powstaje przeciw swej prawowitej władzy, niema prawa mówić o honorze.

Golicyn spojrzał na niego tak, że ten odrazu pojął. »Łatwo ci się znęcać nad zakutym w kajdany więźniem, plugawy nikczemniku«. Czerniszew pobił pod swym malowanym rumieńcem, lecz nie nie rzekł, a tylko przełożył nogę za nogę i pokręcił palcami swój wymuskany wąsik.

— Upieracie się przy swoim i chcecie w nas wmówić, że nie wiecie o niczem, my jednak przedstawić wam możemy dwudziestu świadków, którzy wam dowiodą prawdy, a wtedy nie licząc na pobłażanie, nikt was oszczędzać nie będzie.

Golicyn milczał i myślał zaudzony. »Co za głupia komedya«.

— Posłuchajcie ksiązę — rzekł jeszcze Czerniszew, podnosząc na niego po raz pierwszy swe wąskie, żółte oczy, błyszczące w tej chwili od złości już nie udanej. — Jeśli się będziecie dalej

zapierać, pamiętajcie, że mamy sposoby zmuszenia was do mówienia.

— W Rosyi jest tortura wiem, przypominał już jenerał Lewaszew, to też wasza wielmożność napróżno mi grozi torturą, bo wiem, na co szedłem — odparł Golicyn, patrząc znów prosto w oczy Czerniszewa, który się już zamaskował i próbował się uśmiechnąć.

— No, skoro nie chcecie wymienić nazwisk, to może zechcecie nam coś powiedzieć o celach tajnego związku — przemówił innym już głosem.

Golicyn, który obmyślił sobie już wcześniej, co ma mówić w komisyi, postanowił nie ukrywać celów stowarzyszenia. »Kto wie? myślał, może dojdzie kiedyś do potomstwa z miejsca kaźni tłumiony w niej głos wolności«.

— Naszym celem — rzekł — było obdarzyć ojczyznę ustawowo zabezpieczonym rządem, zapewniającym jej wolność. Powstanie 14-go grudnia nie było buntem, jak je panowie nazywacie, lecz pierwszą w Rosyi próbą politycznej rewolucyi. A im mniejsza garstka ludzi podjęła to przedsięwzięcie, tem zaszczytniej dla nich, bo mimo, że z powodu braku ludzi i sił niedostatecznych, głos wolności rozbrzmiewał zaledwie kilka godzin, to pomyślnem jest, że się wogóle ujawnił, bo nigdy już nie umilknie. Pokazaliśmy drogę przyszłym pokoleniom i radować się możemy zgubą naszą, bo to, cośmy posiali, zejdzie...

— A pozwólcie teraz, że zapytam was o coś, ksiązę — przerwał mu stryjasek, ksiązę Aleksander Golicyn, takim tonem, jakby wcale nie poznawał bratanka — gdyby się wasza rewolucya udała, co byście zrobili z nami wszystkimi, choćby naprzykład ze mną.

— O ileby ksiązę nie chciał usnać nowych porządków, prosiłobyśmy go o wydalenie się za granicę — rzekł z uśmiechem bratanek, przypominawszy sobie, jak stryjasek gromił go kiedyś za noszenie okularów, co nie było dobrze widziane u dworu. »I sobie zepsuł karierę i mnie starego podszedł«.

— Kazalibyście nam emigrować?

— Tak, oczywiście.

— Dziękujemy za łaskawość — odrzekł stryjasek; powstawszy, uklonił się nisko.

Wszyscy się rozśmiali i rozpoczęła się rozmowa prawie że towarzyska, która sprawiła ulgę, bo wszyscy radzi byli odetchnąć od nudy.

— *Ah mon prince, vous avez fait bien du mal a la Russie, vous l'avez reculée de cinquante ans* — westchnął Benkendorf i dodał z subtelnym uśmieszkiem. — Nasz naród nie stworzony do rewolucyi; mądry jest dlatego, że cichy, a cichy dlatego, że niewolny.

— Słowo wolność wyraża pojęcie pełne, lecz nieuchwytnie dla człowieka, bo całe życie nasze zależne jest nieustannie od naturalnych praw przyrody — rzekł Kutuzow.

— Matematycznie jest dowiedzione, że chrześcijanin i burzyciel, powstający przeciw władzy prawowitej, to pojęcia wprost sobie przeciwne — orzekł stryjasek.

Wielki ksiązę Michał, powtórzył po raz setny anegdotę o konstytucyi, uważanej za żonę wielkiego księcia Konstantego. Na to kamerdyner cesarski generał Adlerberg zachichotał tak szałczo, bzdziwicznie, że się sam zmieszał i próbował pokryć śmiech kaszlem.

Prezes Tatischezew, rosyjski Falstaf z wielkim bruchem i czerwoną twarzą, z obwisłymi policzkami, skłonny do drzemki po sutej kolacyi, otworzył na wpół jedno zmrużone oko i obróciwszy je na Golicyna, warknął pod nosem.

— Szelma! Szelma!

Golicyn, patrząc na nich, myślał: »Błazny! Ale i ja nie lepszy. Miałem też z kim i o czem mówić? Nie sąd to, nie miejsce kaźni nawet, a izba lokajská«.

— Czy nie moglibyście ksiązę powtórzyć nam słów, które wyrzekł Rylejew wilią wypadków do Kachowskiego — rzucił znienacka Czerniszew, przerywając lekką pogawędkę.

— Nie mogę nic powtórzyć — odparł Golicyn, który postanowił nie odpowiadać na żadne pytanie.

— A przecież byliście temu obecni, czyżbyście zapomnieli? Więc ja pomogę waszej pamięci. Rylejew powiedział do Kachowskiego: »Zabij cara! Idź jutro rano do pałacu i tam go zabij«! Pamiętacie ksiązę, nie prawdą, tylko nie chcecie powiedzieć.

— Nie chcę.

— Jak uważacie ksiązę, lecz milczeniem tem szkodzicie nie tylko sobie. Potwierdzając, lub też zaprzeczając słowom Rylejewa, moglibyście uratować jego lub Kachowskiego, milcząc, gubicie obu.

»W tem on ma słuszość« — pomyślał Golicyn.

— Więc jakże? — powtórzył Czerniszew — po raz ostatni pytam: powiecie?

— Nie powiem!

— Szelma! szelma! — mruknął znów Tatischezew.

Żółte, wąskie źrenice Czerniszewa błysnęły ponownie złością.

— A czy księżna wiedziała o waszym udziale w spisku? — zapytał po namyśle.

— Jaka księżna?

— Małżonka wasza — uśmiechnął się słodko Czerniszew.

Golicyn uczył, że kajdany zacięły mu nagle do nie zniesienia, nogi ugięły się pod nim i aby nie upaść, postąpił krok naprzód, chwytając za poręcz krzesła.

— Usiądźcie księżę! bladzi jesteście, czy się źle czujecie?

Wstał i sam mu podsunął krzesło.

— Zona moja o niczem nie wiedziała — oświadczył Golicyn, osuwając się na krzesło.

— Nie wiedziała? — zadziwił się Czerniszew, uśmiechając się jeszcze słodziej. — Ślub wzięliście wilią aresztowania, małżeństwo z miłości, i nie jej nie zwierzyliście? mimo że tajemnica ta dotyczyła waszego i jej losu. »Nie naturalne, nie naturalne«. Darujcie księżę! Zresztą nie macie powodu niepokoić się, chyba w ostateczności trudzilibyśmy księżnę.

»Czy rzucić się na podłecą i rozwalić mu łeb kajdanami«, myślał Golicyn.

— *Ecoutez Czerniszew, il est très probable, que le prince n'a voulu rien confier à sa femme et qu'elle n'a rien su* — przemówił wielki książę Michał, który już od pewnego czasu chmurzył się, zaskłaniał arkuszem papieru, lub przesuwając po ustach rączką od pióra. *Le bourru bienfaisant*, pocziwy mruk, srogi był z wyglądu, ale serce miał dobre.

— Słucham wasza wysokość! — skłonił się Czerniszew.

— Jutro dostanie pan wszystkie pytania na piśmie — rzekł do Golicyna i powstawszy z miejsca, poszedł do dawonka i pociągnął za sznurek.

W progu ukazał się plac major Poduszkin z konwojowymi.

— Panowie! — rzekł Golicyn, podnosząc się z krzesła — wyście mnie pytali o wiele rzeczy, pozwólcie i mnie z kolei zadać wam pytanie.

Powiódł oczyma po obecnych z bladym uśmiechem na smartwiałej twarzy.

— Co? Co to znaczy? — zachnął Tabiszczew, otwierając oba oczy.

— *Il a raison messieurs il faut être juste laissons le dire son dernier mot* — uśmiechnął się wielki książę, przeczuwając jeden z tych kalamburków, w których się lubował.

— Nie bójcie się panowie, nie powiem nic strasznego — uśmiechnął się znów Golicyn — chciałem tylko spytać, za co nas sądzą.

— Cóż to? Głupca udajecie, rozżościeł się Dybicz. — Buntowaliście lud, myśleliście o carobójstwie i jeszcze pytacie za co was sądzą.

— Myśleliśmy — rzekł Golicyn zwracając się do Dybicza — chcieliśmy może zabić, lecz nie zabiliśmy, a dlaczegoż nie sądzą tych, którzy zabili, nie teoretycznych lecz prawdziwych morderców.

— Jakich morderców? Mówcie do rzeczy, mówcie do rzeczy! lub niech was dyabli biorą — krzyknął Dybicz rozwścieczo waląc pięścią w stół.

— Nie trzeba! nie trzeba! Wyprowadźcie go stąd jak najprędzej — protestował Tatiszczew, nagle zalekniemy.

— Ci panowie — rzekł Golicyn, podnosząc obie skute ręce i ukazując najpierw Tatyszczewa, potem Kutuzowa, ci panowie dobrze wiedzą o kim mówię.

Wszyscy osłupieli, zrobiło się tak cicho, że słychać było wyraźnie trzeszczenie gorejących świec.

— Nie wiecie? No to ja wam przypomnę carobójstwo z 11 marca 1801.

Tatyszczew zsiniał, Kutuzow pozieleniał, gdy obaj brali udział w morderstwie cara Pawła pierwszego i wszyscy obecni wiedzieli o tem dobrze.

— Precz! precz! zabrać — krzyknęli obaj zrywając się i odciągając się ruchami rąk.

Poduszkin przybiegł do aresztanta i narzucił mu kołpak na głowę, konwojowi pochwycili go pod ręce i wyprowadzili z sali, ale i pod kołpakiem Golicyn śmiał się jeszcze tryumfującym śmiechem.

ROZDZIAŁ III.

Następnego ranka komendant Sukin przyniósł Golicynowi zapieczętowaną kopertę z piśmiennymi pytaniami, papier, atrament i pióra.

— Nie spieszcie się z odpowiedzią, namyślcie się pierwje — rzekł oddając mu paczkę.

Dnia tego podano mu tylko chleb i wodę. Zrozumiał, że to kara za wczorajsze.

Późnym wieczorem wszedł sztab-adyutant Trusow i położył na stole białą pszenną bułeczkę apetycznie przyrumienioną, podobną do tych, które niemieccy piekarze nazywają »różyczką«.

— Zjedźcie na zdrowie.

— Dziękuję wam, nie głodny jestem.

— Nie szkodzi, niech sobie poleży, może się wam zechce.

— Zabierzcie — rzekł Golicyn stanowczo, przypominawszy kuszenie tytoniem.

— Nie obrażajcie się książe, przecież ja z dobrego serca proszę usilnie zjedźcie, bo mogą być nieprzyjemności.

— Jakie nieprzyjemności? — zadziwił się Golicyn.

Ale Trusow nic nie odrzekł, tylko uśmiechnął się chytrze, a jego słodko bezczelna twarz wydała się Golicynowi jeszcze wstrętniejszą. Skłonił się i wyszedł, zostawiając bułkę na stole.

Do późnej nocy Golicyn porozumiewał się z Oboleńskim stukaniem; palce ich obu zabolaly, więc stukali dla odmiany, Golicyn prętem od miotły, Oboleński ogryzkiem ołówka.

— Postanowiłem milczeć na wszystkie pytania — uwiadamał Golicyn, opowiadając swoje przesłuchanie.

— Nie trzeba milczeć, zaszkodził w ten sposób sobie i drugim — odpowiedział Oboleński.

— Czerniszew mówi to samo — rzekł Golicyn.

— On ma słusność! Trzeba odpowiadać, ale przebiegle, trzeba łąć.

— Nie mogę! A ty możesz?

— Uczę się.

— Rylejew podlec! Wszystkich wydaje.

— Nie, on nie podlec; ty nie wiesz, czy stawiano już was sobie do oczu, dla konfrontacji?

— Nie!

— Ano to postawią was jeszcze, a wtedy sam zobaczysz, że on lepszy od nas wszystkich.

— Nie rozumiem!

— Zrozumiesz jeszcze, a jeśli cię spytają o Kachowskiego, to nie mów, że to on zabił Miłoradowicza, ja także raniłem go bagnietem, być może, że ja zabiłem.

— Poco kłamiesz? wiesz dobrze, że Kachowski.

— Wszystko jedno, nie zdradzaj go w każdym razie, staraj się go uratować.

— A ciebie zgubić?

— Nie zgubisz, wszyscy i tak świadczą za mną, a przeciw niemu.

— Nie umiem kłamać.

— Ty zawsze tylko o sobie myślisz, pomyśl o drugich. Idę już, bywaj zdrow.

Po rozmowie z Oboleńskim, Golicyn tak się głęboko zamyslił, że machinalnie nie myśląc co robi, zaczął jeść bułkę. Opamiętał się dopiero, gdy spożył połowę, nie wypadało zostawić, więc zjadł do końca. W nocy zbudziły go kurcze i ból żołądka. Jęczał i stękał, całą noc się przemęczył, ranniem zaś chwyciły go tak straszne wymioty, że myślał, iż wnet skona; lecz potem zrobiło mu się łatwiej i zasnął.

— Jakże wam noc przeszła? — spytał go najutrz Sukin.

— Bardzo źle, miałem nudności i wymioty...

— Czy zjedliście coś niezdrowego?

— Trusow uraczył bułką.

— Nie zapiliście wodą?

— Nie.

— A to dlatego, trzeba zawsze popijać chleb wodą. To nie! przejdzie, zaraz będzie doktor.

— Nie trzeba doktora.

— Owszem, trzeba. Gdyby, broń Boże, coś zaszło, przepisy u nas są bardzo srogie, odpowiada my głową za życie aresztanta.

«Bezimienny» — tak nazywał Golicyn swego przyjaciela żołnierzyka — był najmocniej przekonany, że Golicyna chciano otruć i wziął bardzo do serca nocną przygodę.

— Wasza wielmożność, naraziliście się im, to was za to męczą.

Przyszła dektór, ten sam, którego Golicyn widział w zimowym pałacu przy Odojewskim: Salomon Mojszewicz Jelkan, prawdopodobnie z wychrzaków, o smagłej cerze, z grubymi wargami i chytremi biegającymi oczkami.

«Obrzydliwa mordka» — pomyślał Golicyn — taki i otruc może człowieka.

Zastosowano do więźnia leczniczą dietę, podając mu tylko herbatę i rzadką supę. Golicyn nie tykał tych dań i nie jadł nic, prócz chleba, który przynosił mu ukradkiem Bezimienny.

Dwa dni tak przeszło, trzeciego odwiedził go Poduszkin. Przysiadł na tapczanie, westchnął, siewnął, przeżegnał się i zaczął:

— Dlaczego wy nie jecie.

— Bo nie chcę.

— Dajcie pokój, radzę zacząć jeść, to inaczej zmuszą was do jedzenia.

— Jak zmuszą?

— A no wsadzą wam maszynę do gardła i rosołu naleją tak, że przełkniecie z musu, a potem wsadzą was do mieszków.

— Co za mieszki?

— Takie więzienie pod ziemią, z wierzchu płyta kamienna, z otworem dla powietrza. Tam nie tak, jak tutaj, zimno, wilgoć, nie dobrze.

Umilkł, ziewnął powtórnie i dodał:

— Nie gryźcie się, wszystko przejdzie. Ot i jenerał Jermolow siedział tu za panowania cara

Pawła pierwszego, a potem wyszedł i teraz mi się nie kłania i z wami tak będzie, wszystko się dobrze skończy.

— Czytaliście Kandida? Jegorze Michałowiczu?

— To niby tak, wedle nosa, mam istotnie wraz z Kandidem ten przywilej; nie wolno tykać nosa.

Golicyn pamiętny na maszynkę zmuszającą do jada i mieszek zaczął jeść po tej rozmowie. Niekiedy zachodził do niego komendant Sukin. Siwy krótko przystrzyżony z grubą prestacką twarzą, przypominającą starego mopsa, oparty na swej drewnianej nodze, wołał już zdaleka:

— Ja, panie mój, tak myślę, że jeśli gdzie na świecie można żyć szczęśliwie, to w naszej Rosji; tylko nie zaczepiaj nikogo, to swobody nigdzie nie zaznasz takiej, jak u nas i wiek przetrzyszesz szczęśliwie, jak za królestwa Bożego — przerywał, a nie doczekawszy odpowiedzi przekładał dalej.

— Wy, moi panowie, lekkomyślnieście sobie poczęli. Rosja jest tak olbrzymim krajem, że nie może być rządzoną inaczej jak samowładnym rządem. Gdyby się wam udał zamach 14 grudnia, powstałaby z tego taka kasza, że sami bylibyście nie radzi. — Przerywał mowę wpatrując się badawczo w Golicyna i zaczynał na nowo.

— Och, młodzieńcze! młodzieńcze! serce się krwią zalewa, patrząc na was, miejcie sami litość nad sobą i nie upierajcie się w milczeniu, a skoro odpowiecie jak należy na pytania, monarcha zmiłuje się może i wszystko będzie dobrze.

I tak bez końca. Czy chwycić go za kołnierza i wyrzucić precz? — myślał z cichą wściekłością Golicyn.

Po nocnem przejściu z bułką wciąż jeszcze był niezdrów i nie ukrywał przed doktorem Jelkanem mniemania swego, że go chciano struć.

Doktora tego pozbył się, a zamiast niego odwiedzał go felczer Zatriapeznyi, człowiek niski, gruby, nie myty, nie czesany, podobny do swego nazwiska, znany mu zresztą poprzednio z czasów sceny w pałacu z Odojewskim. Zatriapeznyi był wszelako człowiekiem uczciwym i niegłupim, a mianował się chętnie zdeklarowanym Jakobinem. Od niego dowiadywał się Golicyn o różnych wypadkach zachodzących w fortecy.

U pułkownika Pestla, aresztowanego niedawno w południowej armii, znaleziono truciznę, którą zażyć chciał, by uniknąć męki. Podporucznik Zajkin próbował odebrać sobie życie tłukąc głową o ściany, bo wiedział gdzie zakopana jest »ruska prawda« i lękał się tortury. Podpułkownik Falenberg, prawie wcale nie zamieszany uwierzył, że wrzecie przyznania się, przebaczą mu i wypuszczą na wolność, obwinił się więc umyślnie o carobójstwo, a gdy go przewieźli do twierdzy, dostał pomieszania zmysłów. Dziewiętnastoletni miczman Diwow, »chłopczyk«, jak go nazywali współwięźniowie, donosił, że w każdą noc śni mu się ten sam zawsze sen, że ktoś zabija kindzątem cesarza. Słyszał jakieś głosy, miewał wizje i na podstawie tych majaceń chwytano ludzi i wsadzano ich do fortecy. Porucznik Mieczkow powiesił się na ręczniku, lecz urwał się i znaleziono go leżącego bez przytomności na podłodze. Kornet Swistanow przeknął tłuczono

szkło z rozbitej lampki. Pułkownik Bułakow u-wierzył w zmiłowanie carskie jak w miłosierdzie Boga, a gdy zobaczył że jest oszukany, postanowił samorzyć się głodem. Stawiano przed nim najprzedniejsze potrawy, lecz on niczego nie tykał i tylko gryzał palce do krwi, aby oszukać głód. Męki jego trwały dziewiętnaście dni, karmili go sztucznie, wreszcie pomimo usilnego nadzoru, znalazł sposobną chwilę i rozwalil sobie głowę o ściany.

— A co będzie ze mną? — myślał Golicyn słuchając tych opowiadań.

Golicyn nie odpowiadał jeszcze na zadane mu na piśmie pytania. Z początku chciał milczeć i wszystkiego się zapierać, lecz im dłużej o tem myślał, tem więcej czuł, że nie wolno milczeć. Nieodparte były argumenta Czerniszewa i Obolenskiego, przyjaciela i wroga.

Ojciec Mysłowski zachodził prawie codzień, lecz tylko na chwilę. Zajdzie, bywało pogada, to znów pomilczał, jakby czekał na coś i odchodzi, nie doczekawszy się.

— Co myślicie ojcze Piotrze, czy dobrze ja robię — zapierając się? — zapytał raz Mysłowskiego.

— Waleryanie Michajłowiczu! rodzony mój najlepszy! — ucieszył się Mysłowski i widać było, że właśnie czekał na to pytanie — cóż w tem dobrego? Nie dobrze, nierozsądnie robicie, milcząc, a nawet mogę dodać niezlachetnie, bo gubicie...

— Wiem! wiem, gubię w ten sposób nie tylko siebie, ale i drugich. Wszyscyście się zmówili, aby mi to powtarzać. Ach, ojcze Piotrze i wy przeciw mnie, tego się nie spodziewałem.

— Przyjacielu mój! zrób podług sumienia, jak cię sam Bóg natchnie — zawołał ojciec Piotr i rzucił się znów do uścisków.

Tegoż dnia Golicyn odesłał komisji swe pytania na piśmie. Odpowiedział na wszystko, co jego samego dotyczyło, co do drugich zaś tłumaczył się nieświadomością. Odesłał z rana, a wieczorem Bezimienny przyniósł mu karteczkę od Kachowskiego.

»Golicyn! pisał do niego, los mój jest w twoich rękach; Rylejew podły, wszystkich zdradza; jeśli was skonfrontują, a on twierdzić będzie, że to ja zabiłem Miłarodowicza, nie wydajcie mnie, wszyscy oni podli są prócz was«.

Po tej kartce Golicyn nie spał całą noc, nie wiedząc, na co się zdecydować i wreszcie nic nie postanowił, zrozumiał, że samo się rozstrzygnie.

Następnego dnia napisał do komisji, aby mu zwrócone pytania, a gdy je otrzymał, postąpił tak, jak mu doradzał Obolenski. Odpowiedział szczegółowo na każde pytanie, starając się tylko nikomu nie zaszkodzić, nikogo nie zawikłać i łągał, przekręcał, używał wybiegów. Pisał do późnej nocy, skończywszy legł na posłanie.

W półmroku, przy mdławem świetle lampki, ćwiartki papieru bielily się na stole, a za każdym razem, gdy na nie spojrzał, odczuwał taki wstręt, że miał ochotę podrzeć je na strzępy. Nie zrobił tego jednak, tylko odwrócił się do ściany, by na nie nie patrzeć i zasnął.

Następnego dnia, spisał na nowo odpowiedzi, a we dwa dni potem, Sukin obdarzył go pierwszym dowodem zmiłowania carskiego, każąc mu zdjąć z nóg kajdany.

Drugą łaską była przesyłka z domu, stary domowy ulubiony szlafrok, który nosił w czasie

swej rekonwalescencji w żółtym pokoju babuni i rozpieczętowany list od Marynki.

»Przyjacielu mój! pisała, jestem zdrowa i czuję się dobrze, o ile to jest możliwe w mojem położeniu. Uważaj na siebie na miłość Boga i nie poddawaj się rozpacz. Nie myśl abym mogła istnieć bez ciebie. Śmierć może nas rozdzielić. Pójdę wszędzie tam gdzie ty! Pamiętasz jak ci mówiłam, że życie moje zależy od ciebie, jak nitka od igły, gdzie igielka tam i nitka. Niech cię Bóg strzeże i matka przeczyszcza; twoja na wieki, księżna Marya Golicyn«.

W parę dni potem powieziono go znów do komisji, wprowadzono go do tej samej sali, z temi samymi obrzędami.

— Zeznania Rylejewa w niektórych punktach, nie zgadzają się z waszymi, zostaniecie z nim skonfrontowani — oświadczył mu Czerniszew i zadzwonił, poczem konwojowi wprowadzili Rylejewa.

— Czy potwierdzicie Golicyn, że w nocy wilią ceternastego, Rylejew powiedział Kachowskiemu dając mu sztylet. »Zabij cara«.

— Potwierdzam.

— A wy Rylejew co na to powiecie.

— Mówiłem już waszej wielmożności, że zgadzam się z góry na wszystko co powie Golicyn. Ja dobrze nie pamiętam com wtedy powiedział, ale jeśli on pamięta, to widocznie tak było. Wy pamiętacie Golicyn.

— Pamiętam! — odparł Golicyn podnosząc na niego oczy.

I znów tak samo jak w Ermitażu, zdało mu się, że to on i nie on. Lecz nie czuł w tej chwili na niego eburzenia ani pogardy, a tylko żalność

niezmierną, na widek tego co z nim zrobili. Wychudzony, zmieniony jak po ciężkiej chorobie. Nie była to już twarz żywego człowieka, lecz bił z niej jasny niesmaczony spokój jaki gości niekiedy na twarzach zmarłych. »Ty go nie znasz, on lepszy od nas wszystkich« — przypomniał Golicyn słowa Oboleńskiego.

— A zatem Rylejew, wyście namawiali Kachowskiego?

— Namawiałem? Nie, on sam wpierw postanowił i ja o tem wiedziałem, ale być może bezemnie nie zrobiłby nic. Jam winien więcej, niż on — odrzekł Rylejew, a po chwili dodał jeszcze. Ja nie ukrywam wasza wielmożność, nie tylko słów moich, ale i najskrytszych myśli. Przychodziło mi często na myśl, że dla ostatecznego utwierdzenia nowego porządku niezbędnem będzie wyłączenie całkowite carskiej rodziny. Mniemałem, że zabicie samego tylko cara nie tylko nie rozwiąże kwestyi, ale przeciwnie, spowoduje rozdzielenie umysłów i zgubne będzie dla celów związku. Mniemałem, że powstałoby wówczas stronnictwo cesarskiej rodziny, co doprowadziłoby nieuchronnie do wojny domowej. W razie zaś wygubienia członków rodziny cesarskiej wszystkie stronnictwa musiałyby się pogodzić. Takie były moje myśli, lecz o ile sobie przypomnieć mogę, nie zwierzałem ich przed nikim i sam wreszcie doszedłem do przekonania, że o lesie carskiej rodziny zdecydować musi wielki sobór. Proszę więc pokernie komisję, by nie poczytywano za dowód uporu z mej strony, że nie mówiłem o tem wszystkiem wcześniej, jeśli to uczyniłem, to dla oszczędzenia nie tyle siebie, co drugich. Przyznaję owszem szczerze, że sam się

uważam za głównego, a może i jedyne go sprawcę wypadków 14 grudnia, bo gdybym był od razu odmówił uczestnictwa, to zapewne niktby nie zaczął. Słowem, jeśli dla szczęścia Rosji potrzebna jest czyja śmierć, to ja tylko na nią zasłużyłem i błagam Stwórcy, by na mnie się skończyło.

— Kachowski utrzymuje, że hrabiego Miłoradowicza zabił Oboleński, przebijając go bagnetem — zaczął Czerniszew. — Czy potwierdzacie Rylejew, że zabił go nie Oboleński, lecz Kachowski i że sam mówił o tem w mieszkaniu waszem wieczorem czternastego.

— Potwierdzam — odrzekł Rylejew.

— A wy Golicyn, czy także to potwierdzacie? Golicyn wiedział, że odpowiedź jego zgubi nieodwołalnie jednego z dwóch, Kachowskiego, czy Oboleńskiego, którego wybrać?

— No i cóż? znowużcie zamilkli — zauważył Czerniszew z domyslnym uśmiechem. Zdawało mu się, że podchwycił go i że się już nie wywinie.

— Błagam was, Golicyn, odpowiedźcie — rzekł Rylejew — inaczej zgubicie niewinnego.

— Potwierdzam! — odrzekł Golicyn.

Wymawiając te słowa, miał uczucie, że przynosi wyrok śmierci Kachowskiemu.

Czerniszew zadzwonił znów i rozkazał:

— Wprowadźcie tu Kachowskiego.

Kachowski wszedł, zawsze ten sam, z twarzą ciężką, kamienną, o nadmiernie wystającej dolnej szczękę, z oczyma żalonymi, jak u chorego dziecka lub psa, który zgubił pana, z niepo czytelnym wzrokiem lunatyka.

Golicyna wyprowadzono do przyległego pokoju i posadzono — jak zwykle — za parawanem.

W pokoju tym, znajdował się doktor Jelkan i felczer Hieronim Pantalejewicz. Golicyn dowiedział się potem, że obaj siadywali tu zawsze w czasie posiedzeń komisji, bo przesłuchiwanym wynoszono często bez czucia, więc tu puszczali im krew.

Z początku głosy z komisji dochodziły stłumione, lecz potem otworzono drzwi i słychać było dokładnie, co mówią.

— Wyście, zdaje się, skłamali, Kachowski, spotwarzając niewinnego.

— Ja spotwarzyłem? Ja? Jestem, być może, zbrodniarzem, ale nikczemnika i potwarcy nikt ze mnie nie zrobi. Sami zawinili, a teraz mnie oskarżają, robiąc ze mnie mordercę. Całowali, błogosławili, a teraz jak złodziejem poniewierają. No dobrze, wszystko jedno, skoro na mnie składają, ja się wypierać nie będę. Ten...

Golicyn zrozumiał, że »ten«, to znaczy Rylejew. Kachowski tak go nienawidził, że nie chciał wymówić jego nazwiska.

— Ten mię obrazić nie może, nie poniży mnie bardziej od siebie; jedno tylko powiem, ja tego człowieka nie znam i nigdy go nie znałem.

— Tak! Ale na główne pytanie dosadnie odpowiedzieliście, kto zabił hrabiego Miłoradowicza?

— Miałem już honor objaśnić, wasza wielmożność, że wystrzeliłem, lecz nie ja jeden, strzelał cały czworobok — a książę Oboleński zadał mu ranę bagnetem. Czy ja zabiłem, czy kto inny, nie wiem i nikt nie zmusi mnie do innej odpowiedzi. Proszę mnie więcej nie pytać, bo odpowiadać nie będę.

— Lepiej nie zapierajcie się, Kachowski, na was wszyscy wskazują.

— Jacy wszyscy?

— Rylejew, Odojewski, Bestużew, Puszczyń i Golicyń.

— Golicyń! Nie może być.

— Czy chcecie stanąć z nim do oczu?

— Nie! Nie trzeba.

Milczał czas jakiś.

— Darujcie, wasza wielmożność — rzekł po chwili, a w głosie jego drżały łzy. — Chwilowa słabość, dzieciństwo... Nie płakać, a śmiać się trzeba. Wszystko jak najlepiej na tym najlepszym z światów, jak mówi nasz beznazywany filozof. Ostatni cios zadany, ostatnia nić zerwana. Skończono! Wszystko skończono! Sam zawsze żyłem i sam umrę.

— A zatem przyznajecie się do zabójstwa hrabiego Miłoradowicza.

— Przyznaję się, przyznaję! Obu rękami podpiszę. Ja zabiłem hrabiego Miłoradowicza, a gdyby cesarz podjechał do caworeboku, to ja bym zabił i wszystkich, wszystkich! Zamiarem moim było wytepić całą carską rodzinę. No panowie macie! Czegoż wam jeszcze trzeba. A teraz ukarście, zróbcie ze mną, co chcecie. O jedną prośbę łaskę, niech wyrok spełnią prędko; śmierci się nie boję i potrafię umrzeć, jak należy.

— Razem, Kachowski, umrzemy! Tyś nie sam, pamiętaj — zawołał Rylejew, a w głosie jego brzmiała tak rozpaczliwie błagalna nuta, że w Golicyńce serce zamarło. Czy tamten zrozumie? Czy mu odpowie?

— Co on mówi? Co on mówi? Zróbcie mi łaskę wasza wielmożność. Wyzwólcie mnie od tego. Słuchać ebrzydliwość.

— No! Uspokój się Kachowski, nie gorączkuj się — rzekł Czerniszew i powstawszy z krzesła, ujął go za rękę.

W tej chwili Poduszkin wyjrzał z za drzwi, Golicyń także.

— Bądźcie spokojni; nie dotknę go, nie będę ręką paskudził — rzekł Kachowski i odwrócił się w stronę Rylejewa, jakby go teraz dopiero zauważył. — No cóż! Mów teraz.

Rylejew podniósł na niego wzrok z uśmiechem.

— Chciałem powiedzieć Kachowski, że ja ciebie zawsze...

— Co! co! co! — nastawał na niego tamten, zaciskając pięście.

— Ej! dzieci miarkujcie się! — odezwał się Czerniszew.

Nadbiegł plac major z konwojowymi.

— Kechałem cię i Kocham — skończył swoje Rylejew.

— Kochasz! To masz za twoje kechanie! — krzyknął Kachowski i rzucił się na Rylejewa, poczem rozległ się odgłos policzka.

Golicyń krzyknął i zachwiał się, jakby jego samego uderzono. Ktoś podbiegł do niego i posadził na krzesło, a on stracił naraz przytomność.

Gdy się ocknął felczer Zatraperny, podawał mu szklankę z wodą. Długo dawonił zębami o szkło, nie mogąc ująć brzegów szklanki, wreszcie napił się wody i spytał:

— Co on mu zrobił, czy go zabił?

— Nie zabił, tylko zjechał podłecą po mordzie, co mu się należało — odparł Zatrapernyj.

I znów, jakby jego samego znienaważono, Golicyń uczuł, że pali go w twarz ten smrotny policzek. Napawając się goryczą i wstydem — myślał: »Należy ci się to nikczemniku«.

ROZDZIAŁ IV.

— No Bogu dzięki, odpowiedzieliście i rzecz skończona! — mówił do Golicyna O. Piotr, który odwiedził go nazajutrz po przesłuchaniu. — Teraz już wszystko pójdzie gładko. Cesarz daruje wszystkim; sam mówi: »Zadziwię Rosyę i Europę«.

Małeńkie pod nawisłemi powiekami szczeliny oczek, świeciły taką prostoduszną chytrą, że Golicyn spoglądając na niego nie mógł stanowczo rozpoznać, co przeważa, prostota czy przebiegłość.

— Monarcha sam raczył odczytać waszą odpowiedź — objaśniał dalej O. Piotr, z tajemniczym mruganiem. — Jego cesarska moc na brał wysokiego mniemania o waszych zdolnościach, przeczytawszy wasze pismo.

— No! dość tego Ojczye Piotrze, idźcie już! — rzekł błędząc Golicyn.

Ojciec Piotr nie zrozumiał i spojrział na niego ze zdziwieniem.

— Idźcie! — powtórzył Golicyn, błędząc bardziej jeszcze. — Spełniłem waszą radę, czego więcej chcecie odemnie?

— No! Co to? Co wam? Waleryanie Michajłowiczu, gołąbku drogi? Czego znów na mnie? Za co?

— A! za to, że będąc sługą Chrystusowym, nie wstydzicie się brać na siebie roli podpatrywacza i szpiega.

— Niech was Bóg sędzi księżu. Krzywdzicie człowieka, który wam nic prócz dobra nie życzy.

— Won! won! — krzyknął Golicyn, zrywając się i tupiąc nogami.

Ojciec Piotr odszedł i od tego dnia nie pokazywał się już. Golicyn wiedział, że dość byłoby wezwać go słówkiem, a natychmiast powróci, lecz nie robił tego. Nie chciał, starając się wmówić w siebie, że nie tęskni za nim i że mu zawsze był wstrętnym ten sentymentalny filut.

Nietylko Ojciec Piotr, lecz i wszyscy opuścili go.

»Wreszcie zostawili mnie w spokoju« — cieszył się zrazu; lecz gdy pojął, że samotność zwarła się nad nim jak woda nad topielcem, zrobiło mu się straszno.

Najgorszem ze wszystkiego było to, że Oboleńskiego przeprowadzono do innej celi. Skończyło się stukanie, z nowym sąsiadem trzeba było wszystko zaczynać na nowo.

Na miejsce Oboleńskiego posadzono tu Odojewskiego. Skoro Golicyn zastukał do niego, tamten odpowiedział takim łomotem w ścianę, że zlecieli się wszyscy dozorczy i za każdym razem, skoro Golicyn próbował stuknąć powtarzało się to samo. Wreszcie Golicyn zwątpił o możliwości wyuczenia go i przestał.

Z drugiej strony siedział w pół obłąkany generał Falenberg. Ten całkiem nie odpowiadał na stukanie.

Golicyn tęsknił za żoną, często w nocy głośno płakał. Łkania jego zrazu ciche wzmagaly się i kończyły się rozdzierającym wołaniem:

— Marynko! Marynko!

W pierwszych dniach uwięzienia, gdy Golicyn myślał, że koniec przyjdzie rychło, było mu lekko, lecz teraz gdy przekonał się, że koniec ów nadejdzie może po miesiącach, latach, dziesiątkach lat, ogarnęła go niewysłowiona żalność i smutek

beznadziejny. Dnie upływały tak dziwnie podobne jedno do drugich, że siewały się jak w majaczeniach gorączkowych, w jeden nieprzerwanie długi dzień. Sam zrzucił ze ściany nalepione galeczki z chleba, które wpierw służyły mu za miarę czasu i stracił całkiem rachunek upłynionych dni. Czas przeistoczył się dla niego w wieczność, w otchłań bezdenną nad którą pochylał się niekiedy z lękiem.

Rozum zachwiał się i kruszył się jak ziarno mielone w żarnach pod naciskiem dwóch myśli streszczających się w dwóch pewnikach. »Trzeba coś zrobić«. »Niema tu nic do robienia«. Całemi godzinami układał na stole figury, ze składek wentylatora różne gwiazdy, krzyże, koła i wieloboki. Albo siedząc na tapczanie, wypruwał długą nitkę, którą przyszyte było prześcieradło do kołdry, wiązał węzłki jedno na drugich, a gdy zrobił się z tego cały kłębek, rozwiązywał i znowu zaczynał. Albo śledził pajaka snującego pajęczynę i zazdrościł mu. »Ten ma robotę i nie nudzi się«. Albo stawał na futrynie okna i patrzył długo na przeciwległą ścianę granitową pustą bez okien i na dach bastionu.

Niekiedy wzrok jego zatrzymywał się na krawędzi rynny, gdzie siadywała ta sama zawsze, znajoma, jak mu się zdawało, wrona i krakała, albo krążył po swej celi, wydeptując głębiej jeszcze wyłożone przez poprzednich więźniów jamki w ceglanej podłodze, albo pisał głupie wierzyki i stwierdzał ich obłądną niemal bezmyślność.

Gdyby los nasz był wiadomy
Niktby nigdy nie dał wiary,
Że za taką głupią sprawę
Tak okrutnie znosim kary.

W kącie, gdzie stała misa do umywania, znalazł na ścianie napis:

God damn your eyes.

— Kto to napisał? — spytał Bezimiennego.

— Anglik.

— A co z nim zrobili?

— Umarł.

— Z czego?

— Od spania. Spał zawsze dniem i nocą i śpiący umarł.

Zrobił się dziwnie płaczliwy. Z najbliższej przyczyny łzy mu stawały w oczach lub płakał jak baba byle czego. Gdy zrana grały kuranty, podobne do pogrzebowych dzwonów, chciało mu się płakać. Skoro fajerwerker Szybajew, przynosząc mu białinę lub herbatę, uśmiechnął się przyjaźniej, łzy mu napływały do oczu. Raz odczytawszy kartkę od Marynki, rozpłakał się głośno, jak dziecko, a gdy sztyldwach zajrzał przez oczko we drzwiach, zawstydił się i odwrócił do ściany, lecz i tak łez utulić nie mógł. Łały się obfitym strumieniem trującym słodkim.

— Ot, co zrobiło ze mnie więzienie, parę tygodni ledwie, a cóż będzie dalej.

Zginę za miły kraj rodzony,
I cnuję to błogością zdjęty,
Żem ojcem jest własnego losu,
I błogosławię los mój święty.

Pięknie! A gdy przyszło do rzeczy, postradał siły, złakł się i zapragnął żyć.

Kochał życie, bo kochał Marynkę. Miłość to podłość. Aby umrzeć jak należy, trzeba miłość zdradzić, zabić trzeba miłość. Ze wszystkich okro-

nych myśli, jakie go nawiedzały, ta była najstraszniejsza.

Z każdym dniem nuda wzmagała się, cierpienie bardziej gniotło, serce bolało, myśli plątały się i zdawało mu się nieraz, że odchodzi od rozumu. Kontrolował z trwogą myśli swe, poruszenia, słowa, dopatrując we wszystkim objawów pomieszania zmysłów. Zrazu był to bezwiedny lęk, a potem lęk przed lękiem, odchodził od zmysłów na myśl, że grozi mu obłęd myśli.

Byłe już prędzej, myślał niekiedy z rozpaczą i szedł w kąt celi i tłukł głową o ścianę, lub oglądał blaszkę wentylatora, zastanawiając się czyby się tem nie można zarządzić.

Wreszcie rozchorował się. Dostał gorączki, kłucia w boku i kaszlać zaczął krwią. Komendant Sukin zląkł się o niego, wezwał doktora, a ten oświadczył, że jeśli chorego nie przeniosą do suchej, zdrowszej celi, to wpadnie w suchoty.

Golicyn ucieszył się; a więc męki się skończą, przyjdzie śmierć, wyzwolenie.

Ojciec Piotr na wiadomość o jego chorobie przybiegł natychmiast, a gdy en przeproszał go, że ostatnim razem obszedł się z nim tak ostro, nie dał mu skończyć, rzucił mu się na szyję z płaczem. Zaczął go teraz codzień odwiedzać i aby rozzerwać chorego, przynosił mu nowinki z miasta.

Od O. Piotra dowiedział się Golicyn o przybyciu do stolicy orszaku pogrzebowego ze zwłokami nieboszczyka cesarza. Wszyscy zapomnieli już o nim, jak gdyby umarł przed kilku dziesiątkami lat. A tymczasem orszak pogrzebowy z trumną jechał przez całą Rosję, wolno, wolno, przez całe dwa miesiące. Towarzyszyły mu wojska konne

i piesze, okręcały go, strzegły z arcygardą i awangardą, z patrolami i wywiadami, całkiem jak w kraju nieprzyjacielskim. Obawiano się buntu.

Wśród ludu rozszły się pogłoski, że cesarz nie umarł i że grzebią kogoś innego; w Moskwie gotują się wywlec ciało z trumny, wlec po ulicach, a potem spalić.

»Przedsięwziąłem już wszelkie środki ostrożności dla zapewnienia bezpieczeństwa bezcennym prochom — pisał hrabia Orłow Denisow, naczelny mistrz ceremonii, pogrzebowego orszaku. — Śmiem ręczyć, że raczej ostatnia kropla krwi mojej zakrzepnie u podnóża trumny dostojnego zmarłego, zanim gwałt lub przemoc, naruszy zwłoki, do których dostęp znaleźć może tylko po zimnym mym trupie«.

Po przybyciu zwłok do Moskwy, zamykano starannie na noc bramy Kremlu i u każdego wejścia stała zbrojna warta. A w Petersburgu jakoby zrobiono podkop pod wszystkimi ulicami, przez które iść miał pochód, od rogatki aż do Kazańskiego soboru, a w podziemiach soboru, stały cztery beczki z palnym prochem, to samo pod mostem Troickim, gdyż chciano wysadzić w powietrze pochód.

Dawniejsze jeszcze wiadomości przyniósł Golicynowi felczer, Awdiej Pantalejewicz. Cesarz nie umarł naturalną śmiercią, Meternich go otrul. Twarz w trumnie dawnie poczerniała, że poznać jej nie było można. A i żywy cesarz Mikołaj twarz ma zmienioną od strachu nie gorzej od nieboszczyka. Lecz to, co opowiadał Besimienny, było ze wszystkiego najbardziej zdumiewające.

W czasie, gdy zwłoki cesarza przejeżdżały przez Moskwę, był tam pewien dyaczek ze wsi, a kie-

dy wrócił do wsi zaczęli go chłopci rozpytywać, czy widział ciało cara. »Jakiego — mówi — cara? To nie cara a czorta wiozą.« Wtedy jeden chłop uderzył dyaka w twarz i powtórzył słowa jego popowi, a pop doniósł do władzy i dyaka aresztowano.

A inni znowu mówią, że w trumnie złożony jest ani car, ani dyabeł, a tylko prosty jeden żołnierz, bo kiedy car był w Taganrogu, to byli tacy zbóje co go chcieli zabić, o czym się car dowiedział. Wtedy wyszedł w nocy z pałacu i powiedział do sztyldwacha co stał u drzwi:

— Chcesz ty umrzeć za mnie?

— Rad starać się — odpowiedział żołnierz.

I wtedy car wdział na siebie żołnierski szynel i stanął na warcie, a żołnierz ubrał się w mundur cesarski i poszedł do pałacu. Strzelił ktoś do niego z pistoletu i żołnierz zginął a cesarz rucił karabin i uciekł nie wiadomo gdzie. Do pustelni, mówią, do starców, aby modlić się, by duszę zbawić i uprosić u Boga zmiłowanie nad Rosją.

— Kto wie, może i prawda — szepnął Golicynowi tajemniczo ojciec Piotr, skoro ten powtórzył mu opowieść Bezimiennego.

— To prawda? — zadziwił się Golicyn.

— A to, że był martwy, a teraz żywy.

— Bóg z wami ojciec Piotr; przecież to niedorzeczność. Czyżby wszyscy, całe otoczenie cesarskie w Taganrogu, generałowie, adjutanci, dworzanie, sama cesarzowa Elżbieta Aleksiejewna, czyżby oni wszyscy brali udział w zmowie, dla oszukania Rosji.

— No tak, zapewne — zgodził się niechętnie ojciec Piotr, lecz po chwili dodał jeszcze tajemni-

czo. — Ciemna sprawa, wasza światłość, ciemna sprawa.

A pochyliwszy się do ucha Golicyna zwierzył mu jeszcze:

— Bo widziacie był w Taganrogu przy śmierci cesarskiej żołnierz pewien, niezwykle do cesarza podobny z twarzy. Żołnierz chory był w szpitalu i umarł, a cesarz wyzdrowiał, więc ciała ich zamienili. Lejb-medyk Buhle wszystko zatuzsował, przechytra bestya.

— Lecz pecóz? Na co to komu potrzebne?

— Komu? To jeszcze dziś tajemnica, kiedyś się odkryje. A wiecie, że pojawił się niedawno starzec świętobliwy, sługa Boski, za całą Rosję ofiara i męczennik. Od ziemi do nieba słup ognisty. Błogosławiony zaprawdę. — A imię jego...

— Jakie? powiedźcie!

— A nikomu nie powtórzycie?

— Nikomu.

— Fedor Kuźmicz — wyszeptał Ojciec Piotr, nabożnym szeptem.

— Fedor Kuźmicz? — powtórzył Golicyn i coś wieszczonego, przejmującego zabrzmiało mu w tem imieniu, jak gdyby sam na mgnienie oka uwierzył, że Fedor Kuźmicz to w samej rzeczy cesarz Aleksander. Przypomniał rozmowę swą, w Lincu z Pestelem i wisyjne majaczenia Zofii »Zabić martwego by powstał żywy«.

Dnia 13 marca Bezimieny uwiadomił Golicyna.

— Cara tu grzebią.

Przez niezabielony skrawek szyby okiennej, widać było, że śnieg pada, zamieć marcową. Płatki śnieżne mokre już, widać byle, że wnet stopnieją.

Golicyn przymknął oczy i widział wyobraźnią, jak sunie długi pogrzebowy orszak, z czarnym karawanem i trumną, pod białym całunem śnieżnym.

Nagle zabuczały ogłuszająco armatnie strzały. Ściany kazamaty sadrzały jakby ruszone w posadach, chwilami płomień ognisty błyskał, rozświecając ciemną celę. Zrozumiał, że w tej chwili w podziemia Petropawłowskiej twierdzy, spuszcza trumnę ze zwłokami cesarza Aleksandra pierwszego.

ROZDZIAŁ V.

Władzoni więziennym w twierdzy nakazano czuwać troskliwie, by żaden z uwięzionych nie umarł przed końcem procesu. Więc i Golicyna otoczono teraz staranniejszą opieką. Zmieniono mu twardy tapczan na wygodne łóżko, dawano lepszą strawę, dostarczano książek, zdjęto kajdany z rąk, a potem z nóg, a wreszcie przeniesiono go do zdrowszej suchej celi. Lecz on tęsknił, za swą dawną izbą, z jej podłogą ceglana, wyłożoną od ludzkich stóp. Tęsknił za przyjacielem pajakiem, za plamami wilgoci, które dla niego miały kształt i życie wyścionych obrazów. W początkach kwietnia wysdrowiał na dobre, a gdy przekonał się, że już nie umrze, chciał się tem martwić a nie mógł. Niech go nawet czekały miesiące i lata zamknięcia, niech nawet wieki i cierpienia jeszcze nieznane, wszystko dobre, byleby żyć.

Okno w nowej celi wychodziło na zewnątrz w dole był rów, opadające mury bastyonu rozchodziły się tak, że więcej światła wpadało przez

okno, mimo, że wsunięte było w grubą dwunasturową prawie ścianę. To też słońce w początkach kwietnia zaglądać zaczęło coraz częściej i kładło się na ścianie w kącie, jaskrawym plamą, pokratkowanym cienistą siatką od kraty okiennej. Golicyn siadał w tym narożniku i otwierał szeroko oczy, patrząc prosto w słońce. Nie myślał o niczem, a tylko wchłaniał w siebie światło i ciepło jak roślina.

Golicyn nie myślał o niczem, tylko wchłaniał w siebie słońce jak roślina. Słońce i on, więcej mu nic nie było trzeba.

A Marynka? Marynka, to jak to słońce, które świeci ziemi. Zda się pierwszy raz w życiu, tu w więzieniu poznał, co znaczy wolność i szczęście. Z początku watydził się i prawie bał, że jest tak po prostu szczęśliwy, lecz potem zrozumiał znów, że »wszystko dobrze«. Och jak dobrze! Boże mój! I modlić się chciał, lecz modlitwy nie było, a tylko wzdychanie do Boga, pytanie i odpowiedź: — »Tu?« »tu« i dusza cała uczuła się w ostatecznem ukojeniu.

Z ojcem Piotrem pogodził się całkiem. Zrozumiał, że chociaż z niego filut, ale ta jego przebiegłość, jak to często bywa u ruskich ludzi, zmieszana jest z dobrocią i to tak nawet, że im większy filut, tem dobroć w nim większa. Może być, że z początku spaczoną miał duszę, służył dwóm panom, lecz stopniowo zdradził stróżów więziennych i przeszedł do obozu uwięzionych, nie rozumem a sercem odgadywał, że to najlepsi synowie Rosyi, i pokochał ich sercem całym, w samej rzeczy jak ojciec duchowny dzieci swe.

— A wiecie ojcie Piotrze, wyście już całkiem nasz — powiedział mu raz Golicyn.

— Nareszcie zobaczyliście to! — rozpromienił się ojciec Piotr. — Wasz! druha najmilszy, wasz, z takimi jak wy żyć i umierać.

Dnia 12 kwietnia w niedzielę palmową wszedł ojciec Mysłowski do Golicyna w rasie z kielichem w rękę i powiedział, że rozdaje komunię świętą więźniom.

— A wy księżę czy pragniecie? — spytał Golicyna tak samo, jak za pierwszym spotkaniem przed trzema miesiącami.

— Nie! nie pragnę — odrzekł Golicyn, tak samo jak wtedy.

— Dlaczego?

— Bo nie chcę mieszać Chrystusa ze zwierzem.

I objaśnił mu swoją dawną myśl o świętokradzkim pomieszaniu cesarskiego z Boskiem, kościoła z państwem.

— A choćby i tak. Dlaczego macie gubić się z tego powodu — odrzekł Mysłowski. — Czyż głodny człowiek nie pożywi się chlebem, dlatego że go znalazł w jaskini zbójców.

Golicyn umilkł rozbrojony; tak ułagodziło i niemal poraziło to ukorzenie się, nie tylko mo-
że ojca Piotra, lecz i tego wszystkiego, co stało za nim.

— Wiecie przecież ojcze Piotrze, za co zaliczono mnie między złoczyńców i wiecie, że niema we mnie skruchy, jakże więc chcecie nieskruszonego nakarmić hostyą.

— Nakarmiłbym.

— Nawet zabójcę?

— Co wam księżę? Bóg z wami, przecieżeście nikogo nie zabili.

— Wszystko jedno, chciałem zabić, zabić zwierza w imię Chrystusa. Jak myślicie ojcze Piotrze, czy wolno w imię Chrystusa zabijać?

Ojciec Piotr stał przy oknie. Promień słoneczny padał na złoty kielich w jego rękę, który lśnił, jakby sam był słońcem: Ręce duchownego drżały tak iż zdawało się, że oto upuści kielich, wargi poruszały się bezdźwięcznie. Chciał coś rzec i nie mógł.

— Nie wiem! — rzekł wreszcie — ja was nie sędzę. Niech Bóg sędzi.

Golicyn osunął się na kolana.

— Darujcie ojcze Piotrze — wyszeptał.

— Ucałował jego rękę i pochylił nisko głowę przed kielichem. Ojciec Piotr przeżegnał go i wyszedł milcząc.

Dnia 18 kwietnia w noc wielkanocną, Golicyn nie spał i wciąż czegoś czekał i nasłuchiwał, lecz przez głuche ściany więzienia nie przenikał żaden głos i panowała martwa cisza.

Wspiął się na futrynę okna i patrzył przez szczelinę wentylatora, bo i tu jak w dawnej celi, wyłamał z niego blaszane piórko. Obaczył tylko czarną bezdenną ciemność. Przyłożywszy jednak ucho do szczeliny wentylatora, dosłyszał wreszcie coś jakby odległe brzęczenie pszczołowego ula, był to odgłos dzwonów wielkanocnych, hałas zmarłych wstania. Nigdy jeszcze nie czuł jak dziś tu w tym więzieniu, gdzie pogrzebano go żywcem, że Chrystus zmarłych wstaje.

W maju zaczęto wyprowadzać więźniów do małego ogródka wewnątrz Aleksiejewskiego fortu, wyprowadzono i jego. Skoro po raz pierwszy przestąpił próg więzienia, i znalazł się pod gołym niebem, słoneczny blask olśnił go tak, że zakrył oczy rękami. Świeże powietrze zapierało mu dech i jak człowiek, który dostał się na ląd po długim pływaniu, miał uczucie, że ziemia się

pod nim kołysze. Fajerwerker Szybajew, prowadził go pod ramię i podpierał.

Ogródek był trójkątny, opasany trójkątnym, wysokim murem jak dno studni; mury gładkie granitowe, nagie, pokryte od dołu porośłym mchem, jak naturalna skała. Jedne tylko drzwi ciężkie, okute w żelazo, stanowiły wyjście. Uboga trawka, parę krzewów, bzu i czerechwy, dwie czy trzy brzoški między niemi, nawpół złamana ławka drewniana; pod jedną ze ścian darniowy kopczyk, mogiła, jak objaśnił Szybajew księżnej Tarakanow, która utonęła w więzieniu w czasie powodzi.

Ogródek był lichy, lecz Golicynowi wydał się niebiańskim rajem i jak pierwszy człowiek z raju lub smartwych skrzyszony z grobu, wpatrywał się z zachwytem w żółte kwiatki, rosnące w trawie, w kleisto-żywiczne prątki brzozkowe, w błękitne niebo i przejrzyste, jak świetlany opar, obłoki. Zagrały kuranty, jakby wprost nad głową jego, spojrzał więc w górę.

— Pozwólcie tedy, wasza wielmożność, tam jest widok — rzekł Szybajew, wskazując mu jeden z narożników trójkątnego muru.

Golicyn zbliżył się do tego miejsca, wspiał się na krawędź opadającej tu rynny i oparty plecami o mur, ujrzał oslepiająco błyszczącą w słońcu iglicę petropułowskiej twierdzy z archaniołem trąbiącym na trąbie, jakby dla zaświadczenia, że więźniowie, pogrzebani w tej żywej mogile wyjdą z niej dopiero w dniu ostatecznego sądu, wskrzeszeni z martwych.

Powrócił następnie znów na środek ogródka i siadł na ławce.

Szybajew mówił do niego, lecz on nie słuchał. Ten zrozumiał, że Golicyn pragnie być sam, od-

szedł więc nieco, odwrócił się i zapalił fajeczkę.

Golicyn długo patrzył na cienki smukły pień białej brzoški, aż wreszcie objął go, przylgnął do kory twarzą i zamknął oczy.

Przypomniał słowa Marynki: »Wybiegnę, bywało, w gaj, gdzie młode brzoški, cienkie, jak woskowe świeczki, kora na nich taka miękka, ciepła, słońcem nagrzana, obejmę, bywało, pieszczę, całuję; siostryczko, ty moja, miła rodzona«.

Skoro po tej przechadzce Golicyn wrócił do swej nowej jasnej celi, wydała mu się ciemną i ciasną, jak mogiła. Jak gdyby na chwilę wstał z grobu i znów się tam położył, lepiej było wcale nie wstawać. Postanowił nie chodzić na spacer. Odmówił raz, drugi, potem nie wytrzymał i znów wyszedł. Brzoški już się rozwinęły. Bez zakwitł, od bzu kwitnącego powiało mu w twarz świeżością wonnej rosy.

Znów, jak poprzednio, usiadł przy brzozie, objął w uścisku i przylgnął do niej twarzą. Zamknął oczy, taka tęsknota ścisnęła mu serce, że chciałby krzyczeć z bólu.

Nagle usłyszał szelest kroków. Podniósł oczy, skoczył i wyciągnął ręce z uczuciem cichego lęku. Zdało mu się bowiem, że widzi przed sobą widmo Marynki.

— Waleńka! serce ty moje jedyne! — zawołała, biegnąc ku niemu.

Objęła go, przylgnęła całym ciałem, żywa, żywa Marynka.

Co było potem? już nie pamiętali oboje. Mówili coś razem, nie rozumiejąc się wzajemnie; przerywali sobie, śmiali się i płakali.

On patrzył na nią i dziwił się i nie poznawał. Pobladała a jednak rozkwitła nową nieznaną mu urodą. Dziewiętnastoletnia dziewczka, lecz już w pełni kobieta. Jakie spokojne męstwo, ani lęku, ani smutku nawet w tych czarnych oczach, a tylko moc nieskończonej miłości, jak u tamtej na płótnie Rafaela.

— Ty Marynka tu? Boże miły! Jakim sposobem tu?

— A cóż? Nie czekałeś na mnie? Myślałeś, że nie przyjdę? A widzisz, że przyszedłam. Ankudynicz wprowadził mnie.

— Co za Ankudynicz?

— Niczyporenko. Czyż nie wiesz? O ten, co tam stoi.

Gelicyz spojrzał na stojącego obok Szybajewa gefrejtera Niczyporenkę. Był to ten sam, który groził mu kiedyś chlontą.

— Wiesz, że ja tu codziennie bywam w fortecy. Niby to do cerkwi chodzę na mszę ranną, ale nie wiedziałam, że ty w tym forcie jesteś. Z bulwaru cerkwi widać okna więzienia, wszystkie jednakie, wapnem zamalowane, nic nie można poznać, ja wciąż patrzę i myślę, które twoje? które? Wszystkim już dokucyłam. Komendant łaje. Raz chciał mnie kazać z cerkwi wyprowadzić. Więc ja bywało przebiegam się za służącą, tak przychodzę. Poduszkin ma córkę Adelajdę Jegorównę. Stara panna przedobra! Kocha się w Kachowskim... Ach Boże mój! co ja opowiadam, same głupstwa. A wiesz kiedy lody puściły...

Zaczęła i nie skończyła, osądziwszy widocznie znów, że to głupstwa. Chciała opowiedzieć, jak raz, Ananyasz, stróż babuni, który także codzień

chodził do fortecy, nastraszył ją, że książ śmiertelnie chory. Pobiegła do fortecy, a tu wszystkie mosty zniszczone, bo kry puściły. Przewoźnicy nie chcieli jechać, aż wreszcie ubłagała jednego za 25 rubli. Rzucił jej sznur, musiała go uwiązać do żelaznego obręczy, przymocowanego do satachetów na brzegu, by spuścić się po lodem pokrytych granitowych schodach. Długo nie mogła sobie poradzić. Sznur szorstki zamarzał, koło żelazne ciężkie, schody obmarzałe śliskie, a ręce słabe.

Lecz pokonały wszystko te słabe ręce, lód, żelazo i granit. Spuściła się do czółna, popłynęli. Niosło krę wprost na nich; Płaty lodu obijały się o czółno z trzaskiem, zdawało się tuż, tuż, przewrócić je. Stary przewoźnik błądzący od strachu, to łajał ją, to modlił się. A gdy przybyli do drugiego brzegu, spojrzał na nią z podziwem.

Zapewne pomyślał o niej, to co wszyscy: Co za śliczna dziewczyna.

Późno było; bramy twierdzy zamknięte, warta puścić nie chciała. Wsunęła datek, wpuścili; pobiegła do mieszkania Adelajdy Jegorówny, ta ją uspokoiła. Księżę był ciężko chory, ale już teraz ma się lepiej, doktor powiedział, że wkrótce wyzdrowieje.

— Ale co się to księżnej z rączkami stało — zawołała przerażona Adelajda.

Marynka spojrzała na swoje ręce, rękawicki na strzępy porwane, na dłoniach krew. Otarła skórę o zamarznęty powrós, zdarła ją sobie do krwi. Uśmiechnęła się na wspomnienie, jak on te dłonie całował.

— Po kim jesteś w żalobie? — zapytał Golicyn po długim milczeniu, w czasie którego pa-

trzyli sobie w oczy i odgadywali wzajemnie wszystko, czego sobie nie zdążyli wypowiedzieć. Dopiero teraz zauważył, że ona jest w czarnej sukni w kapeluszu z czarnym woalem.

— Babunia umarła.

— A mama jak się ma?

— Tak sobie, nie bardzo — uswała i zaczęła mówić o czem innem.

Zrozumiał, że ona pragnie, aby nie zaczynał z nią o matce; chciała sama nieść swój krzyż. Zbliżył się Ankudynicz.

— Pozwólcie wasza światłość!

— Zaraz, zaraz Ankudynicz, jeszcze minutkę.

— Nie można żadną miarą, komendant zobaczy i będzie bieda.

Marynka sięgnęła do kieszeni i wyjęła paczkę asygnet, wsunęła mu je do ręki. On skrzywił się, widocznie za mało. Znow sięgnęła do kieszeni lecz już nic nie znalazła. Zdjęła więc z szyi złoty łańcuszek z krzyżykiem i oddała mu, wtedy odszedł.

Znowu zaczęli rozmawiać, ale już bez radości. Czuli, że chwila rozłąki bliska.

— Poczekaj, co to ja chciałam? aha! — pochyliła się i szeptać mu zaczęła po francusku, że można uciec. Teraz na Newie stoi dużo statków zagranicznych i to blisko twierdzy. Foma Fomicz rozmawiał już z jednym kapitanem i paszport dostał, a plac-adjutant Trusow, za dzień ty-sięcy...

— Trusow? Łotr, strzeż się go; zresztą nie wolno uciekać, a gdyby i wolno było nie chcę.

— Dlaczego?

On popatrzył na nią tak, że zrozumiała.

— Daruj miły, ja może nie rozumiem, a wiesz ojciec Piotr mówi, że wszystkim darują.

— Nie Marynko! nie darują, i nie trzeba nam ich przebaczenia.

— No! wszystko jedno, choćby cię zesłali na kraj świata, będziemy razem. A jeśli...

Nie skończyła, ale on zrozumiał. Jeśli umrzesz, to i ja z tobą.

— Wasza światłość! — powtórzył znow Nyczyporenko i wziął ją za rękę.

Wyrwała ją i rzuciła się na szyję Golicynowi. Objęła go przywarła, całowała go, a potem przeżegnała.

— Niech cię chroni Matka przeczysta.

I znow w ostatniem spojrzeniu, ani lęku nie było, ani smutku, a tylko moc bezgranicznej miłości, jak u tamtej wszechmocnej na płótnie Rafaela.

Gdy się opamiętał już jej nie było i mógł znow mniemać, że to tylko widzenie. Opadł na ławkę i długo siedział z zamkniętymi oczyma bez ruchu.

Nagle uczuł na twarzy wilgotne krople. Podniósł oczy. Chmurka deszczowa nadpłynęła tymczasem i złote strugi spływały rozdzwonione w słońcu, niby struny złotej lutni, niby świetlane łzy, jakby ktoś płakał z radości.

Mocniej zazieleniała trawa, zabieliły się jaśniej smukłe pienki brzoź, a bez zawoniał silniejszym aromatem. Golicyn obejrzał się, nikogo nie było w ogródku, Szybajew wyszedł rozumiejąc widocznie, że w takiej chwili więzień pragnie sam zostać. Golicyn osunął się na klęczki pochylił nisko głowę, rozgarnął rękami trawę i przywarł ustami do ziemi.

— Ziemię kochać grzech, niebieskie rzeczy kochać trzeba — przypomniał te słowa Marynki i zapłakał od radości.

— Ziemię rodzona! Matko przeczysta — szeptał.

ROZDZIAŁ VI.

Zapiski G. I. Marawiewa Apostoła.

»Rosya ginie! Rosya ginie! Bóg ratuj Rosyę«, temi słowy modłę się umierając. Wiem, że umrę. Wszyscy mówią, że nie będzie wyroków śmierci, a ja myślę, że będą. A choćby ich nie było, ja i tak umrę. Ze złamanymi nogami człowiek chodzić nie może, z duszą złamaną nie może żyć.

Po rozbiciu powstańczego pułku czernichowskiego dnia 4 stycznia przywieszono mnie do Petersburga rannego tak ciężko, że nie spodziewałem się zostać przy życiu, a jednak żyję. Nie umarłem pierwszą śmiercią, by umrzeć drugą.

Żeglarz zaparty krami rzuca w morze flaszkę z ostatnią krzepiącą myślą: »Dowie się może kto, jak zaginałem«. Tak samo i ja rzucam w ocean przyszłości te zapiski przedśmierne; mój testament dla Rosyi. Piszę na świstkach ehowam i o skrytki. W podłedze mojej celi odchyła się jedna cegła, więc pod nią. Przed śmiercią oddam któremu z towarzyszy, może zdoła przechować. Źle piszę po rosyjsku. *Je dois avouer à ma honte, que j'ai plus d'habitude de la langue française que du russe*. Pisać więc będę w obu językach. Taki już nasz los: obcy w ojczyźnie. Spędziłem dzieciństwo w Niemczech, Francyi, w Hiszpanii. Gdyśmy zobaczyli na pruskiej granicy rosyjskiego kozaka na warcie, brat Maciej i ja wyskoczyliśmy z karety i rzuciliśmy się ku niemu, by go uściśkać.

— Bardzo się cieszę, że długie przebywanie na obczyźnie nie ochłodziło waszej miłości dla ojczyzny — rzekła matka moja, gdyśmy pojechali dalej. — Lecz przygotujcie się dzieci na

straszną wiadomość, której sama wam muszę udzielić, że w Rosyi spotkacie to, czegoście dotąd nie znali, to jest niewolników. Później dopiero zrozumieliśmy tą straszną prawdę: »Wolność obczyzną, niewola ojczyzną«.

My wszyscy jesteśmy dziećmi dwunastego roku. Wtedy rosyjski naród jednomyślnym porywem ocalił ojczyznę. Tamto powstanie zrodziło nasz ruch; rok 1812 początkiem był tego, co zaszło w 1825. Myśmy wszyscy wierzyli, że okres sławy wojennej kończy się z Napoleonem, a zaczyna się czas wyzwolenia narodów. Jakżeby Rosya, wyzwoliwszy Europę z pod jarzma Napoleońskiego, nie miała zrzucić własnego jarzma? Rosya skupić miała w sobie porywy wszystkich narodów do wolności. Rosya wyzwolona — to wyzwolony świat.

*

Onegdaj tatuś zaszedł do mojej celi, a widząc na mnie mundur splamiony krwią, powiedział:

— Przysięł ci inną odzież.

— Nie trzeba — odrzekłem — umrę z piętnami krwi przelanej.

Chciałem dodać: za ojczyznę, lecz nie powiedziałem tego, bo krew ta przelana jest za coś większego, niż ojczyzna.

*

Oto jedno ze wspomnień najwcześniejszego mego dzieciństwa i nie wiem nawet, czy sam to widziałem, czy też pamiętam z opowiadania brata Macieja.

W 1801 roku 12 marca, z rana po herbacie, brat mój zbliżył się do okna. Mieszkaliśmy wtedy na Fontanie przy Obuchowskim moście, w domu Jusupowa. Brat, wyjrawszy oknem na ulicę, spytał mamy:

— Czy dziś Wielkanoc?
 — Nie! Dlaczego? Co tobie, Matusza?
 — Bo ludzie się tak ściskają na ulicy, jak na Wielkanoc.

W noc ową zabity był cesarz Paweł pierwszy. Tak zjednoczyła Rosya Chrystusa z wolnością. Car zabity, Chrystus smartwychwstał.

»Gdy krwawą hostyą nas obdzieli,
 Sam powiem: »Chrystus z martwych powstał«.

Słowa te są oczywiście bluźnierstwem w ustach ateusza Puszkina, lecz bluźniąc tak, nie wiedział sam, jak świętym rzeczom bluźnił.

*

Najmocniejszym mojem przekonaniem było, że w razie powstania, w czasie zamętu, wywołanego przewrotem, całą nadzieją naszą i ostoją, może być tylko wielkie przywiązanie do wiary tak silnie ugruntowane w rosyjskim narodzie, i że wiara będzie zawsze dla ludzi najsilniejszą podporą na drodze do wolności, na co Gorbaczewski odpowiedział mi tonem sceptycznym i zdziwionym, że przeciwnie zdaniem jego, wiara jest całkiem sprzeczna z wolnością. Zacząłem mu wtedy dowodzić, że to mniemanie jest całkiem mylne, że prawdziwa wolność zaczęła się dopiero wraz z wprowadzeniem chrześcijaństwa i że Francya, która wpadła w takie nieszczęścia w czasie swego przewrotu, skutkiem niewiary, jaka się wówczas wkradła w umysł, powinna służyć nam za naukę.

*

Filozof Hegel utrzymuje, że rewolucya francuska jest dalszym rozwojem chrześcijaństwa, i że pojawienie się jej jest równie ważnem, jak objawienie Chrystusa. Nie! Nie francuska rewolucya,

a prawdziwa, przyszła rewolucya, będzie czemś takim. Jakobinizm, to wolność bez Boga. Prawdziwa groza *la terreur*, nienasycone męrobójstwo, krwawa czara dyabelska.

*

Zjednoczyć Chrystusa z wolnością, to wielka idea, wielkie światło, co wszystko opromieni.

*

A może nikt nigdy nie dowie się za co zginąłem. Nie mury więzienia odgradzają mnie od ludzi, a mury samotności. Z ludźmi, na wolności, jam równie sam, jak tu w więzieniu.

Toujours rêveur et solitaire
 Je passerai sur cette terre,
 Sans que personne m'ait connu.
 Ce n'est qu'au bout de ma carrière,
 Que par un grand trait de lumiere
 On connaîtra ce qu'on a perdu.

Tak chęć się mógł tylko głupi dzieciak. »Cóż to! Przyszedł mój koniec i żaden blask nie rozjarzył się nad światem?« A jednak zdaje mi się, że miałem w sobie myśl wielką, która mogłaby świat opromienić, lecz nie umiałem powiedzieć o niej ludziom. Znać prawdę, a nie umieć jej wypowiedzieć, to najstraszniejsza z ludzkich mąk.

Jedyny człowiek w Rosyi, który mógłby mnie pojąć, to Czadajew. Jak dziś pamiętam nasze rozmowy nocne, w 1919 r. w Petersburgu, w koszarach Siemionowskiego pułku. Służyliśmy razem i razem wstąpiliśmy do związku »Szczęśliwości«. Pamiętam twarz jego łagodną, bladą jak z wosku lub z marmuru, cienkie wargi z wiecznym uśmiechem i szaro niebieskie oczy takie żalonne, jakby już oglądały koniec świata.

— Mija już kształt dzisiejszego świata tego, nowy się zaczyna — mawiał Czadajew. — Do ostatnich wyczekiwanych zdarzeń sposobi się ród człowieczy, do królestwa Bożego na ziemi i w niebie. A któż, jak nie Rosya, pusta, odkryta, biała jak niezapisana karta, bez przeszłości, bez teraźniejszości, cała w przyszłość idąca. Rozmiar nieoczekiwanych zjawisk, *une spontanéité immense*. Czyż nie Rosyi to jest zadaniem, urzeczywistnić oczekiwania, rozwiązać zagadkę ludzkości.

I kończyliśmy wszystkie rozmowy nasze słowami modlitwy: *Adveniat regnum tuum*. »Przyjdź królestwo Twoje«.

»I będzie jeden król na ziemi i w niebie Jezus Chrystus«, to słowa mego katechizmu.

»Od teorii do wykonania daleka droga«, mawiał Pestel; a o mnie powiedział raz bratu memu Maciejowi: *Votre frère est trop pur*. Tak, nazbyt czysty, bo nazbyt doktryner. Taka czystość to błahość przeklęta. Czysta teoria w czynie, to donkiszoterya śmieszna i smutna. Nie zdziałalem nic, a tylko poniżyłem myśl wielką, unurzałem świętość w błocie i krwi. Lecz bądź co bądź próbowałem przynajmniej działać, a Pestel nawet nie próbował.

On został aresztowany 14 grudnia w sam dzień powstania. Czas jakiś wahał się i samierzał z początku iść z Wjackim pułkiem na Tulczyn, aresztować naczelnego komendanta z całym sztabem i podnieść sztandar powstania. Zamiast tego, wsiadł do kolaski i pojechał do Tulczyna, gdzie go natychmiast aresztowano. Rozumnie postąpił,

rozumniej od nas wszystkich; wytrwał w czystości teorii.

Mógłbym polubić Pestela, ale on mnie nie lubił, bał się, czy też lekcewał. Jasność jego umysłu jest bezgraniczna, lecz wszystkiego rozumem nie pojmiesz. Ja wiem coś, o czem on nie wie. Należało nam zespolić się. Być może przewrót nie udał się, dlatego żeśmy tego nie zrobili.

W dół toczyć kamień łatwo, w górę ciężko. Pestel toczył kamień w dół, ja dźwigałem go w górę. On chce polityki, ja chcę religii, polityka łatwa, religia trudna. On chce rzeczy już byłych, ja niebywałych.

»Jam nie chrześcijanin, ani rab, wybaczać uraz nie umiem« — tak mawiał Rylejew.

»Chrześcijaństwo — niewola. Oto otchłań, w którą stacza się wszystko«.

»Pestel na południu, Rylejew na północy: dwaj ateści, dwaj wodze rosyjskiej wolności. A w środku nieskończenie wielka ilość maluczkich. Tu tylko głupcy i nikczemnicy wierzą w Boga« — tak mi powiedział pewien ruski Jakobin, dziesiętnastoletni chorąży.

Nie mając Boga, lud uznał za Boga.

— Z ludem wszystko można, bez ludu nic — krzyczał raz Gorbaczewski pokłóciwszy się z zemną o demokrację.

— *La masse n'est rien, elle ne sera que ce que veulent les individus qui sont tous*. Tłum jest

niezem, będzie on zawsze tylko tem czego chcą jednostki — odpowiedziałem w uniesieniu.

Wiem ja dobrze, że to nie całkiem tak, ale jeśli Boga nie ma, niech mi dowiodą, że jest inaczej.

*

»Rosya jest jedna, jak Bóg jeden« — mówi Pestel, który sam w Boga nie wierzy. Lecz jeśli niema Boga jedyne, to i Rosyi jedynej niema.

Toczę kamień w górę, a on w dół, praca syzyfowa. Nie żuję się też i wiem. Jeśli w Rosyi będzie przewrót, nie mój katechizm weźmie górę, a »prawda« Pestela. O nim pamięć zostanie, o mnie zapomną. Za mną nie pójdzie nikt i będzie w Rosyi to samo co we Francyi: wolność bez Boga, krwawa czara dyabelska.

*

Zapomną, lecz przypomną potem; odejdą lecz wrócą. Kamień, który stracili zstępując w dół, sami uczynią węglem budowy. Nie będzie Rosya zbawiona dokąd nie przyjmie mojej wolności z Bogiem.

*

Bóstwo odzwierciedla się we wszechświecie. Sama istota bóstwa zrealizować się może jedynie w nieskończonej ilości skończonych kształtów. Rewelacya Przedwiecznego w jednym tylko skończonym kształcie byłaby niedoskonałą. Kształt jest tylko znakiem, który wskazuje Jego obecność.

*

Wszystkie czyny ludzkie, to tylko znaki. Tak i ja daję tylko znak o sobie, tobie, daleki mój druhu w przyszłych pokoleniach, jak konający skinięciem ręki pozdrawia, gdy już mu głosu

braknie. Nie sądź mnie więc wedle tego, com zdziałał, lecz wedle tego, com chciał zdziałać.

*

Nie myśleliśmy wcale o powstaniu, gdy naraz 22 grudnia, jadąc z bratem Maciejem z Wasilkowa, miasteczka pod Kijowem, gdzie stał pułk czernichowski, do Żytomierza do głównego sztabu korpusu, dowiedzieliśmy się przypadkowo na ostatniej stacji od kuryera senackiego, rozwożącego urzędowe listy, o wypadkach, saszłych cetera-nstego w Petersburgu. W sztabie korpusu dowiedzieliśmy się, że rząd natrafił już na trop tajnego związku i że aresztowania zaczęły się. W drodze powrotnej do Wasilkowa przyjaciel mój Michał Pawłowicz Bestuzew Riumin, podporucznik połtawskiego pułku, uwiadomił mnie, że komendant pułku Gebel, ścigał mnie z żandarmami. Postanowiłem przedrzeć się do czernichowskiego pułku, żeby tam wywołać powstanie. Rozumiałem dobrze, że to pomysł rozpaczliwy, że poczynanie walki z garstką ludzi przeciw olbrzymim siłom rządowym, to szczyt nierozumu, lecz nie mogłem opuścić powstańców na północy.

*

Jechaliśmy więc do Wasilkowa bocznymi drogami, kryjąc się przed Geblem. Śniegu było mało, straszliwa gruda, bryczka się nam złamała, wynajęliśmy w Berdyczowie żydowską furmankę i 28 grudnia, dowlekliśmy się do miasteczka Trzyłasy, na starej kijowskiej drodze o 45 wiorst od Wasilkowa. Zatrzymaliśmy się w chacie kozackiej, na kwaterze porucznika Kuźmina i snuteni drogą poszliśmy spać.

W nocy przyleciał Gebel, postawił dokoła chaty żandarmów, zbudził nas i oświadczył, że are-

sztuje nas z polecenia wyższej władzy. Oddaliśmy mu sepady, radzi nawet, że wszystko skończy się bez daremnych ofiar, poczem zaprosiliśmy go na herbatę.

Zanim wypiliśmy herbatę, zaczęło świtać i do chaty weszło czterech oficerów z mojego batalionu. Byli to: Kuźmin, Sołowiew, Suchinew i Szczepiło, wszyscy członkowie tajnego związku, przybyli tu umyślnie z Wasilkowa, aby mnie odbić. Gebel wyszedł na ich spotkanie do sieni i zaczął im wymyślać za samowolne opuszczenie pułku, gdzie byli komendantami ret. Wszczęła się swada, głowy podnosiły się coraz bardziej, wreszcie ktoś krzyknął:

— Zabić podleca!

Wszyscy czterej rzucili się na Gebla, a wydarłszy karabiny sztyldwachom, bić go poczęli kółkami i kłuc bagnietami, gdzie który trafił, w pierś, w brzuch, w ręce, w nogi, w plecy, w głowę. Ogromnego wzrostu, atletycznej budowy, Gebel tak był załęczniony, że się wcale nie bronił, a tylko pokrzykiwał załęcznie:

— Och! święta Maryo! Matko Boża!

Gustaw Iwanowicz Gebel, z urodzenia Polak, uważał się jednak za Rosyanina i nigdy po polsku nie mówił, a tu naraz przypomniały mu się słowa polskiego pacierza. Żołnierze z warty, przeważnie młodszy rekruci, nie kwapili się w obronę swego komendanta. Wogóle podwładni żołnierze nienawidzili Gebla, za pałki i różgi, które im sówicie rączył i nazywali go zwierzem. Oficerowie bili go wciąż, lecz nie mogli zabić. Sien była ciasna i ciemna; skutkiem tego rączy padali na ślepo. Zresztą w uniesieniu płatali się i potykali, bili bez rozmysłu, jak w szaleństwie pijanem lub przez sen.

Twarde ma życie dyabelska sztuka — krzyczał ktoś nie swoim głosem.

Dobrawszy się do drzwi, Gebel chciał wyskoczyć, lecz tamci porwali go za włosy, zwalili na ziemię i sami na niego padli. Myśleli, że już z nim koniec, lecz on zebrałszy ostatki sił otrząsnął się i wynosząc dosłownie na własnych plecach, dwóch oficerów Kuźmina i Szczepiłę, wydostał się na dziedziniec.

*

My z bratem byliśmy już także na dziedzińcu, bo wybiliśmy okno i wyskoczyliśmy. Nie rozumiem co się ze mną stało, gdy obaczył okrwawionego, poranionego Gebla i straszne jakby senne twarze moich kolegów. Czasem we śnie widzisz zmoreę a właściwie nie widzisz, a czujesz gniotący ciężar na piersiach. Tak było i ze mną. Czułem ciężar gniotący na piersiach a odejść nie mogłem. Brat Maciej uciekł a ja zostałem i porwawszy karabin zacząłem bić kolbą po głowie Gebla. Ten oparł się o ścianę i zakrył twarz rękami, biłem po rękach. Pamiętam tępy stuk kolby o kości rozstawionych palców, pamiętam na jednym z tych palców białym, opuchłym, ślasy pierścien z chryzolitom i jak z pod niego bluznęła krew.

Pamiętam załęczne wołanie Gebla: »Święta Maryo, Matko Boża«.

Nie wiem co mi było pobudką. Być może żal mi było poranionego i chciałem go dobić, lecz rączy były słabe, senne, czułem dobrze, że tak się nie zabija i że temu końca nie będzie.

— Przestańcie Sergiuszu Iwanowiczu! Co robicie? Przestańcie! — zawołał ktoś i odciągnął mnie przemocą.

Opamiętałem się; czułem, żeś odmroził sobie palce od mrozu na kelbie karabinu. A tamci bili wciąż, przestawali i znów bili.

Kuźmin za każdym razem wbijał szpadę w ciało Gebła tak głęboko, że dobywał ją z wysiłkiem. Lecz mimo to zdawało się, że spada przebijając nawskróś ciało jego, nie przynosząc mu szkody, jakby to było ciało upióra; zdawało się, że to już nie Gebel, a ktoś drugi, nie ulegający śmierci.

— Twarde ma djabeł życie!

Wreszcie, gdy wszyscy go na chwilę odstawili, on na w pół przytomny, szedł zataczając się ku wrotom i wyszedł na ulicę.

Tuż obok stała karcma, a przed nią sanie chłopskie. Zwalił się na nie; konie same ruszyły i zawiozły go do gospodarza zarządcy wsią i tam zdjęto go z sani, przechowano i odesłano do Wasilkowa.

Gebel otrzymał trzynastcie ran ciężkich nie licząc mnóstwo lekkich i mimo to wyżył i prawdopodobnie przeżyje nas wszystkich.

*

Tak to obdzieliliśmy się krwawą hostyą.

*

Skoro oficerowie oświadczyli żołnierzom, że jestem wolny, wielka była radość wśród nich, i gotowi byli pójść za mną wszędzie gdzie ich powiodę. W tymże dniu więc 29 grudnia, wyruszyłem z piątą rotą na Wasilków.

*

Dnia trzydziestego po południu, stanęliśmy pod miastem. Wystawiono przeciw nam kordon strzelców, lecz gdyśmy się już tak zbliżyli, że widać było twarz żołnierzy, ci krzyknęli ra-

dośnie: Ura! i złączyli się z nami. Weszliśmy na rynek bez przeszkody i obstawiliśmy naszemi wartami, odwach, sztab pułku, więzienie, urząd sztabowy i rogatki miejskie.

*

Wieczorem wydałem rozkaz, aby następnego dnia o 9 zrana całe wojsko zebrało się na rynku. Koledzy całą noc sposobili się do wymarszu, i co chwila przybiegali do mnie po rozkazy, lecz ja zamknąwszy się w swojej kwaterze nikogo nie wpuszczałem i przepisywałem z pomocą Bestuzewa mój katechizm.

Myśl owego katechizmu zaczerpnięta była z dzieła pana de Salvandy *don Alonzo on l'Espagne*, gdzie zamieszczony jest katechizm za pomocą którego mnisi hiszpańscy podburzali lud przeciw jarzmu Napoleona. Dzieciństwo moje przeszło w Hiszpanii, gdzie ojciec mój Iwan Matwiejewicz Murawiew Apostoł był posłem w Madrycie i ot zachciało mi się odnowić dzieciństwo w latach męskich, przenieść Hiszpanię do Rosyi.

— *Ce sont vos chateaux d'Espagne qui vous ont perdu mon ami* — raczył użalić się nademną generał Benkendorf w czasie przesłuchania w śledczej komisji.

*

Ukończywszy spisanie katechizmu, podyktowałem go trzem pisarzom pułkowym i poleciłem im wygotować dwanaście egzemplarzy odpisu. Rankiem wezwałem do siebie porucznika Mazalewskiego i poleciłem przebrać się po cywilnemu i dobrawszy sobie trzech ludzi z niższych rang, również w płaszczach bez naszywek, przedrzeć się z nimi do Kijowa rozrzucać tam mój katechizm między ludem.

Mazalewski spełnił ściśle moje zlecenie. Sam głuchemi bocznemi drogami dotarł do Kijowa i polecił towarzyszom rozejść się po różnych dzielnicach, na Padoł na Peczersk i rozrzucić odpisy mego katechizmu w gospodach, szynkowniach, w bramach domów, co też oni uczynili. Tak więc zapewne katechizm mój, niosący błogą wieść o Królestwie Bożem na ziemi, wala się teraz po szynkach i pod progami bram. O! den — kiszoterjo bezprzykładna.

Skoro rotę zebrały się na rynku, posłałem po kapelana wojskowego. Przybył więc ojciec Kejzer (szczególne nazwisko! rodem z niemieckich kolonistów) całkiem młody chłopak, lat 26 najwyżej, chudy, suchotnik, z jasnym jak len warkoczykiem, takim, jakim się widuje u wiejskich dziewczynek. Skoro mu zacząłem wyjaśniać cel naszego powstania, zbladł jak płótno, drząc pociął i aż spocił się ze strachu.

— Czy nie zgubicie nas wasza wielmożność, mam przecie żonę, dzieci.

Patrząc na tego spłoszonego zajaca, rycerza Królestwa Bożego na ziemi, zrozumiałem raz jeszcze, jak daleko jest od zamierzenia do istotnego czynu.

Oto świadectwo samego ojca Daniły, zeznania jego złożone w komisji śledczej, a przedstawione mi dla udowodnienia mej winy. Odpowiadając na pedane mi na piśmie punkta, spisałem to jego zeznanie, aby przechować je dla potomności.

»Dnia 31 grudnia, przyszedł do mnie na kwaterę drugiej grenadyerskiej rotę, o godzinie 11-oj przed obiadem, podoficer z bojowej amunicji i przyniósł mi ustny rozkaz podpułkownika Murawiewa Apostoła, żebym szedł natychmiast do

niego z krzyżem, dla odprawienia nabożeństwa, przy czytaniu katechizmu. Przejęty najstraszniejszym lękiem, nie wiedziałem gdzie mam biec po obronę i nie śmiejąc opierać się, posłałem djaka Iwana Ochlestina, do pułkowej cerkwi, po książkę mszalną i skrócony katechizm i udałem się ze służbą cerkiewną na kwaterę Murawiewa, gdzie znajdowało się już dużo oficerów. Będąc niedawno przydzielony do pułku, nie znałem żadnego prawie z tych oficerów, a i peraz pierwszy w życiu, widziałem samego Murawiewa, który rozkazał mi nie odcodzić z kwatery, gdzie też przestałem dobre pół godziny przy progu przed nim i drugimi oficerami.

Jeden z owych oficerów przystąpił do mnie i spytał czy getów jestem zrobić co należy? Odpowiedziałem, że przyniosłem księgę medlitewną i skrócony katechizm. Lecz wtedy oficer ten wziął z rąk djaka cerkiewny katechizm, otworzył go i powiedział, że oni mają inny katechizm, pisany. W tymże czasie Murawiew zmienił własny rozkaz i powiedział, że nie trzeba długiego nabożeństwa, tylko coś krótkiego.

»Widziałem wtedy, że to sprawa dainna, a choć nie rozumiałem co oni z sobą po francusku mówili, zobaczyłem na stole kilka nabitych pistoletów i wszędzie warty z nabitymi karabinami, zląkłem się też bardziej jeszcze, umyśliłem sobie wymknąć się, ale nie śmiałem. A gdy Murawiew włożył na głowę wojskową czapkę, przepasał się szarłą i udać się miał z oficerami na rynek, gdzie były ustawione wojskowe rotę, kazał i mnie iść z sobą... Podjechał potem przed front wojska, zakomenderował, a oficerowie i kilku z niższych

rangą otoczyli mnie w koło z nabitymi pistoletami, niektórzy zaś mieli kindżały.

Wtedy ja na rozkaz Murawiewa wdziałem na siebie rasę i odśpiewałem z asystą pieśń: »Królu niebieski«, Ojcie nasz, hymn o Narodzeniu Chrystusa i Zdrowaś Maryo, a potem już nie podług przepisów kościelnych nie robiłem. A potem jeden oficer podał mi papier, którego ja pierwszej nigdy nie widziałem i nigdy nie słyszałem o tem, co tam było napisane. Oficer, stojący za mną, zaczął to czytać z pamięci, a ja za nim powtarzałem zmuszony do tego i z niezwykłym strachem. Wypowiadałem przytem słowa, których już zupełnie nie pamiętam.

Biedny ojciec Daniło, rosyjskiej wolności mimo-wolny męczennik.

Ranek ów był słoneczny. W nocy spadł był pierwszy śnieg. Zima, jak to często bywa na Ukrainie, zelała i jakby wiosną poprzez zimę powiało. W cieniu był mróz, a w słońcu odwilż. Wróble ćwierkały, gołębie gruchały, grzejąc się w słońcu na słocistych kopułach cerkwi. W sadach wiśnie i jabłonie, opruszone śniegiem, wyglądały jakby kwiecieciem pokryte, a przy śniegu ciemnymi zdawały się białe ściany kozackich chat, a całkiem już brudnymi małe żydowskie domki. Patrząc na głęboki szafir nieba, przypomniałem słowa kolendy, którą śpiewają na Boże Narodzenie dziewczęta ukraińskie: »Bywaj-że zdrów, a nie sam a z miłym Bogiem. Miły Bóg w miłym Niebie.

Wojsko ustawiło się na rynku gęstymi kolumnami, ja stałem przed frontem konno, mając za sobą sztandary. Ojciec Daniło w pół żywy, czytał katechizm tak cicho, że słów prawie słyszać nie

było. Bestuzew więc przystąpił do niego, wziął mu z rąk papier i sam czytać zaczął głośno i z przejęciem.

— W imię Ojca i Syna i Ducha świętego. »Dlaczego Bóg stworzył człowieka«?

— Dlatego, aby wierzył w Niego i był wolny i szczęśliwy.

— Dlaczego lud rosyjski i żołnierze nie są szczęśliwi?

— Dlatego, że samowładni carowie odebrali im swobodę.

— Co nakazują święte prawa, ludowi rosyjskiemu i ludziom wojskowym?

— Wzbudzić w sobie skrucę za długie służalstwo, uzbroić się i wystąpić przeciw tyranii i niecnocie, a potem ustanowić rząd, zgodny z prawami Bożemi.

Zdawało się, że nie tylko słuchacze, wojsko wsłuchane z pożądliwą uwagą, zastraszeni mieskańcy Wasilkowa, horodniczy Prytulenko, sędzia Dragańczuk, poczmistrz Beznosikow, kancelista z obwiązaną twarzą, siwowąsy stary kozak i stepowy pan, ziemianin z okolicy, prosta baba przepupka i dwaj żydki z rudymi pejsami, lecz i brudne, żółte ściany powiatowego urzędu, pułkowego odwachu i magazynu prowiantowego patrzyły na nas ze zdumieniem i zdały się mówić.

— To nie to! Nie to!

A gruchające w słońcu gołębie i wiśnie osypane śniegiem i błękitne, głębokie niebo odpowiadały zda się.

— Właśnie to! Właśnie to!

— Chrystus rzekł: nie bądźcie niewolnikami człowieka, bo odkupiłem was krwią moją — czytał dalej Bestuzew coraz głośniejszą i górną. Świat

nie usłuchał wezwania Bożego i dlatego popadł w nieskończoność, lecz cierpienia nasze waruszyły Najwyższego i dlatego posyła nam dziś wolność i zbawienie. Ruskie rycerstwo zaprowadzi wolność i wiarę w Rosyi i będzie jeden Pan na niebie i ziemi Jezus Chrystus.

Skoro Bestużew skończył, nastała cisza, wielka cisza, a w ciszy tej rozległ się mój głos. Co mówiłem, nie pomnę, a tylko pamiętam, że była taka chwila, gdy zdało mi się, że oni naraz wszystko pojęli. Choć umrę, nic nie zdziaławszy, czułem, że za taką chwilę umrzeć warto. Zdjąłem czapkę, przekleśnałem się i podniósłszy szpadę, zawołałem:

— Dzieci! Za wiarę i wolność, za Króla Chrystusa. Ura!

— Ura! — odpowiedzieli zrazu cicho, nieśmiało, a potem krzyknęli głośno z zapamiętaniem.

— Ura! Konstanty!

— Głupio jakoś było krzyzczeć »Ura! Jezus Chrystus«, więc ktoś mądry podsunął im »Ura Konstanty«. Podchwycili to, ucieszyli się i zrozumieli, że to właśnie to.

I ja również tak to pojąłem, jak gdybym zasnął ponownie tym samym strasnym snem co onegdaj, gdy ujrzałem Gebla poranionego, okrwawionego, przypartego do ściany, gdy go biłem mimo że zasłaniał się rękami, gdy okładałem go kolbą karabinu i chciałem zabić, a nie mogłem. Twarde ma djabeł życie.

Djabeł śmiał się w tej chwili ze mnie tryumfalnym śmiechem.

— Ura! Ura! Konstanty!

*

Dalej nie mogę rozpamiętywać. Wstyd mi i straszno, i poco? Skoro i tak śmierć blisko.

Niech więc drudzy opowiedzą, czem skończyła się moja wyprawa za królowanie Chrystusa? Czy za cara Konstantego? Jak cztery doby krążyliśmy jak zakłeci w jednym miejscu, między Wasilkowem a Biało-Cerkwią, około Trzyłasów tej samej wsi, gdzieś bili Gebla. Czekaliśmy wciąż odsiecz, lecz nikt z nią nie pospieszył; wszyscy zawiedli nas, złudzili, sprzedali. Z początku tyłu się do nas zbiegało ochotników, żeśmy nie wiedzieli co z nimi począć, a potem oficerowie jeden po drugim wymykać się zaczęli do Kijowa, by poddać się władzom. Umykali kto w czem mógł, niektórzy w szlafrokach. I duch w wojsku upadł. Skoro żołnierze prosili mnie o pozwolenie, by trochę pograbić, a ja odmówiłem, wszczęły się szemrania.

— Nie za cara Konstantego idacie Murawiew — sarkali żołnierze — a za jakąś tam wolność. Jeden Bóg na niebie, jeden car na ziemi! Murawiew oszukuje nas.

W Wasilkowie już zdarzały się po szynkach burdy. A w czasie pochodu przy każdej karcmarze przydrożnej stawiałem sztyldwachów, lecz ci pierwsi opijali się. Nie zapomnę nigdy pijanego żołnierszyny, którego widziałem u wrót szynkowni, jak zwaliwszy się na ziemię, wrzeszczał, klnąc w ojca i matkę.

— Nikogo się teraz nie boję. Hulaj dusza! Teraz wolność!

*

Naraz obiegła wszystkie szynki pogłoska o zamierzonej rzezi. »Trzeba tylko — mówiono — noże wyostrzyć, a potem rznąć«. »Wyszedł od cara

ukaz, żeby wyrzucić wszystkich żydów i panów, żeby ich już raz na świecie nie było. W szynku Mordka Samulisa, kozak pewien z Czuhajewa opowiadał:

— Jakby się już raz rzeźnię zaczęło, to ja bym nie potrzebował ani piki, ani noża, a tylko bym szczypę ostrugał i osmolił, a potem nadziałbym na nią głowy siedemdziesięciu panów i siedemdziesięciu żydów; a inny znów żołnierz z Białocerkwi, objaśniał.

— Jak zaśpiewają Chrystus zmartwychwstał! na świętej Jutrznii wtedy zaczęła ludźmi rżnąć.

Tak to zjednoczył lud Chrystusa z wolnością.

*

Niech drudzy opowiedzą, jak sześć rot mego oddziału, chluba i duma pułku, przeobraziło się w ciągu paru dni w szajkę rozbójniczą, w pijany motłoch Pugaczewski. Nie zdążyłem opamiętać się gdy się to już stało. Jak mleko zsiada się w czasie burzy, tak dokoła mnie wszczął się rozkład.

Wtedy to zrozumiałem rzecz straszną, że dla ludu rosyjskiego, wolność, to morderstwo, rozbójnictwo, bratobójstwo, zbrodnicość nieposkromiona, że z Bogiem — niewola, a wolność — z dyabłem. I kto wie! gdybym się był zgodził zostać atamanem takiej zbrodniczej szajki, nowym Pugaczewem to być może oni by mnie nie wydali i zleciałyby się do mnie zewsząd na pomoc, wszystkie dyabły, i poszliby ze mną na Kijów, na Moskwę, na Petersburg i kto wie wstrząsnęlibyśmy może cesarstwem rosyjskiem.

*

30 stycznia, o drugiej godzinie po południu, na wzgórzach Ustinowskich, koło wsi Połohy,

spotkały nas cztery szwadrony huzarów Maryampolskich z dwoma armatami, pod dowództwem generał-majora Gejemara.

Władze stchórzyły tak, że na moją niespełna tysięczną garstkę rzucono wszystkie prawie pułki 3 korpusu kijowskiego, oddział zaś Gejemara był tylko przednią strażą owej siły zbrojnej. Myśmy wiedzieli, że w tym oddziale wszyscy komendanci są członkami tajnego związku, lecz nie wiedzieliśmy, że właśnie wczoraj aresztowano ich w Kijowie i zastąpiono innymi oficerami. Ucieszyliśmy się więc, mniemając, że to nasi spieszą nam z pomocą, szaleliśmy z radości wierząc w cud. I nie my tylko, żołnierze także do ostatniego.

*

Dzień był tak samo promiennie jasny, jak 31 grudnia, niebo tak samo błękitne, do głębi »miłe niebo z miłym Bogiem«. I znów tak samo jak na Wasilkowskim rynku, była taka chwila, gdy mi się zdało, że wszyscy zrozumieli i że wojsko moje to już nie szajka rozbójnicza, a rycerstwo Boże.

Żołnierze szli prosto na działa z męstwem beztrwożnem. Zagramiała kanonada, granaty przelatywały nad głowami naszymi, a myśmy szli. Kartace zawyły, a ogień był morderczy, padali ranni, a myśmy szli i wciąż jeszcze wierzyliśmy w cud. Nagle uczułem, jakby mnie ktoś pałką po głowie uderzył. Spadłem z konia i wgniotłem się twarzą w śnieg. Gdy się ocknąłem, obaczyłem nad sobą Bestuzewa, który mnie dźwignął i obcierał mi twarz chustką. Twarz miałem zalaną krwią, kartacz ugodził mnie w głowę. Chustka przemočila na wskrós, a krew płynęła bez przerwy. Gefreiter Łazykin, ulubieniec mój, przystąpił do

mnie. Nie poznałem go prawie, tak straszliwie miał skrzywioną twarz i tak dziwnie po babaku chlupał.

— Za coś ty nas zgubił? Ty zwierz! Sukin-syn przeklęty! — Rzucił się na mnie z bagnietem, ktoś zasłonił mnie, żołnierze obstąpili nas i wydali huzarom.

Później dowiedziałem się, że rzucili wszyscy karabiny i poddali się, że nie oddali ani jednego strzału od chwili, gdy zrozumieli, że cuda nie będzie.

*

Wieczorem przywieźli nas pod konwojem do Trzylasów, zawsze to przekłete miejsce. Wsadzili nas do pustej karcamy. Brat Maciej dostał skądś łóżko i ułożył mnie. Omdlewałem często z powodu utraty krwi z nieopatrzonej rany. Trudno mi było leżeć; brat podniósł mnie nawpół i oparł głowę moją na swoim ramieniu. Naprzeciw nas leżał w kącie na słomie Kuźmin, także ranny.

Miał lewe ramię całkiem zdruzgotane od granatu. Ból musiał to być nie do zniesienia, lecz on krył go w sobie i nie jęknął ani razu, tak, że nikt prawie nie wiedział, iż jest ranny. Ściemniło się, podano światło, Kuźmin prosił mego brata, by się do niego zbliżył. Brat mój wskazał, milcząc, na moją głowę. Wtedy Kuźmin przyczołgał się z wysiłkiem do nas, uściśnął rękę mego brata w sposób, jakim poznawali się wtajemniczeni w bractwie zjednoczonych słowian, poczem wrócił na miejsce w swój kąt. Nikomu nie chciało się mówić; wszyscy milczeli. Nagle rozległ się strzał. Straciłem przytomność, a gdy się ocknałem, po przez dym z prochu wypełniający

izbę, dostrzegłem Kuźmina na słomie z okrwawioną głową. Strzelił sobie w skroń z pistoletu, który miał ukryty w rękawie płaszcza i zabił się na miejscu. »Śmierć albo swoboda« prężył i przysięgi dotrzymał.

*

Na Ustinowskich wzgórzach zginął młodszy mój brat, Hipolit Iwanowicz, Apostoł Murawiew, dwiętnastoletni młodzieniec. Dnia 31 grudnia przed samem wyruszeniem naszym w pochód, przyleciał do Wasilkowa pocztową trójką, prosto na rynek. Dopiero co właśnie zdał był świetnie egzamin oficerski w szkole konnych szefów kolumny, dostał stopień i nominację do sztabu 2-ej armii. Wyjechał z Petersburga 13 grudnia z wieściami dla nas od tajnego związku północnego i prośbą o pomoc.

Chciałem go ratować i błagałem na wszystko, by jechał dalej, lecz on nie chciał i został z nami. Mocniej od wszystkich wierzył w cud. Zaraz na rynku zamienił pistolety z Kuźminem i przysięgli obaj »Swoboda lub śmierć«. Dotrzymał przysięgi. Na Ustimowskich wzgórzach widząc, że padł, rażony kartaczem, myślał, że zabity i odebrał sobie życie wystrzałem z pistoletu w usta.

Rankiem 4-go stycznia, zajechały sanie, które miały wieźć mnie i brata Macieja do Białej cerkwi. Prosiłszy konwojowych, by pozwolili nam wpierv pożegnać się z Hipolitem. Długo wzdragali się, wreszcie zaprowadzili nas do niezamieszkałej chaty. Tu w pustej, zimnej i ciemnej izbie leżały na gołej podłodze nagie ciała zabitych; widocznie husarzy nie wstydaili się ograżyć ich i rozebrali ich do naga. Wśród nich ciało Hipolita. Nagość jego była przepiękna, jak młodego boga. Twarz

nie naruszona wystrzałem, tylko pod okiem na policzku, mała, ciemna plamka. Wyraz twarzy spokojny i hardy. Brat pomógł mi uklęknąć, pocałowałam zmarłego w usta i rzekłem: Do widzenia.

Dziwnie! Sumienie dręczy mnie o wszystkich, których zgubiłem, a o niego nie. Najczystsza ofiara, najczystszej miłości. Powiedziałem mu wtedy do widzenia, a teraz wiem, że to już rychło. Ty pierwszy spotkasz mnie tam Hipolicie! Ty mój aniele biało-skrzydły.

*

Jutro, dwunastego lipca, ogłoszą wyrok.

*

Wyrok ogłoszony. Pestel, Rylejew, Kachowski, Bestuzew i ja, skazani na ćwierutowanie, lecz zgodnie z wysokim miłosierdziem monarszem złagodzone wyrok, skazując nas na szubienicę. Raczono miłościwie zmienić ćwiertowanie na powieszenie, a ja jednak myślę, że nas rozstrzelają, nigdy jeszcze w Rosyi nie wieszano oficerów.

*

Takiż wyrok wydano na zabitych. »Kuzmin, Szczepiło, Hipolit, Murawiew Apostoł ćwiertowani; lecz wobec tego, że niepodobna ćwiertować i wieszac zmarłych, postawią na mogiłach ich w miejsce krzyżów szubienice i przybiją tablice z imionami ich, na wieczne pohańbienie«.

*

Zwałą podobno zwłoki ich do wspólnego nieświęconego dołu, w mogiłę bez krzyża, zapewne tam w okolicach Biało-cerkwi. Biała cerkiew, wróżebna nazwa. Będzie też nad nimi biała cerkiew.

*

Pamiętam pożegnanie moje z cesarzem Mikołajem Pawłowiczem. Obiecywał wszystkich ulaskawić, ścisnął mnie i całował z płaczem. »Ja może nie, mniej od was godzien litości; *je ne suis qu'un pauvre diable*. Biedny dyabeł w samej rzeczy najbiedniejszy z dyabłów; niech mu Bóg przebaczy, bo sam nie wie co czyni.

*

Jutro stracą nas. Teraz mi już wszystko jedno, czy powieszą, czy rozstrzelają; byle prędzej. Brat Maciej zazdrości mi, mówi, że śmierć byłaby dla niego błogosławieństwem; marzy o samobójstwie, chce się głodem zamorzyć. Pisuję do niego i zaklinam na pamięć nieboszczeni matki, by nie próbował targnąć się na swoje życie. Dusza odlatująca z ciała przed czasem przeznaczonym, dostanie się w ponure miejsce pobytu i rozłączone będzie na wieki z tymi, których kochała. Piszę mu tak a myślę sam, że jak z nogą złamaną chodzić się nie da, tak i z duszą złamaną żyć niepodobna.

*

Brat Maciej nie chce żyć, a Bestuzew umierać nie chce. 23 lata, dziecko prawie. Nie oczekiwał wyroku śmierci, do ostatniej chwili miał nadzieję. Męczy się, lęka. A i teraz słyseż jak miota się w swej celi, tłucze się jak ptak o ściany klatki. Nie mogę znieść tej jego męki.

*

Brat Maciej i Bestuzew, dwa skrajne przeciwieństwa. Jeden zbyt cienki, drugi zbyt lekki, jak dwie szalki u wagi, a ja w środku nich jak strzałka wiecznie drżąca.

*

Widziałem we śnie mamę i Hipolita. Taka radość! jakiej nigdy na jawie nie bywa. Mówili oboje, że ja jeszcze głupiutki jestem i nie wiem o czemś najważniejszym.

*

Siedzę w Kronwerskim forcie pod numerem 12, a tuż obok do numeru 11-go przeprowadzono niedawno Waleryana Golicyna z Aleksandrowskiego fortu. Skoro się kazamaty tak zaludniły, że miejsca zabrakło, przegradzono je drewnianymi ścianami, na mniejsze klatki. Surowe drzewo sosnowe zeschnęło się i powstały między deskami szczeliny. Przez jedną z takich szpar porozumiewamy się z Golicynem. Lubię go. Ten wszystko rozumie, także przyjaciel Czadajewa. Szkoda, że nie mogę wszystkiego spisać. Rozmawialiśmy o Ojcu i Synu, o Matce przeczystej ziemi — i tak samo jak we śnie czułem, że nie wiem czegoś co najważniejsze.

*

Oddam Golicynowi te zapiski niech je sam przeczyta i odda następnie Ojcu Piotrowi Myśłowskiemu, który obiecał je przechować. Ostatnimi dniami pisałem swobodnie nie ukrywając się. Nikt mnie nie szpieguje. Atramentu i papieru mam dostatek. Ugaszczają nas przed śmiercią — dogadzają. Pieszczą ofiary. Lecz czas kończyć. Dzisiejszej nocy stracenie. Pieczętuję flaszkę i rzucam ją w ocean przyszłości.

Słońce zachodzi; moje ostatnie słońce takie krwawe dzisiaj, jak codzień w tych czasach. Od upalnego skwaru i posuchy, palą się lasy i błotne torfowiska w okolicach miasta. W powietrzu dymne opary. Słońce wschodzi i zachodzi jak zmętniała szkarłatna kula, a we dnie czer-

wieni się po przek zasłonę dymu jak rozgorzała głownia. Ich to krwawe słońce, to może pochodnia krwawa mściwych Eumenid dla nas, dla Rosyi; żagiew wschodząca, która już nie zajdzie.

*

Miałem sen. We śnie tym na czele powstańczych rot rozbójniczej szajki, przebiegłem całą Rosyę jako zwycięzca. Wszędzie wolność bez Boga, zbrodnia i bratobójstwo nieukrócone. A nad Rosyą całą obróconą w czarne pogorzelisko, widniało słońce krwawe, krwawa czasza dyabelska. I Rosya cała, zbójcka szajka pianego motłochu szła za mną krzycząc:

— Hurra! Murawiew. Pugaczew! hurra! Jezus Chrystus!

*

Mnie ten sen już nie straszny; lecz czy nie strasznym będzie dla wnuków i prawnuków!

*

Nie! Czadajew nie miał racyi. Rosya to nie biała karta: Zapisano już na niej słowa »Krwieństwo zwierza«. Straszny jest »Car zwierza« lecz czy nie straszniejszy odeń »Naród zwierza«. Rosya nie zbawi się dopóki z łona jej nie wyrwie się głos bólu i »kruchy, którego echo wypełni cały świat.

*

Słyszę już ciężkie stapania. Zwierz idzie!

*

Rosya ginie! Rosya ginie! Boże zbaw Rosyę!

ROZDZIAŁ VII.

»Ile razy wchodzę do celi Sergiusza Iwanowicza ogarnia mnie to samo uczucie kornej czi, co gdy wstępuję na stopnie ołtarza dla służby Bożej«.

Słowa te przysły na pamięć Golicynowi, skoro przeczytał zapiski Murawiewa: »Mój testament Rosyi«.

Okno celi było otwarte. Z powodu upałów lipcowych, nieznośnie skwarnych, władze więzienne pozwoliły na otwieranie okien, z obawy, by się więźniowie nie podusili. W ciszy nocnej dochodził od Kronwerskiego nasypu głuchy stuk topora i łaskot młotów. Golicyn nie słyszał tego, dopóki czytał, lecz ukończaywszy, zauważył: »Stuk! Stuk! Stuk!« i znów cicho: »Stuk! Stuk! Stuk!«.

— Co oni robią? — myślał.

Zrana jeszcze zauważył na wale robotników ciesielskich, którzy coś majstrowali, dzwigali, to opuszczali dwa czarne słupy. Jenerał adjutant w kapeluszu z białym pióropuszem, nadjechał konno i patrzył przez lornetkę na roboty cieśliów, a potem wszyscy znikli.

I oto znów: Stuk! Stuk!

Staął przy oknie i wyjrzał. Lipcowa noc była jasna, lecz w powietrzu, jak wogóle w tych dniach opary, dym i mgła. W tej mgle na wale snuły się cienie, które dzwigały, to opuszczały dwa czarne drągi. »Co oni robią?« — myślał Golicyn. A z sąsiedniej celi dochodził go szept. To Murawiew po przez szczeliny ściany szeptał do Bestuzewa, przygotowując go na śmierć.

Golicyn padł na swój tapczan i zakrył się z głową prześcieradłem. Przypomniawszy sobie, co mu mówił Mysłowski o pięciu esadzonych na śmierć.

— Nie zlekniście się tego, co wam powiem — mówił Ojciec Piotr. — Wyprowadzą ich pod szubienicę, ale w ostatniej chwili przyleci goniec cesarski i przywiezie im ulaskawienie.

— Przecież konfirmacya wyroku już podpisana — przeczył Golicyn.

— Podpisana? Konfirmacya dekeracya — upewniał ojciec Piotr z tajemniczym mruganiem.

Były też inne pogłoski o ulaskawieniu, które Golicyn rozpamiętywał żarliwie.

Cały zarząd więzienia był przekonany, że wyroki nie zostaną wykonane, że egzekucyi nie będzie.

Ulaskawią — twierdził placmajor Poduszkin. — Kara śmierci zniesiona ustawowo w Rosyi, jakże cesarz może naruszyć prawo.

— Ulaskawią — twierdzili szyldwachy — sam cesarz winien temu, co było czternastego. Za cóż ich karać?

A cesarzowa Marya Fedorówna otrzymała jakoby od cesarza list, w którym upewniał ją, że nie będzie krwi przelanej z powodu wyroku.

A młoda cesarzowa Aleksandra Fedorówna miała błagać na klęczkach o zmiłowanie.

Cesarz wyrazić się miał: »zadziwię świat i Europę«. Słowa te wyrzec miał do księcia Wellingtona.

Na wyrok sądu najwyższego odpowiedział, że nie zezwoli nie tylko na ćwierutowanie, jako na śmierć męczeńską, ale i na rozstrzelanie, które stosowane być powinno tylko do wojennych przestępców, ani na odcięcie głowy, na żadną wogóle karę, połączoną z przelewem krwi. Sędziowie więc skazali na powieszenie; stryczek obchodzi się bez przelanej krwi, lecz mimo to ulaskawienie będzie.

Próżno Golicyn okrywał głowę prześcieradłem, aby łaskoty nie słyszeć. Stuk! Stuk! Stuk. Wciąż to samo, cisza i znów powraca.

— I ktoś to karze? Car, czy Rosya? Zwierz, czy królestwo zwierza?

Zerwał się z nagłym lękiem. Tam na wale dźwigają się, to opadają dwa czarne słupy, a na nich zawisł przyszły los Rosyi, jak na straszliwej szali.

»Jeruzalem! Jeruzalem! Mordująca proroki twe, kamienująca wysłańców Bożych. O! gdybys choć w twój dzień poznała, co służy pokojowi twojemu. Lecz owo zakryte jest przed oczyma twojemi. I oto przyjdą na ciebie dni, gdy wrogi twoje okrzęzą cię, otoczą, osaczają ze wszęch stron i wybija dzieci twoje na łonie twojem, rozburzą cię i nie zostawia ani kamienia na kamieniu, za to, żeś w czasy swoje nie poznała nawiedzenia swego«.

Golicyn osunął się na klęczki i sjednoczył głos swój z szeptem przedśmiertnym, dochodzącym z za ściany.

— Rosya ginie! Rosya ginie! Boże, zbaw Rosyę!

*

Rylejew po wyjściu ojca Piotra, który wyspowiadał go i podał mu Komunię, wyjął z kieszeni zegarek i spojrzął na godzinę. Była dziewiętnasta minuta po pierwszej; wiedział, że o trzeciej przyjdą po niego. Zostało mu więc jeszcze dwie godziny i czterdzieści jeden minut. Położył zegarek na stole i śledził posuwanie się wskazówki; dziewiętnaście, dwadzieścia, dwadzieścia jeden minut.

— No cóż, czy straszno! Nie, nie straszno, tylko jakoś dziwnie. Cóż podobnego do wrażenia, o jakim czytał w książce astronomicznej, że gdyby człowiek dostał się na małą planetę, to

mógłby podnosić z łatwością największe ciężary, odrzucać walące się na siebie skały, jak lekkie piłeczki. Albo jeszcze podobne do stanu magnetycznego. Czytał o tem, gdy zajmował się mesmeryzmem. W ciało zamagnetyzowanej wbijają igły, a ona tego nie czuje. Tak było z nim. Wbijał sobie w duszę ostre igły, próbował jedną po drugiej, czy nie ukole.

Strach nie klół, a gniew? Przypomniawszy swój gniew na cesarza. Oszukał, spodlił, znieprawiał, wymęczył, przyjaźń kłamał, a teraz zabija. Lecz i gniewu już nie czuł. Rozumiał, że gniewać się na cesarza, to samo, co bić pięścią w ścianę, o którą się człowiek potknął. A wstyd? Niedawno jeszcze palił go wstyd, jak rozpalone żelazo, gdy wspomniawszy, jak go Kachowski spoliczkował przy konfrontacji naocznej, jak go nazwał podłym. Lecz teraz i wstyd już nie palił. Żelazo rozpalone wystygło, jak wodą zalane. Niech się Kachowski nie dowie, niech nikt nigdy nie wie, że on podłym nie był. Wystarczy mu, że sam o tem wie.

Jeszcze jedna, ostatnia, najostrejsza igła została mu. Żal za swojemi. Wspomniawszy Natalię, zaczął przeglądać jej listy; czytał je:

»Ach drogi mój — pisała — sama nie wiem, co ze mną! Czekam rozstrzygającej chwili między strachem a nadzieją. Możesz sobie wyobrazić moje położenie; sama jedna na świecie z niewinną sierotą. Ciebie jednego miałymy, w tobie nasze szczęście. Modłę się do Wszechmocnego, by uradował mnie wiadomością, żeś ty niewinien. Ja znam twoją duszę, wiem, że nigdy nie chciałeś zła, zawsze pragnąłeś dobra. Zakliam ciebie, nie trać nadziei w miłosierdzie Boże i we

współczucie znieśli monarchy. Żegnaj nie-
szczęsny mój męczenniku, niech Boskie miłosier-
dzie będzie z tobą. Kaftan i dwie nocne szlafmice
przysnę z bielizną. Nastienka zdrowa, myśli, że
jesteś w Moskwie. Ja jej ciągle opowiadam, że
pojedziemy do ciebie. Cieszy się, gotuje do drogi
i wciąż pyta, czy prędko mam?

Tu był dopisek ręką Nastienki dużym dziecin-
nem pismem:

»Drogi tatusiu! Całuję rączki. Przyjeżdżaj prę-
dzej, bo mi tęskno. Pojedziemy do babuni«.

Tu uczuł pod powiekami coś wilgotnego, czyż-
by łzy?

Przeszła igła przez znieczulone ciało i trafiła
w żywe. Boli? Nie bardzo, ot i przeszła. Po-
myślał tylko, że dobrze iż nie prosił o pożegna-
nie ostatnie z żoną. Przestraszyłby ją śmiertelnie.
Żywi boją się umarłych, im bliżsi, tembardziej...
Przypomniawszy sobie jednak, że trzeba coś do niej
napisać, a sam nie wiedział co. Przymusił się
i zaczął:

»Jestem w stanie tak radosnego spokoju, że
wyrazić tego nie potrafię. O droga przyjaciółko,
jak dobrze jest być chrześcijaninem«.

Uśmiechnął się. Onegdaj ojciec Piotr doniósł
mu, że archiereje będący członkami najwyższego
trybunału odmówili podpisów swoich na wyroku
śmierci.

»Bez względu na to, jaki będzie wyrok, nie
uchylamy się od niego, a tylko z duchownego
naszego charakteru wynika, że do podpisania wy-
roku, przystąpić nie możemy«.

Wszak on tak samo; robi to wszystko, co
z charakteru jego wynikać winno.

Niedawno przeglądając listy Natalii, znalazł
własne notatki, które jej chciał przesłać, doty-
czące przeważnie spraw gospodarskich i inte-
resów.

»Trzeba wnieść w lombardzie 700 rubli. Kra-
wcowi żydowi Jachimkowi oddaj dług, jeśli się
dowiesz, że Kachowski nie może zapłacić. Akcje
moje leżą w biurku, w górnej szufladzie z lewej
strony. Na wsi cały owies i siano sprzedaj. Na-
leżałoby odprawić starostę Konona, choć szko-
da, bo staruszek uczciwy, jakiego dziś nie znaj-
dzie«.

Jak człowiek patrzący na swój dawny portret,
tak on zdziwił się czytając:

— Czy to ja?

Zrobiło mu się cekiwo!

Nadno mi! tak mi istność zbrzydła!
Jak na obczyźnie dni się wloką.
Któż mi gołębie przypnie skrzydła?
Bym lecieć mógł, choć w noc głęboką,
Świat ten mogiłaym technie wyziewem.
Więc dusza z ciała rwie się rada...

Wyziewem śmierci technęło życie. Widocznie
nie tylko umarli cuchną żywym, lecz i żywi umar-
łym.

Spojrzał na obraz. Czy by się nie pomodlić?
Lecz nie; z tem już skończone. Modlitwa dziś
westchnienie. Modleniem się będzie, gdy zatchnie
się z pętlą na szyi.

Znów o czemś pomyślał, lecz tak daleko, jak
by całkiem bez myśli. Myśli swych nie widział,
jak przy szybkim obrocie koła nie widzi się
szprychów. Powtarzał tylko w duchu z wzrasta-
jącym zdumieniem:

— Więc to to? Więc to tak jest!?

Znużony przyłożył się.

— Byleby nie zasnąć myślał. Powiadają, że skazani na śmierć, śpią zwykle twardo.

Z tą myślą zasnął.

Zbudził go łoskot kroków i stukanie drzwiami w korytarzu. Zerwał się, spojrzał na zegarek; już czwarta. Zaskrzypiały zamki i rygle. Lęk zmroził go całkiem tak jakby go zanurzono z głową w zimnej wodzie. Lecz skoro spojrzał na twarze wchodzących, plac-majora Poduszkina i stróża Trofimowa, lęk błyskawicznie zniknął, jakby go zdjął z siebie i im przekazał. Teraz im straszno, a nie jemu.

— Czy już czas Jagorze Michajłowiczu — spytał Poduszkina.

— Nie, jeszcze dość czasu. Nie przyszedłbym jeszcze, ale tam wciąż nagła, choć i tak nie gotowe.

Rylejew zrozumiał, że szubienice jeszcze nie gotowe. Poduszkin nie patrzył mu w oczy i Trofimow także jakby się wstydzili. Rylejew uczył wtedy, że i on się wstydzi. Była to wstydlivość śmierci, podobna uczuciu jakiego doświadcza człowiek, którego obnażają zdejmując mu odzienie. Wstyd duszy obnażanej.

Trofimow przyniósł kajdany i aresztancką odzież. Rylejew był dotąd we fraku, tym samym, w którym go aresztowano, i miał na sobie czystą koszulę z ostatniej przesyłki Natalii, podług ruskiego obyczaju, który każe kłaść na umierających czystą bieliznę. Przebrawszy się usiadł za stołem i podczas gdy Trofimow wkładał mu kajdany, pisał list do Natalii. Znowu szło jak z urzędu, lecz nie zważał już na to i nie zmuszał się, ona i tak zrozumie. Jedno tylko wypadło szczerze.

Miła przyjaciółko dałaś mi szczęście niezmiennie przez osiem lat. Uczuć moich wyrazić nie potrafię — dziej się wola Boża.

Wszedł O. Piotr. Mówić coś zaczął o skrussie, o przebaczeniu, poddaniu się woli Bożej, lecz skoro zauważył, że go Rylejew nie słucha, zmienił ton i rzekł po prostu.

— No cóż Konradzie Fedorowiczu, może mi coś jeszcze polecicie.

— Nic! jak nic, zdaje się wszystko powiedziałem ojciec Piotrze — odpowiedział Rylejew równie prosto.

Uśmiechnął się i chciał pożartować.

— No, jakie ojciec, więc confirmacja wyroku, dekoracya?

— »Confirmacya, dekoracya« — mawiał poprzednio ojciec Piotr, chcąc wzbudzić w więźniach wiarę, że zatwierdzenie wyroku przez cesarza jest tylko komedią.

Lecz spojrzawszy na Mysłowskiego, Rylejew zrozumiał, że tamtemu jest wstyd i straszno, wziął jego rękę i przyłożył sobie do serca.

— Słyszycie, jak bije?

— Słyszę.

— Równno?

— Równno.

Wyjął z kieszeni chustkę i podał Mysłowskiemu.

— Oddajcie to cesarzowi, nie zapomnijcie.

— Nie zapomnę, a co powiedzieć?

— Nic, on już będzie wiedział.

Była to ta sama chustka, którą Mikołaj ocierał łzy Rylejewa, gdy ten płakał u stóp jego porażony, wstrząśnięty carskiem miłosierdziem.

Poduszkin wyszedł, a gdy wrócił, Rylejew z twarzy jego odgadł, że już czas.

Wstał; przeżegnał się przed ołtarzem; przeżegnał Poduszkina Trofimowa i samego nawet ojca Piotra i uśmiechnął się do niego, jakby mówiąc:

— Tak, teraz już nie ty mnie, a ja ciebie.

Żegnał potem na cztery strony jakby przyjaciół i wrogów niewidzialnych i zdawało się, że robił to nie sam z siebie, a że mu to ktoś nakazał, komu był posłuszny. Poruszenia jego były tak pewne i naturalne, że się nikt nie zdziwił i każdy przyjął to, jak należy.

— No i cóż Jegorze Michajłowiczu, jam już gotów — rzekł i sam wyszedł z celi.

DOZDZIAŁ VIII.

Kachowski wiernym pozostał do końca swojej zasadzie. »Samotny żyłem i samotny umrę«. Spytając współwięźniów na korytarzu, nie przemówił do nich nigdy słowa, nie podawał ręki, trwał w mniemaniu, że wszyscy są podli, zakrzepł niejako i skamieniał. Dnie i noce spędzał na czytaniu. Książek dostarczała mu Adelaida Jegorowna, córka plac-majora Poduszkina, którego mieszkanie położone było wprost naprzeciw okna celi Kachowskiego. Stara panna zakochała się w Kachowskim; siedziała wciąż przy oknie, grała na gitarze i śpiewała:

Jak samotny w pustej celi
Biedny więzień za swą krąg.
Och! gdybyście serce mieli,
Żalby zdjął was patrząc na to.

Kachowski miał serce miękie, a wzrok krótki, twarzy jej nie widział, a tylko suknie wszystkich kolorów tęczy, różowe, niebieskie, zielone, żółte,

miał ją więc za prześliczną osobę, całkiem jak Don Kiszot Dulcyneję. Do książek zabrał się posądliwie, zwłaszcza zaczytywał się w »Boską komedję«. Podróżował był dawniej za granicą, był i we Włoszech, rozumiał więc cokolwiek po włosku. Dwie zwłaszcza postacie wprowadziły go w zachwyt. Farinata i Kapaniusz *Quel magnanimo* (Kto? ten wspaniały?) Farinata degli Uberti męczy się w szóstym kręgu piekła, na ognistym cmentarzu Epikurejczyków i bezbożników. Skoro Dante zbliża się ku niemu z Wirgiljuszem, podnosi się na wpół z ognistej mogiły.

»W pół się podnosi z takim hardem czołem
Jak gdyby piekło miał w srogiej pogardzie«.

A olbrzym Kapaniusz jeden z siedmiu wodzów oblegających Teby, stracony do piekieł przez Zeusa, za bluźnierstwo, podobny dawnym tytanom, leży nagi na gołej ziemi pod ognistym deszczem.

Któż jest ten olbrzymi?
Co leży w ogniu z taką dumną twarzą,
Jak gdyby ogień nie palił mu ciała

pyta Dante Wirgiljusza, a olbrzym woła w odpowiedzi.

Qual fui vivo, tal son morto.

»Niech mnie raz jeszcze Zeus gromem ugodzi
Nie dam mu przeto, by się zemstą sycił«.

Kachowski sam miał się za podobnego, owym dwom wielkim wgardzieliom piekieł.

Skoro ojciec Piotr, zapytał go ostatniego dnia przy spowiedzi, czy przebacza swym wrogom, odpowiedział:

— Przebaczam wszystkim prócz dwóch podleców: cesarza i Rylejewa.

— Synu! — zatrwożył się ojciec Piotr — w ostatniej godzinie? przed śmiercią? Na Boga cię zaklinam, ukorź się i przebacź.

— Nie przebaczę.

— Cóż ja z tobą zrobię? jeśli nie przebaczysz, nie mogę ci dać komunii.

— To nie trzeba.

Ojciec Piotr musiał wziąć grzech na własną duszę, dając komunię zatwardziałemu.

A skoro przyszedł Poduszkin z Trusowem, by go prowadzić na śmierć, Kachowski spojrział na nich tak, jak człowiek co ma piekło w wielkiej pogardzie.

— Poszedł na śmierć, jakby szedł do drugiego pokoju, by zapalić papierosa — opowiadał później Poduszkin.

— Paweł Iwanowicz Pestel to człowiek najdoskonalej zrównoważony ze wszystkich spiskowców — mawiał o nim ojciec Piotr. Matematyk znakomity, wierzy w słuszność swych zasad, jak w pewniki matematyczne. Zawsze i wszędzie wierny sobie i nie zachwiać nie może jego stałości, sam, zda się, wynieść zdoła na barkach dwie góry alpejskie.

— Nie myślałem wcale o tem, co z nami zrobimy, lecz wszystko jedno, byle prędzej — oświadczył Pestel po ogłoszeniu wyroku.

A skoro pastor Reinbot zapytał go, czy gotów jest na śmierć, odpowiedział:

— Żał zdjąć z siebie starą kapotę, ale co robić?

— Jaką kapotę?

— A to nasz rosyjski poeta Delwig mówi:

My się śmierci nie lękamy, a z ciałem rozstać się
[trudno,
Tak, jak człowiek niechętnie starą zdejmując ka-
[potę.

— Czy wierzy pan w Boga? panie Pestel.

— Jakby panu powiedzieć; sercem nie wierzę, lecz rozumem wiem, że musi istnieć coś takiego, co ludzie nazywają Bogiem. Bóg potrzebny jest dla metafizyki, jak dla matematyki zero.

— *Schrecklich! Schrecklich!* — wyszeptał Reinbot i mówić zaczął o nieśmiertelności i życiu zagrobowem.

Pestel słuchał jak człowiek, któremu chce się spać, a wreszcie przerwał z uśmiechem:

— Szczerze mówiąc, mnie i to życie już dukać. Prawo rządzące światem sprowadza się do jednego pojęcia tożsamości. Istnieje ja, Paweł Iwanowicz Pestel, nic tylko ja, Paweł Iwanowicz Pestel, i tak już przez 33 lata, wciąż to samo. Nuda niespośna. Nie! Już lepiej nic; tam nie i tu nic. Dobry sen, to sen bez marzeń, dobra śmierć, bez przyszłego życia. Ja już bardzo smu spragniony jestem, panie pastorze.

— *Schrecklich! Schrecklich!*

Odmówił stanowczo przyjęcia komunii.

— Bardzo dziękuję wam, panie pastorze, ale ja tego wcale nie potrzebuję.

Skoro Reinbot zaczął go przekonywać i próbował obudzić w nim skruchę, rzekł, tłumiąc ziewanie:

— *Aber mein lieber Herr Reinbot wollen wir doch uns besser über die politik unterhalten* — i zaczął mówić o angielskim parlamencie.

Reinbot wstał.

— Wybacz pan panie Pestel, ja nie mogę mówić o takich rzeczach z człowiekiem idącym na śmierć.

Pestel także wstał i podał mu rękę.

— No cóż! Dobrej nocy panie Reinbot.

— Co mam powiedzieć waszym rodzicom.

Po twarzy Pestla bladej sółtawej, nieco obrzęklej (był on w tej chwili dziwnie podobny do Napoleona z pod Waterloo) przesunął się cień.

— Powiedźcie im — rzekł nieco drżącym głosem — że ja zupełnie spokojny, lecz nie mogę myśleć o nich bez szarpającego bólu. Oddajcie proszę ten list mojej siostrze Zofii.

List był krótki, pisany po francusku.

— Tysiąc razy dziękuję ci droga Zofio, za tych słów parę, które dopisałaś do listu naszej matki. Jestem nadzwyczajnie wzruszony twojem tkliwem współczuciem i twoją przyjaźnią dla mnie. Bądź przekonana droga przyjaciółko, że nigdy siostra nie była czulej kochana, jak ty przesyłnie. Żegnaj mi droga Zofio; twój czule przywiązany i serdecznie przyjaźny brat Paweł.

Oddał list pastorowi i towarzyszył mu do drzwi, jakby go chciał odprowadzić, lecz w progu zatrzymał się i ścisnął mocno jego rękę, mówiąc z uśmiechem.

— Dobranoc więc panie pastorze, powiedzże mi pan tak po prostu dobranoc.

— Ja nic nie mogę powiedzieć panu panie Pestel, ja tylko mogę...

Reinbot nie skończył; objął go tylko z łkaniem, uściśkał i wyszedł.

— Straszny człowiek! — wspominał następnie — miałem wtedy uczucie, że rozmawiam z samym szatanem. Zostawiłem go w zatwardziałości serca, polecając miłosierdziu Bożemu.

Gotując się iść na śmierć, Pestel zauważył, że zgubił złoty krzyżyk, który nosił pod kołosa, podarek Zofii. Złakł się, zbladł i drzeć zaczął cały jak gdyby wraz z tem, utracił całe

swoje męstwo. Szukał długo, wymacując odzież drżącymi palcami, wreszcie znalazł i ucałował krzyżyk żarliwie; włożył następnie na szyję i uspokoił się.

Czekając na Peduszkiną usiadł na krześle, spuścił głowę i zamknął oczy: Być może nie spał, lecz wyglądał jak człowiek śpiący.

*

Michał Pawłowicz Bestuzew Riumin bał się śmierci, podług własnych słów jak ostatni tchórz i podlec. Podobny był trzepoczącej się w klatce ptaszynie, po którą kotka wyciąga pasurzyste łapki. Niekiedy płakał ze strachu, jak małe dziecko i wcale się tego nie wstydił, że znów działo się.

— Co się ze mną stało? Nigdy przecie nie byłem tchórzem. Stałem pod kartaczami na Ustimowskich wzgórzach i nie bałem się, dlaczego teraz tak tchórzę.

— Wtedy szedłeś na śmierć z własnej woli, a teraz z mousu. Lecz i tak nie bój się, czego się masz bać? Wszystko przejdzie — pocieszał go Murawiew, choć widział, że jego pociechy nie skutkują.

Bestuzew bał się tak, iż zdawało mu się, że nie wytrzyma i utraci w samej rzeczy rozum, albo i umrze ze strachu przed egzekucją, jak ostatni tchórz i podlec.

Murawiew wiedział coby go uspokoiło. Bestuzew bał się, bo miał jeszcze nadzieję, że konfirmacja wyroku, to dekoracja, że w ostatniej chwili przyleci jeszcze goniec cesarski z ulaskawieniem. Aby poskromić strach, należało mu odebrać tę nadzieję. Lecz z drugiej strony Murawiew nie wiedział, czy można było to robić, czy nie

lepiej by przysłała mu oczy święta zasłona nadziei.

Bestuzew siedział obok Murawiewa w celi numer 13 kronwarskiego fortu. Dzieliła ich tak samo cienka przegroda drewniana, jak od strony celi Golicyna i była w ścianie między deskami taka sama szczelina. Ustawili tapczany swoje w ten sposób, że leżeli do siebie głowami i mogli rozmawiać przez szczelinę.

W ostatnią noc przed śmiercią Murawiew czytał Bestuzewowi ewangelię po francusku, gdyż obaj słabo rozumieli po słowiańsku.

»Przyšli na miejsce, które zwało się Getsemani, a wtedy on rzekł uczniom swoim: Zostańcie, zanim się pomodłę i wziął z sobą Piotra, Jakóba i Jana i począł lękać się«.

— Poczekaj Sierozu! — zatrzymał go Bestuzew, co to takiego? Co?

— A co Misza?

— Czy tam naprawdę napisano »lękać się zaczął«.

— Tak napisano.

— A czegoż on się lękał? Czy śmierci?

— Tak, cierpienia i śmierci.

— Jakże to? Bóg i śmierci bał się.

— Nie Bóg, a człowiek, on Bogiem był i człowiekiem razem.

— Więc niech i człowiekiem. A czyż mało jest ludzi odważnych? Oto Sokrates na przykład cykutę wypił, nogi mu drętwiały a on jeszcze żartował. A tu co? Tak jak ja.

— Tak, jak ty Misza.

— No, więc ja nie podły.

— Nie! Nie podły. Ty może lepszy od wielu ludzi, co trwogi nie znają. Trzeba kochać życie, trzeba bać się śmierci.

— A ty nie boisz się?

— Owszem, boję się: mniej jak ty, ale to może gorzej, że ja mniej. Oto na przykład Matiusza, brat mój i Pestel, co wcale się śmierci nie boją, i to całkiem niedobrze.

— A Hipolit?

— Hipolit nie widział śmierci; kto bardzo kocha, ten śmierci nie widzi, a my nie bardzo kochamy, więc nam nie wolno nie bać się.

— No czytaj! Czytaj!

Murawiew dalej czytał, lecz Bestuzew znów go zatrzymał.

— Słuchaj Sierozu, jak ty myślisz? Czy ojciec Piotr to uczciwy człowiek?

— Uczciwy.

— A dlaczegoż kłamie, że ułaskawia, słyszał o gońcu?

— Słyszał.

— Dlaczego on kłamie? Przecież żadnego gońca nie będzie. Jak ty myślisz? Nie będzie? Dlaczego ty milczysz, Sierozu?

— Po głosie jego poznał Murawiew, że gotów znów rozbeczeć się, jak dziecko. Milczał, nie wiedząc, co począć, czy powiedzieć prawdę? Zdjąć z oczu jego świętą zaslonę nadziei, czy też oszukać go, pożałować? Pożałował i oszukał.

— Nie wiem, Misza! Kto wie? Może i będzie goniec.

— No dobrze, czytaj! — przemówił Bestuzew radośnie. — Wiesz, co przeczytaj? Izajasza proroka, pamiętasz w twoich zapiskach?

Murawiew zaczął czytać.

»I będzie w ostatnie dni...«

»Przekują miecze swe na oradła, a kopie na sierpy; i nie podnieśnie już naród przeciwko na-

rodowi miecza i nie będą się więcej uczyli, jak wojować.

»A w one czasy wilk mieszkać będzie społem z jagnięciem, a chłopię małe igrać będzie obok gniazda żmii«.

»I nie będą czynić zła, ani gwałtu na świętej górze mojej, bo ziemia cała napełniona będzie wiedzą o Panu, jako morze wypełnione jest wodami«.

»I stanie się, że zanim zawołają do mnie, ja już odpowiem i gdy jeszcze mówić będą, już usłyszę«.

»Jak dziecię cieszy matka, tak ja was ucieszę...«.

— Poczekaj! Czekaj! Jak dobrze! Nie ojciec, a matka; a wiesz? to właśnie tak będzie.

— Tak będzie.

— Nie! nie będzie, a jest! — zawołał nagle Bestuzew. — Przyjdź Królestwo Twoje, tak jest z początku. A w końcu »jako jest Królestwo Twoje« a wiesz, Sieroża, gdym czytał na rynku w Wasilkowie twój katechizm, była taka chwila.

— Wiem.

— Wiesz? i ty także? A wiesz, że w taką chwilę umierać nie straszno.

— Nie straszno.

— No! czytaj, czytaj! Daj rękę.

Murawiew wysunął rękę przez szczelinę, Bestuzew ucałował ją, potem przyłożył ją sobie do twarzy i zasnął na niej, jakby ją jeszcze we śnie całując. Czasem jeszcze wstrząsał się przez sen i jęknął niekiedy, jakby łkaniem, jak małe dziecko we śnie, lecz w końcu całkiem się uciszył i zasnął spokojnie.

Murawiew także zadrzemał. Zbudził go nagle straszny krzyk.

— Co to? Co to?

Zatknął uszy, żeby nie słyszeć, lecz wkrótce uciszyło się i słyszał tylko szcęk nakładanych kajdan i perswasye Trofimowa.

— Całowiek ze snu wasza wielmożność, jak małe dziecko, łatwo się nastraszy, a jak się zbudzi, to tylko śmiech.

Murawiew stanął przy ścianie, odgradzającej go od Golicyna i spytał przez szczelinę:

— Czy przeczytaliście mój testament?

— Przeczytałem.

— Wręczcie go ojcu Mysłowskiemu?

— Wręczę. A czy pamiętacie Murawiew jakiegoś mi mówili, że my o czemś najważniejszym nie wiemy.

— Pamiętam.

— A czy nie będzie to właśnie to, o czem mówi twój testament: Królowanie Chrystusa na ziemi i w niebie.

— Tak, lecz nie wiemy, jak to zrobić.

— A zanim się dowiemy, Rosya zginie.

— Nie zginie! Chrystus zbawi. — Umilkł i dodał szeptem. — Chrystus i jeszcze ktoś.

— Kto? — chciał zapytać Golicyn, lecz nie spytał, czując, że o takie rzeczy pytać nie wolno.

— Wyście żonaty, Golicyn?

— Żonaty.

— A jak imię waszej żony?

— Marya Pawłówna.

— A jak do niej mówicie?

— Marynko!

— Więc pocałujcie odemnie Marynkę. Bądźcie zdrowi, już idę; niech was Bóg strzeże.

Golicyn usłyszał stuk drzwí otwieranych, zgrzyt klucza, obracanego w zamku w sąsiedniej celi.

Skoro wyprowadzono wszystkich pięciu skazanych na korytarz pod konwojem grenadyerów pawłowskich, ucałowali się wszyscy oprócz Kachowskiego. Ten stanął na uboczu, zawsze równie kamienny. Rylejew spojrzał na niego i chciał zbliżyć się, lecz Kachowski odepchnął go milcząc oczyma, które zdawały się mówić: »Idź do diabła podlec«. Rylejew uśmiechnął się tylko na to, myśląc: »za chwilę pojmie«.

Poszli: najpierw Kachowski sam, potem Rylejaw z Pestlem, za nimi Murawjew z Bestuzewem, trzymając się pod rękę. Przechodząc obok drawi prowadzących do cel więziennych Rylejew zęgnął każdą znakiem krzyża, mówiąc przeciągle śpiewnym jakby wołającym tonem.

— Żegnajcie bracia! żegnajcie!

Słyszac kroki więźniów i głos Rylejewa, Golicyń rzucił się ku drzwiom i krzyknął na szyldwachy:

— Odsuń firankę!

Żołnierz usłuchał, podniósł firankę, Golicyń wyjrzał i zobaczył Murawjewa, który uśmiechnął się do niego, jakby raz jeszcze chciał przypomnieć.

— Oddasz!

— Oddam — odpowiedział Golicyń takimże milczącym uśmiechem.

Wrócił na miejsce i stanawszy przy oknie widział na tle dymno-szkarłatnej zorzy porannej dwa czarne słupy połączone poprzeczną belką, z której zwieszało się pięć stryczków.

ROZDZIAŁ IX.

Prócz pięciu skazanych na śmierć za udział w wypadkach 14 grudnia, osądzono jeszcze 116 uczestników na pozbawienie praw stanu. Wyprowa-

wadzono ich na plac przed menniczym domem, gdzie potworzono z nich oddziały, podług stopni i rang, poczem wyprowadzono ich z twierdzy przez pawłowskie wrota, na zbocze Kronwerskiego fortu, puste miejsce, które służyło dawniej za śmietnisko i gdzie i dziś jeszcze rozrzucone były kupy guzu i rumowiska.

Wojsko z korpusu gwardyi i oddział artylerijski z nabitemi działami, okrążyły skazańców półkolem. Głucho we mgle porannej bito w tarabany, nie naruszając niemal przedświtowej ciszy. Obok każdego oddziału płonął stos drzewa i stał kat.

Przeczytano stojącym wyrok i rozpoczęła się egzekucya pozbawiania czci. Kazano osądzonym, uklęknąć, kaci zdzierali z nich mundury, rrywali epolety, szlify, ordery, i rzucali to wszystko w ogień, poczem zaczęła się ceremonia łamania szpad. Były one już poprzednio nadpiłowane mimo to trzymały się mocno, tak, że skazani, którym łamano je na głowach padali od uderzeń. Tak upadł i Golicyń, gdy kat uderzył go po głowie kamerjunkską szpadą.

— Jeśli mnie raz jeszcze tak uderzysz, zabijesz mnie na dobre — rzekł do kata wstając.

Potem włożono na nich paskowate chałaty szpitalne, a że nie dobierano ich bynajmniej podług wzrostu i budowy więźniów, powstały najdziwniejsze sprzeczności. Mały dostał długopłą odzież wlokącą się po ziemi, duży nie mieścił się prawie w ciasnym kaftanie. Straż ubierała ich wśród żartów z tej niedabranej odzieży, poczem poprowadzono ich z powrotem do twierdzy.

Po drodze, gdy przechodzili obok kronwerskiego okopu, żołnierze widząc dwa czarne słupy sterzące na wale, szeptali między sobą.

- Co to?
- Niby to nie wiem.
- Tak! coś bardzo podobne do niej.
- A cóż to nie widziałeś takiej?
- Nie widziałem.
- Nikt nie wiedział za naszej pamięci, to pierwsza.

— Pierwsza może, ale i nie ostatnia.

Niechytra sztuka, a przecież nikt u nas nie umiał jej urządzić, Niemca zkądciś wypisali.

— A i kata ruskiego nie znaleźli Łotysza jakiegoś czy Czuchonca musieli sprowadzić.

— A i to mówią lichy kat, nie będzie umiał sprawić się gładko.

— Kutuzow go nauczył, on majster, na carskiej szyi się wprawił — śmieli się, a śmiech to był ludzi zatrwożonych.

— I czemu się tak guzdrzą. Naznaczone było na drugą godzinę, a oto już piąta.

— W admiralicyi to wystrugali, wieźli na sześciu wozach, ale po drodze jeden wóz ugrzązł, ten co wiozł najważniejszą maszynę. Musieli tu na nowo strugać, dlatego się przewlekło.

— Nic nie będzie. Na pokaz tylko, dla postrachu, konfirmacya, dekoracya. Przyleci goniec cesarski z nłaskawieniem.

— Ot jedzie już nawet, czy widzicie?

— Kto?

— Jenerał Czerniszew.

— Wszystko jedno, przyjedzie goniec.

I znów oglądali się na szubienicę.

— Podobna do huśtawki.

— Pohuśtaj się.

— To nie huśtawka, a waga — rzekł głośno Golicyn.

Nikt nie pojął oczywiście, co chciał przez to wyrazić, że szala to jest, na której waży się losy Rosyi.

Do słupów szubienicznych przyjechali konno dwaj jenerałowie Kutuzow i Czerniszew i spierali się o wytrzymałość powrozków.

— Za cienkie — twierdził Czerniszew.

— Nie są za cienkie — przeczył Kutuzow, na cienkich łatwiej zacisnąć pętlę.

— A jeśli urwą się?

— Zmińcie się, worki z piaskiem ośmiopudowe wieszali na tem i powróz wytrzymał.

— Sami jeździliście na próbę.

— Tak, byłem sama obecny.

— No oczywiście wasza wielmożność lepiej się na tem rozumie — uśmiechnął się jadowicie Czerniszew, na co Kutuzow sponzował, zrozumiałwszy aluzję. Cara umiał zadławić, więc i tych carobójców powiesić potrafi.

— Nie zapomniałeś sadła? — krzyknął gromko na kata.

— *Minz wanz, minz wanz!* — wybełkotał Czuchoniec, ukazując na szaflik z sadłem.

— Więc nawet nie umie mówić po rosyjsku — zauważył Czerniszew, oglądając ciekawie kata przez lornetkę.

Był to mężczyzna lat około czterdziestu, o białych niemal brwiach i z zapadłym nosem, dziwnie przypominający cara Pawła I. Wzrok nawet miał podobnie jak u tamtego obłądny.

— Niedołęga jakiś, z rąk mu wszystko leci. Skądżeście takiego durnia wyszukali?

— A wybyście kogoś mądrego polecili do tej roboty — odciął się Kutuzow.

W tej chwili pięciu skazańców przekraczało próg twierdzy. Próg ten w bramie wchodowej

był tak wysoki, że z trudnością im przychodziło przestępować go sakutemi w łańcuchy stopami. Pestel zwłaszcza był tak osłabiony, że musieli go podtrzymywać konwojowi.

Skoro wstąpili na wał i przechodzili obok szubienicy. Pestel rzekł:

— *C'est trop*. Mogliby nas rozstrzelać.

Do ostatniej chwili nie wiedział, że będą ich wieszać.

Z wysokości okopu zobaczyli nieliczną garstkę ludzi zgromadzonych na placu Troickim. W mieście nikt nie wiedział, gdzie się odbędzie egzekucja. Mówiono, że na wilczym polu, inni że na Senackim placu. Lud patrzył w milczeniu i ze zdziwieniem, odwykł już od kary śmierci. Niektórzy żalowali skazańców, wzdychali i żegnali się. Nikt jednak nie wiedział kogo i za co wieszają; mniemano, że zbójców jakich lub fałszerzy monet.

— *Il n'est pas bien nombreux notre publique* — uśmiechnął się Pestel.

Znów w ostatniej chwili czegoś zabrakło, skutkiem czego Czerniszew i Kutuzow spierać się zaczęli i prawie łajać.

Skazańcom kazano siąść na trawie. Usiedli w tym samym porządku, co przyszli. Pestel z Rylejewem, Murawjew obok Bestuzewa i Kachowski sam, na stronie. Rylejew nie patrząc na Kachowskiego, czuł wszelako na sobie jego kamienny wzrok i zdawało się, że gdyby zostali sami, tamten rzuciłby się na niego i zadusił własnymi rękami. Straszny jakby ciężar duchowy przytłaczał w tej chwili Rylejewa i nie miał już tego uczucia, co człowiek na małej planecie, który odrzucać może z łatwością najcięższe skały, walące się

na niego. Czuł owszem brzemie walących się skał i to coraz mniej i dotkliwiej.

— Szczególna czapka, widocznie nie Rosyńska — rzekł Pestel, wskazując na czapkę z uszami kata.

— Zapewne Czuchoniec — odparł Rylejew.

— A koszula czerwona. *C'est le gont national*. Kata nawet ubierają czerwono — zauważył Pestel, poczem dodał, wskazując na pomocnika kata:

— A ten mały całkiem podobny do małpy.

— Lub do Mikołaja Iwanowicza Grecza — zauważył Rylejew.

— Jakiego Grecza.

— Tego autora.

— A! Bułharyn i Grecz — przypomniał sobie Pestel.

Poczem ziewnął i dodał:

— Czerniszew dziś nie urókwany.

— Wcześniej jeszcze, więc nie zdążył się wystrzelić — odparł Rylejew.

— Pocóż się te stony palą?

— Pozabawiano tu cześci osądzonych i palono mundury.

— Patrzcie kapela! — zadziwił się Pestel, ukazując na orkiestrę wojskową, ustawioną przed szwadronem leibgardyi pawłowskiego grenadyerskiego pułku.

— Cóż to? przy muzyce wieszają nas będą?

— Widocznie.

Tak gadali o drobnostkach.

Raz tylko zagadnął Rylejew Pestla o »Ruską prawdę«, na co ten machnął ręką i nic nie odrzekł.

Bestuzew mały, szczupły, rudawy, z rozstarganymi włosami i dziecinną piegowaną twarzą

wyglądał na nieletniego chłopaka, którego za chwilę mają ukarać, lecz może i darują winę. Oddech miał szybki, jakby się wspinał pod górę, niekiedy wstrząsał się cały, lub chlipnął po dawnemu, tak, że zdawało się, iż się za chwilę rozpłaczę, lub zawoła na głos jak w celi:

— Oj! oj! Co to? co to?

Lecz skoro spojrzał na Murawiewa, uspokajał się i zdawał się pytać go oczyma: »I kiedyż będzie koniec?«, a tamten odpowiadał mu równie wzrokiem: »Zaraz już zaraz« i gładził go po głowie z uśmiechem.

Nadszedł ojciec Piotr z Krzyżem. Skazańcy wstali.

— Czy już? — zapytał Pestel.

— Nie jeszcze, dopiero nam powiedzą — odparł Rylejew.

Bestuzew spojrzał na ojca Piotra, jakby i jego chciał zapytać: kiedyż koniec? Lecz ojciec Piotr odwrócił się od niego a wzrok miał tak prawie spłoszony jak sam Bestuzew. Wyjął chustkę i wycierał spoczone czoło.

— A nie zapomnijcie o chustce dla cesarza, upominał go Rylejew.

— Nie! Nie zapomnę, nie zapomnę Konradzie Fedorowiczu, bądźcie spokojni. Ale cóż oni? cóż oni? — troszczył się ojciec Piotr jakby też czekał gońca, lub może myślał już tylko: »niech już raz koniec«.

Oddalił się od więźniów i przystąpił do oberpolicmajstra Czuchaczewa, który stał obok szubienicy, wydając ostatnie rozporządzenia. Powszeptał coś z nim, poczem powrócił do oskarżonych.

— No! przyjaciele moi! — rzekł podnosząc krzyż.

Chciał jeszcze coś dodać, lecz nie mógł.

— Jak rozbójników wieściecie nas, ojcze Piotrze — rzekł Murawiew.

— Tak, tak, jak rozbójników — powtórzył sążukując się ojciec Piotr, lecz nagle przeobraził się i rzekł mocno zaglądając Murawiewowi w oczy.

— Zaczem powiadam ci, dziś jeszcze będziesz ze mną w raju.

Murawiew ukląkł i mówił żegnając się:

— Bże! zbaw Rosyę, zbaw Rosyę, zbaw Rosyę.

Pochylił nisko głowę i ucałował ziemię a potem krzyż.

Bestuzew powtarzał wszystkie jego ruchy jak cień, lecz widocznem było, że nie zdaje sobie sprawy ze swych postępów.

Pestel przystąpił do krzyża, mówiąc:

— A i ja choć nie prawosławny, proszę abyś pobłogosławił mnie ojcze Piotrze na daleką drogę.

Także ukląkł. Ciężko, powoli jak we śnie, podniósł rękę i przeżegnał się i pocałował krzyż.

Po nim uczynił to samo Rylejew, czując sawsze na sobie kamienno-tłoczący warok Kachowskiego.

Kachowski wciąż jeszcze stał na stronie i nie zbliżał się do ojca Piotra, aż ten sam do niego przystąpił.

Kachowski osunął się na klęczki, powoli jakby niechętnie i równie powoli przeżegnał się i pocałował krzyż. Potem nagle zerwał się, objął za szyję Ojca Piotra i ścisnął go mocno jakby go chciał udusić. Wypuściwszy z objęć Mysłowskiego, obejrzał się w stronę Rylejewa i oczy ich spotkały się,

»Nie pojmie« — myślał Rylejew i ciężar tłoczący, który miał na duszy, warował jeszcze i

zdawało się zadławia go za chwilę. Lecz na kamienną twarz Kuchowskiego, coś jakby drgnęło i rzucił się do Rylejewa z głośnym szlochem.

— Konradzie... bracie... Konradzie. Ja ciebie... daruj! przebac Konradzie... my razem... tak razem — bełkotał wśród łez.

— Petia! Gołąbku! Ja zawsze wiedziałem... razem... my razem — odpowiadał Rylejew również łkając.

Przystąpił teraz oberpolicmajster i odczytał głośno wyrok, który kończył się temi słowy:

»Tych zbrodniarzy za ich ciężkie występki powiesić«.

Włożono na skazańców długie sięgające stóp białe śmiertelne koszule. Przewiązano je następnie sznurami pod szyję, w pasie, poniżej łokci i w przegubach nóg powyżej stóp tak, że skazańcy byli całkiem jakby spowici. Na głowy włożono im białe czapki, a na szyi zawieszono czarne skórsane tablice z napisem nakreślonym białą kredą, wymieniającym imię przestępcy z dopisanym przy każdym imieniu wyrazem »carobójca«.

Zamieniono przypadkiem imiona Rylejewa i Kachowskiego, policmajster dostrzegł omyłkę i polecił odmienić tablicę. Wypadek ten wywarł na obecnych wrażenie pełnego żartu, dla skazańców był ostatnią przedśmiertną zwłoką.

Kutuzow dał znak, zagrała muzyka wojskowa, przy dźwiękach jej wiedziono skazańców. Szubienica stała na wzniesionym pomoście, na którą wejść trzeba było po drewnianej równi pochyłej, bardzo spadzistej. Wstępowali powoli bo trudno im byłoby wobec tego, że nogi mieli związane i skute i robić mogli drobne tylko kroki. Konwojowali ich i popychali styłu.

W tymże czasie kaci namaszczali tłuszczem powrozy.

Stary podoficer grenadyerski, stojący tuż przy szubienicy, patrzył na to i chmurzył się. Znał się on dobrze na wieszaniu ludzi, bo w czasie pochodów Suworowa w Królestwie Polskiem powiesił sam z jaki tuzin żydków szpiegów. Widział więc, że powrozy przemokły od nocnej rosy i tłuszcz się ich nie chwyci, że twarde będą i pętla może się wysunąć.

Skazańcy weszli na pomost i stali szeregiem obok siebie zwróceniem twarzami do Troickiego placu.

Stali w następującym porządku od prawej ku lewej stronie: najpierw Pestel, dalej Rylejew, Murawiew, Bestuzew i Kachowski.

Kat włożył im pętle na szyję, w chwili owej twarze wszystkich skazańców były jednako spokojne i jakby zamysłone. Skoro założono stryczek na szyję Pestela z posennej jego twarzy przemknęła myśl, którą możnaby wyrazić następującymi słowami.

»Czy umieram za nic, czy za coś? Za chwilę dowiem się«.

Nasunięto im kółpaki na oczy.

— Panowie, poco to — rzekł Rylejew, który miał wrażenie, że nie tylko palce, ale i żółta twarz Cauchonca krzątającego się przy nich pokryta łuszczącą się skórą, cuchnie lojem.

Znow uczuł gniotący ciężar tłoczony mu pierś, lecz gdy Kachowski uśmiechnął się, sprawił, że odrzucić mógł i tą ostatnią skałę walącą się na niego, jak lekką piłkę.

Uśmiechnął się Murawiew do Bestuzewa.

— Będzie goniec, będzie!

Kaci zbiegli z pomostu.

— Gotowe? — krzyknął pytająco Kutuzow.

— Gotowe! — brzmiała odpowiedź.

Czuchoniec szarpnął z całej siły żelazny pierścień przymocowany do okrągłej zatyczki w bocznej ścianie szafotu. Deska wysunęła się z pod nóg skazańców, jak kłapa w podłódze. Ciała zwisały.

— Och! — rozległ się głuchy jęk z ust ludu zgromadzonego na Troickim placu, z piersi żołnierzy, okrążających miejsce egzekucyi, całego wogóle tłumu i zdawało się, że to ziemia zająęła od walącego się ciężaru.

Nie odrazu zrozumiano, co się stało; było ich pięciu, a dwóch tylko wisiało na szubienicy.

— Do czorta! Co to takiego? Co to takiego? — krzyczał Kutuzow z twarzą straszliwie skrzywioną i spiąłszy konia ostrogą, popędził w stronę szafotu.

Ojciec Piotr wypuścił z rąk krzyż i wbiegł na pomost i patrzył w otwór na dole i w górę na puste, kołyszące się pętle.

Zrozumiał, co się stało. Urwali się, a właściwie wysunęli z pętli: Murawiew, Kachowski i Rylejew. Powieszzeni zostali tylko Pestel i Bestuzew.

Tam w dole, w czarnej jamie, kotłowały się trzy straszne, białe figury, spowite w śmiertelne koszule. Kłpaki pospadały im z głów, twarze mieli odsłonięte, policzki Rylejewa były okrwawione, Kachowski jęczał z bólu, lecz usichł, spojrzawszy na Rylejewa, i uśmiechnęli się do siebie.

— Razem bracie!

— Razem.

Murawiew był prawie nieprzytomny, lecz, jak człowiek głęboko uspiony, który budzi się z wysiłkiem, zdołał ocknąć się, otworzył oczy i spojrział w górę. Zobaczył, że Bestuzew wisi, poznał go po niskim wzroście.

»Bogu dzięki!« — pomyślał. — Zgłosił się już po niego goniec innego króla i zwiastował mu życie.

O sobie nie pamiętał, nie troszczył się o to, że przyjdzie mu niebawem konać nie drugą już, a trzecią śmiercią. Zamknął znów oczy i skupił się w ostatniem oczekiwaniu.

— Hipelit! mama...

Muzyka nie grała już i nagle z gromadki ludzi, stojących na Troickim placu, podniósł się straszliwy krzyk, jęk przechodzący w wycie. To kobieta jakaś wyla się w ataku wielkiej choroby i znów jak przed chwilą, po całym tłumie przebiegł głuchy jęk i dreszcz grozy. Zdawało się, że za chwilę już ludzie nie wytrzymają i rzucą się na katów, zabiją ich, a szubienicę rozniosą.

— Wieszać! Wieszać! Prędzej! — krzyczał Kutuzow. — Hej! Muzyka.

Zagrała znów kapela, a z jamy dobywano trzech urwanych z powroza. Wciągnięto ich na pomost, bo iść sami nie mogli, wniesiono niemal na rękach. Podesunięto im pod stopy podjętą deskę i wtedy Pestel, który dostawał jej końcami stóp, ożył jeszcze, ciało jego zadrgało. Bestuzew tylko pozostał martwy. On jeden dzięki drobniemu wzrostowi uszedł powtórnej śmierci.

Znów włożono im pętle na szyje i wysunięto deskę. Tym razem powieszono ich jak należy.

Była szósta godzina zrana. Słońce weszło we mgłę, jak codzień w owym czasie mętno-czer-

wone. Wprost naprzeciw słońca, między dwoma czarnymi słupami, wisiało pięć ludzkich ciał. Długie, długie białe postacie spowite w białe całuny, tak białe, że nawet smętna purpura słońca nie splamiła ich krwi.

ROZDZIAŁ X.

Wilią wykonania wyroku, cesarz wyjechał, a jak niektórzy twierdzili uciekł do Carskiego Sioła. Co kwadrans posyłano tam kuryerów z miejsca kaźni, ostatni przywiózł następujący raport Kutuzowa.

»Egzekucya odbyła się spokojnie i w należy-tym porządku, który zachowany był zarówno wśród asystującego wojska, jak i nielicznych zresztą widzów. Skutkiem niechętności naszych katów, i nieumiejętnej budowy szubienicy, trzech urwało się za pierwszym razem, a mianowicie Murawiew, Kachowski i Rylejew, lecz natychmiast powieszono ich znowu i ponieśli zasłużoną śmierć, o czem najpoddaniej donoszę waszej cesarskiej mości«.

Tegoż dnia, szef głównego sztabu generał Dybicz pisał do cesarza:

»Feldjegier wręczy waszej cesarskiej mości doniesienie generała Kutuzowa o spełnieniu wyroku na łotrach. Wojsko zachowało się z godnością, zbrodniarze zaś z tą samą nikczemnością, jaką widzieliśmy w nich od początku«.

»Skladam dzięki Bogu za to, że się wszystko skończyło pomyślnie — pisał cesarz w odpowiedzi Dybiczowi. — Wiedziałem z góry że bohaterowie 14 grudnia, nie okazał w tym momencie

nałego męstwa. Radzę wam, mój miły zachować przez dzień dzisiejszy najostrożniejsze środki ostrożności«.

Dnia 14 lipca odprawione zostało nabożeństwo dziękczynne na Senackim placu. Wojsko okrążyło pamiątkową cerkiew, zbudowaną obok pomnika Piotra Wielkiego, w tem samem miejscu gdzie w dniu 14 grudnia stał czworobok buntowników. Metropolita w otoczeniu duchowieństwa, przechrzedził przed szeregami wojsk i kropił je wodą święconą. Ostatnia litania odmówiona została uroczystie na klęczkach, a w końcu ogłoszona została dziękczynna modlitwa.

»I oto raz jeszcze błagamy Zbawiciela i Pana naszego, by przyjął raczył dziękczynienie i modły niegodnych sług swoich za wybawienie od szalonych poczynąń źle myślących ludzi, których bunt obrócony był na obalenie naszej wiary prawosławnej i tronu, i rozsprzężenie cesarstwa rosyjskiego od czego Zbawiciel nasz uchronił nas wstawiennictwem swoim«.

»Ich męka, męka Rosyi. Nie. Policzkiem wymierzonym Rosyi, lecz to nie; zniosą i to. Prawdę mówił Kachowski. Podły to kraj, podły naród i z tego Rosya ginie. A może niema komu ginać, może wogóle niema i nie było żadnej Rosyi.

Tak myślał Golicyn siedząc w swojej nowej celi, w Newskim forcie dokąd przeprowadzono go po egzekucyi 13 lipca. Wiedział już, że wyrok został wykonany, nie znał tylko szczegółów.

W dniu tym zaczęto się znów obchodzić bardzo srogo z więźniami, tak prawie, jak w pierwszych czasach. Nie wypuszczano ich ani na chwilę

z cel, ustać musiały wszelkie porozumiewania się i stukanie w ścianę, dozercy znów oniemieli i nie dawali żadnych odpowiedzi, co najwyżej swoje wieczyste: »Nie mogę wiedzieć«.

W dniu egzekucyi Poduszkin wsunął ukradkiem Golicynowi list od Marynki. Córka plac-majora Adelajda, ubłagała ojca, aby list oddał, nie otwierając go, był więc nie cenzurowany.

Przyjacielu mój! Dawno już nie pisałam do ciebie, bo brakło mi odwagi i nie chciałam przeobcych ludzi pisać ci o strasznej boleści. W przeszłym miesiącu, 29 czerwca umarła mama. Mimo, że chorowała od stycznia nie spodziewałam się tak rychłego końca. Nie mogę się pozbyć szarpiącego serce uczucia, że to ja, lubo mimo woli, przyczyniłam się do tego nieszczęścia. Niema gorszej męki, od żalu spóźnionego, żeśmy nie kochali dostacznie tych, których już niema. Nie będę zresztą o tem pisać, ty sam zrozumiesz. I tak zostałam teraz całkiem sama na świecie, bo Foma Fomicz lubo kocha mnie jak rodzoną córkę i gotów życie za mnie oddać, z powodu starości swojej niewielką jest podpora, a postarzał bardzo od czasu śmierci babuni. Ale ty się nie bój o mnie mój drogi, wiem teraz, że człowiek w razie potrzeby znajduje w sobie takie siły jakich nie przypuszczał.

Co do mnie, ja nie straciłam i nigdy nie stracę głębokiej ufności w miłosierdzie Boże i w opiekę Królowej niebieskiej, erędowniczkę pansej, podpory niewzruszonej, wszystkich cierpiących Matki. Teraz właśnie przekonałam się, jak możliwą jest jej święta opieka. Co dzień modłę się do niej ze łzami za ciebie i za was wszystkich nieszczęśliwych. Dużo jeszcze chciałabym pisać o tem

wszystkiem, ale nie umiem; daruj mi, że tak licho piszę. Przeżyłam straszne dni, gdy się rozszła wiadomość, że i druga kategoria, do której ty należysz, dostali wyroki śmierci. Wiedziałam jedno tylko, że cię nie przeżyję i to mnie krzepiło. Wystaw więc sobie radość moją, gdy się dowiedziałam, że kara śmierci zamieniona na wieczystą katorgę i jeszcze większą radość, że nam, zonom, wolno będzie jechać za mężami. My obie z księżną Katarzyną Trubecką robiłyśmy starania, aby pozwolenie to uzyskać i teraz już mamy pewność, że je dostaniemy. Księżna Trubecka to kobieta przepięknego charakteru. Mnie już nie więcej nie potrzeba skoro tylko będę mogła być z tobą i dzielić twą niedolę. Cto i teraz sama nie wiem jak to wyrazić, ale pamiętasz, jakżeś ty mówił w gorące: »Marynko, matczoko«.

Dalej nie mógł czytać, list wypadł mu z rąk. Skąd list taki, w taki dzień? Sam nie wiedział, jakie uczucie w nim przeważa, radość, czy odręba do własnej radości? Przypomniał najstraszniejszą z męk swoich, gdy odchodził prawie od zmysłów w Aleksiejewskim forcie na myśl, że miłość to podłość. Miłość żywych, radość żywych to zdrada i krzywda umarłych. Że niema w gruncie ani miłości ani radości, a tylko podłość i śmierć: podłość żywych i śmierć szlachetnych, pozatem nic.

Następnego dnia, 19 lipca wieczorem, odwiedził Golicyna ojciec Piotr. Podobnie jak wtedy w palmową niedzielę, gdy Golicyn odmówił przyjęcia Komunii, Mysłowski trzymał w ręku kielich, lecz ze sposobu, w jaki go niósł, widać było, że jest pusty. Starał się nie patrzeć w oczy Golicynowi, zamysłony był i smutny, lecz Golicyn nie zlito-

wał się nad nim, jak Rylejew, lecz spojrzał na niego z pod okularów badawczo i gniewnie i uśmiechnął się szyderczo.

— No cóż! ojcze Piotrze! Doczekaliście się ułaskawienia. Konfirmacya — dekoracya?

Ojciec Piotr także chciał uśmiechnąć się, lecz usta jego skrzywiły się tylko. Usiadł na krześle i podniósł kielich do wysokości twarzy, zaciął wargami krawędź czary i załkał głucho, a potem głośniej i głośniej, a wreszcie postawił kielich na stole i ryknął wielkim płaczem.

— Co za baba! — pomyślał Golicyn, wpatrując się w niego zawsze równie szyderczo.

— No! a teraz raczcie epowiedzieć jak to było — rzekł, gdy się Mysłowski wreszcie uciszył.

— Nie mogę, druhu mój, nie mogę teraz, potem może kiedyś, ale teraz nie mogę.

— Mogliście prowadzić na śmierć, a opowiedzieć nie możecie? Mówcie natychmias — krzyknął groźnie Golicyn.

O. Piotr spojrzał na niego wylęknioty, ocierał oczy chustką i mówić zaczął zrazu niechętnie, potem z widocznym upodobaniem, znajdując w opowiadaniu tem jakby gorszą ośłodę. Skoro wspominał chwilę, gdy skazańcy urwali się i znów zostali powieszani, zakrył oczy rękami i zapłakał. Golicyn natomiast roześmiał się.

— Ładny kraj, powiesić nawet nie umieją, jak należy. Podła! Podła! Podła!

— Kto podły?

— Rosya.

— Jak wy strasznie mówicie, książę.

— Cóż to? Za ojczyznęście się obrzili; nic to, przełkniecie.

Obaj samilkli.

Okno więzienne wychodziło na Nową prosto na zachód. Słońce zachodziło krwawo czerwone, lecz mniej zmętniałe, niż w ostatnich dniach, gdyż opary dymne rozproszyły się już nieco. W dali za Nową płonęły szkarłatem szyby w oknach Zimowego pałacu, jakby od wnętrza biła łuna pożarna. Szkarłatne światło zalewało także całą Golicyna.

Przed chwilą kończąc opowiadanie, ojciec Piotr wziął znów do rąk kielich i trzymał go jeszcze wciąż. Złota czasza w purpurze zachodu błyszczała oślepiającym blaskiem, rzekłbyś, druga tarcza słoneczna.

Golicyn spojrzał na nią, poczem wstał, przystąpił do ojca Piotra, położył mu ręce na ramionach i rzekł równie jak w pierw twardym tonem:

— Rozumiecie teraz, dlaczego ja wtedy nie przyjąłem komunii? Rozumiecie teraz?

— Rozumiem — wyszeptał ojciec Piotr, a spojrzawszy na niego, przekonał się, że nawet w tem szkarłatnem świetle słonecznem, twarz ma śmiertelnie bladą.

Znowu milczeli.

— Gdzie pogrzebano ich? — spytał po chwili Golicyn.

— Nie wiem — odparł ojciec Piotr — nikt nie wie. Jedni mówią, że tuż przy szubienicy, w dole z niegaszonym wapnem, inni że na wyspie Gołodaja, gdzie było grzebią, inni wreszcie, że zaszyte ich ciała w worki, uwiązano kamieniem i wywieszono czółnem w stronę morza, gdzie ich w wodę wrzucono.

— A mszę żałobną to ja za nich odprawiłem — dodał Mysłowski z przebiegłym uśmiechem. — Dziś była parada na senackim placu. Naboleństwo dziękczynne za stłumienie buntu. Wojska

skrapiano święconą wodą i plac cały także, że to niby ze krwi obmyć trzeba. Boją się krwi, a i tak nie obmyją. Władysław metropolita sam celebrował z asystą duchowieństwa; a ja nie poszedłem. Matuszka pretopapadya mówi do mnie:

— Za wiele wy sobie pozwalacie, ojcze Piotrze; a baczcie lepiej, aby się do archirejów nie doniosło, bo dostalibyście po szyi.

— A niech mówią; niech się denienie. Wyprawiłem Kazańską, ze wszystkimi popami na nabożeństwo, a sam nie poszedłem. Wdziałem na siebie żałobną szatę i panichidę odprawiłem. »Wieczyste odpoczywanie racz dać Panie duszom sług Twoich: Sergiusza, Michała, Piotra, Pawła i Konrada, tam gdzie sprawiedliwi w błogosławieństwie spokój mają. Przyjmijcie ich Panie do pokoju Twego«. Lecz co tu mówić! Przyjmie ich niebo przyjmie!

Wyprostował się w całej wysokości i rzekł mocnym tonem:

— Świadcze się Bogiem żywym, że umierali jak święci. Jako ziarna dojrzałe opadli na ziemię, lecz nie ziemia przyjęła ich, a Ojciec niebieski. Więńca męczeńskiego dostąpić godni byli i nie będzie im to odjęte; sława Bogu wielkiemu. Amen.

I znów dziś jak kiedyś w niedzielę palmową, Golicyń osunął się na klęczki.

— Pobłogosław ojcze Piotrze! — rzekł.

Tamten podniósł rękę.

— Nie tak — przerwał mu Golicyń — nie tak. Kielichem błogosławcie.

Mysłowski wyciągnął rękę.

— W imię Ojca i Syna i Ducha, błogosławił, dotykając kielichem czoła jego, piersi i ramion, poczem dał mu go do ucałowania.

Skoro Golicyń przyłożył usta do krawędzi czary, purpurowo-żółty promień słońca padł na złociste dno i zdało się, że kielich po brzegi wypełnił się krwią.

Ojciec Piotr uściśkał więźnia i chciał wyjść.

— Poczekajcie — zatrzymał go Golicyń i roznapiawszy koszulę wyjął z zanadru zwiłek papieru, który oddał Mysłowskiemu.

— Co to? — spytał ojciec Piotr.

— Zapiski Murawiewa; testament dla Rosyi, kasal wam oddać, przechowajcie to.

— Przechowam.

Raz jeszcze uściśkał Golicyńa i wyszedł z celi.

Golicyń siedział długo bez ruchu, nie czując prawie łez, które mu ciekły po twarzy i wpatrywał się w szkarłatne słońce, czarę niebieską pełną krwi. Wreszcie spuścił warok, a oczy jego padły na rozłożony na stole list Marynki. Zrozumiał teraz dlaczego list taki doszedł go w taki dzień. Przypomniał ostatnie słowa Murawiewa: »Pocałuj odemnie Marynkę« i przycisnął do ust jej pismo.

— Marynka, mateczka! — wyszeptał.

Przypomniał sobie jak po odejściu jej z Aleksiejewskiego fortu, przypadł twarzą do ziemi i całował ją i jak Murawiew w ostatniej przedśmiertnej godzinie również całował ziemię.

— Ziemio! Ziemio! Matko przeczysta.

Przypomniał także szeptane przez ścianę wyrazy Murawiewa:

»Nie zginie Rosya. Zbawi Chrystus i jeszcze ktoś«.

Wtedy nie wiedział kto; teraz już wie:

Rosyę zbawi Matka.

K O N I E C

KRAKOWSKA SPÓŁKA WYDAWNICZA

W KRAKOWIE, UL. ŚW. FILIPA 25.

posiada następujące wydawnictwa:

- Bandurski Wł. ks biskup, Polska a Rosja w pieśni.
U trumny bohatera.
Ćwikowski Witold, Pierwszy ogień, opowiadania.
Dzikowski Stanisław, Rok wojny w Warszawie.
Grabiński Stefan, Szalony patnik, nowela.
Gralewski Stefan, Pean wojenny, poezje.
Gruszecki Artur, Zawsze ci sami, powieść.
Kaden-Bandrowski J., Bitwa pod Konarami (z ilustr.
" " " Zapiski por. Pekszyca-Grudzi
skiego.
Kisielewski Zygmunt, Krwawe drogi.
Leszczyński Edward, Atlantyda, dramat.
" " " Ballady i pieśni.
" " " Jolanta, poemat dramat.
" " " Kabaret szalony, piosenki.
" " " Płomień ofiarny, poezje.
" " " Poezje.
" " " Wiosenne niebo, poezje.
" " " Złota gałązka, opowieść.
Ligoński Edward, Pustkowie, nowela.
" " " Tryumfatorzy, poezje.
" " " Maczka Józef, Starym szlakiem, poezje.
Merwin Bertold, Legjony w boju, 2 tomy (z ilustr.).
" " " Z Dulfalva nad Tagliamento.
" " " Z życia w Legionach.
Mondalski W., Z trzecim pułkiem Legionów (z ilustr.).
Nahielak L., Tadeusz Kościuszko, jego odezwy i raporty.
Nowakowski Tempka Zygmunt, Wymarsz, nowela.
Orkan Władysław, Droga Czwartaków (z ilustr.).
Przybyszewski Stanisław, Powrót, powieść.
Romin Seweryn, Z notatek legjonisty (z ilustr.).
Rostworowski Stanisław, Szablą i piórem.
Rydel L., Warszawa, jej dzieje kulturalne i wojenne.
Sebastiani Mieczysław, Towarzysze sztuki, powieść.
Tealar J. A., Czwarty pułk Legionów polskich (z ilustr.).
Tetmajer Kazimierz, Cienie, poezje.
Wasilewski L., Dzieje męczeńskie Podlasia i Chełm-
szczyzny.
Wells H. G., Janka i Piotr, powieść, 2 tomy.
Z bojów brygady Piłsudskiego (z ilustr.).
Zdziechowski M., Wpływy rosyjskie na duszę polską.

Do nabycia w Krakowskiej Spółce Wydawniczej (Kraków,
ul. św. Filipa 25) i w księgarniach.